

A photograph of a woman with vibrant red hair, seen in profile from the side. She is holding a yellow ceramic cup with white polka dots to her lips, as if about to take a sip. She is wearing a light blue checkered shirt. The background is softly blurred, suggesting an outdoor setting with natural light.

*Uwaga, od tej książki
trudno się oderwać.
Agata Przybyłek*

MARTA RADOMSKA

Maraton

DO SZCZĘŚCIA

Maraton
DO SZCZĘŚCIA
MARTA RADOMSKA



Dla Mamy i Moniki

— Kobiet będących niewyczerpanym źródłem inspiracji każdego dnia...

Para brązowych oczu raz jeszcze omiotła uważnym spojrzeniem ławkę w parku, na której przed chwilą siedział wysoki, czarnowłosy mężczyzna i towarzysząca mu drobna szatynka. Choć zdążyli wstać i oddalić się w kierunku stojącej na parkingu grafitowej hondy civic, w brązowych oczach nadal złośliwym blaskiem lśniło zadowolenie. Rozbłysło, gdy kobieta nerwowym ruchem wyciągnęła z torebki niewielką kopertę i podała towarzyszowi.

Dostali zdjęcia.

I, jak to było do przewidzenia, trochę się zdenerwowali.

Można podenerwować ich jeszcze trochę, choć tak naprawdę w tej grze nie chodziło o nich. Ale skoro już mieli takiego pecha, żeby się spotkać...

* * *

Pragnienie wyjścia za mąż zakorzeniło się w Beatce na amen. Nic dziwnego, że gdy na horyzoncie pojawił się odpowiedni kandydat, bez wahania przyjęła obietnicę miłości, wierności, pierścionek (z szafirem wprawdzie, ale odpowiedniej wielkości) i czteropokojowe mieszkanie na nowym osiedlu na obrzeżach Poznania zamiast połowy królestwa, jakie zwykle otrzymują w posagu księżniczki. Na królestwach większych niż 120 metry kwadratowe jakoś jej nie zależało. W charakterze karocy wystarczała jej srebrna trzyletnia toyota yaris, nabyta jeszcze przed pojawieniem się rycerza na białym koniu, co wydatnie obniżyło stopień wymagań wobec mojego najlepszego kumpla. W rezultacie na początku czerwca odebrałam dwa niemal identyczne telefony od przyjaciół, pałających pragnieniem podzielenia się radosną nowiną i zaangażowania mnie w planowanie swojego szczęścia.

— Zgodziła się! — jako pierwszy wieść o zaręczynach przekazał mi Darek.

— Domyślam się — uśmiechnęłam się, oczyma wyobraźni widząc, jak przyszły pan młody biega po pokoju, potykając się od czasu do czasu o rozwalone na podłodze ciuchy po treningu. — I nie musiałeś jej porywać, torturować ani obiecywać wymiany szafiru na większy?

— Żadne takie — zasapał Darek do słuchawki. — To znaczy porwałem ją na weekend do Zakopanego, więc jako prawdziwe porwanie się chyba nie liczy. Zresztą Beatka nie pozwoliła mi za dużo gadać, sama ci opowie. Ja dzwonię w kwestii formalnej...

Jęknęłam w duchu. Pomogłam wybrać pierścionek, załatwiłam romantyczny weekend w górach, kupiłam nawet kwiaty, z którymi spocony z przejęcia narzeczony poszedł na spotkanie z przyszłymi teściami. Czego, do licha, mógł chcieć jeszcze?

— Jakaż to? — spytałam ostrożnie. — Jak nie chcesz mówić, to nie mów...

— Oła, pomożesz nam zorganizować ślub? — wszedł mi w słowo Darek. — Nikt nie zna Beaty i mnie tak dobrze, ty po prostu będziesz wiedziała, jak to

powinno wyglądać. Dostaniesz do dyspozycji fundusze, nasze błogosławieństwo i co tam jeszcze potrzebujesz.

— Zgoda, pod warunkiem, że będę mogła dokonać defraudacji tych funduszy — rzuciłam ciekawa, czy na to również otrzymam błogosławieństwo.

Darek był widocznie gotowy prawie na wszystko.

— Jak coś ci zostanie, to tak — oznajmił wspaniałomyślnie.

— Postaram się oszczędnie gospodarować gotówką — mruknęłam. — W takim razie, Dariuszu, wydaje mi się, że najbliższy weekend poświęcimy na planowanie waszego ślubu. W sobotę od szesnastej jestem do dyspozycji.

— Bóg ci to wynagrodzi!

— I ustalcie wysokość odszkodowania za moje nieprzespane noce i tortury psychiczne — dodałam. — Nienawidzę ślubów.

Niespełna pół godziny później odebrałam podobny telefon od rozpromienionej Beatki. Wysłuchałam znacznie obszerniejszej relacji z pobytu w górach, próśb, gróźb i przekupstw, byle bym tylko odwiesiła na jakiś czas swoją niechęć do sformalizowanych związków, niebacznie wyraziłam zgodę na wszystko i chwilę później gorzko tego pożałowałam.

— Świetnie, bo nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek inny był moim świadkiem — usłyszałam i aż mnie zatkało.

Jednak słowo się rzekło. Wyrażając zgodę na wszystko, nie przewidziałam, jak szeroki zakres może przybrać wyzysk, który postanowili zafundować mi najbliżsi przyjaciele. Z ciężkim sercem przyjąłam rolę świadka i wysłuchałam licznych zapewnień o dozgonnej wdzięczności, po czym resztę wieczoru poświęciłam rozważaniom, jak zorganizować Beatce interesujący i niestandardowy wieczór panieński.

Temat jako taki nie był mi obcy. Na wieczorach panieńskich bywałam, nawet często. Śluby budziły we mnie znacznie mniejszy entuzjazm, dlatego w kościołach i urzędach stanu cywilnego pojawiałam się rzadziej. Do tej pory udawało mi się z wdziękiem wymigiwać od zostawiania druhną, świadkiem lub jedną z przepychających się panien, gotowych przelać krew cudzą i własną (przypuszczam, że tę pierwszą chętniej), by złapać bukiet panny młodej. Tym razem jednak, przyciśnięta do muru przez najlepszych przyjaciół, nie miałam ochoty walczyć na dwa fronty.

Postawmy sprawę uczciwie. Nie żeby w moim duchu i umyśle nie tlił się nędzny płomynek altruizmu i empatii, nakazujący wbrew wygodnictwu i antymatrymonialnym deklaracjom poświęcić czas i wysiłek na przygotowanie ślubu najbliższych przyjaciół. Tlił się, a wieloletnia sympatia do Darka i Beatki skutecznie go wzmagała.

I pozwalała cieszyć się chociaż ich szczęściem, skoro własne jakoś do tej pory skutecznie mnie omijało. Zaś przede wszystkim pozwalała zająć się czymś, co

o umykającym szczęściu pozwoliliby choć na chwilę zapomnieć.

Teoretycznie nie powinnam narzekać. Tak przynajmniej stwierdziłby każdy, kto pobieżnie rzuciłby okiem na moją sytuację. Czego bowiem może czepiać się trzydziestoczteroletnia, całkiem atrakcyjna (a co mi tam) kobieta, żyjąca w ustabilizowanym (jako tako) związku i posiadająca równie ustabilizowaną i satysfakcjonującą pracę?

Swoją pracę trenera personalnego w fitness klubie kochałam bez reszty. Podobnie jak ludzi, z którymi w owym miejscu pracowałam od lat siedmiu, a do których należał między innymi właśnie Dareczek, zatrudniony krótko przede mną, z którym przegrałam wprawdzie wyścig o stanowisko menadżerskie, wygrywając za to przyjaźń z człowiekiem, który zastąpił mi brata. Szybko okazało się, że brata raczej młodszego, jednak będąc jedynaczką, nie marudziłam. Choć metrykalnie starszy, organizacyjnie i życiowo kompletnie nieprzystosowany i czarująco nieogarnięty, Daruś chętnie obsadził mnie w roli swego anioła stróża, ceniąc wysoko moje zdanie, opinie, kompetencje i gotowość do niesienia pomocy. Wykorzystywał je dość bezwstydnie, jednak totalne pasożytnictwo w jego naturze nie leżało. Do Darka właśnie mogłam zadzwonić o każdej porze dnia i nocy, z gwarancją, że zostanę natychmiast wysłuchana, rozbawiona i pocieszona. Może i nadal tak samo skazana na samodzielne rozwiązanie zaistniałego problemu, ale przynajmniej z poczuciem, że dla kogoś moje kłopoty są ważne i jest gotów się nimi zainteresować. Na bardziej konkretną pomoc i radę mogłam za to liczyć w wykonaniu państwa Nawrockich, rodziców Darka. Życzliwie nastawieni, wdzięczni za czujność w obliczu popełnianych przez syna idiotyzmów, chętnie zastąpili mi własną, często nieobecną w kraju z powodów służbowych rodzinę. Miałam w ich domu własny kubek do kawy, kaptcie, a przede wszystkim nieocenione wsparcie, gdy coś zaczynało się walić.

Waliło się najczęściej na jednym i tym samym polu. Chronicznie cierpiąc na brak odpowiedniego mężczyzny (bo na sam brak narzekać nie mogłam), wiecznie miotając się między aktualnym, wybrakowanym egzemplarzem partnera, z którym nie potrafiłam sobie poradzić, a kompletną nieumiejętnością dokonania właściwego wyboru. Nie potrafiłam również poradzić sobie z konsekwencjami kiepskich decyzji. Coraz bardziej zniechęcona do facetów, dryfowałam sobie po morzu niespełnionych uczuć, całą aktywność pakując w to, co wychodziło mi najlepiej: pracę i patronat nad życiem przyjaciół, przede wszystkim zaś nad życiem Dareczka. Pewnie nie był to najlepszy sposób radzenia sobie z totalnym fiaskiem uczuciowym, ale przynajmniej dawał poczucie, że jestem potrzebna. I dawał zajęcie. Idealny pretekst, by machnąć ręką na konieczność uporządkowania własnych spraw, bo przecież wiecznie byłam niezbędna gdzieś indziej.

Tak jak teraz. Wyswatanie Beatki i Darka ciągnęło za sobą organizację ślubu, opiekę nad mieszkaniem młodej pary podczas miesiąca miodowego i

zapewne chwilowe przejście obowiązków zawodowych, jakimi na czas wyjazdu zamierzał uszczęśliwić mnie Darek. Czyli remontu w fitness klubie, zapowiadanego przez szefa od kilku tygodni.

Takie chwile w swoim życiu lubiłam najbardziej. Gdy zmordowana i wiecznie pędząca gdzieś na złamanie karku nie miałam już ani czasu, ani sił na zamartwianie się. I pewnie właśnie dlatego rzuciłam się w cały ten ślubny obłęd, dziękując Bogu, że zyskam możliwość zapomnienia o własnych, bardzo marnych szansach na szczęśliwy finał przed ołtarzem.

Postawmy sprawę jasno. Nie zawsze widziałam siebie w roli wiecznej druhny, bez możliwości awansowania na pozycję tej jednej jedynej, najważniejszej, stojącej przy ołtarzu. Każdy nowy związek rozpoczynałam z sercem kwitującym białym kwiecikiem nadziei, które pielęgnowałam troskliwie, czekając, aż rozwinie się i rozrośnie. Tyle że koniec końców wychodziłam na kiepską ogrodniczkę, bo kwiecie usychało, marniało i kończyło w charakterze zwiędłych sentymentów, zdeptane na dnie rozczarowanej duszy.

Aktualnie jeszcze się jakoś trzymało, choć przybierało coraz bardziej formę kruchego suszu. Schło już od trzech lat, a mnie jak zwykle brakowało determinacji, by rozwiązać problem. Albo po prostu nadal głupio wierzyłam, że jestem w stanie zmienić mężczyznę. Nic bardziej błędnego.

Mój mężczyzna zmienić się nie chciał. Nie uznawał kompromisów w żadnej dziedzinie, bo wymagałyby one przyznania się do własnych błędów. Był wybitnym teoretykiem — wybitnie nieskłonny przekuć teorię w praktykę, zwłaszcza w dziedzinie naprawy auta lub kranu, który doprowadzał mnie ciurkaniem do szału od ładnych kilku tygodni. Praktykował za to z zapałem ingerowanie w moją garderobę, makijaż i posiadane obuwie, by dostosować je do własnych wyobrażeń o kobiecie idealnej, czyli takiej, którą można by było się pochwalić przed kolegami. Chętnie oglądał się również za kobietami bliższymi ideału niż ja. Oczywiście jedynie po to, by wskazać mi drogę do doskonałości.

Sama nie wiem, jakim cudem i po co w ogóle wytrzymywałam te nieustające poprawki. Być może miały tu coś do powiedzenia moje kompleksy, które o swoim istnieniu przypomniały sobie, gdy pewnego pięknego zimowego wieczoru bezskutecznie szarpałam się z zamrożonym zamkiem w aucie. Z czerwonym z wściekłości i zimna nosem, włosami byle jak wcisniętymi pod sportową czapkę z polaru, bez grama makijażu, za to z oblażącym z paznokci lakierem, nie wyglądałam na wymagającą ratunku księżniczkę. Może inaczej. Ratunku wymagałam rozpaczliwie. Za to do księżniczki było mi dalej niż kiedykolwiek. Tym większe było moje zdziwienie, gdy na ratunek ruszył wysoki, jasnowłosy książę, który wyłonił się z parkującego obok lśniącego, czarnego citroena. A potem postanowił z kopciuszka uczynić księżniczkę.

Po trzech latach kreowania się na księżniczkę miałam serdecznie dość.

Podobnie jak Krzysztof moich początkowo nieśmiałych, potem coraz bardziej odważnych buntów i prób manifestowania własnego zdania, które z czasem doprowadziły do tego, że i od samego nieskazitelnego księcia zaczęłam domagać się zmian. On natomiast domagał się uznania swej nieskazitelności. Jak nie ode mnie, to od innych, bardziej skłonnych do podziwu księżniczek. Jakie spoidło trzymało nas jeszcze razem, Bóg raczy wiedzieć. W przypadku Krzysztofa był to zapewne optymizm i niezachwiana wiara w swą nieomylność. Nie mógł przecież pomylić się, wybierając kobietę. W moim — nieszczęsna ambicja i upór w zakresie naprawiania związku, który zapowiadał się idealnie. A możliwe, że i cholerne kompleksy, szepczące do ucha, że księżę to księżę i nie wiadomo, czy trafię na lepszego. Kiepska motywacja.

Pewnie dlatego po trzech latach nadal mieszkaliśmy oddzielnie, a widoki na „żyli długo i szczęśliwie” były bardzo odległe. Osobno spędzaliśmy też coraz więcej czasu. Również na ślub Beatki i Darka mieliśmy przyjechać osobno. Ja, jako świadek i organizatorka, musiałam być do dyspozycji państwa młodych od wczesnego poranka. Krzysztof nie zamierzał rezygnować z dwudniowego wyjazdu na wieczór kawalerski kolegi z pracy. Na ślub obiecał dojechać we własnym zakresie, o ile impreza nie przeciągnie się do późnych godzin porannych, a jej uczestnicy będą w stanie wsiąść za kierownicę i nie wylądować w pierwszym lepszym rowie. Machnęłam ręką i zrezygnowana zgodziłam się na spotkanie w kościele. Dobrze chociaż, że kolega Krzysztofa zenił się dopiero za tydzień i nie istniało ryzyko zbiegnięcia się dat ślubów. Wówczas miałabym naprawdę poważny problem. Ceniący towarzystwo kolegów Krzysztof zapewne zdecydowałby za mnie, na który ślub należy się udać. W najlepszym wypadku każde z nas udałoby się na inną imprezę. Tak przynajmniej istniała szansa, że na ślubie Beatki i Darka poudajemy szczęśliwą parę i może choć na chwilę udzieli nam się romantyczny nastrój. A wychodząc z domu będę miała pewność, że w spiętych włosach i z zaczesaną grzywką wyglądam całkiem seksownie, bo nikt tym przekonaniem nie będzie próbował zachwiać. Zresztą bądźmy uczciwi. Nie miałam nic przeciwko jego spędzaniu czasu w towarzystwie kolegów z pracy. Miałam coś przeciwko jego nadmiernej uprzejmości i życzliwości wobec koleżanek, z których szczególnie jedna spędzała mi ostatnio sen z powiek.

Aż do dnia wieczoru panieńskiego wszystko szło podejrzanie dobrze i sama byłam z siebie dumna, że niechęć do rodzaju organizowanego przedsięwzięcia udało mi się zamienić na chłodny profesjonalizm. Z ulgą pomyślałam, że do godziny zero pozostał już tylko tydzień, a i świadkowi należą się chwila wytchnienia i odrobina dobrej zabawy. Najwyraźniej były potrzebne też panie młodej, która od kilku dni znajdowała się w stanie permanentnego stresu.

Wieczór panieński postanowiłam zorganizować w mieszkaniu Darka, gdyż *primo* — moje własne lokum było mniejsze i niekoniecznie się nadawało, *secundo*

— Darek wyjeżdżał na dwudniowe szkolenie i na moją prośbę zgodził się przedłużyć pobyt w Krakowie do soboty.

— Mam nadzieję, że nie zdemolujecie mi mieszkania — zażartował, wręczając mi klucze. — Wracam pod wieczór, więc do dwudziestej macie czas na mały remont.

— Remont może nie, ale scenografię będzie trzeba usunąć — uświadomiłam go. — Spokojnie, nikt ścian nie przemaluje, mebli przez okno też nie powyrzucam. Zamierzam wprowadzić zmiany czysto kosmetyczne.

— Co to znaczy „kosmetyczne”? — chciał wiedzieć Darek, na którego moje wyjaśnienia nie wpłynęły uspokajająco. Znał mnie wystarczająco długo, by wiedzieć, że należę do jednostek kreatywnych i nie umiem robić niczego na pół gwizdka.

— To znaczy, że część odbędzie się u kosmetyczki! — odgryzłam się i wypchnęłam go z mieszkania.

— Czego zapomniałeś? — spytałam po kilku sekundach, otwierając drzwi dzwoniącemu jak na pożar Dareczkowi.

— Oła, chciałbym, żeby moje złote rybki pływały, jak wróć. Nie brzuskami do góry! Trzeba będzie je nakarmić...

— No przecież nie dam im tortu — syknęłam, ponownie zatrzaskując drzwi i ignorując informacje, jakie miał mi do przekazania Darek w kwestii rybek oraz ich żywienia. Następnie zrobiłam sobie kawę i usiadłam na kanapie z komórką w dłoni. Ostatecznie kosmetyczka w planach była jako żywo. Po półgodzinnej debacie z właścicielką zaprzyjaźnionego salonu udało mi się podjąć decyzję, jakie atrakcje na wstępie zafundujemy Beatce.

W głębi duszy byłam bardzo wdzięczna Darkowi za beztrioskie udostępnienie mieszkania i odpuszczenie rozmowy na temat czysto kosmetycznych zmian, jakie zamierzałam wprowadzić w wystroju wnętrza. Siedem lat bliskiej przyjaźni to całkiem dużo czasu, by móc zorientować się w mojej kreatywności, jednak okres ten nie obejmował zwariowanych czasów licealnych, kiedy to obie z Beatką przechodziłyśmy mroczny i ciężki (zwłaszcza dla naszych rodzin) etap fascynacji kulturą gotycką. Wprawdzie szał na punkcie farbowania włosów na czarno z granatowymi (Beatka) lub czerwonymi (ja) pasemkami, równie czarnych odcieni dominujących w makijażu i paradowania w czarnych ubraniach, obowiązkowo wzbogaconych o pokaźną kolekcję srebrnej biżuterii, już nieco nam przeszedł, pozostawiając po sobie ślady w postaci płyt i kilku tatuaży, jednak upodobanie do pełnych dramatyzmu scenerii i ciężkiego gitarowego brzmienia wcale nie miało zamiaru nas opuszczać. Powrót do szalonych czasów był najlepszym sposobem na oderwanie Beatki od ślubnej nerwówki i zapewnienie jej dobrej zabawy.

I tylko jeden Darek zapewne nie bawiłby się zbyt dobrze, wiedząc, że na ścianach salonu i przedpokoju wiszą czarne, jedwabne draperie, a podłogę i

większość mebli zdobią wzorki ułożone z małych, zapachowych świeczek, które miały zastąpić elektryczne oświetlenie dzisiejszej nocy...

A gdyby dodatkowo ktoś podszeptał mu, że mieszkaniem zawładnie trzynaście wampirzyc, ustrojonych w wypożyczone lub swoje własne stare suknie ślubne, szanse na dobrą zabawę straciłybyśmy bezpowrotnie wraz z kluczami do drzwi wejściowych...

* * *

Zabawa odbywała się w najlepsze, była w pełni rozkwitu, gdy podejrzone odgłosy z przedpokoju skłoniły mnie do przyciszenia muzyki. Ktoś grzebał w zamku i najwyraźniej w świetle próbował dostać się do mieszkania.

— A cóż to, striptizera też zamówiłyście? — zapytała Beatka, odrywając się od prezentów.

— Właśnie nie — mruknęłam zaniepokojona. — Sprawdzę, co się dzieje.

Wstałam z fotela i na palcach podeszłam do przedpokoju. Dźwięk przybrał na sile i dotarło do mnie, że niewinne uwagi na temat włamywaczy, które słyszałam za plecami, mają dużą szansę stać się rzeczywistością. Cofnęłam się do kuchni i chwyciłam butelkę wina, która chyba tylko przez niedopatrzenie nie została jeszcze otwarta. Cicho wróciłam do przedpokoju i zgasiłam światło. Był to ostatni moment, gdyż w tej samej chwili niespodziewany gość poradził sobie z kluczami. Drzwi otworzyły się i do mieszkania wszedł wysoki facet. Czając się w przejściu do sypialni, podniosłam butelkę. Niech stracę, przemknęło mi przez myśl i ze złości, że ostatnie wino muszę zmarnować w tak niestosownym celu, zamierzyłam się na złoczyńcę. Jednocześnie domniemany włamywacz zapalił światło i dostrzegł moją przyczajoną sylwetkę. Skoczyłam na korytarz z wzniesioną wojowniczo butelką.

— Coś ty za jeden? — syknęłam, starając się wyglądać na tyle groźnie, na ile byłam w stanie, ubrana w suknię ślubną i z kłębami tiulu upiętymi na głowie.

Takiego widoku facet się chyba nie spodziewał, bo zbladł, oparł się o ścianę i spazmatycznie chwycił powietrze. Przez chwilę staliśmy naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem, przy czym jego wzrok był coraz bardziej przerażony. Gdy szlachetna bladeść na obliczu zaczęła nabierać podejrzanie sinych barw, zdołał wreszcie wykrztusić:

— Przepraszam, ja tylko przyszedłem nakarmić rybki!

Teraz ja patrzyłam osłupiała, jak zatrzaskuje drzwi wejściowe i znika w sypialni Darka. Rumor dochodzący ze środka pozwolił mi się domyślić, że napadłam i zapewne przeraziłam niewinnego, gdyż biedny facet niewątpliwie barykadował się od wewnątrz. Wzruszyłam ramionami i postanowiłam dowiedzieć się więcej, jak się uspokoi. Odwróciłam się, by wrócić do salonu i parsknęłam śmiechem. Na szybką poprawę samopoczucia naszego gościa szanse raczej były

niewielkie, zważywszy, że oprócz mnie dostrzegł znieczeka dwanaście innych wampirzyc w sukniach ślubnych, tkwiących w salonie i wgapionych w tę niezwykłą scenę.

— Co to było? — Karolinie nie dość było widoków, domagała się jeszcze wyjaśnień i przypisów.

— Skąd mam wiedzieć? — spytałam cierpko, gdy wróciłyśmy do salonu. — Wszedł, miał chyba klucze, bo sprawnie otworzył drzwi i twierdził, że chce nakarmić te cholerne rybki Darka.

— To ma sens — zastanowiła się Beata. — Schował się w odpowiednim pokoju. Z rybkami.

— Ja się nie zdziwię, jak się schował w akwarium — zachichotała Sylwia. — Darka akwarium duże, najwyżej trochę wody wychłapie...

— Nie zmieściłby się, widziałyście jaki wysoki — stwierdziłam krytycznie.

— A jednak szkoda, że nie striptizer — Karola najwyraźniej nastawiła się już na dodatkowe rozrywki. — Jak myślicie, może warto mu zaproponować?

Ogólna debata nad tożsamością i celem przybycia tajemniczego gościa trwała jeszcze kwadrans i przerwał ją on sam. Trzaśnięcie drzwiami i zgrzyt zamka oznajmiły, że misję karmienia rybek zakończono. Na dalsze atrakcje w wykonaniu nieznanego nie było co liczyć, więc nieco rozczarowane wróciłyśmy do zabawy.

Sprawa nie dawała mi spokoju, więc około północy wymknęłam się do sypialni z zamiarem wybrania numeru Dariusza. Jednak w chwili, gdy wygrzebałam z torebki komórkę, Darek zadzwonił do mnie sam.

— Ola, co wy tam wyprawiacie? — usłyszałam gniewne sapanie. — Łukasz omal zawału nie dostał!

— Łukasz... No właśnie, chciałabym się dowiedzieć, co to za Łukasz — odparowałam. — Od karmienia rybek czy jakaś niespodzianka? Bo jak niespodzianka, to z tortu powinien wyskoczyć, czy coś...

Cisza w słuchawce. Darek widocznie spodziewał się innej odpowiedzi.

— Łukasz rybki przyszedł nakarmić — odezwał się wreszcie niepewnie. — Ola, to ja ci nie mówiłem, że mój brat wpadnie do rybek?

— I stała się światłość! — zawołałam. — Nareszcie wiem, kto się włamał do domu. Wyjaśnij mi tylko, dlaczego on karmił rybki tu, skoro od ośmiu lat mieszka w Stanach. I dlaczego ma czarne włosy, skoro wszyscy w twojej rodzinie to blondyni?

Najwyraźniej Dariusz odbył z bratem długą, wyczerpującą rozmowę przez telefon i cierpliwości na kolejne wyjaśnienia mu zabrakło.

— Odmawiam zeznań — zakomunikował. — To nie temat na telefon. Jestem po ośmiogodzinnym szkoleniu i chcę się położyć. A sprawa mojego brata nadaje się bardziej na rozmowę w łazience.

Wobec takiej deklaracji odpuściłam drażnienie tematu. Jeszcze raz złożyłam

solenną obietnicę posprzątania mieszkania po imprezie i wróciłam do koleżanek.

Wieczór przeciągnął się do nieprzyzwoicie wczesnych godzin porannych i dopiero o czwartej trzydzieści zakończyłam pakowanie wesołej ekipy do taksówek. I choć alkohol dawno wywietrzył mi z głowy, myśl o przedziwnie czarnowłosym i przybywającym z Nowego Jorku w celu karmienia rybek bracie Darka gnębiła mnie zbyt mocno, by położyć się na kilka godzin i zebrać siły na sprzątanie. Ostatecznie za porządki zabrałam się natychmiast, co miało ten dobry skutek, że gdy o dziewiętnastej Darek pojawił się w domu, po czarnym suknie na ścianach nie było śladu, rozlany w łazience воск ze świeczek został już zeszkrobany, a w lodówce czekały posegregowane jadalne pozostałości imprezy. Szokujące widoki, na jakie natknął się Łukasz, zostały Dariuszowi oszczędzone, a wisząca w przedpokoju suknia ślubna nie wywarła na nim zbyt dużego wrażenia. W efekcie Darek poczęstował się kawałkiem tortu, wykapał się i dopiero wtedy przystąpił do budzenia świadka swojej narzeczonej, drzemającego słodko na kanapie z welonem w objęciach.

Lekkie tarposzenie za ramię zmusiło mnie do otwarcia oczu. Przez moment patrzyłam półprzytomna to na pochylonego nade mną Darka, to na zegarek, wskazujący godzinę dwudziestą piętnaście.

— Zgiń, przepadnij, maro nieczysta — wymamrotałam po chwili, bardziej pod adresem zegarka, jednak Darek poczuł się dotknięty.

— Jestem po kąpieli i mam czyste skarpetki, nie czepiaj się.

Powoli podźwignęłam się do pozycji siedzącej. Darek przyglądał mi się z zainteresowaniem.

— To kac? — zapytał po chwili.

— Nietolerancja organizmu na wino — sprostowałam z godnością.

Godność mi chyba nie wyszła, bo Darek parsknął śmiechem.

— Odwieźć cię do domu?

Propozycja była kusząca, jednak poprzez pulsujący ból głowy i mętne wrażenie zmęczenia nadal próbowały się przedrzeć wrodzona ciekawość i niechęć do spraw niewyjaśnionych. Wspomnienie dręczącej mnie od kilkunastu godzin postaci Łukasza szybko przywróciło mi trzeźwość i siły.

— Powiedz mi lepiej, co z tym twoim bratem — zażądałam i lekko chwiejnym krokiem udałam się do kuchni po kawałek ciasta. Wspólna nam obojgu namiętność do tortów z kremem rumowym sprawiła, że Darek podążył za mną. Ukroiłam dwa kawałki i skierowałam się do salonu. Włazłam na kanapę i otuliłam się kocem.

Darek popatrzył na mnie ciężkim wzrokiem.

— Oła, zlituj się. Chcę się rozpakować i zresetować umysł i ciało. Za pięć minut nie będzie mi się chciało cię odwozić. O Łukaszu pogadamy kiedy indziej.

Okrzyk protestu wyrwał mi się z gardła natychmiast.

— Darek, ty chyba żartujesz! Czy ty wiesz, co przeżyłam, jak obcy facet wpakował się w nocy do mieszkania? Należą mi się wyjaśnienia, jakaś rekompensata za stres! Trzeba było uprzedzić, że zaplanowałeś nam dodatkowe atrakcje! A do domu mogę pojechać taksówką.

Darek z westchnieniem rozpiął torbę podróżną i wyciągnął z niej kosmetyczkę.

— Mamy pół godziny do filmu, który chciałbym obejrzeć. Z Bradem Pittem — więc zakładam, że ty też byś chciała oglądać. Pomożesz mi się rozpakować, ja odpowiem na pytania, a potem uwalimy się na kanapę. Później już na pewno nie będzie mi się chciało cię odwozić, więc śpisz tutaj — zaproponował wspaniałomyślnie. — Może być?

Spodobała mi się ta perspektywa. Następne pół godziny spędziłam, włócząc się za Darkiem po mieszkaniu i poznając nieznaną mi dotychczas fakty z życia przyjaciela.

To, iż Darek posiada brata, tajemnicą tak naprawdę nie było. Sama jednak postać Łukasza stanowiła dla mnie zagadkę, gdyż wyjechał on za granicę zanim poznałam Dariusza. Wiedziałam, że był od Darka o rok młodszy, wyemigrował po studiach, w Polsce pojawiał się rzadko i choć często bywałam w domu państwa Nawrockich, ani razu nie miałam okazji poznać „brata-widmo”, jak ochrzciłyśmy z Beatką Łukasza. Ochrzciłyśmy, a potem zapomnieliśmy o jego istnieniu aż do wczorajszej nocy.

— Słuchaj, on naprawdę z tej Ameryki się teleportował, żeby nakarmić ci rybki? — zapytałam niepewnie, siedząc na krawędzi brodzika i patrząc, jak Darek upycha kosmetyki do szafki. — Tubkę od pasty masz dziurawą... Na miłość boską, poleciało na koszulę!

— Oj — zdziwił się Dariusz. — Jak się pakowałem, nie było dziury...

— Skoro wepchnąłeś pastę razem z nożyczkami do paznokci do kosmetyczki, to musiała się pojawić — pokiwałam głową z politowaniem.

— A gdzie miałem schować? — zirytował się Darek. — Masz głupie pomysły, a Łukasz to nie Harry Potter, żeby się umiał teleportować. Przybył drogą powietrzno-lądową, korzystając ze znanych ludzkości środków transportu.

— Żeby nakarmić rybki? — cel podróży i odległość nadal w moim mniemaniu mocno się z sobą kłóciły.

— Co ty z tymi rybkami, obsesję masz, dziewczyno. Przyjechał zamieszkać. Osiedlić się na ziemi ojczystej.

— To chyba niedawno — pochyliłam się, żeby podnieść skarpetki, które właśnie zostały wytrzepane z nogawek spodni wyciągniętych z torby.

— Dzięki, do pralki z tym — sapnął Darek, miotając się w poszukiwaniu proszku do prania. — Ola, coś ty tu za bajzel zrobiła?

Wzniosłam oczy do nieba i stanowczym gestem odsunęłam Darka od pralki.

— Nie bajzel, tylko porządek. Proszek masz w szafce pod umywalką, a czarnych skarpetek z jasną koszulą się nie pierze. Ożeń się wreszcie, bo ja cię do końca życia niańczyć nie będę.

— Taki mam zamiar — pouczył mnie Darek, ale zajął moje miejsce i pozwolił mi włączyć pralkę. — Co ty tam chciałaś wiedzieć? Kiedy przyjechał Łukasz? Jakoś miesiąc temu.

Miesiąc? Znieruchomiałam. Coś tu naprawdę nie pasowało i bynajmniej nie chodziło o teleportację.

— Jak to miesiąc? W ciągu miesiąca były urodziny twojego ojca, kolacja zaręczynowa, impreza z okazji awansu Beatki i coś tam jeszcze...

— Imieniny miałem — przypomniał Darek uprzejmie.

— Imieniny, właśnie — podchwyciłam. — Byłam na każdej z tych imprez i nie pamiętam, żeby twój brat się pokazał. Objawił się dopiero wczoraj.

— Bo wczoraj nie istniało niebezpieczeństwo, że natknie się na ojca — mruknął Darek. — Oni się tak jakby nie trawią.

Coś zaczynało się rozjaśniać, jednak do pełnego oświecenia wciąż wiele mi brakowało.

— Jakaś awantura? — zasugerowałam delikatnie.

— Awantura — przyznał Darek. — Z olbrzymią ilością fajerwerków. Temat tabu, zakazany i nieprzyjemny w każdym calu, dlatego więcej ani słowa nie powiem. Może Łukasz kiedyś ci wyjaśni.

— Nie mam rybek, więc raczej jest małe prawdopodobieństwo spotkania — nadałam się. — Na twój ślub pewnie nie przyjdzie, bo ojca z listy gości nie wykreślił.

Temat najwyraźniej naprawdę był ciężki, gdyż Darek zasapał gniewnie w odpowiedzi. Wypchnął mnie z łazienki, potruchtał do salonu i włączył telewizję. Liczył, że film i obecność Brada Pitta na ekranie wystarczająco mnie zainteresują. Zainteresowały. Na półtorej godziny odpuściłam temat.

Jednak natrętnymi pytaniami poruszyłam wrażliwą strunę, gdyż kiedy mościłam się do snu na kanapie, Darek, zamiast udać się do sypialni, zastygł jak posąg z ręką na klamce.

— Długo tak jeszcze? — wymamrotałam. — Idź sobie albo przynajmniej zgaś światło.

— Dobra, już dobra, ulatniam się... — z westchnieniem wyszedł z pokoju, by natychmiast wsadzić głowę z powrotem.

— Ola...

Podniosłam rękę z poduszką, kierując ją w stronę drzwi.

— Ola, na jutro zaplanowałam naradę bojową z mamą i Beatą, żeby faktycznie pomyśleć, jak to rozegrać bez użycia ciężkiej artylerii.

— Wojna na tort jest ciekawszym rozwiązaniem — zgodziłam się przez

coraz bardziej ogarniający mnie sen.

— Olka, jutro na siedemnastą. Zależy mi, żebyś przyszła.

Z jękiem zerwałam się z kanapy.

— Ale ja nie jestem twoją mamą, babcią, Beatką ani cioteczną kuzynką ze strony ojca! — wrzasnęłam. — Może ja się po prostu do końca weekendu od ciebie nie ruszę! Wygodnie mi tu, nie uśmiechają mi się pielgrzymki tam i z powrotem!

— Dobry pomysł — ucieszył się Darek i uspokoiony perspektywami na przyszłość ewakuował się do sypialni, skąd po niedługim czasie dobiegł mnie odgłos potężnego chrapania.

Zacisnęłam zęby i wsadziłam głowę pod poduszkę, myśląc z ulgą, że chrapanie i rzucanie się Darka przez sen to nie mój problem. Niech sobie radzi Beata.

* * *

Następnego dnia rano udałam się na zakupy, obdarowana przez Darka licznymi błogosławieństwami oraz sporą ilością gotówki, gdyż mój przyjaciel posiadał dosyć godności, by nie wykorzystywać mnie finansowo. Postanowił ograniczyć się do wykorzystania kulinarnego. Ledwo wstałam, uszczęśliwił mnie przypaloną jajecznicą na bekonie i uśmiechając się z wdziękiem pięciolatka, stwierdził, że trudne rozmowy najlepiej prowadzi się przy stole, zaś jego talenty w tej dziedzinie gwarantują porażkę. Zazgrzytałam zębami, zażądałam podania liczby zaproszonych osób i zaproponowałam menu w postaci łososa w cieście francuskim. Następnie wysłałam Darka do cukierni, a sama po dokonaniu zakupów zamknęłam się w kuchni. Kiedy Darek udawał się po mamę i Beatę, stół był już zastawiony, a w piekarniku dopiekał się łosoś. Wykorzystałam pół godziny świętego spokoju na przysznic i wróciłam do kuchni, by nadzorować jakość pracy nowego piekarnika.

Gwar, jaki rozległ się w przedpokoju, wywabił mnie z kuchni bardzo szybko. Wyszłam zaintrygowana faktem, że cztery spokojne osoby i jeden narwany gospodarz robią aż tyle hałasu. Szybki rzut oka wystarczył, by przekonać się, że albo Dariusz ma problem z matematyką, albo goście dokonali cudownego rozmnożenia. W korytarzu kłębiło się bowiem osiem osób, przepychając się wzajemnie w ciasnym przejściu, wydając okrzyki radości i posykując z bólu na okoliczność podeptanych stóp. Darek próbował odbierać płaszcze, ustawiać buty i generalnie pełnić honory domu, przy czym już na początku zaczęło brakować mu rąk i pomysłu, jak towarzystwo ogarnąć. „Jeszcze tydzień”, pomyślałam z rozpaczą i rzuciłam się przyjacielowi na pomoc.

Wtedy zorientowałam się, że popełniłam błąd. Rozentuzjasmowane grono natychmiast porwało mnie w objęcia i zaczęło wyrывать sobie nawzajem. Było to w pełni usprawiedliwione, gdyż szybko okazało się, że kłębiący się w przedpokoju

tłum składał się z ludzi dobrze mi znanych i lubianych. Oprócz zapowiedzianych Beatki i mamy Darka pojawili się również seniorzy rodu oraz kolega z pracy, Piotrek, który wraz ze mną koordynował działania na ślubnym froncie. Nie bardzo wiedziałam, czemu Darek zataił przede mną ilość członków narady, jednak z praktycznego punktu widzenia obecność każdej z tych osób była jak najbardziej uzasadniona.

Wyściskawszy każdego z osobna, a niektórych nawet po dwa razy, wydarłam się z objęć i wycofałam do kuchni, żartując, że teraz muszę z równą czułością potraktować łososia w piekarniku. Dariusz ogarnął wreszcie towarzystwo i posadził przy stole. Po chwili z obłędem w oczach wpadł do kuchni.

— Dwie kawy zbożowe, chyba cztery zwykłe, dla babci Janeczki herbata...

— Dla mnie sok ananasowy i litr wódki — uzupełniłam zamówienie. — Czemu mi nie powiedziałaś, że tyle osób będzie? Tego łososia nie starczy.

— Są jeszcze ślimaczki z tortilli i sałatka, nie marudź — syknął Darek. — Ciasta kupiłem więcej, a mama upiekła sernik.

— Masz rację — byłam w ugodowym nastroju. — Ostatecznie usmażenie twoich rybek też nie zajmie dużo czasu.

Darek łypnął groźnie i wyszedł z pierwszą partią napojów. Gdy wynosił drugą, powędrowałam za nim, niosąc tacę z przekąskami.

Z zadowoleniem stwierdziłam, że narada powinna potoczyć się pomyślnie, zważając na entuzjazm, z jakim towarzystwo odniosło się do zawartości naczyń na stole. Atmosfera nie sprzyjała jednak snuciu planów wojennych. Ponieważ ostatnio w tak sympatycznym gronie widzieliśmy się na urodzinach taty Darka, poruszane tematy koncentrowały się na sukni ślubnej Beatki, sukniach pozostałych pań, planach przeprowadzki i nowinkach ze świata cygar, które Piotrek sprzedawał obu żywo zainteresowanym dziadkom. Jako jednostka niepaląca skupiłam się raczej na dyskusjach dotyczących makijażu Beaty.

— Makijaż robi mi Ola — upierała się Beatka, odrzucając kolejne reklamy salonów kosmetycznych. — To już postanowione.

Wsparłam Beatę skinieniem głowy.

— Na ósmą jesteśmy umówione z fryzjerką — wyjaśniłam. — Beatka będzie czesana w domu, więc będzie mi wygodniej. Najpierw fryzura i paznokcie, potem makijaż. Mamy już wypróbowany, pasuje idealnie.

— Coś czuję, że bez Oli ten ślub by się nie odbył — zażartowała pani Eliza. — Mojego syna też będziesz robiła na bóstwo?

— Musiałabym się rozdziwić — mruknęłam. — Przeszedł już odpowiedni trening. Będę potrzebna tylko do wiązania krawata. Mam nadzieję...

— Oleńko, a kiedy ty się zajmiesz własnym ślubem? — na babcię Janeczkę można było liczyć w tym temacie niezawodnie.

Na takie okazje posiadałam wprawdzie całkiem pokaźny arsenał pokrętnych

wymówek i tłumaczeń, jednak sięgałam po nie bardzo niechętnie. Co z tego, że były skuteczne, jeżeli równie skutecznie przypominały mi, że skoro w ogóle są potrzebne, to znaczy, że z moim życiem prywatnym jest coś mocno niedobrze?

— Mamo... — na szczęście pani Eliza aż nazbyt dobrze знаła moje podejście do planów matrymonialnych.

— Najpierw ich muszę związać węzłem małżeńskim — uśmiechnęłam się wymijająco. — I sprawdzić, jak idą zaślubiny łososia z ciastem francuskim.

Tak, jak przewidywałam, hasło „łosoś” szybko odwróciło uwagę od niewygodnego tematu. Piekarnik był już wprawdzie wyłączony i ryzyko spalenia rybki tudzież wysadzenia mieszkania w powietrze nam nie zagrażało, zależało mi jednak na chwilowym ulotnieniu się z pokoju.

Szybko okazało się, że ulotnił się ktoś jeszcze.

Wchodziłam właśnie do kuchni, gdy poczułam zaciskające się na ramieniu palce. Prowadzona silnym chwytem wykonałam półobrót i znalazłam się w łazience. Razem ze mną znalazł się tam Darek.

— No, z pralki głównego dania nie wyciągnę — powiedziałam niezadowolona. — Szparagami w twoich skarpetkach ich nie uraczę.

— Są szparagi? — zainteresował się Dariusz.

— Przywlokłeś mnie tu, żeby pogadać o szparagach? — syknęłam. — Ciesz się, że są, bo tego tłumu jednym łososiem nie zatkam.

— Oła, zabijesz mnie. Nie mamy jeszcze kompletu.

Spojrzałam na Darka przerażona.

— Jak to nie ma kompletu? Jeszcze trochę i będę zasuwać do domu po zapasową zastawę i krzesła! To jest jakaś gigantyczna impreza integracyjna, czy co?

— Nie, no tak źle nie jest — próbował uspokoić mnie Darek. — Jeszcze jedna sztuka.

— Że niby kto? — warknęłam i zamarłam, gdyż uchylone drzwi do łazienki właśnie się otworzyły i stanął w nich ostatni z oczekiwanych gości.

— O Chryste, przepraszam — wytchnął spłoszony Łukasz i natychmiast cofnął się na korytarz. — Chciałem się przywitać.

— No, to już mamy wszystkich — ucieszył się Darek. — Oła, chyba się już znacie, ale dokonam oficjalnej prezentacji. Mój brat, Łukasz. A to Aleksandra, z którą zawarłem braterstwo krwi — zachichotał. — Nasza ślubna koordynatorka, przyjaciółka i wysłanniczka opatrności w przypadku każdych problemów.

— No, to się wyjaśniło, dlaczego tak broniała mieszkania przed włamaniem — uśmiechnął się Łukasz.

Na wspomnienie butelki wina, której omal nie rozwaliłam mu na głowie, zrobiło mi się gorąco. Wprawdzie agresja wobec potencjalnego włamywacza wydawała się w pełni uzasadniona, jednak chyba wypadaloby jakoś się

wytłumaczyć...

— Darek zapomniał mnie wtajemniczyć — bąknęłam. — Gdybym wiedziała, nie zaryzykowałabym rozwalenia ci na głowie ostatniej butelki wina.

— Całe szczęście znalazła inne zastosowanie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

— To teraz zapraszam na łososia — zaproponował wspaniałomyślnie Darek.

— Rozumiem, że go pokroisz i przyniesiesz — parsknęłam, uwalniając rękę z silnej, chłodnej dłoni Łukasza i czym prędzej zostawiłam panów samych. Gdy po kilku minutach wróciłam do salonu, Łukasz z Darkiem siedzieli przy stole.

Wbrew moim przypuszczeniom atmosfera wcale nie siadła z powodu pojawienia się ostatniego z gości. W mojej karmionej sensacyjnymi historiami wyobraźni zakorzeniło się przekonanie, że skoro na horyzoncie pojawia się wielka rodzinna awantura, względnie konflikt kilku jednostek, przybycie owych jednostek powinno wywołać konsternację, znaczące westchnienia lub co najmniej nerwowe milczenie. Tymczasem jedynymi osobami, które czuły się nieco nieswojo z powodu obecności Łukasza, byłam ja i Beata. Żadna z nas nie miała okazji poznać go wcześniej, jednak bardziej możliwą przyczyną pojawienia się naszych mieszanych uczuć był pamiętny wieczór panieński.

Czterogodzinna narada zgodnie z moimi nieśmiałyimi przeczuciami aż do końca miała charakter imprezy integracyjnej. Kwestii zasadniczych nie poruszono. Zdegustowana zerkałam w stronę Łukasza, który od chwili przybycia stał się w męskim gronie niekwestionowaną gwiazdą wieczoru, błyszcząc dowcipem i fachową wiedzą w zakresie motoryzacji. Z jeszcze większym niesmakiem zerkałam na Darka, który najpierw roztoczył przede mną mroczne wizje jeszcze bardziej mrocznego charakteru brata, teraz zaś doskonale bawił się w jego towarzystwie, zapominając o wciskanych mi dzień wcześniej bajeczkach na temat czarnych owiec i stada upiornych rodzinnych tajemnic.

Nade wszystko jednak intrygował mnie fakt, że cała impreza najprawdopodobniej została skrętnie zatajona przed panem Antonim. Czyżby konsekwencje próby integracji ojca z młodszym synem mogły przybrać aż tak okrutny i ociekający krwią charakter?

Uczestnicząc z roztargnieniem w damskiej debacie na temat weselnego menu, przeżuwałam dręczące mnie wątpliwości z coraz mniejszą nadzieją na szybkie uzyskanie jakiegokolwiek odpowiedzi. Bardzo wątpiłam, by z Darka udało się wycisnąć jakiegokolwiek konkret. Z żalem pożegnałam także głupi pomysł, by podpytać panią Elizę lub pana Antoniego. Nie miałam ochoty rozgrzebywać rodzinnych brudów Nawrockich i ryzykować utraty sympatii i zaufania z powodu własnego wścibstwa. Ani sprowokowania awantury, która, nie daj Boże, zepsuje ślub Darkowi i Beacie. Pozostawało siedzieć cicho i mieć nadzieję, że w najbliższym czasie wyleje się samo.

Po skończonej imprezie troskę o doprowadzenie mieszkania do ładu pozostawiłam Beacie, która i tak coraz więcej czasu spędzała w swoim przyszłym królestwie. Ja do własnego chciałam wreszcie dotrzeć. Odczekałam cierpliwie rozwożenie gości honorowych i załapałam się na ostatni kurs „Darek Taxi”. Było po dwudziestej drugiej, gdy wsiedliśmy do auta.

Dopiero teraz zdecydowałam się zwerbalizować swoje wątpliwości.

— Szczerze mówiąc, nie wiem, czy coś wynikło z tej imprezy — stwierdziłam.

— Jak to, wszyscy dobrze się bawili — Darek spojrzał na mnie zaskoczony.

— No tak, racja. I wiem, że dobrze przyprawiłam rybę — zgodziłam się. — Ale jak pogodzić obecność Łukasza i waszego ojca na ślubie? Nie mówiąc o tym, że ja nadal nie wiem, co ich poróżniło.

— Czyżbyś nie znalazła okazji, żeby wyciągnąć z Łukasza intymne zwierzenia?

— Nie znalazłam w sobie nawet odwagi, żeby z nim pogadać — mruknęłam. — Głupio mi, nigdy nikogo nie zaatakowałam butelką od wina. Zresztą w ogóle tak jakoś... Twój brat mnie ogólnie onieśmiela. Nie wiem czemu. Nie wiem, co o nim myślę — poskarżyłam się. — Pierwszy raz w życiu poznałam kogoś, o kim nie wiem, co myślę. Irytujące.

— Ale nie zaskakujące — westchnął Darek. — Mój brat tak ma. Nikt nie wie do końca, co o nim myśleć. Przepraszam, matka wie. Ja go nigdy nie rozgryzłem.

— Brzmi jak wyzwanie...

Darek zaparkował pod moim blokiem, jednak zamiast mnie wysadzić, zgasił silnik i spojrzał na mnie uważnie.

— Aleksandro, wolałbym, żebyś jednak nie podejmowała tego wyzwania.

— Twój brat też jest bliski zaobrączkowania? — spytałam niechętnie. — Nie zdziwiłabym się.

— Nie, z nikim się nie spotyka — wyjaśnił Darek i skrzywił się, słysząc westchnienie ulgi w moim wykonaniu. — Ale wolę, żeby z tobą się tym bardziej nie spotykał. On... nie do końca się nadaje do spotykania.

To zabrzmiało interesująco...

— Nie zauważyłam defektów, jest całkiem przystojny. Poza tym, że brunet. Nadal nie wiem, czemu on taki czarny.

— Czarna owca — mruknął Darek. — Wiem, że jest przystojny, chodzi mi raczej o defekty, hm, charakterologiczne. Nie jakieś straszliwe odchyły, ale dla ciebie absolutnie się nie nadaje i to tylko dla twojego dobra.

Co za klątwa jakaś... Z trudem stłumiłam cisnący się na usta komentarz, że to by nie była żadna nowość. Ostatecznie do takich właśnie facetów, kompletnie nienadających się dla mnie, miałam szczęście. Bardzo wątpliwe szczęście...

— Tak, mamusiu — wydułem usta w grymasie. — Dariuszu, mało mnie wtajemniczasz, za mało. Nadal nic nie wiem, a to co mówisz, zachęca do dokonywania odkryć.

— Dokonuj sobie, czego chcesz — machnął Darek z rezygnacją. — Tylko żeby to się nie skończyło płaczem. Jutro po pracy jadę odebrać obrączki z Beatką, więc w domu będę późno, ale zadzwoń, jak coś głupiego strzeli ci do głowy.

— Nie martw się, powiadomię cię o swoich głupich pomysłach — obiecałam, wysiadając z auta. — Choć nie wiem, jakie by miały być. Nie wiem, gdzie Łukasz mieszka, nie mam numeru telefonu ani innych koniecznych danych.

— I chwała Bogu — westchnął Darek i odpalił samochód.

Pomachałam mu na pożegnanie i wróciłam do mieszkania. Zaparzyłam herbatę i postanowiłam wziąć prysznic. Dopiero leżąc w miękkim szlafroku w łóżku i analizując rozmowę z Darkiem, zorientowałam się, że na kciuku mojej lewej ręki widać bladą obrączkę nieopalonej skóry. Szerokiego pierścionka, który nosiłam od piętnastu lat, nie było. Gdzie, do diabła, mogłam go zgubić? Zapewne gdzieś u Darka... Sprzątałam, gotowałam, zmywałam gary... Do każdej z tych czynności zdejmując pierścionki i bransoletkę. Przekładana w pośpiechu z miejsca na miejsce biżuteria mogła się łatwo zawieruszyć, a zaabsorbowana zorganizowanymi przez Dareczka zajęciami zwyczajnie nie zauważyłam, że czegoś mi brakuje. Na wszelki wypadek przetrząsnęłam torebkę i kieszenie spodni, a przed położeniem się do łóżka napisałam jeszcze do Beatki z prośbą o sprawdzenie podłogi w łazience, zanim następnego dnia włączy odkurzacz.

* * *

Tydzień dzielący nas od wielkiej uroczystości upłynął zdecydowanie zbyt szybko i do ostatniej chwili pozostawił mnie w przeświadczeniu, że o czymś ważnym zapomniałam. Być może brak pewności zrodził się z braku ulubionego pierścionka, który nosiłam od lat i uważałam za rodzaj amuletu. Puste miejsce na palcu irytowało mnie i rozpraszało niewymownie, w przeciwieństwie do Beaty, która podczas zakładania sukni ślubnej wyznała, że gdyby nie poszukiwania mojej zguby, już dawno oszalałaby ze zdenerwowania. Po odebraniu wiadomości natychmiast rzuciła się w wir poszukiwań, przekopła całe mieszkanie, starannie przejrzała zawartość worka w odkurzaczu i każdą wolną chwilę poświęcała pełzaniu z latarką po podłodze w łazience. Wzruszona takim zaangażowaniem, tym bardziej złościłam się własnym rozkojarzeniem. Nic dziwnego, że gdy wreszcie wypchnęłam Beatkę i jej ojca z zakrystii i rączym galopem przemknęłam boczną nawą na swoje miejsce, serce waliło mi jak oszalałe. Emocje wzięły górę nad rozsądkiem. Na widok pary najlepszych przyjaciół, których osobiście wyswatałam i doprowadziłam do ołtarza, łzy napłynęły mi do oczu. „Pierwszy raz w życiu ryczę na ślubie”, pomyślałam z niezadowoleniem i by oderwać się od mazgajstwa,

skupiłam wzrok na Beacie, chcąc jak najdłużej napawać się widokiem prześlicznej tego dnia, wzruszonej przyjaciółki.

Beatka ubrana była w dopasowaną suknię z gorsetem, na którym mieniły się kryształki Swarovskiego. Identyczne kryształki wpięłyśmy w jej długie, splecione w fantazyjny, luźny warkocz kasztanowe włosy. Zrezygnowała z biżuterii, z wyjątkiem mojej delikatnej bransoletki z cyrkoniami, wybranej jako przysłowiowe „coś pożyczonego”. Założyła też stare kolczyki z cyrkoniami, które dostała od Darka na urodziny. Jako niebieski dodatek wystąpił pierścionek zaręczynowy z szafirkiem. Z zadowoleniem pomyślałam, że udało się nam skompletować wszystkie akcesoria przynoszące szczęście. Na wszelki wypadek pana młodego uszczęśliwiłyśmy błękitnym krawatem. Przeciwno bladoniebieskim skarpetkom Darek stanowczo zaprotestował.

Patrząc na Darka i Beatkę czułam, jak rozpiera mnie duma, że udało mi się zorganizować dla nich ślub, który pogodził odmienne poglądy obojga narzeczonych co do przebiegu uroczystości. Bez nadmiernej pompy i z umiarkowaną liczbą gości, za czym gorąco optował Dariusz, jednak pełen emocji i wzbogacony elementami bardzo osobistymi i bliskimi młodej parze, był jedynym ślubem, na jakim czułam się swobodnie. Zapatrzona we wzruszone twarze Beatki i Darka, wsłuchana w śpiew zaproszonej sopranistki z opery, czułam jednak uwierający lekko niedosyt. Otaczając młodą parę troskliwą opieką od początku znajomości aż do połączenia świętym węzłem małżeńskim, miałam nadzieję, że rozdzieliwszy role pozostałym członkom ich rodzin w dniu ślubu, choć przez chwilę przestanę czuć się przygnieciona ciężarem odpowiedzialności za szczęście nowożeńców. „Może czas najwyższy zadbać o własne”, przemknęła mi przez głowę sugestia babci Janeczki. Natychmiast otrząsnęłam się z niechęcią i znów pograżyłam się w kontemplacji przebiegu uroczystości, niepewna, czy po całym włożonym w przygotowania wysiłku nie powinnam dociągnąć sprawy do końca, wyręczając ojca Beatki w prowadzeniu córki do ołtarza. No tak, ale w takim przypadku jednocześnie należało czekać razem z Dariuszem w charakterze drużby, przez co Piotrek siedziałby teraz w ławce obok swojej żony, wyczekując chwili wyjścia z kościoła, by dyskretnie mnie zamordować. Pomijając podwójną rolę w kościele, mogłabym pewnie jeszcze tkwić w hotelowej restauracji, pilnując realizacji własnych dyspozycji odnośnie rozsądzenia gości i nadzorować sprzątanie sypialni nowożeńców. Ilość pomysłów, czego jeszcze mogłabym w tej chwili dopilnować, szybko doprowadziła mnie do wniosku, że w takim razie należało rozpocząć proces tworzenia odpowiedniej liczby klonów kilka miesięcy temu, co lekko mnie orzeźwiło.

Przytomność umysłu wróciła mi we właściwej chwili, gdyż poproszony o obrączki Piotrek w wielkim przejęciu, zamiast sięgnąć do kieszeni, zaczął ściągać z palca własną.

— Kieszeń — syknęłam, dyskretnie pokazując właściwe miejsce pobytu obrączek. Poczekałam, aż zestresowany drużba wydobędzie ozdobne pudełeczko i rozejrzałam się po kościele, próbując się zorientować, czy ktoś poza mną dostrzegł gafę.

Wpadka Piotra została zauważona chyba jedynie przez Ewkę, jego żonę, która zasłaniała usta, próbując się nie roześmiać. Surowy i przenikliwy zazwyczaj wzrok ojca Darka tym razem z dumą spoczywał na pierworodnym. Siedząca obok pani Eliza uśmiechała się delikatnie, pozornie spokojna i opanowana, jednak gnieciona w dłoniach chusteczka zdradzała silne emocje. Nasz wzrok spotkał się na chwilę i obie uśmiechnęłyśmy się porozumiewawczo. Od początku znajomości rozumiałyśmy się bez słów i przez krótki moment pomyślałam, że choć z Darkiem byliśmy jak rodzeństwo, dla takiej teściowej jak pani Eliza może należało postarać się o odrobinę chemii...

Z rodzicami Beatki nie byłam tak zaprzyjaźniona, nie znałam ich też za dobrze. W okresie zasmarkanego dzieciństwa zdążyła nawiązać się między nami nic życzliwości i sympatii, która uległa jednak znacznemu rozluźnieniu, gdy siostra Beaty z rozmachem zdemolowała mój jedyny jak dotąd przytyłek chęci do zawarcia związku małżeńskiego, odbijając mi ówczesnego narzeczonego tuż po zaręczynach. Z Konradem pożegnałam się bez większego żalu, wychodząc z słusznego założenia, że za wiarołomcą nie ma co tęsknić, jednak całą złość i całe rozczarowanie przelałam na samą instytucję małżeństwa, rezygnując z każdego dobrze zapowiadającego się związku, gdy tylko pojawiała się najmniejsza nawet groźba oświadczyn. Z wściekłością na Izę poradziłam sobie, uszczęśliwiając ją informacją o aktualnych podrywach Konrada, który z rozrywkowego trybu życia nie zrezygnował. Ostatecznie na dzisiejszej uroczystości pojawiła się z nowym fatygantem i mocnym postanowieniem ignorowania mojej osoby, choć kiepsko jej to wychodziło. Rzucane w moim kierunku ponure spojrzenia kipiały od niechęci, zwłaszcza że bardzo zależało jej na roli świadka Beatki. Problem polegał na tym, że świadoma popełnionego przez siostrę świństwa, Beatka trzymała moją stronę. W rezultacie przestałam bywać w rodzinnym domu przyjaciółki i utrzymywać kontakt z jej rodzicami. Patrzyłam na nich dziś jak na pozostałych gości, obojętnie, zadowolona z czytanego w oczach podziwu dla sposobu zorganizowania uroczystości. W głębi duszy wiedziałam, że nie na ich uznaniu mi zależy. Oprócz Beaty i Darka to pan Antoni i pani Eliza byli osobami, których nie chciałam zawieść.

Poza najbliższą rodziną pojawiło się niewielkie grono przyjaciół, z którymi związani byliśmy od czasu studiów. Zauważyłam kilka osób z pracy, w tym naszego szefa, który pomógł mi znaleźć mały, romantyczny hotelik w Alpach, idealny na podróż poślubną. W jednej z dalszych ławek dostrzegłam moją mamę, serdecznie zaprzyjaźnioną z panią Elizą. Zupełnie z tyłu mignęła mi znajoma,

szczupła twarz i czarne, zbyt czarne w rodzinie Darka włosy. Więc jednak Łukasz przyszedł na ślub brata.

W przeciwieństwie do Krzysztofa, którego na próżno wypatrywałam wśród zaproszonych gości. I choć kilka minut po dwunastej odebrałam sms-a z informacją, że stan zwany kacem uniemożliwi mu przybycie na ślub, tuż przed końcem uroczystości nadal gryzłam nerwowo wargi, z nadzieją, że przy odpowiedniej dawce farmaceutyków i silnej woli Krzysztof pojawi się u mego boku chociaż na chwilę. Którego z czynników zabrakło, nie miałam pojęcia. Nie obraziłam się śmiertelnie i na wieki wieków, bo sama na taki scenariusz wyraziłam zgodę. A i do roboty miałam coś innego, niż płakać rzewnymi łzami nad własnym brakiem konsekwencji. Postanowiłam złość i rozczarowanie upchnąć głęboko w torebce, zwłaszcza, że druga część sms-a obiecywała rekompensatę w postaci wieczoru-niespodzianki w najbliższym tygodniu. Przyjęłam obietnicę za dobrą monetę i zwiedziona po raz kolejny babską naiwnością, odpuściłam dąsy. Jak pokazała przyszłość, niesłusznie.

Gdy przy dźwiękach marsza weselnego państwo młodzi opuszczali kościół, dyskretnie przemknęłam do ostatniej ławki.

— Myślałam, że nie przyjdiesz — szepnęłam, siadając obok Łukasza.

— Ja też. Nie powinnaś nadzorować sypania ryżem?

— Od ryżu jest wasza mama i Piotrek — wyjaśniłam. — Zostaniesz na weselu?

— Nie — padła krótka, stanowcza odpowiedź.

Niecne plany upicia Łukasza i ułatwienia sobie dokonywania zabronionych przez Darka odkryć spaliły na panewce.

— W takim razie musimy zacząć się przepychać do wyjścia, bo nie zdążysz złożyć życzeń — powiedziałam rozczarowana. — Posypiesz sobie chociaż ryżem, mam jeszcze jeden woreczek.

Łukasz parsknął śmiechem.

— Zaczekaj, niech te tabuny przelecą. Właściwie przyszedłem tu też z twojego powodu.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

— Chciałem oddać twoją własność — wyjaśnił, wyciągając z kieszeni marynarki srebrny pierścionek. — Darek znalazł i zapomniał ci zwrócić. Dostałem dziś rano na przechowanie i uznałem, że sam załatwię temat, zanim Dareczka po raz kolejny trafi ciężki atak amnezji.

Z niedowierzaniem patrzyłam na dłoń Łukasza, w której błyszczał mój pierścionek z markazytami. W to, że Darek wolał oddać go na przechowanie komuś mniej roztargnionemu, uwierzyłam bez zastrzeżeń, choć w głębi umysłu mignęło mi nieprzyjemne zdziwienie, że skoro Daro dał dziś rano mój pierścionek swojemu bratu, wiedział, że Łukasz na ślub jednak przyjdzie. I ani słowem się na

ten temat nie zająknął... A że nie przekazał mojej zguby nikomu innemu... Cóż, znając przyjaciela, mogłam przewidzieć, że wykorzysta w tym celu pierwszą lepszą osobę, którą będzie miał pod ręką, zamiast poprosić matkę albo Beatę. I tak cud, że nawinął się akurat Łukasz, a nie, na przykład, kościelny.

Na razie byłam jednak zbyt zaabsorbowana uroczystością, by czepiać się kręcenia za moimi plecami i obiecałam sobie zmyć Dariuszowi łeb w bardziej stosownych okolicznościach. Najważniejsze, że miałam ulubiony pierścionek z powrotem.

— Dziękuję. Pomyśleć, że Beatka przewróciła całe mieszkanie do góry nogami, szukając go — szepnęłam.

Wyciągnęłam rękę, by wziąć od Łukasza pierścionek i z niezadowoleniem stwierdziłam, że nie bardzo mam jak. W jednej dłoni trzymałam torebkę, którą dyskretnie podała mi Beatka, by łatwiej przyjmować kwiaty, i misternie ułożony ślubny bukiet, druga zaś była dłonią, na której nosiłam pierścionek, więc raczej trudno byłoby mi jednocześnie odebrać ozdobę i ją założyć. Rozpoczęłam zatem skomplikowane machinacje, by przełożyć bukiet i torebkę do drugiej ręki tak, by ich nie uszkodzić, jednak Łukasz szybko je przerwał.

— Na ten palec? — zapytał tonem raczej twierdzącym i włożył mi pierścionek.

— Dziękuję — wymamrotałam, gdyż chłodny dotyk szczupłej, bladej dłoni Łukasza sprawił, że zrobiło mi się gorąco. Nie tylko dlatego, że zielonkawce oczy Łukasza przez chwilę patrzyły prosto w moje, a ja tonęłam w głębi kłębiących się w ich barwie myśli, nie potrafiąc odczytać ani jednej. Jednocześnie dotarło do mnie, że pozwoliłam obcemu mężczyźnie włożyć na palec pierścionek, choć nawet zaręczając się z Konradem, robiłam to sama. Metal na palcu, dający zawsze przyjemne poczucie ciepła, tym razem wręcz palił skórę.

— Chodź, najwyższy czas ustawić się w kolejce — Łukasz wstał i delikatnie pociągnął mnie za sobą.

Wyszliśmy z pustego już prawie kościoła. Chciałam jeszcze przez chwilę zostać z Łukaszem, jednak gdy przeciskaliśmy się wśród gości, Darek dyskretnie przytrzymał mnie za rękę.

— Gdzieś ty zniknęła?

— Łukasz przyszedł, rozmawialiśmy przez chwilę — szepnęłam, zajmując miejsce obok Beaty. — Mogłeś powiedzieć, że będzie...

— Nie mogłem, bo wiedziałem, że zaczniesz knuć — padła krótka odpowiedź.

— Ale mój pierścionek mu dałeś na przechowanie — burknęłam, obrażona posądzeniami o skłonność do knucia. Nawet, jeżeli były uzasadnione.

— Bo ja ci go oddawałem od tygodnia i sama widzisz, z jakim skutkiem — zirytował się Daro. — Dziś też bym zapomniał, gwarantuję. Masz pierścionek?

Masz. Więc nie marudź. Pomożesz mamie z kwiatami?

Poszukałam wzrokiem pani Elizy, która próbowała zmieścić odebrane do tej pory od gości kwiaty w samochodzie, i ruszyłam w jej kierunku. Rozejrzałam się jeszcze szybko w poszukiwaniu Łukasza. Składał życzenia młodej parze.

— Widziałam się z Łukaszem — szepnęłam do pani Elizy. — Próbowałam go namówić, żeby został na weselu, ale się nie zgodził.

Pani Eliza natychmiast oderwała się od kwiatów.

— Gdzie go widziałas?

— Siedział z tyłu w kościele — wyjaśniłam. — Przed chwilą składał życzenia Beatce i Darkowi — spojrzałam w kierunku nowożeńców, jednak nie dostrzegłam już Łukasza. — Nie wiedziała pani, że przyjdzie?

— Wiedziałam, że nie przyjdzie — pani Eliza nadal rozglądała się nerwowo. — Oleńka, zaczekaj chwilę, poukładaj proszę te kwiaty.

Zajęłam się kolejnymi bukietami, zerkając kątem oka, jak pani Eliza odchodzi na bok i wyciąga z torebki telefon. Przez krótką chwilę dyskutowała z kimś zawzięcie. Kiedy się rozłączyła, dostrzegłam na jej twarzy wyraz rozczarowania i przykrości. Aż za dobrze domyślałam się, że kim rozmawiała.

Poza przybyciem niespodziewanego gościa uroczystość przebiegła zgodnie z planem i kiedy kilka minut po północy odwiozłam Darka i Beatkę na lotnisko, wsadziłam w samolot i pomachałam ręką, życząc szczęśliwej podróży, uznałam, że moje zadanie zostało wykonane. Wróciłam do domu, pozostawiając troskę o rozbawione towarzystwo rodzicom państwa młodych. Mi pozostała jeszcze troska o nieszczęsne rybki Darka i roślinność, która dzięki botanicznym zamiłowaniom Beatki opanowała mieszkanie.

Opieka nad mieszkaniem Dareczka nie stanowiła problemu, gdyż znajdowało się ono na mojej trasie do pracy. Nie miałam powodów, by każdego dnia spieszyć się szaleńczo do domu. Wręcz przeciwnie, w ostatnim czasie jakoś na pośpiechu przestało mi zależeć. Większość czasu i tak spędzałam u Darka lub Beatki. Klucze — jako wysłanniczka Bożej opatrności — dostałam własne. Wiadomo było, że w przypadku pożaru, potopu w postaci wychłapanej przez zbuntowane rybki wody lub inwazji zmutowanych biedronek będę pierwszą osobą, która pojawi się na miejscu katastrofy. Dawno już zaakceptowałam ten fakt i przestałam się dziwić, dlaczego w razie kłopotów Darek dzwoni do mnie zamiast, na przykład, do elektryka. Beatka była jednostką bardziej zaradną i zorganizowaną, zakładałam jednak, że zmiana przyzwyczajzeń będzie u Dariusza przebiegała wieloetapowo. Zmobilizowałam zatem cierpliwość i zaplanowałam odpowiednio kolejne dwa tygodnie. Na kompletny luz pozwoliłam sobie jedynie w niedzielę, odsypiając stres i zmęczenie związane z połączeniem węzłem małżeńskim przyjaciół.

* * *

W poniedziałek do pracy wybrałam się wcześniej. Nasz fitness klub przez kilka kolejnych dni miał być zamknięty, głównie z uwagi na konieczność wyremontowania szatni, o której Darek przypomniał sobie kilka dni przed ślubem. Wyjeżdżając, uszczęśliwił mnie również opieką nad swoim stanowiskiem pracy. Sytuacja nie pozostawiała wątpliwości — wizję nadgodzin, by klub jak najszybciej mógł ruszyć, łagodziła perspektywa wprowadzenia pewnych udogodnień i modyfikacji, które nie do końca były zgodne z oczekiwaniami Darka. Ponieważ jednak go nie było...

Do auta wsiadłam o godzinie siódmej i ruszyłam w stronę osiedla, na którym mieszkała Oliwka, również instruktorka i również zwolenniczka zmian, jakie pod nieobecność Darka zamierzałyśmy wprowadzić. Zazwyczaj Oliwia jeździła do pracy z mężem, tym razem jednak, ze względu na wcześniejszą godzinę, umówiłyśmy się, że pojedzie ze mną. Miałam na nią czekać o siódmej trzydzieści, była siódma piętnaście. Zaparkowałam niedaleko pętli tramwajowej i wygrzebałam z torby termos z kawą. Sięgnęłam po telefon i już miałam dzwonić do Oliwii, kiedy przed oczami przemknęło mi znajome auto. Czarny citroen wykonał gwałtowny zwrot i wylądował w zatoczce tuż obok przystanku. Siedzący w środku Krzysztof pogwizdywał nerwowo, wypatrując kogoś wśród wysiadających z tramwaju.

Zgrzytnęłam zębami i lekko wycofałam auto, by skryć się za pobliską myjnią samochodową. Jednocześnie obserwowałam swojego partnera i sytuację na przystanku. Po chwili zgrzytnęłam jeszcze mocniej. Z tłumu kłębiących się przy tramwaju ludzi wyłoniła się czarnowłosa kobieta. „Czarnowłosa, z chudymi, krzywymi nogami i wielką szparą między zębami”, uzupełniłam w myślach mało życzliwy, ale obiektywny portret. Podbiegła do citroena i wsiadła do środka. Po chwili Krzysztof, jego zniechęcona przeze mnie koleżanka podobno z pracy i czarny citroen zniknęli, a ja zostałam na parkingu za myjnią ze szczękościskiem i ponurymi refleksjami na temat perspektyw własnego zamążpójścia.

— Coś się stało? — spytała zaniepokojona Oliwia, wsiadając do auta, bo choć samochód mojego chłopaka z wredną flumą oddalił się już znacznie, nadal wpatrywałam się w zatoczkę przy przystanku z mało życzliwym wyrazem twarzy.

— Święta Agnieszka od wożenia tyłka — burknęłam wściekła. — Miał przestać ją wozić, kiedy zrobi się ładna pogoda. Zima skończyła się prawie pół roku temu.

— Na twoim miejscu kazałabym mu ją wywalić z auta bez względu na śniegi i mrozy — wzruszyła ramionami Oliwka. — Ile to już trwa?

— Rok. Nie wiem, czy nie dłużej. Nie chce jej wywalić, bo ona podobno ma problemy zdrowotne. Uparł się, że nie tylko ja mam prawo być nadopiecznia wobec znajomych...

Dyskusja na spędzający sen z powiek temat nie wpłynęła pozytywnie na

moje nastawienie do świata. Aż do chwili zaparkowania przed klubem próbowałam zająć umysł rozplanowaniem dnia i przydzieleniem zadań pozostałym współpracownikom. Niestety sukces odniosłam tylko pozornie. Kiedy wysiadłyśmy z auta, nogi trzęsły mi się ze zdenerwowania i miałam spory problem z trafieniem w odpowiedni guziczek pilota od samochodu. Oliwka bez słowa przeczekwała twórcze manipulacje zmierzające do zamknięcia auta.

Kiedy weszliśmy do klubu, ekipy remontowej jeszcze nie było. Byli za to Marcin, Kubuś i Małgosia z recepcji. Najstarsi, najbardziej zaufani pracownicy, zatrudnieni w klubie od początku jego istnienia. Nie widziałam potrzeby ściągania młodszych stażem. I tak to my decydowaliśmy o wszystkich istotnych i drobnych kwestiach dotyczących działania klubu.

Przywitałam się szybko i pognałam na zaplecze, gdzie w małej kuchence w lodówce stał wielki słoik miodu gryczanego. Słoik ten był moją własnością i przytargałam go do pracy w okresie, kiedy jednocześnie trzy osoby zapadły na rozmaite schorzenia, od grypy żołądkowej poczynając, a na ciąży kończąc, i zmuszona byłam przejąć dodatkowe zajęcia. Kiedy po czterech zajęciach spinningu pod rząd zwlekałam się z rowerka, słoik był najskuteczniejszym źródłem energii i pozwolił mi przetrwać ciężkie dwa tygodnie. Gdy sytuacja wróciła do normy, nie był już tak bardzo potrzebny, przyzwyczyłam się jednak do myśli, że posiadam zapasowe źródło mocy i ostatecznie zostawiłam miód w pracy.

Teraz moc była mi bardzo potrzebna i z ulgą dopadłam do słoika. Zanim jednak udało mi się wydłubać choć łyżeczkę słodkiego uspokajacza, wrzask z damskiej szatni zdążył oderwać mnie od źródła. Z łyżeczką w zębach wypadłam z kuchenki.

Wrzeszczała Małgosia, której zleciłam dopilnowanie, by damska szatnia została wyposażona w porządne suszarki do włosów, dwie wagi elektroniczne i oświetlenie nad lustrami. To oświetlenie od kilku miesięcy stanowiło kość niezgody pomiędzy mną a Darkiem, który nie widział najmniejszej potrzeby instalowania dodatkowego źródła światła. Mnie początkowo zależało na nim ze względu na nieśmiałe uwagi klientek, jednak gdy pewnego dnia wyszłam z szatni po pracy z każdym okiem inaczej pomalowanym, problem zaczął interesować mnie osobiście. Ponieważ tylko kobieta była w stanie stwierdzić, do jakiego stopnia należy zwiększyć oświetlenie, od kilku dni Małgosia krążyła po sklepach, wybierając odpowiednie lampy. Z zakupem trafiła w dziesiątkę, pozostawał jeszcze problem rozmieszczenia ich nad lustrami i do tego byłam jej natychmiast potrzebna.

— Po bokach, obok wnęki — rzuciłam krótko, patrząc na wiszącą na drabince Małgosię, która próbowała dopasować miejsce zainstalowania lampek.

— Jak po bokach, to środek będzie słabo oświetlony — upierała się Gosia.

— No to na środek jeszcze jedną. Problem z głowy.

— Niby tak, ale i pieniądze z kieszeni — wymamrotała Małgosia. — Nie ma tylu lampek, a jak kupię dodatkowe, to nie wiem, czym zapłacimy elektrykowi. Ja bym je dała po bokach, ale tak 50 centymetrów od wnętrza.

— No i brawo, skoro masz pomysł, to czemu zawracasz głowę? — zirytowałam się.

— Bo jak Darek wróci, to zabije mnie razem z tobą — mruknęła. — Nie chcę umierać w samotności.

Rozeźlona wypadłam z szatni i wróciłam na zaplecze, skąd wywołano mnie po kilku sekundach do szatni, tym razem męskiej. Krótko i aż nazbyt treściwie wyjaśniłam ekipie remontowej zakres prac związanych z kanalizacją i wiecznym zatykaniem odpływu w umywalkach. Na straży pozostawiłam Kubusia i poleciałam odebrać telefon od Darka, który wykorzystał poranną wizytę Beatki w hotelowym spa, by skontrolować postępy prac.

— Jakie postępy, na miłość boską? — wrzasnęłam w słuchawkę. — Faceci od remontu dopiero przyszli, jest poniedziałek, dziewiąta rano, jakie ty chcesz postępy widzieć?

— Jakies muszą być, bo jesteś już nieźle podminowana — westchnął Darek. — Co, rozwalili ścianę między szatniami? Czy poszła kanalizacja?

— Jeszcze nic się nie stało — burknęłam, lecz nie zdążyłam rozwinąć myśli, gdyż z szatni dobiegł niepokojący łomot. — No to może jednak się stało... — westchnęłam. — Idę sprawdzić, kogo zabić i za co. Zadzwoń wieczorem. Cześć!

Zgodnie z przewidywaniami Darka ściana łącząca obie szatnie jednak pogoła. Stwierdziłam ten fakt ponad wszelką wątpliwość, gdy ze słóikiem miodu pod pachą, łyżeczką w zębach i telefonem w wolnej dłoni dotarłam na miejsce.

— Ja mówiłem, że ta ściana jest delikatna — zaczął Kubuś, jednak na widok mojej miny natychmiast zamilkł. Zwróciłam wściekłe spojrzenie na faceta z wiertarką, którego dziełem była podziwiana przeze mnie destrukcja.

— Naprawi pan to z własnej kieszeni — poinformowałam go tonem mało przyjaznym. — Tylko niech ta ściana będzie teraz bardziej odporna na, hm, wstrząsy.

— Ola, bunkra nie możemy postawić...

— Jak dla mnie może być rozbudowany system fortyfikacji! — ryknęłam i opuściłam szatnię. Normalnie dla lepszego efektu trzasnęłabym jeszcze drzwiami, jednak w tej chwili drzwi stały sobie w kantorku trenerów, zabezpieczone grubą warstwą folii przed ewentualnym upadkiem lub efektami mojej furii. Pomna własnej decyzji o ich chwilowym wymontowaniu, wzięłam głęboki oddech i postanowiłam wyżyć się na folii bąbelkowej, która walała się w hurtowych ilościach pod ladą recepcji.

Zwiększona ilość decybeli pobrzmiwająca w moim głosie zdopingowała wreszcie towarzystwo, które dziarsko zabrało się do pracy. Ponieważ równie

dziarsko nadzorowałam wszelakie poczynania, wieczorem ścianka między szatniami była gotowa do gipsowania, modyfikacje w zakresie elektryki były zakończone, a zawartość miodu w moim słoiku zmniejszyła się o połowę.

— To jakieś magiczne źródło mocy? — spytała Oliwia, gdy wsiadałyśmy do auta.

Zaaferowana kwestiami kanalizacji nie zauważyłam, że nadal trzymam w zębach łyżkę, a pod pachą słoik.

— Ta... Szkoda tylko, że na wyczerpaniu — westchnęłam. — Na doładowanie będę musiała poczekać, aż moja ciotka zmotywuje pszczoły w ogródkowej pasiece...

Wracając do domu, wysadziłam Oliwkę pod blokiem. Po raz kolejny mignął nam przed oczami czarny citroen.

— Ty, to chyba twój facet — zauważyła Oliwia, śledząc wzrokiem samochód Krzysztofa. — Ale chyba nie w tym kierunku... I nie sam. Znowu.

W odpowiedzi zazgrzytałam zębami. Pożegnałam się z przyjaciółką i z piskiem opon ruszyłam do domu.

Wyścig na osiedlowym parkingu z kierowcą żółtej corsy do upatrzonego miejsca pomógł mi nieco wyładować złość, przynajmniej na tyle, że wchodząc do mieszkania łupnęłam drzwiami z umiarkowanym impetem. Poszłam do kuchni, by odstawić resztki źródła mocy i łyżeczkę, gdy w kieszeni zabrzączał mi telefon.

Spóźnię się kilka minut. Bilety zarezerwowałem na 20.00

Spojrzałam na zegarek. Osiemnasta trzydzieści. Miał podjechać pół godziny temu i naprawić cieknący prysznic.

„O nie, kochanie, już się spóźniłeś”, syknęłam, jeszcze raz czytając wiadomość. Starannie zasłoniłam rolety, ściągnęłam zakurzone ubranie i poszłam pod prysznic. Uprzednio wyciszyłam telefon, a po chwili namysłu wyłączyłam go zupełnie, postanawiając korzystać z uroków dużo wprawdzie mniejszego, ale bardziej w tej sytuacji komfortowego kina domowego.

* * *

Rano telefon darł się jak opętany. Zraniona męska duma domagała się wyjaśnień od godziny szóstej. Przez kilka minut usiłowałam ignorować upiorne urządzenie, wciskając głowę pod poduszkę i nakrywając kołdrą, jednak o szóstej dwanaście skapitulowałam.

— Śpię — poinformowałam Krzysztofa, zanim zdążył się odezwać. — Przeszkadzasz.

— Byliśmy na wczoraj umówieni do kina! Przyjechałem po ciebie, a ciebie nie było!

Wywalając język i robiąc głupie miny, wysłuchałam do końca żalów i pretensji. No jakżeż śmiałam zburzyć misterny plan wyjścia do kina, znikając z

domu nie wiadomo gdzie i na jak długo?!

— Nic nie wiedziałam o żadnym kinie — zełgałam, kiedy Krzysztof zrobił przerwę na zaczerpnięcie oddechu. — Miałeś być o szóstej, nie przyjechałeś, więc uznałam, że kino nieaktualne. Zwłaszcza, że wracając z pracy widziałam, jak zmierzasz w innym kierunku — dodałam kąśliwie.

W słuchawce na krótką chwilę zapanowała cisza.

— Miałem coś do załatwienia — padła wreszcie dyplomatyczna odpowiedź.

— Nie coś, tylko odwiezienie pani Agnieszki — sprecyzowałam zimno.

Krzysztof postanowił nie kręcić.

— Wiesz, że ona mieszka poza Poznaniem, dojeżdża pociągiem. Jak nie zdąży, to na kolejny musi czekać ponad godzinę.

— A co mnie to obchodzi? — wybuchłam. — Miałeś ją odwozić rano i wiedziałeś, że nie podoba mi się ten pomysł. Za moimi plecami odwozisz ją również popołudniami! Przez to spóźniasz się na spotkania ze mną, nie naprawiłeś mi wczoraj prysznic, choć od tygodnia o to proszę i wysiadujesz w pracy po godzinach, żeby ją zabrać! Bo, zdaje się, właśnie taki jest powód twoich wiecznych nadgodzin! Ale na szczęście pani Agnieszka nie spóźnia się na pociąg! A ja od wszystkich znajomych słyszę, że powinnam uważać, bo widują was razem stanowczo zbyt często! I jeszcze się do cholery dziwisz, że olałam ciebie i to całe kino wczoraj?!

— Ty chyba nienormalna jesteś — usłyszałam w słuchawce i wreszcie mnie zatchnęło w obliczu takiej bezczelności. Nie udało mi się wyartykułować odpowiednio ciętej riposty, gdyż po wyrażeniu opinii na temat stanu mojego umysłu Krzysztof się rozłączył.

Rozżalona usiadłam w kuchni, jednak nie mogłam zmusić się do przygotowania śniadania. Spędzanie czasu z Krzysztofem w ostatnim okresie zdecydowanie zbyt często odbierało mi apetyt, nawet jeżeli miało formę tylko rozmowy telefonicznej.

Bez śniadania i większych chęci do życia ubrałam się i postanowiłam wyjść wcześniej, by przed pracą na chwilę zajrzeć do rybek Darka i Beatki.

Gdy podjechałam pod blok, ze zdumieniem stwierdziłam, że moje ulubione miejsce parkingowe zajmuje pies. Robił to bardzo skutecznie, leżąc na asfalcie i opierając się przednimi łapami o krawężnik. Zaparkowałam kawałek dalej i postanowiłam przyjrzeć się zwierzęciu.

Pomimo sporych rozmiarów i z daleka groźnego wyglądu młody amstaff z życzliwym zainteresowaniem podniósł łeb, kiedy do niego podeszłam. Wyglądał na zadbanego i dobrze odżywionego, lecz brak obroży nie bardzo mi się spodobał. Rozejrzałam się, szukając kogoś, kto niósłby smycz, jednak bezskutecznie. Wobec braku właścicieli na horyzoncie ruszyłam do klatki schodowej, w której mieszkał Darek, by podpytać sąsiadów. Niestety ci, którzy byli uprzejmi otworzyć mi drzwi

o godzinie siódmej trzydzieści, nic o psie nie wiedzieli. Pozostawienie zagubionego zwierzęcia stało w sprzeczności z moim charakterem, zadzwoniłam zatem do Oliwii, że dziś po nią nie podjadę, i delikatnym wołaniem spróbowałam zachęcić psa do opuszczenia miejsca parkingowego. Zwierzak okazał się towarzyski. Dostrzegłszy zainteresowanie ze strony ludzkiej jednostki, natychmiast się podniósł i podreptał za mną do pobliskiego parku.

Usiadłam na ławce i wyciągnęłam telefon, by wybrać numer straży miejskiej. Zgłosiłam znalezienie bezpańskiego psa i obiecałam poczekać na funkcjonariuszy. Zgodnie z informacją od pani przyjmującej zgłoszenie powinni pojawić się za dwadzieścia minut. Postanowiłam poświęcić ten czas psu, który najwyraźniej uznał, że warto się ze mną zaprzyjaźnić. Zanim zdążyłam się obejrzeć, stał przede mną z kawałkiem kija w pysku.

Dwadzieścia minut, które upłynęły od mojego telefonu do przyjazdu strażników, minęło zadziwiająco szybko i bardzo sympatycznie. Tego samego zdania był widocznie pies, który po zaaportowaniu kija, piłeczki zaimprovizowanej ze zgniecionych gazet, wygrzebanych z auta, i kluczyków, rzuconych przeze mnie w przyпіływie szaleńczego entuzjazmu, położył mi się na stopach i merdał ogonem. Z dużym żalem pokiwałam ręką do wysiadających z auta strażników.

Państwo, którzy do mnie podeszli, wyglądali na życzliwych i kompetentnych. Po krótkim przywitaniu i przedstawieniu sytuacji moja opinia o nich nie była już taka wspaniała.

— Co my właściwie mamy z tym psem zrobić? — wysłuchawszy informacji o znalezionym przeze mnie psie, młody strażnik z zakłopotaniem podrapał się w głowę.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

— Pan żartuje... — zaczęłam, jednak facet na dowcipnisię nie wyglądał. — Najlepiej podjechać do weterynarza, żeby sprawdził, czy pies jest zaczipowany, i skontaktować się z właścicielem. A jak nie będzie czipa, to odwieźć do schroniska — dodałam, bo nie sprawiali wrażenia przekonanych.

— Sprawa nie jest taka prosta — usłyszałam w odpowiedzi. — Ten pies wygląda na agresywnego.

Odruchowo spojrzałam na agresywnego psa, który podniósł łeb i z uśmiechniętą mordą przysłuchiwał się naszej konwersacji. Agresja emanowała z niego z takim samym natężeniem, jak ze mnie przekonanie o kompetencji strażników.

— No tak — wykrztusiłam w końcu. — Reaguje na wołanie, świetnie aportuje i lubi być głaskany — wyliczyłam. — Gdzieś tu pan widzi agresję?

Dyskusja wokół piętrzących się trudności coraz bardziej podnosiła mi ciśnienie. Nie doszukawszy się symptomów agresji, państwo nie mogli również

doszukać się kliniki weterynaryjnej w okolicy. Doszukali się za to licznych problemów związanych z wsadzeniem psa do samochodu i przyjęciem go do schroniska. Coraz bardziej poirytowana odebrałam milczącej pani smycz, wsadziłam psa do auta, zamknęłam drzwi i wytłumaczyłam, jak dojechać do oddalonej o pięć minut drogi kliniki. Obiecałam również uprzedzić telefonicznie weterynarza o wizycie, zostawiłam na wszelki wypadek numer telefonu i pokiwałam na pożegnanie sympatycznej psiej mordzie, z którą rozstawałam się ze szczerym żalem. Kiedy w końcu spojrzałam na zegarek, stwierdziłam, że czasu dla rybek Darka za dużo mi już nie zostało. Galopem udałam się do mieszkania, by nasypać im pokarmu i przy okazji podlać też kwiatki. Po kwadransie zdyszana wsiadłam do auta, aby udać się do pracy, jednak w momencie gdy zdejmowałam blokadę, zadzwonił telefon.

— Zaraz będę! — krzyknęłam, przekonana, że za chwilę otrzymam kolejny meldunek o zawałonej ścianie lub innej katastrofie dokonującej się w pracy pod moją nieobecność, jednak głos w słuchawce brzmiał obco. Przeprosiłam i wysłuchałam, w jakiej to sprawie obcy ludzie niepokoją mnie od rana.

Dzwonili strażnicy, z którymi zawarłam znajomość godzinę wcześniej. Informacja, jakiej mi udzielili, sprawiła, że ręce opadły mi całkowicie.

Tuż pod kliniką pies im uciekł...

— Jak to uciekł? — zawołałam. — Wsadziłam go do auta, miał smycz, mieliście go tylko przeprowadzić z parkingu do kliniki, to jest 100 metrów! Jakim cudem wam uciekł na tak krótkim odcinku?

— Właściwie to uciekł przy wysiadaniu... — usłyszałam i zawyłam. Przerwałam strażniczce, która mętnie próbowała mi wyjaśnić, co się właściwie stało.

— Już jadę! — warknęłam i z piskiem opon wystartowałam w kierunku kliniki.

Po kilku minutach z jeszcze większym piskiem zahamowałam na parkingu, z trudem powstrzymując się przed rozjechaniem stojących bezradnie obok wozu strażników.

— Gdzie ten pies? — wrzasnęłam, trzaskając drzwiami auta. — Dlaczego go nie szukacie?

— Skoczył gdzieś w krzaki... — młody strażnik powtórzył znany mi już i opanowany do perfekcji gest zakłopotanego drapania się po głowie.

Rozejrzałam się z rozpaczą. Nieważne, w którą stronę spojrzałam, wszędzie rosły jakieś krzaki.

— Tu są tylko krzaki! W które uciekł, do cholery?

Flegmatyczna strażniczka odzyskała głos.

— To był pies niebezpiecznej rasy. Wie pani, że musieliśmy wezwać pomoc...

Przed oczyma stanął mi obraz uśmiechniętej, rozanielonej aportowaniem zwiniętych gazet mordy. Wściekłość, którą do tej pory próbowałam hamować, wybuchła z całą siłą.

— Skoro ten pies jest taki agresywny, to rozumiem, że zostawiła go pani celowo, żeby nie pogryzł was, tylko jakiś bezbronnych przechodniów! — wrzasnęłam. — Aż dziw, że z auta krew się nie leje strumieniami, bo na pewno próbował odgryźć komuś głowę! To powiedzcie mi, do cholery, jakim cudem bawiłam się z nim w parku przez pół godziny i obyło się bez ofiar śmiertelnych?!

Im głośniej wrzeszczałam, tym więcej gapiów zatrzymywało się przed kliniką, patrząc z osłupieniem na strażników i ryczącą na nich z furią wariatkę. Zaaferowana wrzaskami nie zauważyłam, że jeden z nich najpierw przygląda mi się uważnie, a potem zbliża się do parkingu. Tymczasem przechodzień zatrzymał się w pobliżu i przysłuchiwał się moim rykom, czekając na moment, kiedy będę musiała zaczerpnąć powietrza.

— Dzień dobry, Aleksandro, jakiś problem?

Zdumiona bezczelnością gapia, przestałam się drzeć na strażników, którzy z wdzięcznością spojrzeli na obcego faceta. Zaraz, zaraz, czy on taki aby do końca obcy? Głos był mi znany, jemu zaś znane było moje imię. Raczyłam się zainteresować tożsamością intruza.

Tuż przede mną stał Łukasz i zaintrygowany przyglądał się naszej grupce.

— Cześć — mruknęłam. — Mamy tu mały problem natury psiej.

— Pani znalazła niebezpiecznego psa, zawiadomiła nas, ale pies niestety... oddalił się — uzupełnił moje wyjaśnienia strażnik, natychmiast podnosząc mi jeszcze bardziej ciśnienie.

— Zwiął wam! — wrzasnęłam. — Potrąci go samochód! Ktoś mu zrobi krzywdę! Zdechnie z głodu!

W miarę jak przed moimi oczyma przetaczały się coraz bardziej dramatyczne scenariusze losu zgubionego amstaffa, głośniej i dobitniej wyrażałam niepochlebłą opinię na temat funkcjonariuszy. Łukasz bynajmniej nie przestał przyznawać się do znajomości ze mną. Stał obok, początkowo poważny i żywo zainteresowany losem zwierzęcia. Z czasem jednak w jego zachowaniu zaczęły zachodzić istotne zmiany. Najpierw zakrył ręką oczy i opuścił głowę, by po chwili przenieść dłoń na usta. Gdy okazało się, że nie jest w stanie opanować dziwnych drgawek w okolicy pleców, odwrócił się gwałtownie i odszedł kilka kroków.

Zajęta wrzeszczeniem na strażników, nie zwracałam na niego zbytnej uwagi, dlatego kiedy ponownie do nas podszedł i zaczął coś mówić, machnęłam ręką, jakbym oganiała się od natrętnej muchy.

Łukasz nie dawał za wygraną.

— Oła, proszę cię...

— Nie przeszkadzaj — syknęłam. — Próbuję wyjaśnić państwu, że

kompletnie schrzanili zadanie, którego się podjęli!

— Ola, właśnie też mi chodzi o psa — marudził nadal Łukasz.

Nie wytrzymałam i odwróciłam się do niego, wściekła, z pianą na ustach, gotowa do popełnienia okrutnego mordu.

— Jakiego psa? — ryknęłam. — O jakim psie mi trujesz?

Łukasz na kilka sekund zastygł z wyrazem kompletnego osłupienia na twarzy. Potem zaczął się głośno śmiać.

Wreszcie uspokoił się na tyle, by wyjaśnić powód swojej wesołości.

— No przecież chodzi o psa, uciekł pies? Ten na trawniku znakomicie pasuje do rysopisu — machnął ręką w kierunku pobliskiego kawałka trawki.

Natychmiast porzuciłam swoje ofiary i przystąpiłam do próby identyfikacji zwierzęcia.

To był on, wszystko się zgadzało, łącznie z krzywo przyklapniętym prawym uchem, które natychmiast rozpoznałam. Nader swobodny i nonszalancki sposób bycia również był na miejscu. Niewiele psów z równą fantazją i polotem obsikiwałoby tabliczkę surowo wzbraniającą wstępu czworonogom.

Na tak manifestacyjny akt pogardy wobec panujących zasad strażnicy zareagowali natychmiast.

— Tam psów nie wolno wpuszczać — pouczyła z niewiadomych przyczyn akurat mnie flegmatyczna strażniczka.

Do Łukasza wreszcie dotarł powód mojej antypatii.

— Zakaz sikania pod tabliczką nie został zwerbalizowany — mruknął i dodał nieco głośniejszym głosem — Przecież ta pani psa tu nie wpuściła. Sam wlaźł.

— Wlepi mu pani mandat? — zainteresowałam się.

Nie zważając na tę falę krytyki i lekceważenia, strażnicy podjęli ostatnią próbę odzyskania autorytetu. Z niepewnymi minami podeszli do psa, jeden z nich dzierżył w dłoni wygrzebaną z wozu smycz. Winowajca zakończył bezczeszczenie terenu pod tabliczką. Z zainteresowaniem powąchał stróżów prawa, bez protestu pozwolił założyć sobie smycz i najwyraźniej sposobiał się do spaceru dłuższego niż przez parking do kliniki weterynaryjnej. Dopiero pod wpływem próby zmiany kierunku okazał lekkie niezadowolenie.

Wściekły warkot, który rozległ się na małym parkingu, sprawił, że zarówno strażnicy, jak i Łukasz wzdrygnęli się nerwowo i spojrzeli w kierunku psa. Po czym natychmiast zmienili kierunek patrzenia, gdyż pies, owszem, wrzucił wsteczny bieg, jednak zachowywał się cicho.

Z trudem stłumiłam warkot narastający mi w gardle i chęć pogryzienia kilku osób — z trudem, gdyż pomimo licznych sugestii ze strony ojca nigdy nie zaszczepiono mnie przeciwko wściekliwości. Stanowczym ruchem przejęłam smycz.

— Wiecie państwo, jednak sama zajmę się pieskiem — powiedziałam mało życzliwie. — Zmarnowaliście półtorej godziny, psa złapałam wam dwa razy i

trzeci raz już tego robić nie będę.

Moja postawa widocznie przypadła do gustu zwierzakowi, gdyż bez oporu podążył za mną. Pochód zamykał Łukasz, który z niewiadomych przyczyn postanowił nam potowarzyszyć.

Wizyta w klinice ujawniła brak czipa, kleszczy, pcheł i ogólnie całkiem niezły stan zdrowia czworonoga, który bez oporu poddał się badaniom.

— Co teraz? — zapytał Łukasz po wyjściu z budynku. Przysiedliśmy w trójkę na krawężniku.

— Teraz powinnam zadzwonić i sprawdzić, czy moje miejsce pracy nadal istnieje. Zostawiałam ten remontowy bajzel na tyle czasu, że zastanawiam się, czy po powrocie nie zastanę przypadkiem płonących zgliszczy — wymamrotałam i pokrótce wtajemniczyłam Łukasza w ogrom kataklizmu, jaki zważył mi na głowę jego brat.

— Dobra, jedź, ratuj, co zostało do uratowania.

— Na razie muszę uratować psa — stwierdziłam z niesmakiem. — Nie mam pomysłu, co z nim zrobić, bo do schroniska na pewno go nie oddam. Fundacji przyjmujących amstaffy z otwartymi ramionami nie ma za dużo. Chyba na razie zamieszkać z nim w parku...

Łukasz, który jak dotąd przymykał na moje dziwactwa oko, spojrzał na mnie jak na wariatkę.

— Żartuję — uspokoiłam go. — Muszę go gdzieś przechować, a wieczorem wydrukuję ulotki z informacją i zostawię gdzieś w okolicach kliniki. Może ktoś zadzwoni.

Plan był dobry i nieskomplikowany, pozostawało jednak małe „ale” — moja kompletna ignorancja w zakresie psiej psychologii. Moje mieszkanie do dużych nie należało i zdemolowanie go przez trzydziestokilowe monstrum nie byłoby trudne. Gdzieś tam czytałam, że zostawianie dużego psa w ciasnym mieszkaniu na dłuższy czas grozi zawałem serca po powrocie do domu, względnie wątpliwościami, czy trafiło się pod właściwy adres...

Na szczęście Łukasz szybko rozwiązał problem.

— Miałem kiedyś psa, dam sobie z nim radę — oświadczył, widząc moje wahanie.

Stłumiłam westchnienie ulgi. Intrygowała mnie tylko jedna rzecz.

— Ale będziesz miał czas? — spytałam. — Zakładam, że posiadasz pewne zobowiązania zawodowe...

— Posiadam, ale ze względu na przeprowadzkę do Polski szef dał mi trochę wolnego. Mam jeszcze tydzień urlopu.

Ciekawość jest podobno pierwszym stopniem do piekła, ale do wiedzy też. A trzeba przyznać, że w tym przypadku niedostatek wiedzy nieznośnie mi przeszkadzał. W końcu muszę coś wiedzieć o człowieku, któremu oddaję pod

opiekę niewinne zwierzę...

— A potem? — wyrwało mi się.

— No wróć do pracy — Łukasz spojrział na mnie zaskoczony. — Zakładam, że do tego czasu problem się rozwiąże... Zrobię mu zdjęcia i wyślę ci mailem, żebyś miała do tych ulotek.

Nieco tylko zdezorientowana posłusznie podyktowałam Łukaszowi mój adres mailowy. Z rozpędu podałam też telefon. Pożegnaliśmy się i wsiadłam do auta, patrząc, jak Łukasz z tymczasowym nabytkiem oddala się w kierunku parku. Obaj wyglądali na bardzo zadowolonych i przez krótką chwilę mętnie pomyślałam, że można by im pomóc przekształcić tę tymczasową relację w bliski związek człowieka ze zwierzęciem. Szybkie spojrzenie na zegarek natychmiast mnie orzeźwiło. Między siódmą trzydzieści a dziesiątą na polu bitwy mogło wydarzyć się wszystko.

Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu prace budowlane postępowały sprawnie, a wizyta szefa w godzinach popołudniowych utwierdziła mnie w przekonaniu, że zmiany zadowolą zarówno klientów, jak i personel. Przestałam martwić się perspektywą burczenia w wykonaniu Darka i zaparzyłam kawę dla umęczonych współpracowników.

Tym razem ze stanu beztroski wyrwał mnie Kubuś, który od kilku minut przyglądał mi się z okrytej folią bieżni.

— Ola, kiedy mam wpaść naprawić ten twój prysznic?

W pierwszej chwili nie bardzo zrozumiałam pytanie, ostatecznie posiadałam osobnika, który miał to zadanie wykonać. No tak, ale wykonywał je od dłuższego czasu i bez zbytniego powodzenia, przez co w przyływie rozpacz poprosiłam kiedyś o pomoc Jakuba.

— Kiedy będziesz miał czas, nie mam wielkich planów na ten tydzień — mruknęłam.

— A Krzysiek nie będzie miał nic przeciwko? — wołał upewnić się Kubuś.

— Krzyśka niech szlag trafi — burknęłam z goryczą. — Krzysiek poczeka, aż mi mieszkanie zaleje, a potem będzie mi wmawiał, że bardzo dobrze, bo mam bezpłatny basen.

Wobec mojej wypowiedzi i przezierającego z niej stanu ducha zespół umilkł, głównie dlatego, że chwile takiego przygnębienia rzadko mi się zdarzały.

Kubuś nie drażył tematu.

— Kasia jutro idzie na jakąś babską imprezę, to podjadę — zadeklarował po chwili.

W milczeniu dopiliśmy kawę i zaczęliśmy się zbierać do wyjścia. Razem z Oliwką ruszyłam do samochodu, który przy odpalaniu zarzęził dłużej niż zwykle.

— Cholera — powiedziała przygnębiona.

— Jakoś mocno się psuje? — Oliwka spojrzała na mnie zaniepokojona.

— Od kilku dni ma fanaberie przy odpalaniu — wyjaśniłam. — Czasem załapie od razu, czasem najpierw się krztusi. Przez ten ślub Darka nie było mi po drodze do mechanika. Dziś zadzwonię i zobaczymy. W ramach rozgrzewki będę skutecznie spacerować przed pracą i po niej.

— Dlaczego? — zdziwiła się Oliwia. — Masz przecież pod ręką takiego jednego, który uwielbia robić za szofera. Niech cię podwozi.

Spojrzałam na nią z powątpiewaniem.

— Przecież on jeździ z tą mendą. I niechętnie z tego zrezygnuje, bo ona mu chyba płaci za paliwo.

— No przepraszam, jego kobieta ma problem z autem — oburzyła się Oliwka. — Pogadaj z nim, będziesz wiedziała, na czym stoisz. Masz niepowtarzalną okazję wywalić ją z tego auta.

Pomysł wydał mi się mało realny, jednak po telefonie do mechanika postanowiłam spróbować. Auto miałam odstawić do warsztatu pojutrze, nic nie stało na przeszkodzie, by poprosić Krzysia o pomoc.

— Oczywiście, nie ma problemu — zgodził się Krzysztof wspaniałomyślnie, kiedy wyjaśniłam przez telefon, w czym rzecz. — W czwartek podjadę z tobą do warsztatu i odwożę cię do pracy, a potem powiesz, o której cię odebrać.

— Pewnie po siedemnastej — rzuciłam. — Klub w tym tygodniu będzie zamknięty, nie mam ustalonego grafiku.

Przez chwilę pokonwersowaliśmy sobie na tematy neutralne i umówiliśmy się na czwartkowy poranek. Od wspólnego spędzania czasu wyłgałam się dość łatwo zaplanowaną na środę wizytą hydraulika, co Krzysztof powitał z dużym entuzjazmem, bo oznaczało to, że nie będzie musiał się brudzić ani moczyć. Rozłączyłam się, potwierdziłam termin spotkania z Kubą i otworzyłam skrzynkę mailową.

Łukasz okazał się być zdolnym fotografem i przez dłuższą chwilę z rozbawieniem oglądałam zdjęcia wesołej mrody z wywalonym językiem. Jej właściciel pozował wdzięcznie na czarnej skórzanej kanapie.

Oprócz zdjęć mail zawierał krótką, lecz bardzo interesującą wiadomość.

Ola, pies jest fantastyczny, choć nikt z nim chyba nie pracował, bo nie rozumie komend. Bardzo energiczny, po dwugodzinnym spacerze miał siłę rozwalić leżak na balkonie. W ogłoszeniu napisz, że znaleźliśmy i prosimy o kontakt właścicieli, ale odpuść szukanie nowego domu. Jak nikt się nie zgłosi, zostanie u mnie. Pozdrawiamy obaj, Łukasz.

Po takim mailu chęć produkowania ogłoszeń skłęsała we mnie zupełnie. Chociaż perspektywa oddania psa nie przypadła Łukaszowi do gustu, dla świętego spokoju wydrukowałam ulotki z zamiarem umieszczenia w klinice weterynaryjnej i kilku sklepach zoologicznych. Jedną następnego dnia rano powiesiłam na klatce schodowej Darka. Zrezygnowałam z ogłoszenia w Internecie, bo — nie daj Bóg —

ktoś by je znalazł.

* * *

Środowy wieczór przyniósł lekką poprawę w świecie ponurej melancholii, w którym tkwiłam od kilku dni. Sprawna interwencja Jakuba zakończyła doprowadzające mnie do szału kapanie z prysznica i wylatywanie wody poza kabinę, Krzysztof potwierdził chęć towarzyszenia mi w drodze do warsztatu, a krótka rozmowa z Łukaszem ujawniła brak chętnych, którzy przyznaliby się do psa. Krótka, gdyż jak wyjaśnił mi zziąjany Łukasz, z Dragonem nie dało się wyjść na spacer i gadać przez telefon.

— O, przedstawił ci się? — zapytałam zadowolona z rozwoju wydarzeń.

— Nie, ale ciągnie jak smok, ma niespożyte siły i żre na potęgę — wysapał Łukasz. — Innego imienia sobie dla niego nie wyobrażam.

— Rozumiem, że nie muszę się wysilać z kolejnymi ulotkami — upewniłam się. — Odwiedzę was w weekend, jeśli nie macie nic przeciwko.

Pomysł wizyty został przyjęty z entuzjazmem, umówiliśmy się zatem na telefon. Z ulgą pomyślałam, że będzie to pierwszy od dawna wolny weekend, gdyż Darek z Beatką wrócą do mieszkania, rybek i kwiatków, nikogo więcej żenić chwilowo nie muszę, a na horyzoncie nie majaczy nic, co mogłoby zakłócić mi święty spokój. Jeszcze wtedy nie brałam pod uwagę dobrych chęci i talentu kilku osób.

* * *

W czwartkowy chłodny poranek od siódmej piętnaście tkwiłam z kawą w oknie, zastanawiając się, co Krzysztof pochrzani i w czym nawali tym razem, dlatego o siódmej dwadzieścia zdziwiłam się niebotycznie, widząc na parkingu obok mojego samochodu czarnego citroena. Do repertuaru zachowań Krzysia należało bowiem spóźnianie się, mylenie godzin i dat, a nade wszystko wieczne problemy otolaryngologiczne, uniemożliwiające dosłyszenie moich próśb i komunikatów, które od czasu do czasu próbowałam beznadziejnie mu przekazać. Niedosłuch, jak się przekonałam, dotyczył jedynie życia prywatnego. Gdy chodziło o sprawy zawodowe, zmysły wzroku i słuchu Krzysztofa działały bez zastrzeżeń, a pamięć była ostra jak żyłotka.

Tym razem jego pamięć działała sprawnie tak po prostu i mile zaskoczona zesłałam na parking.

Skleroza niestety ujawniła się ponownie, gdy Krzysztof usłyszał o pozytywnym zakończeniu kłopotów w mojej łazience.

— Już dawno trzeba było wezwać tego hydraulika — powiedział z naganą, milczeniem pomijając kwestię, że sam miał w roli hydraulika wystąpić.

Ugryzłam się w język i zasugerowałam pośpiech, gdyż dotarcie w porannych

korkach do oddalonego o pięć kilometrów warsztatu, a następnie do pracy na czas było coraz mniej prawdopodobne. Krzysiek najwyraźniej miał ochotę powymądrzać się na temat mojego auta, jednak moja uwaga o możliwym spóźnieniu zahamowała jego zapędy.

Po krótkiej rozmowie w warsztacie, podczas której mechanik odmalował mi najczarniejsze z możliwych scenariusze, a następnie pocieszył, że na pewno nie będzie aż tak źle, wsiedliśmy do auta Krzysztofa, który nagle zaczął się spieszyć i nerwowo zerkał na zegarek.

— Jakieś spotkanie od rana? — zagadałam, choć nie liczyłam na wyczerpującą odpowiedź. W godzinach porannych Krzysiek rzadko bywał rozmowny.

— Mam szkolenie, więc nie jadę do pracy — padła krótka informacja. — W centrum.

Zaczęłam rozumieć powód pośpiechu. Z drugiej jednak strony mój fitness klub miał po drodze.

W milczeniu dojechaliśmy na parking pod klubem. Szybko wysiadłam z auta, żegnając Krzyśka przelotnym buziakiem.

— Odbiorę cię kilka minut po piątej — usłyszałam i zmusiłam się do uśmiechu.

„Nie układa się nam ostatnio”, pomyślałam, idąc powoli w kierunku fitness klubu, jednak szybko doszłam do wniosku, że pod słowem „ostatnio” mogę śmiało rozumieć całe trzy lata naszego związku. Na różnice w charakterze, upodobaniach, gustach kulinarnych i podejściu do istotnych kwestii tego ziemskiego padołu niewiele udało się poradzić, przy czym każde z nas owe różnice traktowało inaczej. Mnie spędzały one sen z powiek, Krzysztof zaś problemu nie widział. Moje próby podjęcia kroków naprawczych — owszem. A ponieważ jego zdaniem uparcie brałam się za rozwiązywanie trudności, efekt był taki, że oboje mieliśmy jakiś problem. Wieczny i niemożliwy do rozwiązania.

Wchodząc do budynku i rejestrując szybki postęp prac remontowych, w nagłym przyplwywie optymizmu pomyślałam, że być może przewidywania Oliwki się sprawdzą i kłopot w postaci świętej Agnieszki od wożenia tyłka spadnie mi z głowy. Po przedstawieniu ostatecznego rachunku przez ekipę budowlaną nastrój poprawił mi się całkowicie i rzuciłam się pomagać w sprzątanii pozostałym współpracownikom.

Kilka minut po siedemnastej zgodnie z umową odebrałam telefon, że mogę się szykować do wyjścia, gdyż transport nadszedł. „Kolejny punkt dla Krzysztofa”, pomyślałam i postanowiłam zapomnieć o aferze z prysznicem. Z radosnym uśmiechem na twarzy wyszłam na parking i rozejrzałam się w poszukiwaniu czarnej karocy.

Karocę wraz z woźnicą dostrzegłam dosyć szybko, jednak w tym samym

momencie przeszła mi chęć do uśmiechów, gdyż w karocy jedna księżniczka już siedziała. Wytrzeszczyłam oczy w nadziei, że może pomyliłam samochody, jednak zarówno wygląd auta, jak i osoby za kierownicą nie pozostawiały złudzeń, z kim mam do czynienia. Wiedziona nieprzyjemnym przeczuciem podeszłam bliżej i zazgrzytałam zębami. Osoba, która bezczelnie tkwiła na miejscu obok kierowcy, niestety również była mi znana.

Wściekłość, jaka się we mnie natychmiast zrodziła, szybko znalazła ujście w jednym, dosadnym słowie, które zdążyłam wypowiedzieć, zanim zdążyłam pomyśleć o tym, co robię. Nieśpiesznym krokiem podeszłam do drzwi po stronie kierowcy i zapukałam w szybkę.

Pograżony w konwersacji z koleżanką Krzysztof podskoczył na siedzeniu i z zadowoloną miną otworzył drzwi. Nie przytrzymałam mu nimi ręki, nie wywlokłam go z auta ani nie zażądałam wyjaśnień, jednak widoczny szczękościsk na mojej twarzy szybko odebrał mu pewność siebie.

— Czy mam rozumieć, że ten kurs został zamówiony wcześniej przez kogoś innego? — wycedziłam przez zaciśnięte zęby. — Mieliśmy wracać razem do domu.

— O Jezu, no przecież będziemy wracać razem — Krzysiek wznosił oczy do nieba. — Zabrałem Agę, bo autobus jej zwiął. Tłumaczyłem ci już, że z trudem wyrabia się do lekarza. Każdemu mogą się zdarzyć problemy zdrowotne!

— I właśnie dlatego musisz mi robić wstyd przed ludźmi z pracy? — warknęłam, ruchem głowy wskazując kilkoro znajomych, którzy również pojawili się na parkingu. Wtajemniczeni w moje problemy, wyjątkowo ślamazarnie zabierali się do odjazdu. — Porozmawiamy potem, ale miła rozmowa to nie będzie — ucięłam, bo znienawidzone babsko wychyliło się w naszym kierunku.

Nie miałam ochoty pokazywać, że to między innymi z jej powodu trzeszczy w szwach mój związek, więc przywołałam na twarz służbowy uśmiech i odwróciłam się do wgapionych w nas znajomych, by radośnie pomachać im na do widzenia. Dla utrzymania pozorów szturchnęłam Krzyśka, by otworzył mi drzwi i natychmiast dostałam jeszcze silniejszego szczękościsku, bo oczywiście Krzysio postanowił posadzić mnie z tyłu. W ramach rewanżu obiecałam sobie kopać go w siedzenie na każdym zakręcie.

— Cześć, Agnieszka jestem — Agusia w aucie Krzysztofa zachowywała się jak u siebie. Należało nieco ją utemperować.

— Dzień dobry, Aleksandra — przedstawiłam się bardzo grzecznie i bardzo oficjalnie, i na tym postanowiłam zakończyć konwersację.

— Cieszę się, że cię poznałam, Ola — szczebiotała tymczasem irytująca pasażerka. — Bo widzisz, tak cały czas liczę, że odwiedzisz nas w salonie i kupisz nowy samochód. To taki żart oczywiście — zachichotała. — Ale Krzysiu coś wspominał, że masz kłopoty z autem.

Zmieniłam zdanie co do tego, w które siedzenie należy w odpowiednim momencie zacząć kopać.

— Kłopoty z autem są na szczęście przejściowe, więc nie muszę się z nim rozstawać. Zresztą gdyby wydarzyła się taka konieczność, pewnie udałabym się do zaufanego dealera — wyjaśniłam chłodno. — A przy okazji, nie zauważyłam chwili, w której przeszliśmy na „ty”. Poza tym tak się chyba do potencjalnych klientów nie mówi? Chyba że w waszym salonie panują inne zwyczaje...

Tym razem osiągnęłam efekt. Aż do dworca w samochodzie panowała idealna cisza, przerywana jedynie nerwowymi sapnięciami Krzysztofa, który zdawał sobie sprawę, że sytuacja mocno wymknęła się spod kontroli i nic nie dzieje się zgodnie z jego wizją.

Na dworcu naburmuszona Agnieszka wysiadła, wymamrotała coś zdawkowo i oddaliła się, obdarzając mnie bardzo mało życzliwym spojrzeniem. Pomimo wielkiej chęci nie pomachałam jej na pożegnanie, ani nawet jej nie kopnęłam. Pożegnałam się grzecznie i usiadłam na siedzeniu obok kierowcy.

— Byłaś niemiła — wytknął mi Krzysztof, jednak bez większego przekonania.

— Dopiero będę niemiła — zazgrzytałam zębami — jeżeli jeszcze raz będę musiała z nią jechać i to siedząc z tyłu. Zresztą nie lubię, jak obce osoby zwracają się do mnie po imieniu. Miałeś przyjechać po mnie tylko raz, a ty musiałeś mi robić wstyd przed znajomymi i afiszować się z tą dziunią! I tak mam dość problemów, bo wszyscy mnie pytają, kto to jest i dlaczego to toleruję!

— Rozumiem, że opinia znajomych jest najważniejsza — nadąsał się Krzysztof. — Jak zwykle nie stać cię na odrobinę zaufania.

— Do ciebie — może. Do niej — absolutnie — wycodziłam. — Albo ją wozisz i przestajemy rozmawiać, albo ona ma wylot. Decyduj.

Pod koniec tej radosnej dyskusji samochód znajdował się już przed klatką schodową mojego bloku, a ponieważ nie usłyszałam z ust Krzysztofa oczekiwanych słów deklaracji, zaczęłam zbierać się do wyjścia.

— Zaczekaj! — usłyszałam, wysiadając z auta i wróciłam na miejsce, z nikłą nadzieją, że może jednak doczekam się korzystnego dla mnie obrotu spraw.

— Kiedy mam z tobą jechać po odbiór auta? — Krzysiek najwyraźniej postanowił zarobić choć kilka punktów na plus.

— Jutro po południu — rzuciłam. — Zaraz po pracy. O ile, rzecz jasna, będziesz skłonny...

— Podjadę tak jak dziś...

— O nie — warknęłam. — Podjedziesz sam. W przeciwnym razie możesz sobie darować.

— No ale co ja mam powiedzieć Agnieszce? — nadąsał się znów Krzysztof. — Że moja dziewczyna jest zazdrosna?

— Jak masz z tym problem, to sama z nią pogadam — zaproponowałam, ale mój pomysł nie został entuzjastycznie przyjęty. — Daj znać, czy mam sama tego mechanika załatwić, bo pani Agnieszka jest dla mnie zbyt ciężkostrawna, a twoje umizgi do niej odbierają mi apetyt. Szkoda, bo zrobiłam dobrą sałatkę.

Nie czekając na odpowiedź, wysiadłam, podkreślając kiepski nastrój solidnym trzaśnięciem drzwiami.

To jednak sprawy nie załatwiło. Rzuciłam się zła na kanapę i chwyciłam za telefon.

— No? — współczujący ton, jaki zabrzmiał w głosie Oliwki, sprawił, że zatrzęślam się ze złości.

— Niech zgadnę, wszyscy widzieli to cudowne przedstawienie? — to było raczej stwierdzenie niż pytanie.

— No może nie wszyscy... No i nie bardzo załapali, co się działo — próbowała mnie pocieszyć Oliwia. — Naściemniałam, że to wasza wspólna znajoma, a że z Krzyśkiem ostatnio jest nie najlepiej, to i tak większość osób wie...

To brzmiało odrobinę lepiej. Tylko odrobinę.

— Oliwka, nie poszłabyś pobiegać? Mnie zaraz rozniesie, muszę pogadać i się zmęczyć. Załatwimy dwie sprawy za jednym razem.

Na Oliwię w kwestiach biegowo-terapeutycznych można było liczyć. Umówiliśmy się w pobliskim lasku i o dwudziestą różnym truchtem ruszyliśmy na trasę.

— Przykleiłaś karteczkę? — zapytała Oliwka, kiedy z impetem tupnęłam prawą nogą w gigantyczną kałużę.

— Nawet dwie — sapnęłam, unosząc piętę.

Od niepamiętnych czasów miałyśmy z Oliwią niezastąpioną metodę radzenia sobie ze stresem. Przed wyjściem na trening należało przykleić do podeszwy buta karteczkę z krótką informacją, kto lub co aktualnie wyprowadziło nas z równowagi. Oczywiście w takim przypadku omijanie kałuży nie leżało w naszym interesie.

Po kilku kilometrach moje samopoczucie nareszcie zaczęło się poprawiać. Jednocześnie byłam też w stanie trzeźwym okiem ocenić sytuację, w której się znalazłyśmy. Czas był ku temu najwyższy, gdyż nasza ścieżka, choć szeroka, powoli pustoszała. Obok przechodziło i przebiegało coraz mniej osób.

— Cholera — syknęłam, potykając się o wystający korzeń. — Ciemno się robi, nie widzę, na co włożyć.

Oliwia, która już od kilku minut coraz uważniej rozglądała się po okolicy, zaczęła przyspieszać.

— Ola, wiesz co, skróćmy tutaj — zaproponowała. — Dobiegniemy do osiedla, potem będzie już oświetlona droga.

Z lekką obawą zerknęłam we wskazanym kierunku. Wąska, niezbyt równa ścieżka skręcała prostopadle do głównej alei, którą zazwyczaj biegałyśmy.

Oliwka wyczuła moje wahanie.

— Ta ścieżka nie prowadzi w las, zaraz skręca do domków jednorodzinnych. Pięć minutek i jesteśmy na oświetlonej asfaltowej drodze.

Ścieżka nadal nie budziła mojego zaufania.

— Wygląda raczej jak droga na nawiedzony cmentarz — mruknęłam, patrząc na wąskie, zarośnięte gęsto po bokach przejście. Ze ściśniętym gardłem ruszyłam przed siebie.

— No bo w sumie to prowadzi na cmentarz — przyznała Oliwia, skręcając za mną. — Ale nie nawiedzony, normalny — uzupełniła szybko, widząc moją minę.

— Dzięki ci wielkie, od razu mi lepiej...

Miałam wielką ochotę zdzielić Oliwię po głowie za idiotyczne pomysły, kiedy tuż przed nami ukazało się rozwidlenie. Z lewej strony ścieżka skręcała i wiodła w lesne ostępy, ciemna i nieprzyjemna. Z prawej ukazały się jednorodzinne domki wzdłuż oświetlonej drogi na obrzeżach lasu.

Z westchnieniem ulgi rzuciłam się w prawo, biegnąc ku upragnionej cywilizacji, byle dalej od upiornej ścieżki, która zgodnie ze słowami Oliwii faktycznie wyprowadziłaby nas na pobliski cmentarz. Wprawdzie prawdopodobieństwo inwazji krwiożerczych zombie wydawało się znikome, a w lesie i tak zazwyczaj bałam się równie krwiożerczych i znacznie bardziej odrażających kleszczy. Nie mogłam jednak się powstrzymać od zerknięcia przez ramię, by upewnić się, że nic nie podąża naszym tropem w celu konsumpcji lub przynajmniej przyprawienia nas o zawał serca. Ścieżka była pusta, ale niepokojący szelest krzaków sprawił, że zaczęłam wpatrywać się w pobliskie zarośla, nerwowo poszukując wzrokiem źródła dźwięku.

Biegłam, jednocześnie odchylając co chwila do tyłu głowę, aż zatrzymałam się gwałtownie na przeszkodzie, która wyrosła tuż przede mną. Błyskawiczne spojrzenie we właściwym kierunku ujawniło stojącą jak słup Oliwię, na którą wlałam. Nie ruszyła się pod wpływem pocisku w postaci mojej osoby, nie zareagowała również na nerwowe syknięcie, które z siebie wydałam. Brak odzewu ze strony stojącej w absolutnym bezruchu przyjaciółki zachwiało nieco moją kategorię niewiarą w inwazję zombie. Już miałam złapać Oliwię i potrząsnąć niczym workiem kartofli, gdy mój wzrok padł na drogę przed nami i sama również zamarłam. „No tak, kretynko, już wiesz, co szeleściło w krzakach”, pomyślałam w panice, nie zastanawiając się zupełnie nad faktem, że kompletnie pomyliłam się co do miejsca, z którego pochodził dźwięk.

Pięć metrów przed nami, na samym środku drogi stała olbrzymia, zwarta bryła porośnięta gęstą szczeciną. Po chwili wydała głęboki pomruk i powoli odwróciła się w naszą stronę.

Patrzyliśmy na ogromną zjawę, która wylazła z pobliskich krzaków,

zmuszone pogodzić się z faktem, że od upragnionej drogi do cywilizacji i oświetlonych chodników dzieli nas potężny okaz dzika.

— Dzik — szepnęła wreszcie Oliwka, szcękając z wrażenia zębami. — Prawdziwy dzik!

— Jak dzik, to pół biedy, gorzej, jak locha z młodymi — rozejrzałam się w panice. — One są mało skłonne do pertraktacji.

— Myślisz, że tu mogą być jeszcze młode? To co robimy?

— Ja tamtą ścieżką nie zawrócę. Nie wiem, może spróbować go obejść, jak się odwróci...

Trudny w przypadku kobiet proces podejmowania decyzji przyspieszył sam zwier. Kwiknął krótko i majestatycznym, ale pewnym krokiem ruszył w naszym kierunku.

Godzinne ustalenia nie dałyby tak znakomitego rezultatu. Spojrzałyśmy na siebie i w ciągu kilku sekund znalazłyśmy się na żelaznym ogrodzeniu najbliższego z domków.

— Przełazimy na drugą stronę, jazda! — syknęłam, bo Oliwia zastygła na płocie z jedną nogą na zewnątrz, a drugą wewnątrz. Sama byłam na podobnym etapie i właśnie przekładałam drugą nogę przez ogrodzenie, gdy Oliwka złapała mnie za bluzę.

— Zwariowałaś? Wolisz, żeby nas to bydłę zżarło?

Rozejrzałam się zdezorientowana i po chwili dotarł do mnie powód niechęci Oliwii do całkiem zadbanego i ładnie oświetlonego ogrodu. W głębi ogrodu stała sporych rozmiarów buda, z której właśnie wychynął olbrzymi, futrzasty łeb, należący zapewne do jakiegoś upiornie wielkiego psa. Okolica najwyraźniej nie była oblegana przez bandytów, gdyż zwierzę powoli przeciągnęło się i leniwie wylazło z budy, a następnie podążyło w kierunku płotu. Nie zamierzało na razie szcekać, robić rabanu ani obgryzać nam butów. Siedziało i z zadartą do góry głową wpatrywało się w nas niczym w niezwykle ciekawą atrakcję. Brak oznak wrogiego nastawienia bynajmniej nas nie uspokoił, gdyż psisko po chwili ponownie ziewnęło, demonstrując imponujące uzębienie.

— Jezu, i co teraz? — jęknęła Oliwia na widok rozdziawionej paszczy dokładnie pod sobą. — Tu pies, tam dzik, nie ma gdzie wiać!

— Powiedz mi coś, czego nie wiem — warknęłam. — Widzę, że nie ma gdzie wiać i żałuję, że się dałam namówić na te cmentarne ścieżki! Mam nadzieję, że w tym domu ktoś jest i odwoła chociaż to bydłę w ogrodzie!

— Czyli co? Wołamy?

Przeraźliwe wrzaski znamionujące potworną tragedię na miarę co najmniej obdzierania żywca ze skóry rozdarły wieczorną ciszę, niwecząc na długo spokój i harmonię pobrzmiwające w śpiewie słowików. Miały jednak ten dobry skutek, że już po chwili w drzwiach ukazał się właściciel i domu, i zębatej bestii, która z coraz

większym zaciekawieniem oglądała scenę rozgrywającą się na płocie. Na jego widok zaniechałyśmy wrzasków i wysiliłyśmy wzrok, by ocenić, na kogo trafiłyśmy i na ile jednostka ta będzie skłonna udzielić nam pomocy, a na ile poszczuje psem.

Wysoki, może czterdziestoletni facet w podkoszulku i portkach od dresu dostrzegł najpierw siedzącego pod płotem psa. Dopiero później, podążając za wzrokiem pupila, spojrzął na nas i zastygł w bezruchu, wgapiając się w oryginalny obrazek z równie wielką fascynacją, z jaką obserwowało nas już od dobrej chwili jego zwierzę.

Siedziałyśmy bez ruchu, czekając na jakąkolwiek sensowną reakcję z jego strony. Po chwili stało się jasne, że możemy tak czekać do uśmiechniętej śmierci, gdyż facet najwyraźniej był skłonny uznać nas za halucynację alkoholową. Zdecydowałam się przerwać tę groteskową scenę.

— Dobry wieczór — powiedziałam uprzejmie, zastanawiając się naprędce, jak przedstawić sytuację w możliwie logiczny sposób i skłonić gościa do współpracy. — Pewnie jest pan bardzo zdziwiony naszą obecnością tutaj.

— A już się bałam, że za dużo wypilem — ucieszył się facet. — Tylko nie wiedziałem, od czego pies ma zwidy, bo nie od alkoholu.

Uśmiechnęłam się blado. Sytuacja była daleka od opanowania, jednak szczucie psem na razie nam nie groziło. Wzięłam głęboki wdech i kontynuowałam:

— Przepraszamy, że zakłócamy spokój, nie chcieliśmy niczego ukraść. Gdy biegałyśmy, zaczął gonić nas dzik, nie wiedziałyśmy, gdzie uciec, więc weszłyśmy na płot — wyjaśniłam, a Oliwka na dowód pokazała dzika, który nadal tkwił na chodniku, jakby nieświadomy spowodowanego przez siebie zamieszania. — Nie wie pan, którędy mogłybyśmy wrócić bezpiecznie do osiedla na Batorego?

— Ten dzik nic wam nie robi — oświadczył facet z przekonaniem. — On tu przyłazi codziennie i straszy biegaczy, ale jeszcze nikogo nie zapędził na płot. Ani na drzewo — dodał. — Możecie go minąć i biec prosto albo na końcu ulicy skrócić w prawo, dobiegniecie do głównej drogi.

Perspektywa przebiegania obok dzika nie przypadła nam do gustu.

— Dziękujemy, pobiegniemy tą drugą drogą! — zawołała Oliwka i uszczęśliwiona zaczęła złaźić z płotu.

— No możecie — przyświadczył facet. — Tylko tam uważajcie, bo tam lochy z młodymi mają swoją ścieżkę...

— To chyba jednak nie pobiegniemy — jęknęłam. — Dziękujemy panu. Skoro mówi pan, że ten jest niegroźny, to jakoś go ominie. Przepraszamy za kłopot...

Ledwo znalazłam się na ziemi, spojrzałyśmy z Oliwią na siebie i rączym sprintem runęłyśmy w kierunku pierwotnie zaplanowanej trasy. Krótki fragment do końca ulicy pokonałyśmy bokami chodnika, byle jak najdalej od leśnego zwierza, i

na wszelki wypadek zamykając oczy. Dopiero skręcając w kolejną uliczkę szeregowców, zerknęliśmy przez ramię, żeby sprawdzić, czy dzik nie zechciał udać się za nami.

Nie zechciał. Droga była pusta. Nasz prześladowca zniknął właśnie w krzakach, z których poprzednio się wyłonił, nie zaszczycając nas ani jednym spojrzeniem. Nie zmieniło to faktu, że do domu dobiegaliśmy, bijąc wszelkie rekordy olimpijskie i obiecując sobie już nigdy nie wybierać się na bieganie po zmroku.

Choć ryzyko dopadnięcia przez rozwścieczonego odyńca pozostawiłyśmy daleko za sobą, wchodząc do domu starannie zamknęłam drzwi. Szaleńczy galop podkręcił moją termoregulację maksymalnie, więc by uniknąć wychłodzenia w wietrzonym bez przerwy mieszkaniu, postanowiłam jak najszybciej zanurkować pod prysznic. Zrzucając po drodze z przedpokoju do łazienki ubranie i pozostawiając za sobą malowniczy szlak odzieży sportowej, zerknęłam odruchowo na telefon, który miganiem dawał znać, że kiedy próbowałam się zrelaksować, bardziej lub mniej uciążliwi natręci próbowali mi ten relaks przerwać. „Jezu, osiem połączeń nieodebranych. Kto mnie ścigał z takim uporem?” Przejrzałam listę połączeń. Dwa razy dzwonił Darek, który zapewne chciał się umówić na odbiór kluczy od mieszkania. Pozostałe połączenia wykonano z nieznanego mi numeru, postanowiłam je zatem zignorować. Jeżeli komuś aż tak zależy, by się ze mną skontaktować, zapewne zadzwoni jeszcze raz. Przez chwilę rozważałam możliwość oddzwonienia na wyświetlony numer, jednak wędrujące wzdłuż łydek ku górze dreszcze zadecydowały za mnie. Rzuciłam telefon na pralkę i weszłam pod prysznic. Po kilku sekundach rozkosznie ciepła woda splukała z ciała poczucie chłodu, a z głowy natrętne myśli o problemach z Krzysztofem, rozjuszonych dzikach i uporczywych telefonach. Z łazienki wyszłam otulona grubym, miękkim szlafrokiem, zapachem kokosowego olejku do ciała i przyjemną warstwą rozleniwienia, które błogo odcięło mnie wreszcie od nieprzyjemności minionego dnia. Pomimo początkowego postanowienia, że nie dam się już dziś nikomu ani niczemu wyprowadzić z równowagi, ani nie dam sobie zawracać głowy, po krótkim namyśle zadzwoniłam do Darka. Po nim akurat nie spodziewałam się zdemolowania świeżo odzyskanego spokoju.

— Aleksandro, dlaczego nie odbierasz telefonu? — usłyszałam pełne wyrzutu sapnięcie i humor poprawił mi się zupełnie.

— Gonilo mnie stado dzików, więc przez zadyszkę nie mogłabym rozmawiać — wyjaśniłam uprzejmie i pokrótce zreferowałam przebieg przygody z niebezpiecznym zwierzem w roli głównej.

— Ola, zaczynam żałować, że mnie nie ma w kraju — wyrzeźił Darek, który podczas mojej opowieści zaczął histerycznie chichotać.

— Ale od soboty będziecie? — upewniłam się. — Rybki tęsknią za wami. Ja

też.

— Będę, będę — zapewnił mnie. — I dzwoniłem, bo jakoś do domu muszę się dostać. Poza tym teraz moja kolej, żeby zorganizować dużą imprezę.

— Mnie za mąż proszę nie wydawać — zastrzegłam. — Ja nie chcę.

— Wiem, nawet nie próbuję ci sugerować, że w twoim wieku to już starą panną jesteś — błysnął Daruś poczuciem humoru. — Słuchaj, moja mama kończy 50 lat w przyszłym tygodniu i wypadaloby to uczcić. Na sobotę robimy spotkanie rodzinne i jako członek rodziny *honoris causa* musisz być obecna.

Urodziny pani Elizy byłam gotowa świętować z wielką pompą, jednakże...

— Przyjdę, ale nie będę: sprzątała, zmywała garów, gotowała ani robiła za kelnerkę — zastrzegłam. — Raz kiedyś chciałabym być zwyczajnym gościem.

— Zaintonujesz *Sto lat* — targował się Darek. — Potem będziesz mogła w spokoju zjeść tort.

— Dziękuję ci uprzejmie za taką łaskę — zakpiłam. — Dobrze, w takim razie jutro po pracy odbiorę auto od mechanika, a potem podjadę do was z kluczami.

Przez chwilę słuchałam jeszcze litanii dziękczynnej za wszystkie łaski, dobra i błogosławieństwa doznane w ostatnim czasie przez nowożeńców, do których walnie przyłożyłam rękę. Kładąc się spać, odebrałam jeszcze wiadomość od Krzysztofa w sprawie jutrzejszej podwózki do pracy z zastrzeżeniem, że Agnieszka — ze względu na konieczność punktualnego stawienia się na szkoleniu — również skorzysta z transportu. Nie miałam ochoty na dyskusje. Nastawiłam budzik pół godziny wcześniej i odpisałam krótko oraz zwięźle na irytującą wiadomość. Potem przezornie wyłączyłam telefon. Nie miałam cierpliwości na przetrzymanie reakcji Krzysztofa, którą mógł wywołać mój sms.

* * *

Wyrazem buntu przeciwko postawie Krzysztofa oraz wrednym babom podrywającym cudzych facetów był spacer do pracy, jaki zafundowałam sobie od rana pomimo niezbyt przyjemnej mgły i delikatnej mżawki. Warunki atmosferyczne nie wpływały na moje postrzeganie świata aż do momentu, gdy przechodziłam obok dworca autobusowego. Bez szczególnego zainteresowania omiotłam wzrokiem nieliczne jednostki, przycupnięte na ławeczkach lub wpatrujące się z ponurą rezygnacją w rozkład jazdy. Ze współczuciem pomyślałam, że sama pewnie klęłabym na czym świat stoi, gdybym była uzależniona od fanaberii komunikacji miejskiej i częstych ostatnio zmian tras związanych z gruntowną przebudową centrum. Samochód, bliskość miejsca pracy i dobra kondycja dawały mi dużą niezależność.

Pochłonięta refleksjami na temat niedogodności bytowania w dużym mieście, omal nie weszłam pod nadjeżdżający samochód. Rozeźlona ułańską

fantazją kierowcy, już zamierzałam powiedzieć mu kilka słów prawdy, gdy z zatrzymanego na poboczu auta wyskoczył Krzysztof.

— Ola! Dobrze, że cię złapałem! Czekałem na ciebie pod domem.

„O, jednak mu zależy”, pomyślałam, nieco topniejąc. Siedzenie pasażera było puste. Chciałam wrzucić na nie torebkę, ale w tym momencie z przystanku wyłoniła się chuda sylwetka z szopą czarnych włosów, machając z entuzjazmem do Krzysztofa.

— No właśnie widzę, jak dobrze, że mnie złapałeś — rzuciłam z ironią. — Krzysiu, czas się zdecydować i ustawić sobie priorytety... Samochód odbiorę sama.

Rozżalona odwróciłam się na pięcie i nie zważając na wołanie Krzyśka, szybkim krokiem ruszyłam przed siebie.

Nie próbowałam sprawdzać, jaka będzie reakcja na moje słowa, ani zwolnić, by Krzysztof miał okazję jeszcze się trochę poprodukować i namówić mnie do wspólnej przejażdżki. Odpuściłam sobie oglądanie się przez ramię, gdyż było jasne, jaki obrazek ukaże się moim oczom. Wbrew własnym zasadom wcisnęłam do uszu słuchawki ipoda i podkręciłam maksymalnie głośność, by jak najszybciej odizolować się od narastającego przygnębienia. Właściwie sama nie do końca wiedziałam, co tak bardzo mnie zabolalo, czy sytuacja, która kolejny raz pokazała mi moje miejsce w życiu Krzysztofa, czy fakt, że przyszedł czas na wyciągnięcie nieuchronnych wniosków i podjęcie stosownych decyzji. Decyzja podjęła się sama i czas, który spędziłam w pracy, skrobiąc ponuro dno pustego słoika po miodzie, potrzebny był mi tylko na zebranie sił do wykonania zadania.

Po powrocie do domu wykonałam krótki telefon i podczas niespełna trzyminutowej rozmowy streściłam wnioski, do jakich doszłam. Tym razem nie zakończyłam przemówienia żadną prośbą, groźbą ani kategorycznym ultimatum. Pozostawiawszy rzecz do przemyślenia i samodzielnego wyciągnięcia wniosków przez słuchacza, dość chłodno pożegnałam Krzysztofa i poprosiłam uprzejmie, żeby w najbliższym czasie nie dzwonił, nie pisał, względnie nie ścigał mnie autem na trasie do pracy, zwłaszcza że po samochód udałam się pieszo i zdążyłam załatwić wszystkie czynności związane z jego odbiorem.

Do Krzysztofa chyba nie wszystko dotarło, bo podczas mojego *exposé* milczał jak zaklęty. Nie próbował również dzwonić, kiedy się rozłączyłam. W sumie nie bardzo wiedziałam, czy traktować to w kategoriach świętego oburzenia, czy może wyniosłej obojętności, co potwierdziłoby moje dotychczasowe wnioski. W grę wchodziła również możliwość, że po prostu moja bezczelność go zatkała. Nieważne, nie miałam czasu zastanawiać się nad motywami postępowania Krzysztofa. Szybko przegryzłam zbożowego batona i pojechałam oddać klucze Darkowi.

Zgodnie z umową miałam przyjechać w sobotę, jednak brak zaufania do

organizacyjnych umiejętności Dareczka skłonił mnie do lekkiej modyfikacji planów. Spakowałam do torby kosmetyczkę, piżamę i coś wygodnego na przebranie, zdecydowana poczekać na Darka i Beatkę w ich mieszkaniu, uprzednio zaś zrobić dla nich jakieś zakupy. Wiedziałam, że z lotniska mam ich odebrać po czwartej, a wrócą pewnie zmęczeni, głodni ziemskiej strawy i cierpliwego słuchacza, który obejrzy fotografie i pozachwyca się wrażeniami z wyjazdu. Do wszystkich tych rzeczy nadawałam się znakomicie, szczególnie w chwili, gdy desperacko potrzebowałam zajęcia się innymi, a nie sobą.

Wbrew moim pobożnym życzeniom mieszkanie Darka w przeciągu dwóch dni nie zarosło brudem, nie pokryło się kurzem, a rybki nie pływały brzuskami do góry. Nie bardzo miałam co sprzątać, więc po rozpakowaniu torby snułam się jeszcze chwilę po pokojach, próbując znaleźć sobie zajęcie. „Żeby te rybki dały się chociaż pogłaskać, albo aportowały”, pomyślałam, przyglądając się z żalem mieszkańcom akwarium. Niestety, rybki, poza prezentowaniem pięknych kolorów, nie robiły absolutnie nic, pozostały niekomunikatywne i głuche na moje zaklęcia. Podając w duchu w wątpliwość sens posiadania takich domowych pupili, powlokłam się do łazienki i weszłam pod prysznic.

Szum chłodnej wody zagłuszył wreszcie nieprzyjemne uczucia i po chwili masażu żelem o zapachu lasów amazońskich przeniosłam się myślami pod kaskady niewielkiego wodospadu. Każda kropla uderzająca o skórę rozszczepiała komórki i powoli teleportowała je nad czyste jezioro ukryte wśród soczystej, tropikalnej roślinności. Sekunda po sekundzie coraz bardziej rozpływałam się tu i stapałam na nowo tam, aż wreszcie oczyma wyobraźni zobaczyłam wyraźnie przejrzystą wodę, w której stałam zanurzona, i barwną roślinność, odcinającą mnie od doczesnych problemów. Pozwoliłam umysłowi odpłynąć i zająć się wypatrywaniem roślin, które od lat kochałam najbardziej. Dostrzeżony tuż obok gąszcz drobnych, różnobarwnych storczyków przyprawił mnie o nagły zawrót głowy. Wyciągnęłam rękę po najbliższy kwiat...

Nie zdążyłam obudzić się z marzeń o tropikalnej dżungli, chwytając szybę kabiny prysznicowej, gdyż do otwarcia oczu zmusiło mnie coś chwilę wcześniej. Dziwne trząśnięcie absolutnie nie pasowało do idyllicznej scenerii i wdarło się w szum wodospadu, przywracając mnie natychmiast do rzeczywistości. „Ki lichó”, pomyślałam, przecierając zaparowaną szybę kabiny. Zmniejszyłam strumień wody, nasłuchując. Trzask się nie powtórzył i przez dłuższą chwilę za drzwiami łazienki panowała cisza. Zrzucając omamy na własną paranoję, już chciałam podkręcić strumień z powrotem, gdy z przedpokoju dotarł inny dźwięk. Na pokrytej panelami podłodze wyraźnie usłyszałam ciche, powolne kroki.

Ktoś przeszedł lekko przez przedpokój i przystanął pod drzwiami łazienki. Poprzez delikatny szmer wody dokładnie słyszałam, kiedy się zatrzymał. Zamarłam, klnąc na swoją bujną wyobraźnię, dla której przeskok z tropikalnego

raju do scen żywcem wziętych z *Psychozy* nie stanowił najmniejszego problemu. Resztki zdrowego rozsądku, które z wyobraźnią z reguły sromotnie przegrywały, zdążyły mi podszeptać, że jestem w niezłej sytuacji, bo przez szybę trudniej kogoś zniecała zarznąć nożem niż przez plastikową zasłonkę. Pocieszona nieco tym odkryciem, zerknęłam w kierunku szafki w poszukiwaniu narzędzia obrony. Szlag, całe to mieszkanie Beata zostawiła w nienagannym porządku, na wierzchu nie leżało dosłownie nic poza moją szczotką do włosów i zupełnie nieszkodliwą kosmetyczką. Gdyby chociaż jakiś lakier do włosów... Przez myśl przemknęło mi, że jak bardzo się chce, to wszystkim można zrobić krzywdę, nawet taką gąbką do masażu. Spojrzałam na potencjalną broń z powątpiewaniem i najciszej jak się dało rozsunęłam drzwi kabiny, by sięgnąć po ręcznik. „Skrzypnęły, cholera, wiedziałam”.

W tym samym momencie klamka drzwi do łazienki lekko opadła pod ciężarem czyjejś ręki. Osłonięta ręcznikiem zamarłam, myśląc z rozpaczą, co za cholerstwo ciągle się mnie czepia. Najpierw dziki, teraz to... W rozpaczliwym natchnieniu chwyciłam szampon do włosów, zdecydowana wylać zawartość intruzowi prosto w oczy lub pod nogi. Przy odrobinie szczęścia będzie dezorientowany, możliwe, że się poślizgnie i wywali, dając mi czas na...

Gorączkowo wlepiłam oczy w klamkę, czekając, aż opadnie zupełnie i drzwi się otworzą...

Tymczasem osoba za drzwiami zachowywała się jak na złoczyńcę nietypowo. Klamka wróciła do normalnej pozycji, a do drzwi ktoś zapukał.

Zdębiałam zupełnie i trwałam jak słup soli, wpatrzona w drzwi z intensywnością, od której powinny same się otworzyć lub przynajmniej stać się przezroczyste.

Po chwili pukanie powtórzyło się. Omal nie padłam trupem, gdy znany mi coraz lepiej męski głos zapytał:

— Ola, to ty jesteś w łazience?

Napięcie narastające we mnie od kilku minut teraz znalazło ujście w wybuchu historycznego śmiechu, który sprawił, że zjechałam po ścianie prysznic na dno brodzika. Przez chwilę siedziałam pod prysznicem, który jakimś cudem zdążyłam w międzyczasie zakręcić, i wylałam ze śmiechu.

— To ja — zdołałam wykrztusić jedynie pomiędzy jednym spazmem chichotu a kolejnym. — Ty włamywaczu cholerny! Zaczekaj, zaraz wyjdę, brałam prysznic.

Po kilku głębokich wdechach udało mi się opanować na tyle, że wyszłam z kabiny i porządnie owinęłam się ręcznikiem. Nie był to strój najbardziej stosowny, rozejrzałam się za szlafrokiem. No świetnie, rozglądać się mogłam do upojenia, ponieważ mój szlafrok znajdował się w pokoju. Nie przewidziałam konieczności ubierania się w trybie ewakuacyjnym.

— Łukasz! — zawołałam po chwili wahania. — Czy możesz mi przynieść szlafrok z pokoju i powiesić na kłamce?

— Nie ma sprawy! Podam ci przez drzwi, dobrze?

Wkrótce drzwi do łazienki się uchyliły i odebrałam stosowne odzienie. Owinęłam się ciasno szlafrokiem, zwinęłam włosy w turban i wyszłam z łazienki.

Łukasz stał w kuchni i parzył kawę. Na mój widok uśmiechnął się zmieszany i wyjął z szafki drugi kubek.

— Dzięki — mruknęłam. — Poproszę melisę. Z wódką. Kiedyś przez ciebie umrę na serce.

— Skąd miałem wiedzieć, że będziesz brała prysznic w mieszkaniu mojego brata? Myślałem, że przychodzisz tu tylko na chwilę do rybek i kwiatków...

No, w sumie racja, to ja powinnam się wytłumaczyć.

— Chciałam dziś przyjechać tu na noc, posprzątać, zrobić zakupy — wyjaśniłam. — Nie sądziłam, że wpadniesz na ten sam pomysł.

— Ja akurat wpadłem oddać filmy, które pożyczyłem przed ich wyjazdem — mruknął Łukasz i sięgnął do lodówki po śmietankę do kawy. — Normalnie bym wparował do tej łazienki, ale po ostatnich doświadczeniach stwierdziłem, że twoja obecność jest bardziej prawdopodobna niż włamanie.

Usiedliśmy z kawą w salonie.

Kiedy w obcym mieszkaniu spotkają się niespodziewanie dwie niezbyt dobrze znane sobie jednostki płci przeciwnej, a w dodatku jedna z nich odziana jest jedynie w szlafrok i ręcznik owinięty na głowie, sytuacja staje się niezręczna. Oboje to czuliśmy i przez dłuższą chwilę udawaliśmy, że uwielbiamy wrzącą kawę. Poparzenie ust było jakoś mniej straszne niż nawiązanie rozmowy. Efekt był jednak taki, że szybko oboje wrzątku w filiżankach się pozbyliśmy i należało przerwać krępującą ciszę. Odetchnęłam z ulgą, kiedy męską decyzję podjął Łukasz.

— Właściwie dziwne, że tak się ciągle spotykamy u Darka w domu. Ty dużo czasu tu chyba spędzasz, co?

— Do ślubu twojego brata pełniłam obowiązki psychoanalityka, wspomagacza chorych, koordynatora życia codziennego i niani — wyjaśniłam z rezygnacją. — Teraz mam nadzieję, że choć trochę mi tego ubędzie. Wybacz, Darek jest rewelacyjnym menagerem i trenerem, ale w kwestiach prywatnych kompletnie nie ogarnia rzeczywistości... Nie wspomnę o problemie z daltonizmem, kiedy trzeba zrobić pranie...

— Jakoś mnie te rewelacje nie dziwią — uśmiechnął się Łukasz. — Ale podziwiam cię. Ogarniasz życie prywatne mojego brata, zakładam, że Beaty też, rybek, zabłąkanych psów, no i swoje. Gdzie ty masz czas na to wszystko?

— No właśnie swojego nie ogarniam — wymamrotałam i kiepski nastrój, który udało mi się zmyć z siebie podczas kąpieli, natychmiast wrócił. — Właśnie zerwałam z facetem.

— Ups, przykro mi... Nie sądziłem, że poruszę przykry temat.

— Niepotrzebnie, bo cała ta historia to jeden wielki przykry temat — zezłościłam się nagle. — W sumie to zerwanie chyba jest jego najmniej przykrą częścią.

— Aż tak ci dokopał?

Współczucie w oczach Łukasza nie pozwoliło mi kompletnie się rozkleić.

— Dokopał. Dokopywał każdego dnia, ale tak subtelnie, że nie bardzo było się do czego doczepić — mruknęłam bez wdawania się w zbędne szczegóły. — Byłam w takiej sytuacji, że lepiej mi było ogarniać życie Darka i Beatki niż własne. Masz odpowiedź, dlaczego tak często przesiaduję tu, a nie w domu. W domu Krzysztof za często mógł mnie złapać i zatruwać mi życie. O, no jasne, nawet teraz nie może sobie odpuścić! — wrzasnęłam zirytowana, bo w torebce rozdarł się telefon.

— Może to jednak ktoś inny? — zasugerował Łukasz. — Odbierz, może to coś ważnego.

Spojrzałam na niego z powątpiewaniem i poszłam do przedpokoju po torebkę, jednak zanim z jej przepastnych czeluści wyłowiłam telefon, sygnał umilkł. Nerwowo podświetliłam numer. Zastrzeżony. Jakoś do tej pory nikt z moich znajomych z zastrzeżonego nie dzwonił, a godzina była zbyt późna, by sieć telefonii komórkowej, bank lub inna natrętnie zawracająca głowę klientom instytucja próbowała mnie dopaść. Wzruszyłam ramionami i rzuciłam telefon na kanapę.

— Nie Krzysztof — wyjaśniłam Łukaszowi, który patrzył na mnie pytająco. — Zastrzeżony numer. Nie wiem, co to za cholera.

— W razie czego, jak już tego ktosia zidentyfikujemy, możemy go poszczuć Dragonem — zaproponował Łukasz. — Chociaż mam duże wątpliwości, czy ten pies się nadaje do szczucia. Przepraszam, byłby zdolny zalizać na śmierć.

Parsknęłam śmiechem.

— Zostanie już u ciebie?

— Skoro szukanie właścicieli nie wyszło...

— Ale żeśmy się przyłożyli do tego szukania — zakpiłam. — Właściwie jestem zadowolona, bo wolę, żeby był u ciebie niż u właścicieli, którzy go tak łatwo zgubili.

— To może dasz się wyprowadzić na spacer? — zapytał Łukasz. — Bo generalnie to Dragon wyprowadza ludzi — wyjaśnił, widząc moje zdziwione spojrzenie. — Coraz bardziej podejrzewam, że właściciele też wyprowadzał i któregoś dnia po prostu nie wytrzymali tempa.

Chęć bycia wyprowadzoną na taki spacer zadeklarowałam bez chwili namysłu.

Atmosfera nieco się rozluźniła i drugą kawę wypiliśmy już bez parzenia

sobie ust. Po godzinie sympatycznej rozmowy na psie tematy Łukasz podniósł się niechętnie z kanapy. Równie niechętnie odprowadziłam go do przedpokoju, robiąc w myślach przegląd swoich planów na kolejny tydzień. Właściwie czasu teraz miałam całkiem sporo. Krzysztofa się pozbyłam, patronat nad cyrkiem w pracy obejmie znów Darek, a nad wszechobecnym bałaganem w życiu Darka — Beatka. Mogłabym z chłopakami codziennie na te spacery latać...

— Będiesz na urodzinach pani Elizy? — zapytałam od niechcienia.

Jeśli chciałam zburzyć przyjemną atmosferę wieczornej kawki, udało mi się znakomicie. Łukasz natychmiast się skrzywił.

— Nie wiem... Chyba nie.

— Żartujesz? Na ślubie brata byłeś, a do mamy na pięćdziesiątkę nie przyjdiesz? — zdziwiłam się nietaktownie, z nadzieją, że w końcu coś się wyjaśni.

— Na ślubie brata mogłem być, hm, mało widoczny... — coraz bardziej widowiskowy szczękościsk u Łukasza walczył z kiepską imitacją uprzejmego uśmiechu. — Pewnie Darek ci mówił, że mamy z ojcem niezbyt dobre relacje.

— Coś tam wspomniał...

— Nie zrozum mnie źle — westchnął Łukasz. — Mama jest naprawdę dla mnie bardzo ważna, ale nie będę jej psuł uroczystości, kłócąc się z ojcem. A od kilkunastu lat kłócimy się przy każdej możliwej okazji, więc obawiam się, że to nie byłby wyjątek... Sama widzisz...

— Faktycznie, niedobrze — przyznałam. — Ale przemyśl to jeszcze. Może przemycimy cię w torcie jako niespodziankę?

Szczękościsk zelżał i Łukasz znowu uśmiechnął się szczerze, choć w głębi tego uśmiechu dostrzegłam zmęczenie i rezygnację.

— Dobrze, tylko się zastanów, jaki miałby być ten tort. Uprzedzam, że kokosowy albo toffi wyżarłbym jeszcze przed początkiem imprezy — zadeklarował. — Nic, wracam do domu i do tej niszczarki skarpetek.

Odruchowo spojrzałam na stopy Łukasza. Widoczne na nich skarpetki były w całkiem niezłym stanie...

— Te są nowe — wyjaśnił uprzejmie Łukasz. — Musiałem kupić zapas, bo Dragon unicestwił już siedem par. I nie mów, że mam lepiej chować, bo ostatnio wywlókł z kosza na brudne rzeczy.

— Można zakleić taśmą albo są takie magnesiki na szafki, żeby małe dzieci nie otwierały... — wyrwała mi się życzliwa porada.

Łukasz spojrział na mnie z powątpiewaniem.

— Wiesz co, Ola? Przywiozę ci Dragona na tydzień i wypróbujesz sobie te magnesiki. Ten pies jest trochę bardziej skuteczny w szerzeniu destrukcji niż wszystkie małe dzieci świata.

Z lekkim zażenowaniem przyznałam się do całkowitej ignorancji w zakresie wiedzy kynologicznej i obiecałam nadrobić braki w lekturze i w praktyce.

Pożegnaliśmy się, umawiając się na telefon, jak tylko sprowadzę nowożeńców z rajy na ziemię.

„Oby sobie tyłków przy lądowaniu nie poobijali”, pomyślałam z obawą, zamykając za Łukaszem drzwi. Potem wróciłam do salonu posprzątać kubki po kawie. Odkładając do barku cukierniczkę, dostrzegłam na półce przyniesione przez Łukasza płyty. „Bałaganiarstwo jest u nich rodzinne”, stwierdziłam zirytowana, odnosząc dvd na regał obok telewizora. Łukasz zostawił je zupełnie bez sensu, obok szuflady z dokumentami.

W ciepłym szlafroku było mi przyjemnie i ambitne plany wycieczki na zakupy szybko pochłonęło miłe rozleniwienie. Postanowiłam resztę wieczoru spędzić przy komputerze i zgłębić zagadnienie potrzeby pożerania skarpetek, tudzież inne tajniki psiej psychiki. Nie zdążyłam jednak wygodnie rozsiaść się w fotelu, gdyż telefon po raz kolejny poderwał mnie na równe nogi.

— No niech cię cholera! — syknęłam, ale patrząc na wyświetlacz, szybko zmieniłam nastawienie wobec dzwoniącego. Zamiast zastrzeżonego numeru pojawił się numer Łukasza.

— Cześć — rzuciłam zdziwiona. — Zapomniałeś czegoś?

— Nie do końca — w głosie Łukasza wychwyciłam zdenerwowanie, bardzo dalekie od nastroju, w jakim rozstaliśmy się kilka minut wcześniej. Natychmiast zdenerwowałam się też sama. — Ola, czy ja dobrze pamiętam, że ty jeździsz seledynową sto szóstką?

— Tak — powiedziałam ostrożnie. — Z tyłu na szybie ma nalepkę z łosiem i napisem po szwedzku...

— Łosia widzę, a szwedzkiego nie znam, wierzę ci na słowo — stwierdził ponuro Łukasz. — Słuchaj, jestem pod klatką, przy twoim aucie. Masz porżnięte wszystkie opony... Możesz zejść?

— Jak to porżnięte? — spytałam niespokojnie. — Szlag... Zaczekaj, tylko się ubiorę!

Przytomności starczyło mi na tyle, żeby założyć ulubiony domowy dres. O włożeniu obuwia już nie pomyślałam. W ciągu kilku sekund wyprysłam przed blok w skarpetkach.

Łukasz przykucnął obok niewątpliwie mojego samochodu i oglądał pozbawione powietrza opony.

— Cholera, przecież nie jeździłam po gwoździach — jęknęłam załamana.

Łukasz w skupieniu przeciągnął palcem po jednej z opon.

— Ola, nie chcę cię martwić, ale tego cały skup złomu by nie załatwił — mruknął. — Zobacz, jak równiutko pocięte. Ktoś postanowił popsuć ci humor.

Obeszłam auto, przykucając obok kół. Opony na każdym z nich miały identyczne nacięcia długości około pięciu centymetrów. Przyglądałam się im z niedowierzaniem, mamrocząc pod nosem przekleństwa.

— Straż miejska się mści za akcję z Dragonem — jęknęłam w końcu, siadając na krawężniku. — Ekipa remontowa, bo kazałam im naprawić rozwaloną ścianę na ich koszt... Krzysiek, bo go rzuciłam...

Łukasz usiadł obok, patrząc na mnie ze współczuciem.

— Wiesz co, może faktycznie ten twój były. Nie znam go, to jakiś wariat?

Parsknęłam ponurym śmiechem. To by było za proste...

— Nie ma mowy, Krzysztof jest za bardzo obrażony. Jak znam życie, będzie teraz udawał, że nie istnieje, a pocięcie mi opon raczej by znaczyło, że jednak przyjmuje do wiadomości fakt mojego istnienia.

— No dobra, tak czy inaczej musisz to zgłosić na policję — Łukasz nie miał ochoty wdawać się w dysputy na temat charakteru Krzysztofa. — No i w ubezpieczalni, bo na własny koszt chyba nie będziesz tych opon zmieniała.

— O Jezu... — jęknęłam, przytłoczona perspektywą bezowocnego zapewne latania w stosowne miejsca. — Akurat teraz... Co ja załatwię w weekend? Jeszcze te cholerne zakupy... Tylko błagam, nie mów mi, że na pewno sobie świetnie poradzę, tylko wystarczy się zorganizować — wrzasnęłam, widząc, że Łukasz chce coś powiedzieć.

— Nie do końca to miałem na myśli — sprostował Łukasz. — Chciałem zaproponować, że pojeżdżę z tobą i pomogę pozałatwiać, co trzeba. Chodź, wrócimy na górę i pomyślimy, co z tym zrobić.

Siedziałam jak zaklęta, słuchając słów lejących się jak cudowny balsam na moje zbolełe serce. Pierwszy raz w życiu uzyskałam od faceta konkretną propozycję pomocy i wyglądało na to, że jest ona całkiem realna. Nie może być, czyżbym wreszcie trafiła na pokazowy egzemplarz wymarłego gatunku znanego jako prawdziwy mężczyzna?

Tymczasem prawdziwy mężczyzna w pierwszej kolejności uznał za stosowne uchronić mnie przed złapaniem wilka. Podał mi rękę i pozbierał z krawężnika.

— Jutro rano przyjadę z aparatem i zrobimy zdjęcia — obiecał. — Teraz jest za ciemno, ale warto obejrzeć jeszcze raz samochód, może jeszcze będą niespodzianki.

— Jezu, nie — wytchnęłam, rzucając spłoszone spojrzenie na lakier na masce. — Opony przeżyją, ale nie lakier...

— Zobaczmy — mruknął Łukasz, biorąc mnie pod ramię i prowadząc w kierunku klatki schodowej. — Chodźmy, zimno się robi. A, znalazłem coś za wycieraczką — przypomniał sobie.

— List miłosny? Czy spowiedź sprawcy tej destrukcji? — spytałam beznadziejnie, patrząc, jak grzebie w kieszeniach.

— Nie, wygląda na zwykłą ulotkę — Łukasz podał mi pognieciony kawałek kartki. — Przepraszam zresztą, że ją wyciągałem, mam po prostu awersję do ulotek

za wycieraczkami i wszystkim znajomym je usuwam. Odruchowo.

— Jakaś trauma? — spytałam od niechcienia, otwierając drzwi do mieszkania. „Chwalić Boga na wysokościach, że wybiegając, zapomniałam tylko o butach, a nie o zamknięciu domu”, przemknęło mi przez myśl. W przedpokoju ściągnęłam brudne skarpetki i wrzuciłam do łazienki. Kiedy weszłam do kuchni, Łukasz wstawiał wodę na kawę.

— Można powiedzieć, że trauma. Któregoś dnia nie wyjąłem ulotki z za wycieraczki — wyjaśnił. — I niestety wyleciała w momencie, kiedy zaczął padać deszcz. Wyleciała, zdekoncentrowała mnie i wylądowałem w rowie.

— Ups — skrzywiłam się. — Też bym miała traumę. Stało się coś poważnego?

— I tak, i nie — wzruszył ramionami Łukasz. — Tak, bo skasowałem auto i trochę się połamałem. Nie, bo dzięki temu uniknąłem pewnej nieprzyjemnej sprawy rodzinnej. Inna sprawa, że ojciec się wściekł... — westchnął.

Zalałam kawę, usiłując ukryć zachłanne zainteresowanie tematem. Najdrobniejsza nawet wzmianka o sytuacji rodzinnej Nawrockich była zdolna do wywołania ataku totalnej obojętności wobec wszystkich innych, zaprzatających mi głowę chwilę wcześniej spraw. „To się wścibstwo nazywa”, burknął zniesmaczony rozum, jednak tym razem nie miał okazji czepiać się zbyt długo. Ostatecznie w tej sytuacji wścibstwo można było całkiem zgrabnie usprawiedliwić troską, jakiej nie był uprzejmy przed laty wykazać pan Antoni...

— Jak dla mnie, to powinien raczej martwić się o syna, który mógł sobie zrobić krzywdę — zauważyłam ostrożnie.

— Tak, ale syn miał wypadek z własnej głupoty — pokiwał smętnie głową Łukasz. — Tak głupia ulotka przewróciła mi życie do góry nogami... I dlatego mam awersję do makulatury za wycieraczkami.

— Ciekawe, co to w ogóle jest? — przypomniałam sobie o leżącej na stole ulotce z mojego auta. Łukasz wziął ją do ręki i wyciągnął w moim kierunku. Rzuciłam okiem i natychmiast odechciało mi się oglądania jej z bliska.

— Wywal to — syknęłam, widząc znajome logo. — Reklama salonu samochodowego, w którym pracuje mój były. Do denerwowania się wystarczą mi teraz opony, nie mam ochoty jeszcze o tym myśleć...

Łukasz ze zrozumieniem pokiwał głową i cisnął papier do kosza.

— W poniedziałek od rana mogę z tobą podjechać na policję — zadeklarował. — Nie wiem, jak z ubezpieczalnią, czy oni to pokryją...

— Pokryją — machnęłam ręką. — Mam ac, w to wchodzi też ochrona przed działaniem wandalii i wariatów. Gorzej, bo jutro miałam odebrać Beatę i Darka z lotniska, no i zakupy im zrobić, bo już nawet rybkom żarcie wychodzi. Auta Darka nie wezmę, bo stoi gdzieś tam na strzeżonym parkingu i nie mam dokumentów.

Łukasz po raz kolejny zademonstrował mi, na czym polega różnica między

Krzysztofem a prawdziwym facetem.

— No dobra. Ustalmy plan na jutro. O dziewiątej przyjadę i zrobimy zdjęcia auta. Potem jedziemy na zakupy. O którejś tam odbieramy nowożeńców...

— O czwartej — wtrąciłam.

— No, to całkiem sensownie — ucieszył się Łukasz. — Zmieścimy jeszcze spacer z piesem.

— Psem — poprawiłam odruchowo.

Łukasz wzruszył ramionami.

— Piesem — z biesem lepiej się rymuje. Nie masz wrażenia, że poprawny język czasem nie do końca oddaje to, co chcesz przekazać?

— Błagam, nie mów, że potrzebne są piekielne porównania, żeby celnie określić charakter Dragona — popatrzyłam na Łukasza z niedowierzaniem. — Ja bym mu raczej domalowała skrzydła i aureolę.

Łukasz skomentował moją naiwność głośnym parsknięciem.

— Wiesz, co teraz robi ten anioł? — zapytał. — Zżera stare opony od mojego motoru. To znaczy, mam nadzieję, że to robi — zaniepokoił się nagle. — No nie patrz tak, amstaff zostawiony bez zajęcia to pies demolka. Albo zorganizujesz mu zajęcie, albo świetnie zajmie się sobą sam. Ale, uwierz mi, ta pierwsza opcja jest bez porównania lepsza.

Nie wiem, jakiego rodzaju wizje zakwitły w umyśle Łukasza, jednak perspektywa totalnej apokalipsy w wykonaniu Dragona znacząco przyspieszyła decyzję o zakończeniu konwersacji. Dość niechętnie poszłam za nim do przedpokoju i w milczeniu obserwowałam, jak zakłada buty i kurtkę. Bez względu na mroczne tajemnice, jakimi owiana była według Darka postać jego brata, z każdą wspólnie spędzoną chwilą czułam się w obecności Łukasza coraz lepiej. Coraz bardziej bezpieczna. Szanowana. Akceptowana. I jeszcze coś, czego sprecyzowanie po ostatnich doświadczeniach za bardzo mnie przerażało, bym w ogóle chciała dopuścić to do głosu. A jednak przedzierało się poprzez kolejne warstwy podświadomości, pchało się do głowy coraz bardziej natrętnie, by przybrać konkretną postać w chwili, gdy Łukasz posłał mi ciepły uśmiech na pożegnanie.

Razem z jego wyjściem ulotniło się również beztroskie uczucie, że w ciągu najbliższych dni uda się zapanować nad kołomyją, którą ktoś bardzo mało życzliwy postanowił urozmaicić mi życie. Usiadłam w kuchni z zimną już kawą i na wyrwanej z notesu kartce spróbowałam spisać w punktach kolejne sprawy do załatwienia. Patrząc na gotowy spis, uśmiechnęłam się smętnie. Wszystko tu wyglądało na faktycznie proste i nieskomplikowane, zwłaszcza że miałam pod ręką dwóch życzliwych i chętnych do pomocy mężczyzn, co stanowiło w moim życiu ewenement na dużą skalę. O ile na dobre chęci Darka mogłam liczyć bez względu na okoliczności, o tyle Krzysztof i jego poprzednicy nawalali koncertowo. W przerwach pomiędzy licznymi wyjazdami służbowymi mogłam również liczyć na

ojca, jednak świadoma jego obciążeń zawodowych nie chciałam dokładać mu troski o trzydziestokilkuletnią jedynaczkę z wyjątkowym niefartem do związków. „Może powinnam zmienić orientację”, pomyślałam histerycznie i do listy planowanych zadań dopisałam w głowie: „Umówić się do psychiatry”.

Przed snem przejrzałam w Internecie dostępne strony dotyczące wypłaty ubezpieczenia w przypadku szkodliwej działalności nieżyczliwych jednostek ludzkich. Pokrzepiona wizją pozytywnego załatwienia sprawy pomimo krętej i pełnej niespodzianek pisanych małym druczkiem drogi, jaką miałam do przejścia, zasnęłam tuż przed dwudziestą trzecią. Problem tożsamości owej nieżyczliwej ludzkiej jednostki usunął się na dalszy plan, podlany delikatnie resztkami białego wina z wesela Beatki i Darka.

Znajomy dźwięk wyrwał mnie ze snu kilka minut przed trzecią. Zanim zdążyłam ustalić, dlaczego nastawiłam budzik na tak nieludzką porę, dotarło do mnie, że to jednak nie budzik się wydziera i z moim stanem psychicznym, tudzież stopniem upojenia alkoholowego, nie jest najgorzej. Problem stanowiła osoba, która wybrała sobie bardzo niestosowną godzinę na prowadzenie telefonicznej konwersacji. „Albo ktoś zwariował, albo coś się stało”, przemknęło mi przez myśl i zarzuciłam zamiar odrzucenia połączenia. Coraz bardziej przytomna i zaniepokojona odebrałam.

— Halo? — wytchnęłam nerwowo i nie wiedzieć dlaczego, szeptem. Ostatecznie dopóki nie darłam się na balkonie na całe gardło, prawdopodobieństwo obudzenia kogokolwiek było znikome.

W słuchawce usłyszałam stłumiony śmiech.

— Cześć Ola, już chcesz mnie zabić?

— Zwariowałaś? — jęknęłam. — Byliśmy umówieni na dziewiątą! Gdybym wstała o siódmej, to spokojnie bym się wygrzebała! Nie nakładam makijażu trzy godziny!

— To świetnie się składa. Mam propozycję. Ubierz się ciepło i za dwadzieścia minut bądź pod klatką.

— Na miły Bóg, po co? Będziemy dla odmiany teraz my różną opony w cudzych autach?

— Nie, idziemy na spacer z psem — usłyszałam enigmatyczną odpowiedź. — Tylko Ola...

— Co!?

— Załóż buty. W samych skarpetkach będzie ci zimno. Do zobaczenia.

Siedziałam otępiała i wpatrywałam się w telefon, choć mój rozmówca zdążył się rozłączyć. Czyżby Łukasz również dokonał czystki w barku, tyle że w bardziej spektakularnym stylu? Przez telefon jego głos brzmiał całkiem trzeźwo... Zanim zdążyłam zdecydować, co myślę, wciągnęłam dzinsy i bluzę. Po chwili wygrzebałam z szafy Darka kurtkę. Ponieważ miałam jeszcze kilka minut, umyłam

zęby i tknięta impulsem zaparzyłam kawę w dwóch kubkach termicznych. Również dwadzieścia minut po niezwykłym telefonie wyszłam z mieszkania i zesłam na podwórko.

Łukasz stał oparty o samochód przed klatką schodową i bawił się kluczykami.

— Masz buty? — uśmiechnął się na mój widok.

— A ty rozregulowany rytm dobowy? — odgryzłam się. Rześkie powietrze szybko przywróciło mi przytomność umysłu. — Jak chcesz wiedzieć, to mam nawet dwie pary skarpet. Czy możesz mi wyjaśnić, co my robimy?

— Mówiłem ci, idziemy do parku na spacer z psem-biesem...

W ostatniej chwili Łukasz zdążył chwycić trzymane przez mnie kubki z kawą i odstawić na dach samochodu. Kilka sekund później złapał mnie, gdy potężny pies-bies wyskoczył z krzaków i przywitał się ze mną czułym buziakiem.

— Tak jak mówiłem, jest bardzo spontaniczny i niezdyscyplinowany — uśmiechnął się Łukasz przepaszająco, próbując mi pomóc w utrzymaniu równowagi, gdyż Dragon opierał przednie łapy na moim brzuchu i nadal wylewnie się witał.

— Nie szkodzi, fajnie, że mnie nie zapomniał — wymruczałam, tarmosząc uśmiechniętą zawadiacko mordę. — Czy wy obaj cierpicie na bezsenność, czy po prostu pies ma problem z pęcherzem?

Pies uznał wreszcie, że powitanie zostało odpracowane i usiadł na chodniku, patrząc wyczekująco to na mnie, to na Łukasza. Najwyraźniej, podobnie jak ja, nie do końca był wtajemniczony w plany swojego nowego pana, jednak miał bardziej otwarty umysł i gotów był na każde urozmaicenie. Wyrwanie ze snu potraktował jak miłą odmianę i nie miał zamiaru czepiać się oryginalnej pory spaceru.

Pozytywne nastawienie Dragona szybko mi się udzieliło i postanowiłam odpuścić dąsy z powodu pobudki.

— Gdzie chcecie iść na ten spacer? — zainteresowałam się.

— Tam, gdzie dobrze widać niebo — zasugerował Łukasz tajemniczo.

— To mnie oświeciłeś...

Łukasz bez słowa wyciągnął z samochodu sporych rozmiarów torbę.

— Weź, proszę, kawę — rzucił, zamykając auto. — Dragon, park!

Komenda najwyraźniej została już opanowana, bo pies z przejęciem potruczał w kierunku parku, w którym czekaliśmy na straż miejską, kiedy go znalazłam. Szybkim marszem ruszyliśmy za nim.

— Często tu przychodzicie? Dobrze zna drogę — zauważyłam, kiedy zziąjani dotarliśmy na miejsce.

— Sam mnie tu zaczął przyprowadzać — wydyszał Łukasz. — Cholera, zawsze myślałem, że mam dobrą kondycję, a ile razy z nim wychodzę, zadyszka jak w pysk strzelił. Wiesz co, pójdziemy na te ławki nad stawem, to będzie dobre

miejsce.

— Rozumiem, że za każdym razem skuteczniacie takie sprinty?

— Trzy razy dziennie, przy czym dwa po pół godziny, a jeden dłuższy — godzina, dwie... Przyznam ci się, miałem pomysł, żeby się zapisać na siłownię, ale chyba już nie muszę...

Gdy dotarliśmy na miejsce, Łukasz odstawił ostrożnie torbę i wziął ode mnie kawę.

— Miałaś dobry pomysł — pochwalił. — To cappuccino?

— Orzechowe — mruknęłam. — Wiem, że pomysł był dobry, ale ciągle nie wiem, po co? Czy ja zostałam wywleczona z łóżka o trzeciej nad ranem tylko po to, żeby wypić z tobą kawę w pustym parku w środku nocy? Bo jeśli to miało być romantyczne, to o tej godzinie i przy tej temperaturze, wybaczone, ale żaden romantyzm do mnie nie przemawia... Zwłaszcza w dresie...

Łukasz parsknął śmiechem i z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Dobra, zamknij oczy.

— Z miłą chęcią — wymamrotałam, przymykając powieki.

— Ale nie śpij! Czekaj jeszcze...

Drgnęłam, czując na ramionach dotyk dłoni Łukasza, jednak pozwoliłam, by powoli odwrócił mnie i delikatnie poprowadził kilka kroków do przodu. Na szyi poczułam ciepły oddech, gdy pochylił się i wyszeptał mi do ucha:

— Już...

Posłusznie otworzyłam oczy i zamarłam.

Nad naszymi głowami na doskonale czarnym tle nocnego nieba widniała srebrna kula Księżycy, dzisiejszej nocy spowita prawie całkowicie ciemną, grafitową mgłą. Delikatne punkciki gwiazd pomimo braku chmur przebłyskiwały przez czerń przytłumionym światłem, nie chcąc odbierać magii niezwyklej metamorfozie, jakiej dzisiejszej nocy uległ Księżyc.

— Jest niesamowity — westchnęłam, patrząc urzeczona. — Jeszcze nigdy takiego nie widziałam...

— I szybko nie zobaczysz drugi raz — uśmiechnął się Łukasz. — Kolejna szansa za osiemnaście lat.

Spojrzałam na niego pytająco, jednak po kilku sekundach wróciłam wzrokiem do ogromnej kuli. Dopiero teraz zauważyłam, że na jej czubku ledwo dostrzegalnie zaczyna rozlewać się plama intensywnej czerni.

— Czy fakt, że wyciągnąłem cię z łóżka, żebyś mogła zobaczyć zaćmienie Księżycy, jest wystarczającym usprawiedliwieniem? — usłyszałam głos Łukasza i bezwiednie pokiwałam głową. Zachłannie wpatrywałam się w niezwykle zjawisko, wyzuta z resztek senności.

— Dla takiego Księżycy możesz codziennie mnie budzić w środku nocy...

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, wpatrzeni w niebo.

— Chodź — drgnęłam, gdy Łukasz pociągnął mnie za rękę.

— Zaczekaj jeszcze — poprosiłam, choć stopy i dłonie powoli, lecz nieubłaganie zagarniał przenikliwy chłód. — Chcę jeszcze popatrzeć...

— Nie do domu, tylko na ławkę — sprostował Łukasz. — Widzę, że zrobiło wrażenie. Czekaj, to dopiero początek.

Bez słowa ruszyłam w stronę ławki. Łukasz stał już przy niej i otwierał dużą, turystyczną torbę. Wydobył z niej kraciasty koc i narzucił mi na ramiona, zanim usiadłam.

— Widzę, że się przygotowałeś — mruknęłam wzruszona, otulając się ciasno.

— I nawzajem, ty przyniosłaś kawę.

— No to brakuje grilla... Masz w tej torbie grilla? — zainteresowałam się, bo nareszcie obudziła się ta część mnie, w której drzemało cięte poczucie humoru.

— No nie mam, nawaliłem — roześmiał się Łukasz. — Mam za to lepszy sprzęt do uwiecznienia tego cuda niż komórka.

— Nie znam się, ale wygląda bardzo profesjonalnie — pokiwałam głową z uznaniem, patrząc, jak wyciąga z pokrowca aparat.

— Nie jest to najwyższa półka, ale powinien wystarczyć.

Przyglądałam się w milczeniu, jak reguluje ustawienie obiektywu.

— Zgrasz mi potem te zdjęcia? — poprosiłam.

— Tak, pod warunkiem, że to wrzucisz jako tapetę w komputerze.

Zanim zdążyłam się zorientować, wycelował obiektyw w kępę krzaków tuż nad stawem. Flesz błysnął, oświetlając wystającą z zarośli psią paszczę z wyciągniętym jęzorem. Roześmiałam się głośno.

— Też chcę takie ujęcie — zażyczyłam sobie. — W krzakach z Dragonem, będzie idealne na profilowe na Facebooku!

— Lepiej na tle Księżycy — Łukasz zadarł głowę, wpatrując się w niebo. — Popatrz teraz...

Podążyłam wzrokiem w tym samym kierunku i z piersi wyrwał mi się jęk zachwyty. Zamarłam, wpatrzona z bezbrzeżnym wzruszeniem w magiczne zjawisko, które rozgrywało się na naszych oczach.

W ciągu kilku minut, które poświęciliśmy na rozmowę, czarna mgła pochłonęła Księżyc niemal całkowicie. Jedyne na dole nadal prześwitywały drobinki srebrnego blasku. Tymczasem od góry na wielką kulę niebo opuszczało kolejną zasłonę ciemnego tiulu.

— Popatrz, robi się czerwony — wyszeptałam. — Zawsze myślałam, że przy zaćmieniu jest po prostu przesłonięty.

Łukasz przez chwilę nie odpowiadał, robiąc zdjęcia rdzawoczerwonej mgły, która z każdą minutą coraz bardziej pochłaniała Księżyc.

— Krwawy Księżyc... Nazwa pasuje idealnie — mruknął.

— Coś w tym jest — przyznałam zafascynowana, przyglądając się coraz bardziej czerwonej tarczy na niebie. — Ale zbyt złowieszczą dla tak pięknego zjawiska. Zobacz, jak dokładnie widać rzeźbę powierzchni. Zupełnie, jakby był naprawdę blisko.

— Jest bliżej niż zazwyczaj — wyjaśnił Łukasz. — Dziś przypada perygeum, to znaczy, że Księżyc jest w najbliższej możliwej odległości od Ziemi. Dlatego zależało mi, żebyś to zobaczyła. Te dwa zjawiska naprawdę nie występują razem zbyt często...

— Proszę cię, pamiętaj, żeby za te osiemnaście lat znowu mnie obudzić...

Łukasz roześmiał się cicho.

— Będę pamiętał...

Przez dłuższą chwilę przyglądaliśmy się w milczeniu spektaklowi, jaki na dziś przygotowała noc. Panującą w parku ciszę przerywał jedynie szelest krzaków, w których nieczuły na urok Księżyca Dragon buszował z przytarganym znad stawu kijem. Zgodnie ze słowami Łukasza świetnie potrafił znaleźć okazję do zabawy w każdych okolicznościach, a ponieważ nie oddalał się od nas zbyt daleko, mogliśmy całkowicie skupić uwagę na obserwacji niezwyklego zjawiska na niebie.

Przykryta kocem zapomniałam o zimnie. Obserwacja Księżyca pochłonęła mnie bez reszty. Dopiero po chwili zorientowałam się, że Łukasz na zdjęciach postanowił uwiecznić coś więcej niż zaćmienie.

— Daj spokój, nie rób mi zdjęć — roześmiałam się nerwowo. — Nie wytrzymuję konkurencji z Księżycem.

— Moim zdaniem doskonale się uzupełniacie — stwierdził Łukasz, ale odłożył aparat. — Za osiemnaście lat zrobimy nowe zdjęcia i porównamy z dzisiejszymi. Zobaczysz, na pewno będziemy wyglądać dużo młodziej — uśmiechnął się zawadiacko.

— Młodość przemija, uroda na szczęście zostaje — parsknęłam śmiechem. — Prześlij mi te zdjęcia, dobrze? Może w tym świetle nie będzie widać, że mam opuchnięte oczy. Skoro nikt jeszcze nie wynalazł buteleczek, trzeba bardziej tradycyjnie utrzymywać niezwykle chwile...

— Jakich buteleczek? — Łukasz spojrzał na mnie zdezorientowany.

— Buteleczek na wspomnienia — wyjaśniłam. — Kiedy byłam małą, bardzo chciałam mieć takie małe buteleczki, do których można łapać piękne chwile. Każda chwila miałaaby inny kolor, żeby było potem łatwo odszukać właściwą buteleczkę i wrócić do wspomnień. A później znowu zamknąć i przechowywać, tak żeby nigdy nie zapomnieć najbardziej niezwykle momentów życia... — rozmarzyłam się.

— Niezłe — Łukasz pokiwał głową z uznaniem. — A jak wyjąć taką chwilę z buteleczki? — zapytał i oboje się roześmialiśmy.

— Widzisz, tego jeszcze nie dopracowałam...

„Tak bardzo chciałabym teraz mieć buteleczkę”, pomyślałam, patrząc z

załem na Księżyc, z którego rdzawa zasłona powoli opadała, dając znak, że niezwykła noc zbliża się ku końcowi. Magia spędzonych wspólnie godzin z każdą minutą słabła. Jeszcze trochę i zupełnie pochłonie ją chłodny świt i szum budzącego się dnia. Całą sobą pragnęłam zabrać z parku czar wrześniowej nocy, nawet utrwalony jedynie na obrazach, nawet pozbawiony dotyku ciepłego koca, echa naszych słów w spokojnej ciszy, zapachu siedzącego obok mnie bardzo blisko mężczyzny, który powinien być mi zupełnie obcy i obojętny. Czułam, że choć fotografie będą wyzute z delikatnych wibracji, jakie przepływały pomiędzy nami, na każdej z nich odczytam słowo, do którego tak bardzo się bałam przyznać. „Kochana”... Słowo, które najpierw ledwo słyszalnie wyszeptała, a teraz krzyczała całą sobą noc, w miarę jak roztapiała się w pierwszych promieniach słońca.

— Ola, już prawie szósta — wyszeptał Łukasz zachrypniętym głosem. Zachłannie wpatrzeni w niebo, nie czuliśmy chłodu wrześniowej nocy, który o poranku stał się dotkliwy i nieprzyjemny. — Chyba będziemy się zbierać.

Z ociąganiem wstałam z ławki, nadal szczelnie okryta kocem i omal nie nadepnęłam na Dragona, który pochrapywał cicho obok naszych stóp. Wiedziony nadzieją, że nawet tak ruchliwe psisko kiedyś się zmęczy, Łukasz również dla piesa-biesa zabrał ciepły koc i brezentową podkładkę.

— No, przynajmniej ten się wyspał — uśmiechnęłam się smętnie. Nie cieszyła mnie perspektywa powrotu do szarej rzeczywistości.

— Dopiero zasnął, więc liczę, że odwiozę go do domu i będzie dalej spał — Łukasz delikatnie przypiął smycz do obroży. — Odprowadzę cię, odstawię Dragona i pewnie przyjadę z powrotem — uśmiechnął się. — Zrobisz jeszcze kawę?

Kiwnęłam głową.

— Śniadanie też przygotuję — zadeklarowałam. — Może być na ósmą?

— No to rozumiem, że do zobaczenia za jakieś... dwie godziny? — ziewnął Łukasz, kiedy dotarliśmy na parking.

— Chyba nie opłaca się iść spać... — mruknęłam, przyglądając się, jak pakuje do samochodu Dragona. Zaspane zwierzę w drodze powrotnej człapało za nami, zupełnie pozbawione swego zwykłego ADHD, a teraz gramoliło się na tylne siedzenie, niezdarnie wykorzystując ręce pana jako podpórkę. Czując pod sobą stabilne ciepło pokrowca, Dragon ziewnął potężnie i natychmiast zasnął.

— Popatrz, mogłem mu zrobić zdjęcie z tymi zębiskami na wierzchu — zachichotał Łukasz. — Powiesiłbym na drzwiach mieszkania z napisem: „Uwaga! Zły pies!”.

Zły pies wyciągnął się na całą długość siedzenia, kompletnie ignorując żarciki na swój temat.

— Jak Boga kocham, on się wreszcie zmęczył — Łukasz z niedowierzaniem wpatrywał się w psie zwłoki na siedzeniu. — Druga prawda, że ja też.

— Nie wyglądasz — rzuciłam uprzejmie. — A mi pozostaje zrobić jakieś okłady pod oczy i maseczkę maskującą księżycową bladość. Mam nadzieję, że zdążę, zanim się pojawisz.

— Zdążysz... Muszę zgrać zdjęcia, wykąpać się i zmotywować psa, żeby odpracował czynności toaletowe.

— To o ósmej...

— O ósmej...

Przez chwilę stałam, machając chłopakom, kiedy odjeżdżali sprzed bloku. Potem, tknięta niedobrym przeczuciem, jeszcze raz podeszłam do swojej sto szóstki sprawdzić, czy tajemniczy złośliwiec nie wykorzystał naszej księżycowej randki, by dokończyć dzieło zniszczenia. Szczęśliwie oprócz żałośnie sflaczałych opon nie dostrzegłam kolejnych śladów wandalizmu. Uspokojona w kwestiach samochodowych, skierowałam myśli ku drugiemu gnębiącemu mnie problemowi.

„Jakiej księżycowej randki, idiotko? To żadna randka nie była...” Ta jedna myśl kołatała mi się w głowie, kiedy wlokłam się po schodach do mieszkania.

Kilka minut przed ósmą Łukasz pojawił się na śniadanie. Po raz pierwszy jego przybycie nie przyprawiło mnie o stan przedzawałowy, gdyż zdecydował się użyć tradycyjnego dzwonka do drzwi.

— Jak miło, że zrezygnowałeś ze straszenia mnie pod prysznicem — ucieszyłam się, wpuszczając go do mieszkania. — Zaraz zrobię śniadanie.

— Kupiłem bułki — Łukasz wręczył mi siatkę z zakupami. — Jeszcze ciepłe. Takie są plusy nocnych spacerów kończących się nad ranem. Włącz laptopa, zgram zdjęcia.

— Już się boję — mruknęłam, niosąc bułki do kuchni. Delikatny zapach świeżego pieczywa sprawił, że żołądek boleśnie skręcił mi się z głodu. Ostatnie dwie godziny spędziłam pod prysznicem, a następnie na fotelu z maseczką łagodzącą objawy zmęczenia, uprzednio schłodzoną w lodówce. Skupiona na zabiegach upiększających, sporo myślałam o kosmetycznych walorach ogórków, kompletnie zapominając o odżywczych.

— Wyglądam tylko jak żywy trup czy jak żywy trup ekshumowany po wieloletnim spoczynku? — zainteresowałam się i przyniosłam do kuchni laptopa. Uruchomiłam sprzęt i ustapiłam miejsca Łukaszowi. Sama zajęłam się przygotowaniem kanapek i kawy.

— Ola, błagam — jęknął Łukasz. — Czy ja wyglądam na człowieka, który włóczyłby się nocą po parku z nieboszczką po ekshumacji? Szczerze mówiąc, sam jestem ciekaw tych zdjęć, bo jeszcze ich nie oglądałem.

Postawiłam na stole duży talerz z kanapkami, sałatkę i talerzyki, po czym zajrzałam Łukaszowi przez ramię.

— O! Mój samochód! — zdziwiłam się, gdy na monitorze wyświetliła się seria fotografii przedstawiających rozmaite ujęcia całego auta i poszczególnych

części. Fotograficzny talent Łukasza i jakość sprzętu bezlitośnie ujawniły cięcia zadane nieszczęsnym oponom.

— Co za bydlę jakiś — zgrzytnęłam zębami. — Sadysta cholerny, tak się mścić na oponach...

— Lepiej na oponach niż na lakierze. Albo hamulcach. Albo w ogóle na tobie — zauważył przytomnie Łukasz. — Zobacz, nie jest źle. Wygląda na to, że wyładował się na oponach i resztę odpuścił.

Przeglądaliśmy jedno zdjęcie po drugim. Żadne nie ujawniło nowych śladów destrukcji.

— A już się bałam, że mi się przyśniło i że tak naprawdę cały samochód mam zdemolowany — wyznałam z ulgą. — Rano jeszcze oglądałam auto, ale koniec końców byłam tak nieprzytomna, że miałam wątpliwości, czy to sen, czy jawa.

Zalałam kawę i usiadłam obok Łukasza. Przez kolejne pół godziny przeglądaliśmy zdjęcia z parku, kompletnie ignorując wszystkie zasady *savoir-vivre*, negatywnie odnoszące się do jednoczesnego jedzenia, dyskusowania i szaleńczego chichotania.

— Dragon w krzaczorach! — zaśmiewał się Łukasz, przerzucając klatka po klatce poszczególne etapy wyłaniania się psiej mordy z kępy krzaczków. W przytłumionej, krwawej poświacie błyszczące ślepie widoczne w zaroślach błyszczały wyjątkowo złowieszczo, tworząc cudowny kontrast z kolejnym zdjęciem, na którym widać było już cały łeb z wywieszonym jęzorem i przyklapniętym uchem. — Najbardziej zakazany pysk świata!

— Ale zobacz, wcale nie wyglądam jak zombie — ucieszyłam się. — Wyglądam całkiem ładnie!

— Wyglądasz rewelacyjnie — sprostował Łukasz. — To jedno z najlepszych zdjęć, jakie zrobiłem.

— Dobry sprzęt i fotograf...

— Dobra modelka...

— No dobrze, po prostu nie chciałam tego mówić głośno — zatrzepotałam teatralnie rękami i oboje się roześmialiśmy.

— Zobacz, nie tylko my wpadliśmy na ten pomysł z oglądaniem zaćmienia — stwierdziłam po chwili, pokazując jedno z kolejnych ujęć.

Za drzewami widać było niewyraźną chudą sylwetkę. Delikatnie powiększyłam zdjęcie.

— Trochę się dziwię — mruknęłam. — Wygląda, że kobieta. Sama. Nie wiem, czy odważyłabym się sama chodzić nocą po parku.

Przerzuciliśmy kilka ujęć, szukając miłośniczki samotnych nocnych spacerów.

— Faktycznie, nikogo więcej nie widać. Dla mnie głupota — wzruszył

ramionami Łukasz. — Bardzo cię proszę, nie bierz z niej przykładu.

Uroczyście obiecałam nie plątać się samotnie po parkach i zaczęłam sprzątać naczynia ze stołu. Po szybkim ogarnięciu kuchni poszłam do łazienki się przebrać i przygotować do wyjścia. Zależało nam na wczesnym załatwieniu zakupów, zanim spragniony sklepowych rozrywek tłum rzuci się do centrów handlowych.

Podbudowana widokiem, jaki ujrzałam na zdjęciach, opuściłam zabawę w wielkie malowanie. Pociągnęłam rzęsy tuszem i wykontuowałam twarz. Zadowolona z efektu, życzliwie przyjrzałam się odbiciu w lustrze i rozpuściłam spięte do tej pory włosy.

Łukasz chyba nie spodziewał się tak rekordowego tempa, bo nadal siedział przy laptopie i oglądał zdjęcia. Nie zauważył, kiedy podeszłam bliżej i intensywnie wpatrywał się w fotografie. Widząc skupiony wzrok i twarz, z której znikł uśmiech, niespokojnie rzuciłam okiem na monitor.

Czując za plecami moją obecność, Łukasz błyskawicznie zminimalizował fotografię i wyłączył komputer, po czym odwrócił się do mnie, przywołując na twarz uśmiech.

Zdążyłam zerknąć na widoczne przed chwilą zdjęcie, a nieco nerwowy grymas, jaki posłał mi Łukasz, mocno mnie zaniepokoił.

— Znasz tą babkę z parku, że ją tak dokładnie oglądasz? — zapytałam podejrzliwie.

Przez kilka sekund Łukasz patrzył na mnie z przyklejonym do twarzy uśmiechem, zastanawiając się, co zełgać, po czym nagle zmienił zdanie.

— „Tą babkę” czy „tę babkę”, jak to się właściwie odmienia?

Próba odwrócenia uwagi była wyjątkowo niezdarna. Nawet gdyby Łukasz wykazał się nieco większym kunsztem w tej dziedzinie, problem odmiany zaimków wskazujących był ostatnią kwestią, która zdołałaby zagłuszyć szalejący w mojej głowie tajfun podejrzliwości.

— TA babka wlała w kadr i najwyraźniej cię to martwi — rzuciłam zniecierpliwiona. — Widziałam, z jaką miną oglądałeś przed chwilą zdjęcia i jestem zła, bo wcześniej świetnie się bawiliśmy, a teraz wszystko diabli wzięli.

Łukasz z ciężkim westchnieniem postanowił wziąć na siebie odpowiedzialność za zepsucie przyjemnej atmosfery i nie kręcić więcej.

— Jest podobna do osoby, która mocno namieszała mi w życiu — wyjaśnił zrezygnowany. — Dostałbym szału, gdyby się okazało, że znów się płacze gdzieś w pobliżu. Nie wiem, po prostu chciałem się upewnić, że to nie ona.

— I co? — zapytałam niechętnie. Było zbyt pięknie, musiał się znów pojawić nachalny babsztyl na horyzoncie.

Zamyślony Łukasz przyszedł za mną do przedpokoju i powoli wziął do ręki kurtkę. Zniecierpliwiona powtórzyłam pytanie.

— Co? — ocknął się. — Nie, raczej mało prawdopodobne. Mam nadzieję.

„Żegnajcie marzenia o wspólnym oglądaniu zaćmienia za osiemnaście lat”, pomyślałam zgryźliwie i zupełnie bez sensu, jednak niedawna katastrofa miłosna spowodowana płataniami się obcych bab odebrała mi zdolność logicznego rozumowania. Sfrustrowana naciągnęłam buty i z trudem powstrzymałam się od nerwowego tupania, kiedy Łukasz wiązał swoje. Przez głowę z hukiem przelatywały mi wszystkie ostrzeżenia, jakie słyszałam od Darka. Postanowiłam wprawdzie ugryźć się w język i odpuścić dyskusje na temat babki w parku księżycową porą, jednak rozczarowana na wyrost i nieco przedwcześnie dusza domagała się zmanifestowania targających nią uczuć. W postaci manifestacji wystąpiło zatem solidne trzaśnięcie drzwiami, na które pozwoliłam sobie, gdy Łukasz był już na półpiętrze.

— Czasem się zacinają — mruknęłam, gdy spojrzął na mnie spłoszony.

— No cóż, dobrze, że znalazłaś na nie sposób...

Zapanowała krępująca cisza.

W milczeniu wsiedliśmy do samochodu, zaprzątnięci zamazaną postacią, która bezceremonialnie wtargnęła w nasze umysły, zakłócając pozostałą po niezwyklej nocy mgielkę wzajemnego przyciągania. Łukasza pochłonęły nieprzyjemne sprawy z przeszłości, mnie zaś dręczyło przeczucie, że sprawy te niezbyt dobrze nam wróżą na przyszłość.

— Co? — spytałam wyrwana znienacka z ponurych rozważań.

— Pytałem, gdzie chcesz jechać na zakupy — powtórzył cierpliwie Łukasz.

„Gdziekolwiek”, jęknęła moja udręczona dusza, której najmniej się chciało rozważać dylematy natury spożywczej. Na szczęście głowa zachowała resztki trzeźwości.

— Do Tesco, jest najbliżej — mruknęłam. — Nie kupujemy im zapasów na zimę, tylko podstawowe rzeczy.

— Nie ma sprawy — zgodził się Łukasz, ale zamiast odpalić auto i ruszyć we wskazanym kierunku, nadal siedział bez ruchu za kierownicą.

Odwróciłam w jego kierunku głowę i napotkałam pełne napięcia spojrzenie.

— Olka, co się stało?

— Za dużo — westchnęłam. — A może jeszcze więcej, tylko ja jeszcze o tym nie wiem... Po prostu... Możemy już jechać? — spytałam zniecierpliwiona.

Łukasz chciał coś powiedzieć, jednak widząc moje pełne urazy spojrzenie, zrezygnował.

Zgodnie z przypuszczeniami parking pod Tesco świecił pustkami. Dla większości spragnionych okazji do wydawania pieniędzy mieszkańców pobliskich osiedli znacznie bardziej atrakcyjne były wielkie galerie handlowe, te zaś otwierano dopiero o dziesiątej. Kilka minut po dziewiątej bez problemu dotarliśmy do marketu i zaparkowaliśmy tuż przed wejściem.

Wzięliśmy koszyki i szybko ustaliliśmy listę zakupów. Odrzuciłam

propozycję Łukasza, by chodzić razem i wysłałam go do działu z pieczywem.

— Będzie szybciej — wyjaśniłam, gdy próbował protestować. — Ty — pieczywo, coś słodkiego, woda mineralna, kawa i herbata, ja załatwię resztę.

— Niech będzie — zgodził się niechętnie Łukasz. — Spojrzę jeszcze do działu dla zwierzaków, Dragon pożarł już prawie wszystkie chrupki.

— OK, w takim razie kup jeszcze pokarm dla rybek. Nie pamiętam nazwy, ale Darek kupuje taki w zielonym opakowaniu. Będę czekała w alejce z kosmetykami. Przy szamponach — rzuciłam i poszłam w kierunku półek z warzywami, postanawiając przy okazji uzupełnić braki we własnej lodówce.

Po chwili przytłaczający ciężar refleksji na temat tajemnic Łukasza i własnego pecha nieco zelżał. Martwienie się o innych zawsze wychodziło mi lepiej niż martwienie się o siebie, więc z prawdziwą ulgą skupiłam się na problemie pogodzenia zupełnie odmiennych preferencji żywieniowych Beatki i Darka. Idąc przez kolejne alejki, uśmiechnęłam się na myśl o wizji kompromisu pomiędzy obsesyjnie przestrzeganą dietą białkową Dariusza a nieudolnie skrywaną miłością Beatki do węglowodanów w postaci wszelakiej. Uśmiech wprowadził mnie nieco przybladł, gdy przypomniałam sobie, że najpierw sama będę się gimnastykowała z obiadem, jednak ostatecznie swoją część zakupów załatwiłam całkiem sprawnie i bez pośpiechu udałam się do alejki z kosmetykami.

Mnie nie spieszyło się absolutnie, w przeciwieństwie do ludzkiego pocisku, który na wysokości działu ze słodyczami wyłonił się zza zakrętu. Pocisk w przelocie zgarnął z półki dwie tabliczki czekolady i pędził w kierunku kasy, gdy stanęłam mu na drodze. Hamowanie rozpoczął zbyt późno, nie dostrzegł mnie, pochłonięty ożywioną konwersacją przez telefon.

Przytomności umysłu starczyło mi na tyle, by ratować poczynione dla przyjaciół zakupy. Tuż przed kolizją rzuciłam koszyk na podłogę, przyjmując zgiętą pozycję, dzięki której w chwili zderzenia trzasnęłam szaleńca czołem w podbródek. Godny szarżującego byka atak wyrwał w ust poszkodowanego bolesny okrzyk. Facet poleciał na plecy, ja na niego, wydając z siebie równie bolesny, lecz bardziej niecenzuralny jęk.

— Szlag! — wrzasnęłam przerażona, gdyż po głosie zidentyfikowałam ludzką torpedę.

— Do ciężkiej cholery! Czy tak trudno jest patrzeć pod nogi? — syknęłam, zbierając się z ziemi.

Wciąż oszołomiony zderzeniem z uparcie ignorowaną od kilku dni zjawą, Krzysztof patrzył na mnie z poziomu podłogi, na której siedział. Na jego twarzy rosnąca irytacja walczyła z czymś w rodzaju żalu. Nie miałam okazji przyjrzeć się bliżej drugiemu z uczuć, gdyż irytacja, wybitnie wspomagana przez męską dumę, zwyciężyła.

— Nigdy się nie nauczysz, żeby nie chodzić środkiem i nie blokować

przejścia — stwierdził chłodno. — Spieszę się do pracy, wybacz.

Patrzyłam, jak wstaje z podłogi, otrzepując garnitur i zbierając upuszczone czekolady, i szlag mnie trafiał potworny.

— Wybaczam — rzuciłam wyniośle, z trudem hamując narastający szczękoscisk.

Krzysztof zaprzestał poprawiania krawata i spojrzał na mnie z niechęcią.

— O co ci znowu chodzi? — westchnął. — Nawet teraz szukasz okazji do kłótni?

— Niczego nie szukam, bo wiem, że nie znajdę — odparowałam. — A już na pewno nie kultury osobistej! Popchnąłeś mnie, bo leciałeś, gadałeś przez telefon i chyba wypada, do cholery, przeprosić!

— Ja cię bardzo proszę, nie przeklinaj — obruszył się Krzysztof.

Zgrzytnęłam zębami, nie znajdując stosownej odpowiedzi, gdyż na usta cisnęły mi się same niecenzuralne wyrazy. Wiedziałam, że nie wygram. Cokolwiek powiem, zostanie przeinaczone, pozbawione kontekstu i wykorzystane przez drugą stronę. „Nie warto”, pomyślałam, próbując się pohamować, jednak porywczy temperament nie zamierzał ochłonąć. Zacisnęłam pięści, uniosłam dumnie głowę i bez słowa świdrowałam wzrokiem Krzysztofa, który również wpatrywał się we mnie spod zmarszczonych gniewnie brwi. W takich pozycjach zastał nas Łukasz.

Z daleka nie dostrzegł gromów i żywym krokiem skręcił ku nam, machając do mnie ręką. W miarę jak się zbliżał, uśmiech na jego twarzy bladł, ustępując miejsca zaniepokojeniu.

— Szukałem cię przy kosmetykach — powiedział, spoglądając badawczo na mnie i Krzysztofa. — Czy coś się stało?

Obecność Łukasza nareszcie przywróciła mi odrobinę przytomności umysłu. Dopuszczony do głosu umysł szybko podjął decyzję, podpowiadając ewakuację jako najlepszą możliwą opcję. Błyskawiczna lustracja sytuacji przy kasach sprawiła, że jęknęłam w duchu, jednak nawianie bez płacenia tylko skomplikowałoby i tak nieprzyjemne okoliczności towarzyszące zakupom. Zmobilizowałam siły i zmusiłam się do reakcji.

— Nic się nie stało, mieliśmy tu małą... kolizję — wymamrotałam. — Weź proszę zakupy i chodźmy.

Nie miałam najmniejszej ochoty ujawniać dodatkowych okoliczności towarzyszących małej kolizji. Krzysztof najwyraźniej również nie był skłonny dociekać, kim jest facet, z którym spędzam sobotni poranek. Najprawdopodobniej uwłaczałoby to jego urażonej męskiej godności. Ten jeden raz gotowa byłam wychwalać ową wypaczoną godność pod niebiosa. Już chciałam odwrócić się i opuścić feralną alejkę, gdy dołączyła do nas czwarta osoba. Ostatnia jednostka ludzka, którą życzyłabym sobie widzieć w tej całej kołomyi.

— Krzysiek, spóźnimy się! Masz wszystko? — usłyszałam zniechęcony

głos i obok mojego byłego pojawiła się osoba, z powodu której uzyskał ten status.

Tego było za wiele. Dzika furia, która eksplodowała w mojej duszy, przemogła nagle poczucie bezwładu, spowodowane widokiem świętej Agnieszki od wożenia tyłka. Konsekwencje bliższego kontaktu dwóch stojących obok mężczyzn przestały mnie całkowicie interesować. Należało się stąd wynieść jak najprędzej, zanim wyleje się cały mój żal do tej kobiety i przybierze postać walki w kisielu lub obrzucania się jajkami, które w Tesco bywały wątpliwej świeżości.

Zaskoczona Agnieszka spoglądała uważnie na naszą trójkę, na razie nie komentując sytuacji. Wykorzystałam ten moment, modląc się, by nagle nie odzyskała swojej zwykłej rozmowności. Bez słowa odwróciłam się, chwyciłam porzucony obok regału koszyk i pociągnęłam Łukasza, mamrocząc coś o konieczności dokupienia szamponu. Łukasz bez oporów ruszył za mną i dopiero w części z karmą dla zwierząt nieco przystopowaliśmy.

— Szampony to kawałek dalej — stwierdził skonsternowany, gdy zatrzymałam się przy półce z psimi przysmakami.

— Dla Dragona miałeś coś kupić... I rybek... O Jezusie... — wymamrotałam, próbując ochłoniąć.

— Już kupiłem — wyjaśnił Łukasz, patrząc z niepokojem, jak opieram się bezwładnie o lodówkę z mięsnymi karmami. — Ola, dobrze się czujesz? Kto to był?

Nie próbował mnie popędzać, gdy przymknęłam oczy i stałam w milczeniu, rozmasowując skronie. Dopiero po chwili wzięłam głęboki oddech i zmobilizowałam się do wyjaśnień.

— Mój były — mruknęłam. — Z babą, która ostatecznie przypieczętowała koniec naszego związku.

— Romans? — zapytał Łukasz ostrożnie, przysiadając obok mnie na lodówce.

— Cholera wie — skrzywiłam się. — Niby razem pracują. Niby ona jest biedna, bo dojeżdża z Szamotuł pociągiem i on ją podwozi, bo nie zdążyłaby na autobus podmiejski do Suchego Lasu. W praktyce dwa razy dziennie przez ponad rok jeździli tak sobie za moimi plecami, ja się dowiedziałam od znajomych.

— Cholera, nieprzyjemnie...

— Jak zażądałam wyjaśnień, Krzysztof uparł się, że będzie ją woził nadal. Spóźniał się na spotkania, bo czekał na nią po godzinach... Ostatnio jak miałam zepsute auto i miał mnie odebrać z pracy, też z nią przyjechał... Narobił mi wstydu przed wszystkimi znajomymi. Rozumiesz chyba, że czegoś takiego nie miałam ochoty tolerować — tłumaczyłam. Wbrew wcześniejszym postanowieniom czułam, że wylanie z siebie goryczy, która od kilku miesięcy zbierała się pod każdym centymetrem mojej skóry, jest mi bardzo, bardzo potrzebne.

Łukasz położył delikatnie dłoń na moim ramieniu.

— Chodź, załatwmy te zakupy i wrócimy do domu na kawę — mruknął. — A nowożeńców odbiorę sam. Tobie się chyba przyda chwila wytchnienia.

— Zaczekaj, oni się jeszcze tu płaczą — spojrzałam nerwowo w kierunku kolejki do kasy.

Łukasz ze 190 centymetrów wzrostu miał lepszy widok.

— Są przy kasie, zaraz się ulotnią — stwierdził. — Zanim my tam dojdziemy, zdążą wyjść.

Uspokojona możliwością uniknięcia kolejnej konfrontacji, wzięłam jeszcze kilka głębokich wdechów. Łukasz stał obok i cierpliwie czekał, aż odzyskam równowagę.

Po powrocie do domu nogi nadal trochę mi się trzęsły, więc z wdzięcznością przyjął propozycję, by zdrzemnąć się chwilę i pozostawić troskę o odbiór Beatki i Darka Łukaszowi. Przygotowanie zapiekanki warzywnej z ziemniakami nie należało do zadań nadmiernie absorbujących, nastawiłam zatem budzik na trzecią i z prawdziwą ulgą wyciągnęłam się na kanapie. Targany niepokojem o mieszkanie pozostawione na pastwę psa, który zapewne zdążył się już wyspać, Łukasz oddalił się w kierunku domu. Na regenerację zostały mi trzy godziny, z czego skwapliwie skorzystałam.

Ledwo zdążyłam przykryć się kocem, dźwięk telefonu poderwał mnie na równe nogi. Skrzywiłam się z niechęcią, patrząc na wyświetlacz. Irytujący zastrzeżony numer, który wczoraj wieczorem zawracał mi głowę, nie odpuszczał nawet w sobotę. Ze złością rozłączyłam połączenie, wyciszyłam głos i zapadłam w sen, z którego obudziłam się w sposób nie do końca zgodny z planem...

— Śpi od dwunastej...

— Co wy robiliście w tej nocy?!

— Dajcie spokój, dziewczyna odpracowuje śluby, Darka obowiązki służbowe... Ma prawo wreszcie odpocząć.

— Wypraszam sobie, jeden ślub brałem...

— Przestań gadać i pomóż Beacie przygotować obiad.

— Dragon, nie ściągaj z pani koca, do cholery!

Ożywiona, choć prowadzona szeptem dyskusja coraz mocniej przedzierała się do mojej świadomości, chociaż nie do końca potrafiłam zdecydować, czy należy do świata snu, czy jawy. „Jeżeli sen, to cholernie realistyczny”, pomyślałam, zdecydowana przysłuchiwać się jeszcze przez chwilę czterem znajomo brzmiącym głosom. Druga z możliwych opcji, jawa, nie bardzo mi się podobała i byłam raczej skłonna ją odrzucić. I pewnie przez pewien czas by mi się udawało, gdyby nie to, że koc, którym byłam przykryta, z gwałtownym szarpnięciem opuścił kanapę, a zaraz potem rozległ się zduszony krzyk:

— Dragon, oddawaj koc!!!

Bez względu na dobre intencje, z jakimi Łukasz walczył o odzyskanie

mojego przykrycia, przestało mi być ono potrzebne. Gorączkowe perswazje wygłaszane pod adresem upartego zwierzaka upewniły mnie, że dokonałam niewłaściwej klasyfikacji usłyszanych głosów. I że niewątpliwie, niepodważalnie i absolutnie haniebnie zaspiałam.

— Dlaczego nikt mnie nie obudził? — zawołałam, zrywając się z posłania i natychmiast opadłam na nie z powrotem, czując pod gołą stopą psią łapę. Pełne wyrzutu spojrzenie, jakie wbił we mnie Dragon, orzeźwiło mnie do reszty.

— No patrzcie państwo! — wybuchnął śmiechem na widok mojej ogłupiałej miny Darek, który wszedł właśnie do pokoju, niosąc talerze. Zaraz za nim pojawiła się Beata i przystąpiła do nakrywania do stołu. Tuż obok fotela na dywanie tarzał się Łukasz, trzymając w rękach jeden koniec koca. Drugi nadal tkwił w paszczy piesa-biesa, który uznał, że skoro już wstałam, koc nie będzie mi potrzebny i mogą go zużytkować zwierzęta. Z kuchni dobiegał głos pani Elizy, domagającej się wskazania miejsca ukrycia małej patelni. W wyobraźni dołożyłam do tego obraz samej siebie, słodko odsypiającej trudy nocnych spacerów. Wszystko razem złożyło się w wizję katastrofy, którą mój pedantyczny charakter mógł określić tylko w jeden sposób.

— Co za kompromitacja! — jęknęłam, łapiąc się za głowę. — Miałam wam zrobić obiad!

— Ależ zrobiłaś, bardzo dobry — poinformował mnie Darek. — Wprawdzie dwa tygodnie temu, ale w zamrażalniku wytrzymał idealnie!

— Co ty bredzisz? — wytrzeszczyłam na niego oczy.

— A pierogi z serem to ty czy krasnoludki? — mrugnął Dariusz i oddalił się do kuchni, wzywany przez coraz bardziej zniecierpliwioną deficytem odpowiednich narzędzi matkę.

„No tak, pierogi z serem”, pokiwałam głową, klnąc w myślach swoją sklerozę i jednocześnie gratulując sobie zapobiegliwości. Nauczona przykrym doświadczeniem wielu spędzonych w towarzystwie Darka lat, wiedziałam, że pustki w lodówce na rzecz pękającej w szwach szafki z odżywkami białkowymi są zjawiskiem zupełnie normalnym. Długo próbowałam wytłumaczyć sobie, że zaopatrzenie się w produkty spożywcze dla trzydziestopięcioletniego, zarabiającego i całkiem inteligentnego mężczyzny nie powinno stanowić problemu, jednak pewnego niedzielnego popołudnia wiara w zaradność życiową Darka skłęsała we mnie zupełnie. Tego dnia wróciliśmy po ośmiogodzinnym szkoleniu z crossfitu, głodni, zmęczeni i spragnieni jakiegokolwiek strawy. Po wejściu do mieszkania rzuciłam się do lodówki, by resztki sił zmarnować na przykrą konstatację, że jest prawie zupełnie pusta. Siedząc nad makaronem z jajecznicą, poprzysięgåm sobie zadbać o łatwe w przygotowaniu i przechowywaniu produkty spożywcze i jak najszybciej ożenić życiowego ciamajdę. „No i proszę, nawet całkiem sprawnie poszło”, pomyślałam teraz z uznaniem. Poczucie sukcesu posłużyło za zdatne

źródło energii i, wyściskawszy młode małżeństwo, ruszyłam z odsieczą do kuchni.

Obiad w postaci pierogów w połączeniu z sernikiem autorstwa pani Elizy nastroiły wszystkich bardzo towarzysko i resztę popołudnia spędziłyśmy na oglądaniu zdjęć oraz pamiątek przywiezionych z Włoch przez nowożeńców. Popołudnie niepostrzeżenie przerodziło się w wieczór. Fakt ten pewnie umknąłby naszej uwadze, gdyby nie krótki antrakt, w trakcie którego Darek odwiózł mamę do domu, a Łukasz odpracował godzinną rundę wokół osiedla z Dragonem. Obaj panowie dziwnym trafem napotkali po drodze stosowne sklepy i koło dwudziestej wróciliśmy do celebrowania spotkania przy białym winie.

Wydarzenia minionego tygodnia w kraju i za granicą wzbudziły żywe emocje. Dysponujący jeszcze dwoma wolnymi dniami Dariusz żądał szczegółowej relacji z zakresu zmian i zniszczeń, jakie pod jego nieobecność dokonały się w pracy. Zatrąskaną moimi perypetiami uczuciowymi Beatkę interesowały ekscesy w wykonaniu Krzysztofa. Oboje omal nie udławili się ze śmiechu, gdy Łukasz z właściwą sobie elokwencją i poczuciem humoru relacjonował początek naszej znajomości z Dragonem. Kolejną dobę zainaugurowała pełna oburzenia dyskusja wokół doświadczonych przeze mnie aktów wandalizmu. Trwała prawie do pierwszej w nocy, nakręcana głównie przez Darka, w którym podlana winem lojalność wzbudziła nie tylko potępienie. Fakt, że auto uszkodzono mi pod jego blokiem, gdzie na jego prośbę opiekowałam się jego mieszkaniem i rybkami, sprawił, że czuł się on osobiście winny mojego nieszczęścia.

— Najbardziej się boję cyrku z odszkodowaniem — wyznałam, gdy udało się nam przekonać Darka, że jego udział w dewastacji auta nie był taki znów ogromny. — To podobno straszliwie się ciągnie...

— No i na policję musisz zgłosić — przypomniała Beata, u której instynkt tępienia jednostek społecznie szkodliwych brał górę nad aspektem praktycznym sprawy.

— Policję sobie odpuścę — machnęłam ręką. — I tak w poniedziałek muszę lecieć do PZU. Jeżeli nawet zacznę załatwiać od rana, i tak prawdopodobnie się spóźnię do pracy. Opuścisz, szefie? — spojrzałam z nadzieją na Darka.

— Mam lepszy pomysł — wzruszył ramionami Dariusz. — Po prostu na poniedziałek dam ci wolne...

Spojrzałam na niego ze zgrozą.

— Oszalałeś! Jeszcze nigdy nie opuściłam dnia w pracy i teraz miałabym brać urlop z powodu takiej pierdoły?!

— Rozumiem, że naczelny pracoholik potrzebuje jakiejś małej apokalipsy, żeby wziąć urlop — stwierdził z pobłażaniem Darek. — Co ty zrobisz na emeryturze?

— Zwariuję — wyznałam z obawą. — Nie mów mi o takich kataklizmach jak emerytura. Ja muszę coś zrobić! — wrzasnęłam, bo trzy pary oczu jak na

komendę wytrzeszczyły się na mnie z niedowierzaniem. — Już w dzieciństwie wszyscy posądzali mnie o ADHD!

— I ciężkie zaburzenia osobowości w postaci kuku na muniu — uzupełnił życzliwie Darek i westchnął ciężko. — Nie będę się z tobą bił, żebyś wzięła dzień urlopu, rozwiążemy to inaczej...

Zaproponowane rozwiązanie nie budziło moich większych sprzeciwów. Po krótkich negocjacjach z Beatką i wyrwaną ze snu telefonem Oliwką Dariusz z zadowoleniem przedstawił mi nowy grafik, zgodnie z którym zyskałam wolny poniedziałek w zamian za pracującą niedzielę. Poniedziałek wziął na siebie Darek, a Oliwia wspaniałomyślnie zgodziła się poprowadzić zajęcia we wtorek, zyskując wolną niedzielę.

— O, to ja jutro idę do pracy — uprzytomniłam sobie, patrząc na skorygowany grafik.

— Dzisiaj — sprostował bezlitośnie Dariusz. — Czyli za jakieś... osiem godzin.

— Będę niewyspana... I na kacu... — jęknęłam i z wdzięcznością przyjąłam zaproszenie przyjaciół, by nie tracić czasu na powrót do domu.

Wobec perspektywy wolnej niedzieli Łukasz zrezygnował z propozycji pozostania do rana.

— I tak się nie mieszczę na rozkładanym fotelu — uciał uprzejmie nasze protesty. — A Dragon nie ma chrupek. Ola, zostawię ci samochód.

O ile informacja o braku psiej karmy została przyjęta ze zrozumieniem, drugi komunikat wywołał niewielki szok. Razem z Beatką i Darkiem patrzyłam oniemiała, jak Łukasz wręcza mi kluczyki i dokumenty. Oprzytomnieliśmy dopiero, gdy włożył kurtkę i zawołał psa.

— Zgłupiałeś chyba — wytchnęłam. — A jak wrócisz do domu?

— Pieszko — wzruszył ramionami Łukasz. — Jechać nie mogę, trochę tego wina dzisiaj zeszło. Ty jutro pojedziesz do pracy, a popołudniu spotkamy się w parku, odwieziemy cię z Dragonem i wrócimy do siebie. Wiesz co, zejdź tylko ze mną teraz, wezmę z auta piłkę dla piesa.

Bez słowa narzuciłam kurtkę i wyszliśmy na klatkę schodową. Beatka i Darek zdołali wydusić z siebie krótkie „cześć” i w osłupieniu patrzyli, jak opuszczamy mieszkanie.

Na parkingu Łukasz poinstruował mnie, jak wyłączyć blokadę i wygrzebał z tylnego siedzenia pogryziony, wymięty przedmiot, na widok którego Dragon natychmiast się ożywił.

— Co to jest, na miłość boską? — spytałam z niedowierzaniem. — Bo przecież nie piłka!

— Mój stary trampek — oświecił mnie Łukasz. — A w sumie jego doczesne szczątki. Poległ dwa dni temu, cześć jego pamięci.

— Wieczny odpoczynek — mruknęłam odruchowo i wzdrygnęłam się na widok psa, który po dokonaniu morderstwa z błogim wyrazem pyska nadal pastwił się nad nieszczęsnym butem. — Myślałam, że on tylko skarpetki...

— Generalnie tak — uspokoił mnie Łukasz. — Ale jak nas odwiedzisz, to twoje buty schowam do pawlacza. Ola, idę, bo ty masz naprawdę niewiele czasu, żeby się wyspać.

— I wytrzeźwieć — rzuciłam całkiem przytomnie. — Daleko macie do domu spacerem?

— Niecała godzinka szybkim marszem. Dragon nie pił, więc nie stracimy czasu na spacer zygakiem... Ola, proszę, leć już — zreflektował się, widząc, jak telepię się z zimna. — Marzniesz.

— Marznę. Chyba faktycznie już pójdę — przyznałam niechętnie. — Bardzo dziękuję za pomoc.

— Drobiazg — uśmiechnął się Łukasz. — Zadzwoń jutro, jak będziesz miała chwilę, to się na spokojnie umówimy.

Skinęłam głowę i wzięłam kluczyki.

Na klatce schodowej zatrzymałam się na półpiętrze i podeszłam do okna. Przez chwilę patrzyłam, jak Łukasz z piesem-bieciem szybkim krokiem zmiernają w stronę parku. Ruszyłam się dopiero, gdy zniknęli za sąsiednim blokiem, a narastający od skroni tępy ból głowy wyrwał mnie z odrętwienia. „Jezu, przecież za wcześnie na kaca”, pomyślałam z niepokojem i kluczem otworzyłam drzwi mieszkania. Wśród natłoku niesprecyzowanych myśli tłukła się rozpaczliwa nadzieja, że może Beata i Darek zdążyli się położyć i nie będę musiała się tłumaczyć z nieplanowanego i stanowczo odradzanego zacieśnienia znajomości z Łukaszem.

Kres nadziei szybko położyły dwa posągi, które zastałam w przedpokoju. Oszołomieni rozwojem wieczornych wydarzeń Beata i Darek w niezmiennych pozycjach trwali w przedpokoju tak, jak ich zostawiliśmy. Trwali i najwyraźniej niecierpliwie czekali na mój powrót.

— Ja chciałbym niedyskretnie zapytać, co tu zaszło? — chrząknął Dariusz, kiedy zamknęłam za sobą drzwi.

— Nic — jęknęłam, rzucając kurtkę na wieszak. — Zresztą co się czepiasz? Kazaleś nam rybek pilnować i to są skutki!

Wytrzeszcz oczu, jaki dopadł Beatkę i Darka na wieść o pozostawieniu mi auta przez Łukasza, niebezpiecznie się pogłębił. Z gardła Dariusza dodatkowo wydobyło się coś w rodzaju stłumionego bulgotu.

Beata pierwsza odzyskała równowagę.

— To dość niezwykle skutki — stwierdziła łagodnie. — I trudno zauważyć związek...

— Aleksandro, nigdy bym cię nie podejrzewał o tak pokrętną logikę —

sapnął Darek, który już opanował bulgotanie i ryzyko uduszenia. — Zawsze wiedziałem, że sposób rozumowania mojego brata jest zaraźliwy. Tylko miałem nadzieję, że nie padniesz jego ofiarą. A mówiłem, prosiłem, błagałem...

— Na razie czuję się jak ofiara waszego zrzędzenia! — zawylałam z rozpaczą, przerywając Dariuszowi wstęp do dłuższego *exposé*. — Dajcie mi iść spać! Odmawiam zeznań!

* * *

Wbrew obawom po kilku godzinach całkiem przytomna i z lekkim tylko bólem głowy wyszłam z mieszkania przyjaciół. Drzwi zamknęłam kluczem, nie chcąc ich budzić po długiej i pełnej emocji dyskusji na temat mojego stanu umysłowego, której stłumione odgłosy docierały do mnie przez cienkie ściany mieszkania z przylegającej do salonu kuchni. Sama zasnęłam dość szybko, obiecując sobie dyplomatycznie podpytać Beatkę o wyciągnięte przez nią i jej małżonka wnioski, jednak tuż po przebudzeniu okazało się, że mogę sobie oszczędzić fatygi. Tak przynajmniej zrozumiałam, wyciągając z kubka do kawy ze swoim imieniem wydartą z notesu, dokładnie złożoną kartkę. „Ola, błagam, odpuść sobie Łukasza”, głosił napis, okraszony dużą ilością wykrzykników, wskazujących bardziej na rozkazujący niż błagalny wydźwięk treści. „Zajmij się rybkami”, odpisałam poirytowana nadmierną troską i dla odmiany wsadziłam kartkę do pudełka z odżywką. Następnie zeszłam na dół, próbując opanować lekkie ściskanie w dołku. „Mam większe problemy niż zrzędzenie Darka”, pomyślałam gnębiona obawą, czy przytrę lakier na parkingu, czy trzasnę w coś, myśląc biegi. „Trzeba było chociaż osiedle objechać sobie w nocy”, pomyślałam, stając przed stalowoszarą hondą civic.

Poinstruowana dokładnie przez właściciela, alarm unieszkodliwiłam dość sprawnie. Auto nawet nie zapiszczało. Z ulgą rozsiadłam się zatem za kierownicą i w tym momencie dotarł do mnie bolesny fakt, że trzydzieści centymetrów dzielących wzrost mój i Łukasza uniemożliwia mi sięgnięcie stopami do pedałów, chyba że się położę. W tej jednak pozycji zza kierownicy wystawał mi ledwie czubek głowy, a lusterko służyło co najwyżej za punkt odniesienia, bo za Boga w nim nic nie widziałam. Z cichą nadzieją, że uda mi się niczego nie popsuć, rozpoczęłam twórcze manipulacje zmierzające do uregulowania wysokości siedzenia i lusterek.

Gdy wreszcie siedziałam wygodnie i pedały znalazły się w zasięgu moich stóp, upojona sukcesem uruchomiłam silnik i płynnie wyjechałam z parkingu. O tym, że miałam jechać ostrożnie w obawie przed uszkodzeniem pożyczonego pojazdu, przypomniałam sobie dopiero, parkując obok nissana szefa.

Zadowolona z siebie przeszłam obok recepcji i wywaliłam język w stronę kolegów, którzy mój triumfalny wjazd powitali głośnymi gwizdami.

— Ola, jak Boga kocham, od kiedy taka pchła jeździ takim dużym wozem?
— domagał się informacji Kubuś. — Przecież ciebie z tego auta nawet nie widać!

— Ciałem mała, za to duchem jestem wielka — odgryzłam się. — Duch mój nie znosi ograniczeń i w mniejszym aucie przestał się mieścić.

— Trzeba duchowi trenera personalnego znaleźć — zachichotał Marcin. — Żeby zgubił nadmiar... masy? Co właściwie mają duchy? — zainteresował się nagle.

— Ektoplazmę — parsknęłam śmiechem. Szerokie horyzonty myślowe, w jakich pławili się moi koledzy z pracy, były jedną z najlepszych terapii na ponury nastrój.

— Powiedzcie mi, co ja właściwie mam tu robić? — rozejrzałam się po sali cardio.

Niewiele sprzętów było zajętych. Widocznie nawet dbający o formę przestrzegali prastarego nakazu, by dnia siódmego odpoczywać. Na bieżniach galopowało parę nadgorliwych jednostek, kilka osób kręciło się w strefie siłowej. Przerzucając karty grafiku, zarejestrowałam brak zajęć grupowych. Po południu był wprawdzie crossfit, jednak te zajęcia najczęściej prowadził Marcin.

Koledzy zgodnie wytrzeszczyli na mnie oczy.

— Myśleliśmy, że przyjechałaś towarzysko, pochwalić się bryką — stwierdził ostrożnie Kubuś. — W grafiku cię nie ma, Oliwia dziś przychodzi.

— No to już jestem. Zamiast Oliwii — wyjaśniłam i na czerwono nabazgroliłam wprowadzone przez Darka zmiany. — Mała rotacja ze względu na trudności osobiste — rzuciłam wymijająco. — Proszę mnie oświecić, co w niedzielę między dziewiątą a czternastą dzieje się w klubie.

— Dziś w sumie niedużo... — westchnął Kubuś. — Weź pod uwagę, że przez tydzień mieliśmy remont i klienci się nie spodziewali, że zdążymy otworzyć w sobotę. Kto normalny po przerwie otwiera w sobotę? — zirytował się.

— My — pokiwał głową Marcin. — Tłumów nikt się nie spodziewał, więc w trójkę dziś wystarczymy. Ogarniemy salę, a ty posiedź w recepcji — zaproponował. — Po południu przyjdzie Gosia.

Wzruszyłam ramionami i zniosłam torbę do trenerskiej szatni. Odpuściłam przebieranie się i zabrałam się za porządkowanie papierkowej roboty.

Pochłonięta segregowaniem remontowych faktur, nie zauważyłam stojącego obok lady osobnika. Dopiero zdecydowane „Dzień dobry” zmusiło mnie do podniesienia wzroku.

Przede mną stał młody, wysoki blondyn o lekko zaokrąglonej sylwetce. „Nowy albo rzadko chodzi”, przemknęło mi przez myśl i szybko doszłam do wniosku, że chyba to pierwsze. Chociaż... Gdzieś mi już chyba ta sylwetka mignęła...

— W czym mogę pomóc? — uśmiechnęłam się, bo chłopak wyglądał na

niezbyt obytego z wizytami na siłowni.

— Chciałbym się zapisać — wyjaśnił. — Ostatnio trochę przytyłem i chyba muszę odzyskać formę.

— Czyli pomyślimy o karnecie — domyśliłam się. — Zapraszam do stolika, zaraz podejść i porozmawiamy.

Usiedliśmy na fotelach obok recepcji. Rozłożyłam przed chłopakiem grafik zajęć, regulamin i wniosek o karnet.

— Właściwie to mogę wypełnić ten wniosek od razu — stwierdził, przeglądając papiery pobieżnie.

— Nie ma sprawy — wybuch takiej determinacji nieco mnie zdziwił. — Skoro jest pan zdecydowany... Może pokażę najpierw klub, a potem ustalimy, jaki karnet będzie najlepszy...

Facet pomachał ze zniecierpliwieniem ręką.

— Wiele osób was poleca, więc to chyba zasłużona opinia. Widziałem zdjęcia w Internecie, podoba mi się wyposażenie i ogólnie wnętrze. Skoro sale wyglądają nieźle, to w szatniach chyba nie ma zdemolowanego prysznicza?

— W piątek skończyliśmy remont, więc jeszcze nikt nie zdążył niczego popsuć — stwierdziłam wymijająco. — Rozumiem w takim razie, że wypełniamy wniosek. Zostanie pan potem na treningu?

Facet pokiwał głową i zabrał się za wypełnianie papierów, które podetknęłam mu pod nos. Rozejrzałam się po sali, próbując zlokalizować Marcina lub Kubusia. Beczułkowata sylwetka nowego gościa podpowiadała mi, że bez trenera personalnego na początek się nie obejdzie.

— Witam w klubie — powiedziałam po chwili, odbierając wypełnione kartki. — Grafik zajęć dla pana, kopia umowy i regulaminu.

Chłopak najwyraźniej już czuł się jak u siebie.

— Jestem Marek — wyciągnął rękę w moim kierunku.

— Aleksandra — uśmiechnęłam się z przymusem, starając się, by uścisk dłoni nie trwał zbyt długo. W świecie, w którym współpracownicy i obcy sobie ludzie od pierwszego kontaktu zwracali się do siebie na „ty” i całowali w policzek w ramach powitania i pożegnania, często budziłam niechęć oficjalną postawą i zdystansowaniem. Bez względu na to, ile osób uraziłam, nie lubiłam zbyt wiele się spoufalać i trwałam w przekonaniu, że forma „pan/pani” jest doskonałą metodą wyrażania szacunku i jednoczesnej delikatnej selekcji osób, których nie mam ochoty dopuścić do grona prywatnych znajomych.

Zaprowadziłam chłopaka do szatni i wróciłam do recepcji, odłożyć dokumenty. Potem usiadłam na fotelu, czekając, aż Marek wyłoni się z szatni.

— I jak te zdemolowane prysznicze? — zapytałam, gdy pojawił się obok. — Chodź, przedstawię ci trenera, który ułoży ci odpowiedni trening i pomoże określić cel ćwiczeń.

Marek przez chwilę się zawahał.

— A czy jest możliwość, żeby samemu wybrać trenera? — zapytał. — Kolega z pracy polecił mi konkretną osobę.

— Jasne — wzruszyłam ramionami. Często zdarzało się, że klienci przychodzili z gotową deklaracją, z kim chcieliby pracować. — Z kim chciałbyś ćwiczyć?

— Właśnie ty podobno jesteś rewelacyjną trenerką — uśmiechnął się Marek czarująco. — Więc jeśli to nie problem...

Przez chwilę patrzyłam na niego zaskoczona. Kto u diabła mógł mu o mnie mówić? W gronie moich podopiecznych znajdowały się wyłącznie kobiety i bardzo wątpiałam, by którakolwiek z nich poleciła moje treningi facetowi. Zaraz, zaraz, czy ja dobrze kojarzę, że on wspomniał o koledze? Niemożliwe, jedynym facetem, któremu układałam trening, był mój ojciec...

— Bardzo dziękuję — powiedziałam powoli. — Cieszę się, że ktoś ma taką dobrą opinię o mojej pracy, ale zazwyczaj pracuję z dziewczynami. Możesz mi powiedzieć, kto ci powiedział o moich treningach?

Marek stropił się nieco.

— Krzysiek Nowicki... Pracujemy razem i on sporo opowiadał, że ludzie po twoich ćwiczeniach mają takie świetne efekty... Bardzo mi zależy, więc może jednak zrobisz wyjątek?

Od chwili, gdy padło nazwisko Krzysztofa, doskonale wiedziałam, że żadnego wyjątku nie zrobię. Natychmiast dotarło do mnie, dlaczego twarz Marka wydała mi się znajoma. Poznaliśmy się na jednym z nielicznych spotkań integracyjnych organizowanych przez salon Toyoty, na którym mile widziane były osoby towarzyszące. Potem któregoś dnia mignął mi, gdy przyjechałam do Krzysztofa podrzucić mu pozostawioną u mnie komórkę. Był jednak postacią mało interesującą, a zważywszy, że mój związek z Krzysztofem wkroczył w krótki okres rozkwitu, wolałam poświęcić swoją uwagę innemu mężczyźnie.

— Przykro mi — powiedziałam stanowczo, siłąc się na uprzejmość, gdyż wszystko, co wiązało się z Krzyśkiem, natychmiast wywoływało u mnie gwałtowną falę agresji. — Uważam, że faceci lepiej są w stanie zrozumieć potrzeby treningowe innych facetów i znaleźć dla nich motywację. Bardzo chętnie przedstawię ci Jakuba i Marcina, naszych trenerów personalnych, ale sama nie czuję się na tyle kompetentna, by zająć się twoją formą.

Choć wyraźnie rozczarowany, Marek odpuścił sobie próby namówienia mnie na zmianę decyzji. Pozostawiłam go pod czułą opieką Kubusia, który chwilowo był bezrobotny, i jak najszybciej oddaliłam się do bezpiecznego schronienia za ladą.

„Wdech, wydech, wdech, wydech”, mruczałam przez chwilę, rozmasowując pulsujący coraz mocniej nacisk w skroniach. Kilka sekund wystarczyło, by profesjonalizm i obowiązkowość pokryły delikatną warstwą falę nieprzyjemnych

uczuciu, napływającą na myśl o Krzyśku z okolicy żołądka. Bardzo wprawdzie powierzchownie i na niezbyt długo, jednak w wystarczającym stopniu, bym mogła skupić się na porządkowaniu remontowej makulatury, a w przerwach w miarę swobodnie gawędzić z klientami.

W środku jednak fala burzyła się nadal, objawiając się silnym bólem żołądka i nawracającymi co chwilę wątpliwościami. Coś mi tu bardzo nie grało. Sobotnie spotkanie w Tesco było najlepszym dowodem, że jeśli Krzysztof żywi do mnie jakiegokolwiek ciepłe uczucia, to są one głęboko schowane za urażoną dumą, obrazą majestatu i przemożnym pragnieniem, bym mocno te ostatnie odczuła. Nie wspominając już o tym, że sam będąc sportowcem, trenującym od wczesnego dzieciństwa siatkówkę, nigdy nie żywił szczególnego uznania dla moich kompetencji zawodowych i nawet w kwestiach żywienia i suplementacji wolał polegać na wiedzy kolegów amatorów niż zawodowca. Bo zawodowiec był babą.

Nie, absolutnie nie chciało mi się wierzyć, że wobec tych wszystkich zebranych do kupy faktów Krzysztof poleciłby mnie koledze. Zważywszy na nasze obecne relacje, koleżance zresztą też chyba nie.

Przeplatający się w głowie mętlik uczuciowy z poupychanymi byle jak w kartonach na czas remontu dokumentami stanowił mieszankę bardzo ciężkostrawną i kiedy na horyzoncie pojawiła się Gosia, z prawdziwą ulgą podniosłam się z krzesła. Krótco wyjaśniłam, do jakiego etapu segregacji papierów doszłam i pomachałam na pożegnanie chłopakom. Przed wyjściem postanowiłam zajrzeć jeszcze do szatni trenerów, gdzie w szafce od tygodnia tkwiła kosmetyczka z próbkami nowych kremów, ofiarowana mi przez pracującą w perfumerii klientkę. Przerażona wizją zmarszczek lub przynajmniej sonej bladości po ostatnich intensywnych i niekoniecznie przyjemnych przeżyciach, uznałam, że jest to bardzo dobry moment, by wypróbować jej zawartość.

Otworzyłam szafkę i wyciągnęłam kosmetyczkę. „Ki lichy”, pomyślałam, bo za kosmetyczką wypadło coś jeszcze. Nachyliłam się i podniosłam z podłogi czystą, zaklejoną kopertę. Przez chwilę grzebałam w pamięci, zastanawiając się, kiedy i w jakim celu ją tu włożyłam. Wobec braku wniosków rozerwałam kopertę i zajrzałam do środka.

Opanowane prawie całkowicie pulsowanie w skroniach wróciło z nagłą falą intensywnego bólu i zmusiło mnie do opadnięcia na stojącą obok szafek ławkę. Zmrużonymi od uczucia nacisku oczami próbowałam zarejestrować obrazy widoczne na ściskanych w dłoniach kartkach. Z ogromnym wysiłkiem zmusiłam mózg, by przyjął do wiadomości zawartość koperty.

Zawartość, którą stanowiło kilka fotografii, przedstawiających Łukasza i mnie podczas sobotnich zakupów.

Powoli docierało do mnie, co widzę. Pozornie nic, co mogłoby budzić szczególne emocje lub któremukolwiek z nas zaszkodzić. Szczątkowa wiedza

wyniesiona z oglądanych podczas rzadkich ataków nieżyty gardła seriali kryminalnych podpowiadała mi, że fotografie tego typu stanowią problem, gdy ujawniają romans, ukrywane skrzętnie powiązania i ogólnie stanowią dowody obciążające delikwenta. Na tych, które trzymałam, przy najlepszych chęciach nie dałoby się znaleźć niczego podejrzanego ani obciążającego. Jako jednostka wolna i niezależna nie musiałam obawiać się ujawnienia kontaktów z Łukaszem, bo nie było komu ich ujawniać. „Po co w takim razie ktoś miałby uwiecznić nas z ukrycia i chować dziwaczną dokumentację w mojej szafce w pracy”, pomyślałam i natychmiast zmroziła mnie kolejna myśl.

JAK ktoś dostał się do mojej szafki w pracy? I skąd wiedział, do której podrzucić kopertę?!

— Ola, wychodzisz, czy zostaniesz jeszcze chwilę? Robię kawę!

Drgnęłam nerwowo, gdy Gosia wsadziła głowę do szatni. Z trudem opanowałam drżenie rąk na tyle, by zgarnąć zdjęcia do koperty i wepchnąć je do torby. Zmuszenie nóg, by w miarę spokojnym krokiem podejść do recepcji, było większym wysiłkiem. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że przywołanie uśmiechu nie sprawia mi żadnego problemu. Widocznie mięśnie całego organizmu błyskawicznie zmobilizowały się i nastawiły na łgarstwo.

— Idę, muszę odespać imprezę — powiedziałam, podając Gosi grafik. — Zobacz, proszę, naniosłam kilka zmian, bo jutro nie mogę być w pracy. Daro klepnął...

Alibi oparte na kacu było całkiem prawdopodobne, bo Gosia spojrzała na mnie ze współczuciem.

— Zrób sobie kawę z cytryną, mojemu facetowi zawsze pomaga.

— Widocznie twój facet ma mocny żołądek — skrzywiłam się. — Po alkoholu zwykłej kawy nie przełknę. Ale dzięki.

Pożegnałyśmy się i wyszłam na parking, z trudem hamując chęć natychmiastowej ucieczki jak najdalej od miejsca, w którym ktoś ze znanych i zaufanych osób ujawniał mniej serdeczne oblicze. Zamiast tego wsiałam do auta i wyciągnęłam z torebki telefon.

— Cześć, jestem już po pracy — rzuciłam, gdy Łukasz odebrał. — Jesteś z Dragonem w parku? Podjadę do was za piętnaście minut. Musimy pogadać. Będę przy ławce nad stawem.

Mój głos najwyraźniej nie znamionował wielkiej tragedii, gdyż w słuchawce usłyszałam stłumiony śmiech.

— W co i gdzie przywaliłaś?

— Uwierz mi, wołałabym milion razy rozwalić ci samochód — mruknęłam.

— Ktoś podrzucił mi do szafki w pracy nasze zdjęcia jak robimy zakupy.

Tym razem Łukaszowi też przestało być do śmiechu.

— Cholera — zaklął. — Dobra, zaraz będę.

* * *

— Co to jest, do cholery? — Łukasz przerzucał zdjęcia, które mu podałam.

Bez słowa upiłam łyk cappuccino, kupionego na wynos na pobliskiej stacji benzynowej. Przez piętnaście minut, które spędziłam, jadąc najkrótszą możliwą drogą na osiedle Darka i czekając w umówionym miejscu na Łukasza z Dragonem, zdążyłam wyciągnąć wnioski.

— Ja się zastanawiam, o które z nas chodziło temu komuś — mruknęłam. — Nie dostałeś przez przypadek koperty?

— Jeśli nawet, to nic o tym nie wiem — pokręcił głową Łukasz. — Nie rozumiem, po co ktoś ci to podrzucił. Nie rozumiem, po co w ogóle zrobił te fotki!

— Mam pewną teorię — wycodziłam.

Łukasz spojrzał na mnie pytająco.

Odetchnęłam głęboko i zadałam pytanie, na które nie do końca chciałam poznać odpowiedź.

— Czy ty się z kimś spotykasz? Z kimś, kto może być wściekły, że spędzamy ze sobą tyle czasu, oglądamy zaćmienia Księżyca i chodzimy z Dragonem na spacer? Tylko błagam, bądź ze mną szczerzy...

— Chryste, chyba oszalałaś — Łukasz patrzył na mnie z osłupieniem. — Od dwóch lat jestem sam. Naprawdę myślisz, że włóczyłbym się z tobą po parku o różnych porach dnia i nocy, gdybym kogoś miał? Skąd taki pomysł, dziewczyno?

— A masz lepszy?!

— Nie mam żadnego...

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy bez słowa, obserwując Dragona, którego instynkt myśliwski skłonił do zainteresowania się pływającymi po stawie kaczkami. Nie do końca wiedział, czy pierzaste, unoszące się na wodzie stwory nadają się do zabawy, na wszelki wypadek postanowił nie spuszczać z nich oczu. Od czasu do czasu ostrożnie wsadzał łapę do stawu, kombinując, jak najłatwiej dostać się do kaczek i określić ich przydatność do psiego użytku.

Ciężko doświadczony przez efekty psiej kreatywności Łukasz z coraz większym skupieniem obserwował poczynania Dragona. Nie powiedział nic, kiedy amstaff moczył z determinacją to jedną, to drugą łapę, gdy jednak wszystkie cztery psie kończyny znalazły się we wodzie, postanowił przerwać imprezę.

Dragon, choć może spontaniczny i nieokrzesany, na głos pana reagował natychmiast. Zawołany przez Łukasza, rzucił kaczkom pełne żalu spojrzenie i przytruchtał do nas.

— Daj spokój, przecież nic nie robi — zaprotestowałam przeciw jawnemu zamachowi na psią wolność.

— Nie ma mowy — mruknął Łukasz, przypinając psu smycz. — Po pierwsze jest zimno, a ja nie mam ręcznika, żeby go wytrzeć. Po drugie nie mam

ręcznika, żeby go wytrzeć, zanim mokry wlezie do samochodu. Po trzecie nie przyłożę ręki do masakry kaczek. Wystarczy to, co musiał przed śmiercią przejść mój trampek. Nie, wolę go wyhamować teraz, potem może być za późno.

Na wspomnienie nieszczęsnego buta otrząsnęłam się ze zgrozą. Może naprawdę po wpuszczeniu Dragona do stawu woda szybko wyglądałaby równie efektownie jak w *Szczękach*...

Żeby nie kusić losu i nie do końca pogodzonego z utratą rozrywki psa, wstaliśmy z ławki i powoli ruszyliśmy w stronę parkingu. Przy samochodzie wyjęłam z torebki kluczyki i dokumenty, by oddać je właścicielowi. Przy okazji zerknęłam na migający ekran komórki i ze zdziwieniem stwierdziłam, że ściga mnie sąsiadka.

Przypadek sprawił, że chodziłyśmy razem do szkoły i byłyśmy zaprzyjaźnione, kiedy jednak po latach odkryłyśmy, że mieszkamy drzwi w drzwi, okazało się, że odnowienie kontaktów wymaga sporo czasu i zachodu, którymi żadna z nas nie dysponowała. W przypadku Danki problemem był czas, poświęcany głównie dwójce dzieci własnych i trójce wniesionej we wspólnotę małżeńską przez obecnego partnera. Mnie męczyły próby rozmowy w otoczeniu energicznej, rozkrzyczanej piątki pociech i ostatecznie poprzestałyśmy na sąsiedzkiej sympatii. Dzwoniłyśmy do siebie rzadko i widząc numer Danki na wyświetlaczu, mocno się zdziwiłam.

Wykorzystałam moment, gdy Łukasz zajęty był wycieraniem psich łap, i wybrałam numer Danuty.

— Jezu, dobrze, że dzwonisz — usłyszałam spanikowany głos, zanim zdążyłam się odezwać. — Gdzie ty jesteś?

— Wracam z pracy — poinformowałam ją zgodnie z prawdą. — Będę w domu za kilka minut. No, może trochę później — skorygowałam, patrząc, jak Łukasz gimnastykuje się z piesem-biesem. Pozornie posłuszny, Dragon kręcił się we wszystkie strony, byle utrudnić proces wycierania łap.

— Co się stało? — zapytałam. Powoli zaczęło do mnie docierać, że stan hysterii jest zazwyczaj Dance obcy. Jeśli mu uległa, to na pewno nie z powodu pająka w łazience.

— Jezu, nie wiem — usłyszałam w słuchawce spłoszony głos. — Nie mam pojęcia, jak to się stało. Przecież nie było wiatru ani burzy...

— Co się stało? — powtórzyłam z naciskiem, teraz już porządnie zdenerwowana.

— Masz wybite okno w sypialni — wydusiła z siebie wreszcie Danka.

* * *

— Szlag, co jeszcze? — jęknęłam, stając w progu sypialni.

Za mną Łukasz, Danka i Dragon w milczeniu spoglądali na rozsypane na

łóżku i podłodze szkło.

Wybite okno spostrzegliśmy od razu, wyskakując z samochodu pod blokiem. Przed wejściem do mieszkania czekała zdenerwowana Danka. Łukasz stanowczo odebrał mi klucze i z psem pierwszy wszedł do środka.

— Zobaczyłam to, jak wracałam z zakupów — powiedziała Danuta, trzęsącymi się dłońmi przegarniając włosy. — Nikogo dookoła nie zauważyłam, żadnych dzieciaków. Zresztą, Boże, po co ktoś miałby ci tłuc okna?

— Po to samo, po co ktoś porzwał mi przedwczoraj opony w samochodzie — wyjaśniłam rozgoryczona. — Co za licho się mnie czepia?

Dalsze oględziny ujawniły brak śladów włamania i innych szkód. Tajemniczy wandal zadowolił się wybiciem szyby w sypialni i na razie odpuścił. Przypadek wykluczaliśmy od razu, przypadek nie zostawiłby na łóżku kamienia wielkości pięści.

Patrzyłam załamana na dzieło zniszczenia.

— Oczywiście niedziela — wymamrotałam, opierając się głową o ścianę. — Oczywiście nawet nie ściągnę szklarza. Nie wiem, szafę tu przysunąć, czy obrazek, kurwa, powiesić... Spać mam do cholery w wannie?! Nie mam nawet cholernej wanny — jęknęłam, waląc potylicą w chropowatą powierzchnię ściany.

— Spać to tu na pewno nie będziesz — mruknął Łukasz, kładąc mi rękę na ramieniu. — Nie zgadzam się, żebyś tu została sama, dopóki nie ogarniemy tego cyrku. Spakuj się i jedziemy do Darka.

— Może ja się tam naprawdę wprowadzę — westchnęłam żałośnie. — Wiesz co, Łukasz, pojedę do rodziców.

Tak gwałtownej i ostrej reakcji na propozycję chwilowego zamieszkania u rodziny się nie spodziewałam.

— Nie — rzucił Łukasz twardo. — Tam na pewno nie.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

— Odbiło ci? Dlaczego nie?

— Bo twoi rodzice są chwilowo na urlopie i byłabyś sama — powiedział stanowczo Łukasz. — A na to się nie zgadzam. Ola, przykro mi, ale coraz bardziej mam wrażenie, że ktoś się uparł zatruć ci życie. Boję się o ciebie. Albo odwiozę cię do Darka, albo pojedziemy do mnie. Spakuj się.

Bez dalszych protestów poszłam dopakować potrzebne rzeczy. Z ponurą melancholią zapychałam resztę wolnego miejsca w torbie, której nawet nie zdążyłam po powrocie do domu rozpakować. Podziękowałam Dance i poprosiłam, by przez najbliższe kilka dni miała oko na mieszkanie. Gdy pożegnawszy sąsiadkę, wróciłam do sypialni, podmiotłam rozbite szkło i wytrzepałam pościel. Łukasz w tym czasie prowizorycznie zabezpieczył okno, starannie dosuwając do wnęki okiennej szeroki regał.

— Pasuje idealnie — stwierdził z zadowoleniem. — Bałam się, że będziemy

musieli na szybko skombinować jakąś płytę pilśniową. Gotowa?

— Nie — westchnęłam i w przewidywaniu kolejnych katastrof powlokłam się na korytarz. Zakręciłam wodę i po krótkim namyśle wyłączyłam również prąd.

— Gdzie chcesz pojechać? — spytał Łukasz, gdy wsiedliśmy do samochodu.

— Daleko stąd — wymamrotałam, opierając głowę o chłodną szybę. — Kup mi bilet na Hawaje...

* * *

Irytacja z powodu odkrytej w puszcze lekceważącej karteczki szybko Darkowi przeszła, gdy z ponurymi minami zameldowaliśmy się z powrotem. Podczas jazdy Łukasz uprzedził brata telefonicznie o zaistniałych okolicznościach. Kiedy zmordowana, przybita i coraz bardziej zrezygnowana wczołgałam się na trzecie piętro, oboje z Beatką stali w przedpokoju, patrząc na mnie ze współczuciem.

Rzuciłam torbę na podłogę i przytuliłam się do Beaty, która bez słowa odholowała mnie na kanapę w przedpokoju. Panowie zniknęli w kuchni, skąd wyłonili się po chwili z kawą.

— Jezu, co ja bym bez was zrobiła? — jęknęłam, gdy Łukasz podał mi kubek z gorącym napojem. — Daruś, przysięgam, dorzucę się do czynszu...

— Przestań mi tu o czynszach bredzić — Darek przysiadł na fotelu, machając z irytacją. — Na razie chciałbym zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

— My też — mruknął Łukasz. — Dragon, zostaw torbę pani. Pilnuj.

Podobnie jak pozostałe zgromadzone w pokoju osoby, pies najwyraźniej również czuł się odpowiedzialny za moje bezpieczeństwo. Bez wahania porzucił torbę i położył się na moich stopach.

Jawny dowód psiej lojalności w zestawieniu z widokiem trzech zatroskanych twarzy sprawił, że gromadzone i tłamszone przez ostatnie dni pokłady stresu niebezpiecznie podniosły swój poziom. Jeszcze przez kilka sekund walczyłam desperacko o utrzymanie ich w ryzach, wiedzona mętym poczuciem, że wylanie morza łez nie umożliwi mi utopienia plag, które mnie ostatnio dotknęły. „Zamarynowane w sosie własnym też nie znikną”, pomyślałam histerycznie i wybuchłam płaczem.

— Łukasz, daj trochę koniaku do tej kawy — sapnął nerwowo Darek. — Aleksandro, ja wiem, że sytuacja jest kiepska, ale musimy pomyśleć, co dalej. Bez ciebie nic mądrego z tego nie wyjdzie.

Wybuch płaczu uruchomił jednak prawdziwą, rzetelną histerię, która z każdą chwilą opanowywała mnie coraz bardziej. Wobec ogromu doznanych nieszczęść użyty przez Darka epitet „kiepska” był co najwyżej marnym eufemizmem dla pandemium, które zważyło mi się na głowę.

— Ktoś porzwał mi opony w aucie, ktoś wywalił mi okno w sypialni, zerwałam z Krzyśkiem, w pracy ktoś podrzucił mi jakieś idiotyczne zdjęcia! To jest „kiepska sytuacja”? — wrzasnęłam histerycznie. — Mam zniszczone auto, nie mogę wrócić do własnego mieszkania, a do pracy chyba pójdę na końskiej dawce relanium, bo moja własna szafka zawiera niespodzianki zdolne przyprawić o zawał serca! Jeszcze ci mało? Czy mam narysować?!

Z całego rwącego potoku goryczy Darek i Beata wyłowili tylko jedną informację.

— Jakie zdjęcia? — spytała nerwowo Beata.

— Ola, mogę je przynieść? — Łukasz podniósł się i sięgnął po moją torebkę. Zanim zdążyłam kiwnąć głową, wyjął kopertę i wysypał jej zawartość na stół.

Uwolnienie natłoku negatywnych emocji złagodziło nieco moje nastawienie. W otępieniu patrzyłam, jak Beata i Darek przeglądają zdjęcia.

— Ola, ty nadal będziesz się upierała, że policja jest tu niepotrzebna? — mruknął niespokojnie Darek.

— Ja się już przy niczym nie będę upierała — jęknęłam, obejmując kolana i wciskając głowę między nogi i klatkę piersiową. — Ja się tylko upieram, że mam tego wszystkiego dość!

— Też bym miał — stwierdził Darek. — Opony, okno, zdjęcia, włamanie do szafki w pracy... Coś jeszcze?

— Duchy — zaśmiałam się histerycznie i natychmiast umilkłam, zgromiona spojrzeniem przyjaciela. — Jakieś dziwne telefony były — spoważniałam. — Ktoś do mnie wydzwaniał z zastrzeżonego numeru.

— I...?

— Nie wiem, najczęściej widziałam tylko, że mam połączenia nieodebrane — zniecierpliwiłam się. — Nic dziwnego w tym nie było. Tyle że ta osoba dzwoniła po kilka razy i najczęściej wieczorem.

— Super — mruknął Darek. — Zaraz powieść sensacyjna z tego wyjdzie... Czy ktoś ma może pomysł, o co tu chodzi?

Pomysłu nie miał nikt.

— Dajcie spokój, sami nic nie zrobimy — przerwała ciszę Beata. — Jutro od rana trzeba podjechać z tym na policję. Na razie zrobię kolację i chyba wszyscy musimy złapać trochę dystansu.

— Nie mam apetytu — wymamrotałam, próbując przez grzeczność i wzgląd na wieloletnią przyjaźń nie urazić Beatki informacją, co myślę o propozycji złapania dystansu wobec własnej sytuacji. Równie dobrze mogłaby namawiać mnie do podróży na Księżyc metodą katapultowania się z balkonu.

Pragmatyzm przyjaciółki przewidział konieczność wprowadzenia mnie w lepszy nastrój drogą inną niż przez żołądek.

— Ola, ty się idź wykup. Przywiozłam kokosowy żel-peeling do kąpieli —

wymruczała zachęcająco i pociągnęła mnie do pozycji pionowej.

To podziałało odrobinę lepiej. Powoli skierowałam się za Beatką do łazienki.

Otulona kokosową mgiełką, wyszłam z łazienki z nieco lepszym nastawieniem do życia. Od zaproponowanego przez Beatkę dystansu byłam wprawdzie nadal oddalona o lata świetlne, jednak wśród przyjaciół czułam się na tyle bezpiecznie, by usiąść przy kolacji i spróbować przeanalizować sytuację trzeźwym okiem.

Szybko się okazało, że dużo do analizowania mi nie pozostawiono.

Gdy z jedzeniem i talerzami weszliśmy z Beatką do salonu, Łukasz i Darek siedzieli na kanapie, pograżeni w cichej dyskusji. Czego dotyczyła, nie udało mi się ustalić, gdyż na mój widok obaj zamilkli.

— Już się boję spytać, co to za spiszek — mruknęłam, rozkładając talerze. — Jaki los mnie czeka w najbliższym czasie?

— Według moich prognoz całkiem niezły — obwieścił Darek i zreferował pokrótce treść ustaleń.

— Nie do końca mi się to podoba — wyznałam po wysłuchaniu propozycji. — Do domu sama faktycznie bałabym się wrócić, ale żeby od razu mieszać w to waszych rodziców... Może po prostu pomieszkam kilka dni u was. Podtrzymuję chęć dorzucenia się do wydatków...

— Ola, ty się tyle razy dorzuciłaś do moich wydatków, że do końca życia mogłabyś tu mieszkać za darmo — mruknął Darek. — Ale Łukasz ma rację. U twoich rodziców i u nas spędzasz dużo czasu i każdy, kto cię zna, dobrze to wie. Ten ktoś też, bo przecież opony pociął ci tutaj...

— Oliwka też mnie przygarnie — rzuciłam, w duchu przyznając Darkowi rację.

— Nie ma mowy, nikt z klubu, dopóki nie będzie wiadomo, skąd się wzięły te zdjęcia...

— O Boże — jęknęłam, na nowo przygnębiona. Z przeraźliwą jasnością dotarł do mnie sens słów przyjaciela. Ktokolwiek uparł się zrujnować moje życie i zdrowie psychiczne, znał mnie całkiem niezłe i dużo o mnie wiedział. To nie była przypadkowa złośliwość losu i jednostki niestabilnej emocjonalnie. Ktoś starannie i systematycznie wdzierał się do mojego życia, odbierając mi powoli kolejne elementy przestrzeni, w których do tej pory czułam się bezpieczna i pewna. Mieszkanie moje i rodziców, samochód, miejsce pracy, dom przyjaciół — zagrożenie wkradało się wszędzie, spychając mnie na margines, na którym coraz trudniej było balansować bez utraty równowagi. Traciłam kolejne punkty oparcia i byłam przerażona faktem, że nie zdołam znaleźć pewnej przestrzeni, nie wciągając w oko cyklonu kolejnych życzliwych mi osób. Nienawiść kładła się cieniem nie tylko na moim własnym świecie, skutecznie zagarniając spokój i broniąc dostępu do własnego źródła.

Do końca kolacji nie odzywałam się zbyt wiele, pozwalając przyjaciółom porządkować chaos, który zapanował w moim spokojnym świecie. Bez dalszych protestów przyjąłam informację, że po posiłku Łukasz odwiezie mnie do swoich rodziców, którzy zostali już powiadomieni o sytuacji i zaakceptowali pomysł mojej chwilowej przeprowadzki. Darek po raz kolejny zabazgrał grafik, tak, by nasze dni i godziny pracy w pełni się pokrywały. Ponieważ poniedziałek i tak miałam mieć wolny, ustaliliśmy, że od rana w obstawie Łukasza i Dragona udam się załatwić formalności związane z ubezpieczeniem i zgłoszeniem sprawy na policję. Błąkania się samotnego dalej niż do pobliskiej galerii handlowej zakazano mi kategorycznie, przynajmniej do czasu naprawy auta. Większości pomysłów w zakresie zapewnienia mi bezpieczeństwa poddałam się bez protestów, kiedy jednak Dariusz w ferworze natchnienia zaproponował ściągnięcie moich własnych rodziców z urlopu, kielkujące w głębi duszy wątpliwości przybrały formę kategorycznego buntu.

— Ja w ogóle proponuję podpiąć mnie do smyczy Dragona — stwierdziłam zjadliwie. — Powariowaliście wszyscy, to nie jest film sensacyjny, nikt na moje życie póki co nie dybie, więc ochrona 24 godziny na dobę to lekka przesada. Jeszcze chwila i zaczniecie układać grafik, kto będzie warował przy moim łóżku w nocy.

— To nie byłby wcale głupi pomysł. Na razie zgłaszam kandydaturę psa — zamknął dyskusję Dariusz.

Po kolacji usiedliśmy z Darkiem jeszcze na chwilę do grafiku. Beata miotła się w kuchni, a Łukasz wędrował z telefonem po sypialni, próbując łagodnie wytłumaczyć matce, że nie ma takiej opcji, by po przywiezieniu mnie został na kolacji. Dragon, który jeszcze kilka minut temu wiercił się nerwowo w oczekiwaniu na spacer, wślizgnął się do pokoju za swoim panem i niemal natychmiast zapomniał o wezwaniu natury. Ogromne akwarium Darka i pływające w nim kolorowe stwory były zbyt intrygujące, by tak po prostu zostawić je w spokoju.

„Zaraz będzie po ptakach”, pomyślałam, zerkając z niepokojem na zahipnotyzowanego feerią barw w akwarium piesa-biesa. Bez względu na braki w zakresie wiedzy kynologicznej w głowie zamajaczyły mi słowa Łukasza o tym, że amstaffy to psy bardzo przedsiębiorcze i źle znoszące nudę. W miarę jak obserwowałam poczynania naszego przedstawiciela tej rasy, coraz bardziej dojrzywało we mnie przeświadczenie, że Łukasz bardzo zdawkowo scharakteryzował wybitną kreatywność i determinację w dążeniu do celu skumulowane w jednym psie.

Zapewne śledziłabym z zapartym tchem kombinacje alpejskie, jakie skuteczniał Dragon, gdyby nie Darek, który co chwilę przerywał mi obserwację, domagając się pomocy przy planowaniu zajęć. Poczynania piesa-biesa

rejestrowałałam w formie serii slajdów, z których każdy przedstawiał sytuację rybek w coraz mniej korzystnym świetle.

Dopóki Dragon siedział na podłodze, ograniczyłam się do biernej obserwacji. Nie zareagowałam także na próbę wspięcia się do górnej krawędzi pojemnika na tylnych łapach. Gdy jednak jeden z kadrów zaprezentował mi piesa-biesa przemykającego cichcem na fotel, zostawiłam Darka i powoli podeszłam do drzwi sypialni.

— Cicho, zaraz przyjdę — mruknęłam w odpowiedzi na marudzenie pozostawionego przy laptopie przyjaciela i wyrzałam zza ściany.

Widok, jaki ujrzałam w pokoju, na chwilę sparaliżował mnie totalnie. Kreatywność piesa-biesa przerosła całkowicie moje wyobrażenia.

Dotyczący większości psów zakaz włożenia na fotele albo nie został przez Łukasza zwerbalizowany, albo Dragon z właściwym sobie wdziękiem postanowił go zlekceważyć. W chwili, gdy zajrzałam do sypialni, balansował na poręczy przykrytego włochatą kapą fotela. Poręcz posłużyła mu za podpórkę, po której wdzięcznie i lekko przeskoczył na stojący obok podłużny stolik z akwariem. Ponieważ akwarium nie należało do małych, a na stoliku Beatka upchnęła sporych rozmiarów doniczkę ze skrzydłokwiatem, miejsca na prawie trzydziestokilowego psa zostało naprawdę niewiele. Świadomy tego Dragon stanął na tylnych łapach, przednie opierając o odkryty brzeg szklanego pojemnika. Póki co nie próbował mieszać w wodzie, na razie wystarczało mu obserwowanie z bliska, jak spanikowane rybki umykają w popłochu na widok zanurzonej w akwariem groźnie uźębionej paszczy, kryjąc się wśród roślinności.

Przez kilka sekund patrzyłam przerażona na rozgrywające się przed moimi oczami w absolutnej ciszy dantejskie sceny, po czym struchlałam jeszcze bardziej na myśl o piekle, które dopiero urządzi nam Darek, jeżeli jego ukochane rybki znajdą się na dywanie, w który wsiąkać będzie rozlana woda, a wokół leżeć będą kawałki szkła. Gryząc nerwowo paznokcie zastanawiałam się, jak dyskretnie ściągnąć Dragona ze stolika lub zwrócić uwagę zaaferowanego dyskusją z matką Łukasza w taki sposób, by pies przyłapany na gorącym uczynku w odruchu wyrzutów sumienia nie zlaźł ze stolika razem z całą resztą.

Łukasz skończył rozmowę dokładnie w momencie, gdy psia morda wynurzyła się wreszcie z wody. Oboje zamarliśmy na swoich miejscach, patrząc, jak piekielne zwierzę ostrożnie zlaźi ze stolika, przeskakuje na fotel i z wielką satysfakcją kieruje się w stronę stojącej w rogu sypialni olbrzymiej donicy z dracaną.

Donica najwyraźniej zdała test przeprowadzony poprzez dokładne obwąchanie, gdyż Dragon bez większych skrupułów przystąpił do kopania w ziemi niewielkiej dziury, w której zamierzał schować na później trzymaną w pysku złotą rybkę.

— Dragon. Zostaw. Proszę. Do ciężkiej cholery — powiedział beznadziejnie Łukasz, biorąc pomiędzy poszczególnymi słowami głęboki oddech.

Komenda była nieco spóźniona, gdyż Dragon zdążył już wypluć do wykopanego dołka swój łup.

Oboje padliśmy na kolana obok donicy, wpatrując się w tylną część złotej rybki. Przednia najwyraźniej zniknęła bezpowrotnie w psim przewodzie pokarmowym.

— Nie jestem weterynarzem, ale chyba możemy stwierdzić zgon — westchnął ciężko Łukasz.

— Co teraz? — spytałam, dziękując w duchu Dragonowi, że zdecydował się spożyć przednią część rybki. Nie wyobrażałam sobie patrzeć w martwe czarne oczka, a następnie w bardzo żywe i pałające żądzą mordy Darka.

— Zabiję psa — mruknął Łukasz. — Co robi Darek?

Jak na wezwanie, w salonie rozległ się głos Dariusza, który po totalnym zdemontowaniu grafiku wreszcie złożył go do kupy i domagał się mojej akceptacji.

— Cholera, zaraz tu przyjdzie — syknęłam spanikowana. — Co robimy?

Łukasz najwyraźniej dokonał już bilansu strat związanych z ujawnieniem psiej zbrodni, bo decyzję podjął błyskawicznie.

— Idź, zajmij czymś Darka — syknął. — Ja pochowam rybkę.

Spojrzałam na niego wstrząśnięta.

— Jezu, gdzie?

— Tu pod kwiatkiem będzie jej dobrze! Dragon już dziurę wykopał, ja tylko przysypię! Nabożeństwo żałobne odprawimy później...

Nawoływania Darka wyrwały mnie z osłupienia, w jakie wprawiła mnie determinacja najpierw psa, potem jego pana. „Zwierzęta się upodabniają do właścicieli”, przemknęło mi przez myśl... „A może odwrotnie...”

— Ola, chodź, bo chcę ten grafik rozesać ekipie!

— Olka, zasuważ, jak rany Boga, on tu zaraz wlezie!

— Oszalałeś, przecież to zacnie śmierdziec...

— Wykopiemy kiedyś tam przy okazji i wywalimy! I przynieś mi zmiotkę!

Ostatni raz spojrzałam ze zgrozą na miejsce zbrodni i wypadłam z pokoju, taranując Darka, który w poszukiwaniu mojej osoby zmierzał właśnie do sypialni. Wepchnęłam go z powrotem do salonu, pobieżnie spojrzałam na grafik i poleciłam wysłać do współpracowników. Następnie wygrzebałam ze schowka w przedpokoju zmiotkę, zbywając Beatkę wdzięcznym łgarstwem o piachu, który Dragon naniósł do pokoju. Gdy na stole w salonie pojawiła się herbata, miejsce zbrodni było dokładnie uprzątnięte, a Łukasz tłumaczył przyspieszony oddech przymusowym sprintem dookoła bloku, który odbyli z Dragonem zaraz po emocjonującym poławie.

— Bałam się, że się zsika gdzieś w domu — wyjaśnił Beatce, zdumionej

nagłym opuszczeniem mieszkania przez psa i jego właściciela. — Kręcił się trochę...

Dyskretnie zerknęłam na siedzącego grzecznie obok moich nóg Dragona. Ciekawe, czy anielski wyraz pyska był efektem działań pedagogicznych Łukasza, podjętych podczas nadprogramowego spaceru...

Dochodziła dwudziesta, gdy wreszcie Łukasz dał sygnał do wyjścia.

— Ola, jest późno, a byłoby dobrze, gdybyś jeszcze na spokojnie uszykowała dokumenty do samochodu i umowę o ubezpieczenie.

Na myśl o cienkiej teczce wrzuconej w pośpiechu do torby, jęknęłam w duchu. Przestępcza akcja z piesem-biesem w roli głównej oderwała mnie na chwilę od przykrej rzeczywistości. Perspektywa przedzierania się przez treść umowy, gdzie większość informacji była pisana małym druczkiem, przypomniła mi nazbyt dobitnie o wydarzeniach ostatniego tygodnia.

— Nie martw się — Darek poklepał mnie po ramieniu, gdy stałam w przedpokoju gotowa do wyjścia. Łukasz, który nie zdążył odpowiednio szybko zawiązać butów, czekał w kuchni, aż Beatka zapakuje dla nas kilka kawałków sernika.

— Boję się tego ubezpieczenia — mruknęłam. — Takie sprawy podobno koszmarnie długo się ciągną. A ja się na tym kompletnie nie znam.

— Łukasz się zna — stwierdził beztrąsko Darek. — Pojedziecie razem, więc naprawdę nie widzę problemu.

— Ja się bardzo cieszę, że on ze mną pojedzie — powiedziałam ostrożnie. — Zastanawiam się tylko, skąd ma tyle czasu. Myślałam, że już skończył mu się urlop i pracuje.

— Całkiem słusznie myślałaś — westchnął Darek. — Ale jak ktoś tak pracuje jak mój brat, to może sobie pozwalać na żonglerkę czasem. Jest dziennikarzem — wyjaśnił, widząc moje pytające spojrzenie. — Pracuje w redakcji „Top Gear”, takie pismo samochodowe...

Gwizdnęłam z podziwem. Widywałam ten tytuł w teczce ojca, który pisma motoryzacyjne kolekcjonował z ogromnym zapałem.

— Nie mówił ci? — zdziwił się Darek.

— Wiesz, Daruś, wy wszyscy macie jakąś manię na punkcie sekretów rodzinnych — stwierdziłam cierpko. — Może to właśnie twojej rodziny powinnam się bać. Przypominam ci, że jeszcze niedawno twierdziłeś, że mam się trzymać od Łukasza jak najdalej, a teraz sam mnie pchasz pod czułe skrzydła jego opieki. Kompletnie nic z tego nie rozumiem.

Przyłapaną na braku logiki, Darek spojrział na mnie z wyrzutem.

— Nie szkodzi, nie musisz, Aleksandro — sapnął nerwowo. — Kategorie zakaz nawiązywania bliskich relacji nadal obowiązuje, chociaż mam wrażenie, że jest jakby... zawieszony. Więc proszę cię o ostrożność. I o

niepodejmowanie pochopnych decyzji.

— To znaczy, że nie mam wychodzić za niego za mąż, czy przespać mi się z nim też nie wolno? — zapytałam zgryźliwie.

— Ja bardzo cię proszę, bez głupich pomysłów — zirytował się Darek. — Bo cię za mąż wydam i będzie spokój!

— Za kogo? — zainteresował się Łukasz, którego Beatka wypuściła wreszcie z kuchni.

— Nie wiem jeszcze — burknął Darek. — Za kogoś odpowiedzialnego, zrównoważonego i odpornego na wstrząsy. Nikt inny z nią nie wytrzyma.

— Ale konkretnych kandydatów brak? — drążył Łukasz.

— Niestety — sapnął Darek.

Oparłam się o drzwi i przytupywałam zniecierpliwiona, przysłuchując się debacie na temat mojego zamążpójścia. Choć zainteresowanie Łukasza tematem budziło żywsze piknięcie serca, do zaobrączkowania samego w sobie nadal czułam silną niechęć. Z trudem przeczekałam ceremonię pożegnalną i po raz pierwszy z ulgą opuściłam mieszkanie przyjaciół.

— Boże, nie wyjeżdżam w dziewicze puszcze Amazonii, tylko osiem kilometrów dalej — pomstowałam jeszcze na schodach. — Dostaliśmy tego ciasta tyle, jakbyśmy mieli przez rok mieszkać w dziczy. Gdyby ktoś widział to pożegnanie, pomyślałby, że następnym razem zobaczymy się za dziesięć lat!

— Daj spokój, martwią się — Łukasz bez przekonania próbował łagodzić moje bojowe nastawienie, zafiksowany wokół innej kwestii. — On z tym twoim zamążpójściem to tak na serio?

— Nie, dla zasady sobie marudził — mruknęłam. — Tak samo jak moja mama, babcia, ciotka ze strony ojca i cała damska część twojej rodziny. Na szczęście Beatka mi przynajmniej odpuściła... Ładnie się jej odwdzięczam! — zreflektowałam się ze zgrozą. — Zakopaną pod dracena zaśmierdłą złotą rybką! Łukasz, musimy to jakoś usunąć i zutilizować!

— Nie musimy — uspokoił mnie Łukasz. — Już usunąłem. Przemyciłem do śmietnika w woreczku na psie kupy, wyprowadzając Dragona...

Przed oczami przemknął mi obraz Łukasza, galopującego w popłochu z Dragonem w kierunku drzwi wyjściowych i parsknęłam śmiechem.

— No co miałem... — zaczął się bronić Łukasz i sam wybuchnął śmiechem.

Jeszcze w samochodzie siedzieliśmy przez dłuższą chwilę, próbując opanować histeryczny chichot.

— Czy ty wiesz, co by nam zrobił Daro za ukatrupienie złotej rybki i zbeczeszczenie jej zwłok pochówkiem w woreczku na psie kupy? — wyrzuciłam na myśl o minie przyjaciela, gdyby odkrył ponurą tajemnicę zniknięcia jednej z pupilek.

— Wsadziłby nas do akwarium zamiast tej biednej rybki — zachichotał

Łukasz. — Miałabyś przechlapane!

— A ty nie? — zainteresowałam się, próbując mówić wyraźnie na tyle, na ile pozwalał mi grzęznący w gardle histeryczny śmiech.

— No ja już bardziej wyklęty przez rodzinę nie będę — stwierdził stanowczo Łukasz i otarł wierzchem dłoni łzy, które wycisnął mu z oczu radosny rechot. — Nic mi nie zaszkodzi, nawet gdyby duch złotej rybki osobiście wskazał mnie płetwą...

Czułam przemożną chęć kontynuowania tematu wyklęcia Łukasza przez rodzinę, jednak wizja zjawy pożartej złotej rybki, nawiedzającej doniczkę z dracena, totalnie zawładnęła moimi myślami. Popełniona przez piesa-biesa zbrodnia wyгнаła ponury nastrój, zaprzatający mi głowę bez reszty. Siedząc obok Łukasza w jego hondzie, śmiejąc się i zerkając na diabelskie ogniki w oczach Dragona, po raz drugi zamarzyłam o buteleczce, w której mogłabym zamknąć kilka bez trosko spędzonych chwil. Chwil, w których, tak jak podczas nocnego spaceru, czułam się bezpieczna i kochana.

Osiem kilometrów, jakie dzieliły nas od osiedla domków jednorodzinnych, na którym mieszkali rodzice chłopaków, w niedzielny wieczór udało się przejechać szybko, zbyt szybko. Łukasz zaparkował przed bramą wjazdową na teren osiedla i wyciągnął telefon.

— Uprzedzę mamę, żeby po ciebie wyszła — powiedział, wybierając numer.

Po krótkiej chwili wytchnienia od chaosu, w którym od kilku dni próbowałam nie utonąć, poczułam, że ręka wyciągnięta z pomocą teraz odpycha mnie od bezpiecznego brzegu.

— Nie odprowadzisz mnie? — spytałam krótko. Choć nie chciałam pokazać rozczarowania, zachrypnięty głos zdradził Łukaszowi, jak bardzo jest mi przykro.

Łukasz odłożył telefon i odwrócił się do mnie z westchnieniem.

— Ola, naprawdę bardzo cię przepraszam — powiedział cicho. — Wiesz, że chętnie bym cię odprowadził, posiedział z tobą i z mamą... Ze względu na ojca to niemożliwe. Nie miej mi za złe...

— Dobra, przestań się tłumaczyć — mruknęłam zrezygnowana. — Nie rozumiem, ale mam nadzieję, że kiedyś się dowiem, o co w tym wszystkim chodzi. Nie fatyguj mamy, poradzę sobie.

Łukasz patrzył bez słowa, jak wysiadam z samochodu. Potem pomógł mi wyjąć torbę z bagażnika.

— Jutro przyjadę o ósmej, może być? — zapytał, kiedy zbierałam się do odejścia. — Będę czekał przy bramie.

— Dobrze, spróbuję się wygrzebać — obiecałam. — Bardzo ci dziękuję za pomoc. Do jutra.

Poczekalam, aż zamknie za mną bramę i pomachałam ręką na pożegnanie. Potem odwróciłam się i ruszyłam powoli alejką w kierunku domu państwa

Nawrockich, czekając na pomruk odpalanego silnika. W idealnej ciszy dotarłam do właściwego domu i odwróciłam się, choć byłam pewna, że honda civic nadal stoi przed bramą wjazdową. Dopiero teraz mrugnęła światłami i po chwili zniknęła za zakrętem.

* * *

— No to dupa — stwierdziłam, wpatrując się ponuro w chodnik przed komisariatem.

Od kilku minut siedzieliśmy na parkingu obok hondy Łukasza, próbując przetrwać beztrudną ignorancję, z jaką stróż prawa potraktowali moje zgłoszenie.

— Gość miał dobre chęci — mruknął Łukasz, bawiąc się breloczkiem.

Parsknęłam z irytacją, dając światu do zrozumienia, co myślę o najlepszych nawet intencjach bez pokrycia.

— Dobrymi chęciami piekło ponoć wybrukowano — przypomniałam mu i zakląłam, bo wąski krawężnik coraz bardziej uwierał mnie w tyłek, potęgując pełne niechęci nastawienie do świata.

Byłam niesprawiedliwa, co z żalem wielkim i skruchą mogłam wyznać w każdej chwili, a następnie w ramach pokuty odbyć na klęczkach pielgrzymkę wokół komisariatu. Byłam cholernie niesprawiedliwa, nie doceniając dobrego słowa i zaangażowania, z jakim przyjmujący nas gliniarz wysłuchał całej historii i obejrzał przyniesione zdjęcia pokiereszowanego samochodu oraz te, które dzień wcześniej przeniknęły cudownym sposobem do mojej szafki w pracy. Trafił mnie jednak szlag potworny, gdy na drodze do podjęcia jakichkolwiek działań stanęła sterta makulatury zwana protokołem. Wypełnianie owej makulatury przetrzymałam, dlaczegoż by nie, byłam skłonna nie zgrzytać nawet zbyt głośno zębami. Niestety po wypisaniu ostatniej strony wprawiona w ruch machina prawa zatrzymała się nieoczekiwanie i przystopowała radosną nadzieję na odzyskanie poczucia bezpieczeństwa, jaka z każdą chwilą coraz bujniej kwitła w moim sercu.

— Jak to „to wszystko”? — spytałam z niedowierzaniem, gdy przedarliśmy się przez gąszcz zmarnowanego papieru. — Spisał pan protokół, więc rozumiem, że teraz czas na działania?

— Nic więcej nie mogę zrobić — pokręcił głową posterunkowy. — Przyjąłem zgłoszenie, ale czy znajdziemy winnego, nie mogę zagwarantować.

— Zaraz, zaraz, będzie mi pan uprzejmy wyjaśnić ten absurd — Łukasz wpatrywał się to w leżący przed nami stos papierów, to w posterunkowego. — Zostało zdemolowane auto, wybito szybę w mieszkaniu, Ola odbiera głuche telefony i ktoś włamuje się do jej szafki w pracy, podrzucając dziwne fotografie. I poza spisaniem protokołu nic nie możecie zrobić?

Posterunkowy spojrzał na nas z sympatią. Byłam na etapie rozważania, czy ruszyliby się, gdybym w tej chwili go zamordowała, jednak współczucie w oczach

policjanta szybko przytłumiło mordercze chęci.

— Z mieszkania nic nie zginęło, więc nie można tego podciągnąć pod włamanie — zaczął tłumaczyć nam cierpliwie. — Pocięte opony to często kwestia wandalii, sprawa bardzo trudna do ustalenia. Prześladowanie telefoniczne też nie wchodzi w grę, bo kilka nieodebranych połączeń z różnych numerów to jeszcze nie dowód przestępstwa. Możemy co najwyżej zająć się sprawą włamania do szafki...

— Alleluja — mruknęłam, jednak przedwcześnie.

— Ale same zdjęcia nie przedstawiają niczego szczególnego — dokończył posterunkowy i radość we mnie skłęśla. — Nie ma niczego, co zagrażałoby pani życiu, a przesłanek do powiązania tych spraw nie ma...

— Czyli mam poczekać, aż mnie zamordują? — spytałam z rozpaczą. — Albo przynajmniej wyniosą mi pół mieszkania, żeby było ewidentne włamanie?

— Ja rozumiem — zaczął policjant, który najwyraźniej wobec łez bezbronnej kobiety również miał problem z pojęciem ogromu absurdu zgromadzonego w przyjętych procedurach. — Ja wiem, że w pani oczach spisanie protokołu to żadne działanie... Jeżeli wydarzy się jeszcze cokolwiek...

— To najpierw napiszę dla państwa obszerny wywód, uzasadniający, że wydarzenia ostatnich dni całkiem logicznie się ze sobą łączą — burknęłam, coraz wyraźniej czując, że zgromadzone pod powiekami łzy nie są jedynie produktem na użytek posterunkowego. — No chyba że w wyniku tego „cokolwiek” zejdem przedwcześnie z tego świata. Przepraszam...

Grzebiąc nerwowo w torebce w poszukiwaniu chusteczek, przejechałam dłonią po ostrej krawędzi dużej koperty, w której schowałam fotografie.

— Cholera — zaklęłam, czując jak papier gładko przecina skórę na palcu.

W czerwonej kropki, która ledwo wydostała się na powierzchnię skóry, w mgnieniu oka utonęła cała nadzieja na szybkie rozwiązanie sprawy i odzyskanie spokoju. Niewidzialna fala frustracji, uwolniona z drobinką zawieszonych w osoczu krwinek, zalała tamę opanowania, która powoli, lecz nieubłaganie się wykruszała.

— Cholera! — powtórzyłam przez zaciśnięte zęby i bez pożegnania wybiegłam z pokoju.

Stłumienie chęci bezsilnego wrzasku pochłonęło resztę sił i opanowania, jakimi dysponowałam. Opadłam na krawężnik obok samochodu Łukasza, opierając głowę na ramionach.

Silna, męska dłoń delikatnie odgarnęła mi włosy z twarzy i Łukasz przykucnął obok.

— Też miałem nadzieję, że coś z tym zrobią.

Bez względu na szczerą intencję wybrzmiewającą w jego głosie i bez względu na wszystko, co dla mnie zrobił w ostatnich dniach, duch przekory wobec rodu męskiego natychmiast zatamował zbierający się pod powiekami natłok

płynnych emocji i wyzwolił powtarzaną od lat mantrę. „Nie będę płakać przy żadnym facecie... Nie będę, do cholery, płakać przy facecie...” Sprzężone z mantrą wieloletnie odruchy zadziałały bez pudła i po chwili masowałam skronie, niepostrzeżenie pozbywając się kilku nieposłusznych łez, które zmierzały w dół po policzkach.

Jeżeli i tym razem liczyłam na męską ignorancję i absolutną ślepotę emocjonalną, mocno się przeliczyłam.

— Nie płacz, Ola, nie jest źle — Łukasz delikatnie położył rękę na moim ramieniu.

— Przecież nie płaczę — sarknęłam gniewnie. W innej sytuacji zapewne na taką empatię w męskim wykonaniu zareagowałabym wzruszeniem, tym razem górę wzięła wściekłość, że siedzę tu bezradna i pozwalam prowadzić się za rączkę jak pięcioletnie dziecko.

— Nie znasz tej bajki o spoconych oczach? — błysnęłam ironią.

— Jak tylko są spocone, to już lepiej...

Owinięta szalem sarkazmu poczułam się na tyle pewnie, by trzeźwym okiem spojrzeć na sytuację.

— Czyli na fuchę świadka koronnego na razie nie mam szans — westchnęłam.

— Ale na rychłą wypłatę forsy z ubezpieczenia widoki są niezłe — przypomniał Łukasz. — Choć chyba wymieniłbym opony na własny koszt, zamiast czekać na przelew... Masz wykupioną „Autopomoc”, więc do punktu naprawy szkód ubezpieczyciela odholują samochód sami.

Już w nieco lepszym nastroju pokiwałam głową, przypominając sobie bój, jaki przed wizytą na komisariacie stoczył Łukasz, by przekonać firmę ubezpieczeniową, że za brak powietrza i równiutkie dziury w oponach winić można jednostki uznawane powszechnie za wandalów, wariatów, a w ostateczności UFO, natomiast właścicielka z uszkodzeniami nie ma nic wspólnego. Dopiero teraz, dokonując bilansu zysków i strat dzisiejszego poranka, doceniłam bezcenne wsparcie ze strony anioła stróża.

— Zimno mi w tyłek — stwierdziłam i pozbierałam się z krawężnika. — Bez sensu tu siedzieć, oni się nie zlitują, jeśli nawet złapię wilka. Jak wrócę do domu, zadzwonię umówić się z tymi oponami.

— To co? Odwiozę cię do rodziców — Łukasz otworzył mi drzwi ze strony pasażera i sam wsiadł do wozu. — Potem będę musiał trochę poudawać, że pracuję.

— Dla mnie możesz nawet pracować naprawdę — stwierdziłam wspaniałomyślnie. — Pogodziłam się z myślą, że po powrocie do pracy nie będziesz mógł mi poświęcać czasu dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— Szczerze mówiąc, teraz akurat wolałbym ten system — mruknął Łukasz,

wyjeżdżając z parkingu. — Zwłaszcza, że w środę będę musiał na kilka dni wyjechać.

Natychmiast pożałowałam własnej wspaniałomyślności.

— Jak to? — spojrzałam na Łukasza przerażona. — Dopiero Daruś oddał mnie pod twoje skrzydła, a ty spuszczasz taką bombę?!

— Ola, też mi się nie podoba ta perspektywa — zaczął Łukasz cierpliwie. — Ale moja robota wiąże się z wyjazdami, inaczej musiałbym się wyprowadzić do Warszawy.

— No, to już w ogóle cudownie...

— Albo zostać w Stanach.

Ostatnia wersja zamknęła mi wreszcie usta. Perspektywa emigracji Łukasza z powrotem za ocean była najgorszą z możliwych opcji. Postanowiłam grzecznie przełknąć gorzką pigułkę i skupić się na praktycznych aspektach sytuacji.

— A co z piesem-biesem? — spytałam. — Jak chcesz, mogę z nim te kilka dni pomieszkać. Dałam radę z rybkami, to i pies mi nie straszny.

Łukasz zastanawiał się przez chwilę.

— To kiepski pomysł — stwierdził wreszcie. — Nie chcę, żebyś była sama w obcym mieszkaniu.

— Jaka sama, z piesem! Amstaffów się wszyscy boją!

Łukasz spojrzał na mnie z politowaniem.

— Tego amstaffa nikt się nie będzie bał. Poza rybkami — stwierdził. — Nie Oleńka, ty zostajesz z moimi rodzicami, a z szefem już się dogadałem, Dragon pojedzie ze mną.

— To co, do cholery, jamnika bojowego mam sobie poszukać? — nadałam się.

— Proponuję yorka — Łukasz okazał się odporny na kobiece fochy. — A póki co, zadzwoń proszę do mamy i spytaj, czy mamy po drodze coś kupić.

Zirytowana wywaliłam w jego kierunku język i wyciągnęłam telefon.

— Kolejne wspólne zakupy, ciekawe, co tym razem znajdę w szafce — mruknęłam i zakląłam soczyście, gdy Łukasz z piskiem opon zahamował przed marketem.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

— Oszalałeś? — syknęłam i chciałam pyskować dalej, lecz zimna stanowczość w oczach Łukasza natychmiast mnie przystopowała. Takiego go nigdy nie widziałam.

Łukasz przez dłuższą chwilę wpatrywał się we mnie ze złością, której źródło było dla mnie absolutną tajemnicą.

— Oszczędź sobie głupich dowcipów — wycedził wreszcie.

Patrzyłam osłupiała, jak wysiada z auta. Solidne trzaśnięcie drzwiczkami uświadomiło mi, że tym razem z fochem przeholowałam.

— Przepraszam — mruknęłam, gdy otworzył mi drzwiczki. — Nie gniewaj się.

Łukasz przez kilka sekund stał z głową odwróconą w drugą stronę. Dopiero gdy wziął głęboki oddech, spojrzał z powrotem na mnie.

— Ola, naprawdę się staram, żebyś była bezpieczna i żeby choć trochę poprawić ci samopoczucie w całej tej sytuacji — burknął. — Więc proszę, po prostu odpuść, przestań ironizować i... doprowadzać mnie do szału.

Zawarty w kilku oszczędnych słowach ogrom ładunku emocjonalnego przygniótł mnie wywołanym poczuciem winy. Bez względu na przeszłość, która kryła się w chmurnych i posępnych w tej chwili oczach Łukasza, w błyszczących źrenicach dostrzegłam srebrny blask Księżyca i powlekającą go purpurową mgłę silnych emocji. Może nadzieja z księżycowego spaceru nie była jedynie grą cieni, wywołaną wówczas przytłumionym blaskiem nocy. „Może nareszcie trafiłam na kogoś, dla kogo ciekący kran w mojej łazience będzie priorytetem”, pomyślałam z niedowierzaniem.

— Przepraszam — powtórzyłam, tym razem szczerze. — Naprawdę...

* * *

Telefon w sprawie listy zakupów miał ten dobry skutek, że gdy podjechaliśmy pod bramę osiedla, pani Eliza stała oparta o ogrodzenie i potupywała nerwowo.

— Chryste, mam, niepotrzebnie czekasz — jęknął Łukasz na widok cienkiego szala, jakim okryła ramiona. — Zmarzniesz.

— Nie chciała góra do Mahometa, Mahomet musiał udać się do góry — ucięła pani Eliza. — Drogi synu, może jak zobaczysz, że narażasz matkę na zapalenie płuc, zechcesz się w końcu pofatygować do rodzinnego domu.

Łukasz przewrócił oczami.

— Dobra, zaniosę wam zakupy — westchnął.

— Taką mam właśnie nadzieję — powiedziała twardo pani Eliza i mrugnęła do mnie porozumiewawczo, patrząc, jak Łukasz wyciąga z bagażnika torbę.

Z zakupami w postaci dwóch tabliczek czekolady, główki sałaty, pieczywa i nieprzyzwoicie drogich malin spokojnie poradziłybyśmy sobie same, jednak matka Łukasza sprawiała wrażenie osoby zbyt zdeterminowanej, by zwracać uwagę na takie głupstwa. Gdy szłam za nią, patrząc na szybki, zdecydowany krok, przemknęło mi przez myśl, że w razie konieczności wysłałaby nas po dziesięć kilo kartofli, byle skłonić opornego syna do zbliżenia się choćby do ganku.

Na ganku jednak Łukasz stanowczo wyhamował.

— Wybaczcie, drogie panie, obowiązki zawodowe wzywają — uśmiechnął się wdzięcznie i postawił siatkę przed drzwiami.

— O nie, mój drogi, matka też cię wzywa — uparła się pani Eliza. —

Choćby w celu uzyskania szczegółowych wytycznych na temat opieki nad tą młodą damą pod twoją nieobecność.

— Powiedziałem ci wszystko przez telefon — jęknął Łukasz. — Najlepiej trzymać pod kluczem i wypuszczać tylko z obstawą.

— Do ogródka, czy można kawałek dalej? — drażyła zimno pani Eliza, od czasu do czasu zerkając na mnie porozumiewawczo.

— Czy wy się uparliście doprowadzić mnie dzisiaj do szału? — wrzasnął wyprowadzony z równowagi Łukasz. — Wiem, o co ci chodzi, ale przecież nie będę się tam pchał! Nie jestem ślepy, widzę, że auto ojca stoi, ergo: ojciec jest w domu! To jak ty to sobie wyobrażasz?

— Ojciec to nie stado krokodyli...

— Ale opcję z krokodylami wołałbym stanowczo!

— A ja wołałabym rozsądnych mężczyzn w moim życiu — huknęła pani Eliza. — I z trzech, jakich mam, ani jeden nie spełnia tego warunku! Twój pies jest bardziej rozgarnięty niż wy wszyscy razem wzięci!

— I pewnie łatwiej dogadałby się z ojcem, a ja ewentualnie załatwię w razie potrzeby to stado krokodyli — uzupełnił zgryźliwie Łukasz. — Mamo, leczę, ta dyskusja nie ma sensu.

Negocjacje z panią Elizą tylko pozornie należały do nieskomplikowanych.

— Dobrze — zgodziła się. — Odprowadzę cię.

— Chryste, to do samochodu dotrę za trzy godziny — burknął Łukasz, ale posłusznie zaczekał, aż pani Eliza wpuści mnie do domu.

Wniosłam zakupy do kuchni i zainstalowałam się przy oknie, skąd miałam całkiem niezły widok na ożywioną dyskusję rozgrywającą się na parkingu. „Że też nie mam pluskwy”, pomyślałam z żalem, patrząc na oszczędną, lecz bardzo wymowną gestykulację Łukasza i jego matki.

Bez względu na temat i treść rozmowy domyśliłam się, że w bezpośrednich starciach z matką Łukasz podejmuje decyzję o kapitulacji szybko i bez wielkiego oporu. Przewidywane trzy godziny uległy redukcji do piętnastu minut, z czego wymiana argumentów trwała zaledwie pięć. Przez pozostałe dziesięć na obliczu Łukasza malowała się melancholijna rezygnacja. Pocieranie skroni i wbity w ziemię wzrok były równie oczywiste, jak wymachiwanie białą flagą.

— Wstawiłam wodę na kawę — zaczęłam dyplomatycznie, kiedy pani Eliza tryumfalnie opuściła pole bitwy i wróciła do domu.

Rozmowa z synem, choć przyniosła pożądaną efekt, widocznie nie należała do łatwych, gdyż pani Eliza zignorowała kawę i wyciągnęła z szafki skondensowaną wersję endorfin w postaci czekolady. Bez słowa podała mi drugą. Dopiero zaspokoiwszy zapotrzebowanie na naturalny środek antydepresyjny, jakim dla większości kobiet jest połowa tabliczki Milki z rodzynekami, zdecydowała się skomentować oglądaną przeze mnie scenę.

— Jeżeli kiedykolwiek będziesz miała w planach urobienie tego upartego osła, kup najpierw zapas czegoś słodkiego — stwierdziła, wymachując pozostałą czekoladą.

— Rozumiem, że dla mnie — domyśliłam się. — To aż taki wydatek energetyczny?

— Dogadanie się z Łukaszem? Zrównoważy wartość kaloryczną tortu czekoladowego z kremem — sarknęła pani Eliza.

Energicznym ruchem zmięła papierek po czekoladzie i cisnęła go do kosza. Oparła się o blat i odgarnęła z czoła długie rude kosmyki, które opadły jej na twarz. Na chwilę zastygła w bezruchu, przymykając oczy i biorąc głęboki wdech.

— Wszystko w porządku? — zaniepokoiłam się.

Zmęczenie na twarzy pani Elizy w mgnieniu oka ustąpiło filuternemu uśmiechowi.

— Skoro go przekonałam, żeby przyszedł w sobotę...

Wieści o aż takim zwycięstwie się nie spodziewałam.

— Jakim cudem? — jęknęłam z podziwem.

— Trochę szantażu, garść wyrachowania i szczypta udawanej wyrozumiałości, kochana. Zapamiętaj ten przepis, jeśli chcesz okiełznać mojego młodszego syna — pouczyła mnie i rozejrzała się po kuchni. — Kawę robiłyśmy, zdaje się?

Natychmiast wyciągnęłam dwie filiżanki i nasypałam kawy. Pani Eliza była zagorzałym wrogiem profanowania szlachetnego napoju piciem go z kubków.

Z kawą usiadłyśmy przy stole i podzieliłyśmy się resztą czekolady z mojej tabliczki.

— Dla Antułana nic nie zostało — zorientowała się pani Eliza, patrząc na kulkę sreberka miętoszoną w dłoni. — Trudno, i tak trochę przytył ostatnio — stwierdziła beztrzesko po chwili. — Naje się na imprezie.

— Będzie miał silną konkurencję w postaci Darka — zasugerowałam niespokojnie. — Darek słodczy na imprezie nie odpuści...

Pani Eliza spojrzała na mnie z rozbawieniem.

— A Łukasz niby odpuści? Tu jest już wszystko zaplanowane. Dla męża zamówiłam ciasto truskawkowe, Darek dostanie coś z marcepanem, a Łukaszowi upiekę kokosanki. Każdy dostanie słodkie, usiadzie w osobnym kąciku i będziemy miały spokój.

— Dobry plan — pochwaliłam. — Mam nadzieję, że goście też coś dostaną, nie tylko okruszki...

— Oleńka, ja liczę, że pomożesz mi zaplanować menu. Twoja pomoc bardzo by mi się przydała — pani Eliza spojrzała na mnie żywo. — Będzie około dwudziestu osób.

Wbrew stanowczym deklaracjom rzuconym w twarz Darkowi natychmiast

zgłosiłam chęć uczestnictwa w organizacji imprezy i zaproszenia do pomocy Beatki, której relacje z teściową były wprawdzie bardzo serdeczne, jednak dalekie od spontanicznego luzu, cechującego przyjaźń pani Elizy i moją. Na wszelki wypadek wysłałam do Beatki SMS-a z informacją, że zaangażowałam ją na piątek i sobotę w charakterze pomocy domowej, co powinno być miłą odmianą po użeraniu się z kredytami hipotecznymi w najkorzystniejszej dla klientów wersji. Po kilku minutach Beata odesłała pozytywną odpowiedź, żądając wynagrodzenia w postaci eklerów. Na takie wymagania pani Eliza przystała natychmiast.

— Dostaniecie jeszcze premię — obiecała. — Muszę tylko pomyśleć, jaką. Obie synowe muszą jednakowo rozpieszczać — mrugnęła.

Byłam ciekawa, kiedy wypłynie temat mojego zamążpójścia, bo że wypłynie, mogłam być spokojna. Od dawna miałam na taką okoliczność przygotowany w głowie arsenał ciętych ripost. Teraz okazał się bezużyteczny. Na tak otwarte próby wyswatania mnie z Łukaszem ze strony pani Elizy nie byłam absolutnie przygotowana. Cytat ze *Ślubów panińskich* o nienawiści do rodu męskiego zamarł mi na ustach.

— Ale Dareczek już ożeniony... — wykrztusiłam bez sensu, choć doskonale wiedziałam, za którego z synów chciałaby mnie wydać pani Eliza.

I rzeczywiście...

— Na szczęście Łukasz nie — uśmiechnęła się pani Eliza. — Zresztą za Darka nie miałabym sumienia cię wydać.

— Ja w ogóle nie czuję potrzeby bycia wydawaną — przypomniałam z nadzieją, że temat Łukasza rozmyje się w mojej ogólnej awersji do zalegalizowanych związków. — Za nikogo.

Na próżno. Jęknęłam w duchu, gdy pani Eliza wpatrzyła się we mnie z uwagą. To świdrujące spojrzenie wytrzymałali tylko weterani, narażeni na długotrwałą ekspozycję na jego działanie. Teoretycznie należałam do tej elitarnej jednostki, jednak tym razem nabyta odporność zawiodła. Z trudem stłumiłam chęć schowania się pod stołem i przerażona czekałam na ciąg dalszy. Wiedziałam, że po kilku minutach tortury wzrokiem rozpocznie się pranie mózgu w bardziej wyrafinowanej formie. W tej chwili przestałam się dziwić, że Łukasz tak szybko dziś poległ. Mieszkając przez lata w Stanach, nie miał okazji wyrobić sobie odporności na determinację, z jaką jego matka zwykła dążyć do celu.

— My się z Łukaszem tylko przyjaźnimy — zaczęłam rozpaczliwie. — I mamy razem psa.

Pani Eliza wybuchła śmiechem.

— Oła, przyjaźnisz to się z Darkiem i w to byłam zawsze skłonna wierzyć. A twoja „przyjaźń” z Łukaszem bynajmniej przyjaźnią mi nie pachnie.

— A czym? — wymamrotałam, zastanawiając się, które z nas się sypnęło.

— Założę się, że nie wynajęłaś go zamiast firmy ochroniarskiej — pani Eliza

wpatrywała się we mnie z rozbawieniem. — Chemią pachnie, kochana, chemią w najlepszym wydaniu — wyjaśniła po chwili. — Dziewczyno, nie mów mi, że nie widzisz, jak on koło ciebie skacze. Ola to, Ola tamto... A Oli chyba to za bardzo nie przeszkadza...

— Trudno, żeby mi przeszkadzało — mruknęłam. — Na każdym kroku mogę na niego liczyć... Załatwił za mnie to cholerne ubezpieczenie... I dużo innych rzeczy...

Pani Eliza wpatrywała się we mnie z uwagą.

— I mogę ci zagwarantować, że dla nikogo dotąd tak nie szalał — powiedziała wreszcie. — Przemyśl to, Ola, ja ci mówię...

Krótką rozmowa wystarczyła, by przemyślenia wysypały się w głowie jak różnokolorowe, błyszczące konfetti. „I dokładnie tak samo trudne do ujarznienia”, stwierdziłam w myślach z przerażeniem. „Może i lepiej, że Łukasz wyjeżdża na kilka dni”, przemknęło mi przez myśl. „Wolę sama poukładać tę zwiariowaną mozaikę rozszalałych uczuć i zaprezentować światu całość w kompletnej, uporządkowanej formie”.

Nie zdążyłam popaść w zupełny i wymagający interwencji farmakologicznej ból głowy, bo w kuchni pojawił się pan Antoni.

— Cześć, Olencja — rzucił pogodnie na mój widok. — Jak tam? Załatwiłaś coś?

Przeskok na tematy sensacyjno-kryminalne powitałam z prawdziwą ulgą.

— Z wypłatą ubezpieczenia poszło całkiem nieźle — stwierdziłam. — Natomiast policja zechce interweniować, kiedy zaczną mi ginąć rzeczy albo zostaną znaleziona w ciemnym zaułku z siekierą wbitą w ciemię...

— Czyli nigdy — odezwała się pani Eliza. — Tu nie mam złudzeń, ale cieszę się, że przynajmniej pieniądze na naprawę auta będziesz miała.

— Ja też — westchnęłam. — Ale naprawdę, gdybym pojechała sama, skończyło by się pobytem na oddziale zamkniętym. Do takich rzeczy trzeba mieć cierpliwość, pogryzienie agentów dobrze nie rokuje.

— Aż tak się wściekłaś? — parsknęła śmiechem pani Eliza.

Spojrzałam na nią ponuro.

— Jak zaczęli pytać, czy na pewno sama nie porzuciłam tych opon...

— No proszę, rzecz niezwykła — ucieszył się pan Antoni. — Czyżby Daruś zaczął nabierać zaradności życiowej? Już miałem obawy, że tego nie dożyję...

— Bo nie dożyjesz — skwitowała pani Eliza. — Darek jest dziś w pracy. Łukasz pojechał z Olą i pomógł jej wszystko pozajątwić — wyjaśniła, widząc skonsternowane spojrzenie męża.

Dobrotliwe i roztargnione oblicze pana Antoniego natychmiast przesłoniła chmura gradowa. Nerwowo przełknęłam ślinę, niepewna, czy informowanie go o aktywnym udziale młodszego syna w rozwiązywaniu zaistniałych problemów było

na pewno dobrym pomysłem. Właściwie pod wpływem spojrzenia zdolnego wywołać kolejną epokę lodowcową byłam zupełnie przekonana, że nie.

— O — skomentował po chwili sucho pan Antoni. — Nareszcie się na coś przydał. To jakaś nowość.

Wieloletnia wojna i brak widoków na rozejm między ukochanymi mężczyznami zirytowały panią Elizę.

— Daj spokój, Antuś — syknęła, rzucając na szafkę trzymaną w dłoniach ścierkę do naczyń. — Daj mu wreszcie spokój!

— Jestem zdania, że przede wszystkim on powinien dać Olencji spokój — rzucił z przekąsem pan Antoni. — To, że raz kiedyś raczył w czymś pomóc, nie znaczy, że za chwilę dziewczynie nie zaszkodzi.

— Zaszkozi jej twoje głupie gadanie — ucięła pani Eliza. — A tobie zaszkodzę ja osobiście, jak w sobotę przy gościach będziesz się tak zachowywał!

— O, rozumiem, że będzie gościem honorowym — oburzył się pan Antoni. — Czy ktoś ze mną uzgodnił ten fakt?

— Nie, ale zaraz pójde napisać oficjalną prośbę — syknęła pani Eliza. — Prześlę gołębiem pocztowym. Koniecznie białym. To ponoć zwiastun pokoju.

Nie czekając na rozstrzygnięcie konfliktu małżeńskiego, po cichu dokonałam ewakuacji, współczując potencjalnemu kandydatowi na doręczyciela wspomnianej poczty. „Wyrwane piórka lub gołąbki w sosie własnym”, zawyrokowałam w myślach, zastanawiając się nad najbardziej prawdopodobną wersją losu nieszczęsnego ptaka, i zamknęłam się w pokoju gościnnym na piętrze, który chwilowo służył mi za przystań.

Nie łudziłam się zbyt. Po obfitującym w ciężkostrawne wydarzenia dniu interwencja farmakologiczna okazała się nieunikniona. Przekopując torebkę w poszukiwaniu ibuproenu, odczytałam wiadomości, którymi bezlitośni bliscy postanowili pozawracać mi głowę, i pożałowałam, że nie mam chwilowo dostępu do apteczki znajdującej się w kuchni.

Ola, zapisałam Ci na jutro od rana klientkę na personalny. Przyjedź pół godzinki wcześniej. Pa, Gośka.

Olka, jutro 8.00, odwozimy jeszcze Beatkę. O ile nie zaśpi...

Córeczko, odbieraj telefon!!! Zadzwoń jutro wieczorem.

Uprzejmie przypominamy o wizycie w perfumerii Douglas dnia 23.09.15 o godzinie 16.00. Zapraszamy z otrzymanym przez Panią bonem rabatowym w wysokości 40 złotych.

Oluś, jesteśmy dziś z ojcem na wycieczce w Atenach. Wysyłam zdjęcia, napisz, czy dotarły. I odbieraj telefon, martwimy się. Buziaki.

Ola, mała zmiana planów, jednak wyjeżdżam jutro rano. Dragona zabieram, nie martw się. W razie czego klucze do mieszkania ma Daro. Zadzwoń jutro wieczorem. Odbieraj telefon. Ł.

*Cześć, znalazłem w aucie twoją bluzę. Czy możesz po nią podjechać?
Pozdrawiam, K.*

No szkoda, że nie „z poważaniem”, skwitowałam z przekazem ostatniego SMS-a, jednak zanim zalała mnie fala złości na okoliczność zawracania głowy przez Krzyśka, doszłam do wniosku, że poziom obrazy powoli opada. Ostatecznie zwrot bluzy jest sygnałem jakiejś tam dobrej woli, prędzej spodziewałabym się po nim przerobienia moich pozostawionych niebacznie części garderoby na szmaty do mycia auta.

Z ciężkim westchnieniem zabrałam się za odpisywanie, pozostawiając na koniec wiadomość od Łukasza. Po krótkim namyśle zostawiłam ją bez odpowiedzi i postanowiłam poczekać na obiecany wieczorny telefon. Z obawy, że emocjonalne trzęsienie ziemi w wykonaniu państwa Nawrockich, którego byłam świadkiem, może wywołać kolejne wstrząsy, grzecznie wykręciłam się od wspólnego oglądania *Faktów* i zanurkowałam do biblioteczki pani Elizy. Zamiana własnych rozterek uczuciowych na perypetie miłosne Scarlett O’Hary wyszła mi na zdrowie, bo w miejsce ponurej melancholii i totalnej dezorientacji powoli zaczęła się wkradać chęć wykaraskania się z emocjonalnego bagna. Po wieczornej rozmowie z Łukaszem nadal nie byłam zadowolona z czterodniowej delegacji, jednak zaczęłam patrzeć na uzyskane informacje pod kątem użytkowym.

* * *

Od ósmej rano przytupywałam nerwowo przed bramą, czekając na objawienie się granatowego clio. O ósmej pięć przestałam przytupywać, bo moją uwagę zwróciła sąsiadka, podlewająca zwisające z parapetu olśniewającej piękności lobelie. O ósmej jedenaście zabiegi florystyczne zostały zakończone, więc wróciłam do kuchni i zerkając na ganek, zaparzyłam kawę w termicznym kubku. O ósmej siedemnaście wyszłam z domu i zdecydowałam się podejść do bramy wjazdowej na osiedle. Minutę później pożałowałam gorzko decyzji, gdy nadjeżdżające z prędkością oficjalnie zabronioną na terenie zabudowanym auto omal nie zmiotło mnie z drogi. Uskoczyłam w ostatniej chwili, wpadając z impetem w równiutko przycięte krzewy rosnące wzdłuż chodnika i wylewając sobie na nogi kawę z niedomkniętego kubka.

— Cholera jasna! — wrzasnęłam i odzyskawszy równowagę, rzuciłam się wściekła w stronę samochodu, który z piskiem opon wyhamował kilka centymetrów od pobliskiej latarni.

— Miałeś po mnie podjechać, a nie mnie rozjechać! — syknęłam, otwierając szarpnięciem drzwiczki ze strony pasażera. — Wiesz, taka drobna różnica semantyczna!

— Nie marudź, wsiadaj, bo mamy obsuwę — zasapał nerwowo Dareczek.

— No, w kwadransie akademickim się nie zmieściłeś — przyznałam,

spoglądając na zegarek. — Masz szczęście, że jest ciepło i założyłam japonki, inaczej obsuwa byłaby znacznie większa.

— Jaki związek mają twoje buty i pogoda z moim szczęściem? — skrzywił się zniecierpliwiony Darek. — Kobięca logika jest w twoim wydaniu wyjątkowo pokrętna.

— Istnieje prosty ciąg przyczynowo-skutkowy — wyjaśniłam z ciężkim westchnieniem. — Kiedy próbowałeś mnie rozjechać, oblałam sobie nogi kawą. Gdyby nie pogoda, założyłabym inne buty. Japonki wyschną same i wystarczy je opłukać. Inne buty musiałabym zmienić. Dotarło?

— Powiedzmy — skinął głową Darek. — Popatrz, co za łoś, skręca bez kierunkowskazu — zirytował się, machając ręką w kierunku niefrasobliwego kierowcy, który zajechał nam drogę.

— Sam jesteś łoś, włącz światła — mruknęłam. — Skąd w ogóle ta obsuwa? Poranek nie nosił chyba znamion spokoju i ciszy, bo na samo wspomnienie Daruś zasapał wyjątkowo ciężko.

— Bo było wszystko ustalone — zaczął obrażonym tonem. — Miałem zabrać Beatkę, podjechać do Łukasza po klucze, zgarnąć ciebie i odwieźć Betty do banku, a nas do klubu.

— I co?

— I dupa! — wrzasnął Darek. — Do Beatki zadzwoniła szefowa, że ma być wcześniej, bo ktoś tam zachorował. Łukasza nagle olśniło, że powinien wyjechać przed ósmą, bo nie przewidział przystanków w podróży na sikanie psa, a potem na Księcia Mieszka zrobił się korek i musiałem jechać objazdem.

Z całej tej lawiny nieszczęść wyłowiłam jedną praktyczną informację. Postępując zgodnie z wieczornymi przemyśleniami, należało ją delikatnie wydusić i zgłębić jej treść.

— No, w takim pośpiechu faktycznie nieprzyjemnie się funkcjonuje — przyznałam wyjątkowo zgodnie i fałszywie. — Ale poza drobnym spóźnieniem do pracy wszystko załatwiłeś?

— No ba — dumny z siebie Daruś wypiął pierś do niewidzialnego orderu.

— I kluczy Łukasza też nie zgubiłeś? — drążyłam ostrożnie. — Mam nadzieję, że schowałeś je jakoś sensownie.

— Masz mnie za idiotę? — burknął Darek, który najwyraźniej zorientował się, że nie do końca wierzę w jego zdolności organizacyjne. — Są w wewnętrznym schowku torby, tam gdzie zepsuty zamek. Ciężko się otwiera, więc zakładam, że nie wypadną.

— Na wszelki wypadek nie rzucaj tą torbą, jak będzie otwarta — poradziłam. — I chyba zjedź na stację benzynową. Ja samochodu pchać nie będę.

Darek rzucił mi ciężkie spojrzenie, ale posłusznie zjechał na najbliższą stację.

— Kup mi kawę — poleciłam, gdy zatankował. — No co? Tamtą przez ciebie wylałam.

W odpowiedzi na zaciśnięte szczęki i pulsującą żyłkę na Darkowym czole wywaliłam w kierunku przyjaciela język. Darek uprzejmie postukał się w czoło, spojrzął na zegarek i popędził do kasy.

Krótkie zerknięcie upewniło mnie, że przy kasie kłębią się tłumy. Nie było mi to potrzebne, torbę Darka pakowałam i rozpakowywałam tyle razy, że sięgając na ślepo, dokopałam się do właściwej kieszeni. Szarpanie się z zepsutym zamkiem odpuściłam na dzień dobry, wykorzystując niewielką dziurę na szwie i modląc się, by klucze Łukasza nie miały zbyt wielkiego breloczka. Sprawnie wyciągnęłam zdobycz i przerzuciłam do wewnętrznej kieszonki własnej kosmetyczki. Gdy Darek z kawą pojawił się na horyzoncie, symulowałam wycieranie zupełnie już suchych japońskich chusteczką.

— Wypij teraz, nie pokazuj się z tym w klubie — mruknął Darek, podając mi parujący kubek. — Szef zaordynował zatrudnienie dietetyka. Jak będziesz latać z cappuccino i tym słojem miodu, będę musiał cię zabić za antyreklamę.

— Miód mi się skończył — westchnęłam smętnie. — Od kiedy ten dietetyk?

— Od czwartku ma przyjść jakaś babka. Ale nie na pełen etat. Konsultacje trzy razy w tygodniu, czy jakoś tak. Mówiłem ci w niedzielę, jak ty mnie słuchasz? — zreflektował się.

Z trudem ugryzłam się w język, próbując nie wyjawić radosnej wieści o swoich poczynaniach w niedzielę wieczorem. Po kiepskim początku dnia Daruś mógłby nie udźwignąć ciężaru mojego udziału w zniknięciu złotej rybki.

Skłety przez Darka korek na Księcia Mieszka jakimś cudem się rozładował i całkiem sprawnie przedostaliśmy się na Piątkowo.

Dyskusja na temat nowej osoby w ekipie tylko na chwilę odciągnęła moją uwagę od kluczy leżących w kosmetyczce. Z coraz większym roztargnieniem odpowiadałam Darkowi, sięgając co chwilę do torebki, by upewnić się, że są na miejscu. W przeciwieństwie do Darka byłam świadoma ewentualnych dziur w swoich torbach, klucze leżały bezpiecznie tam, gdzie je wrzuciłam. Pozostawało mi jedynie zlokalizować drzwi, do których pasują. Z rozmowy prowadzonej sobotniego wieczora przy blasku gwiazd mogłam w ciemno obstawiać, że Łukasz mieszka blisko brata. Wiedziałam również, w jakim kierunku mniej więcej się udać, jednak bardziej precyzyjnych wskazówek topograficznych nadal mi brakowało. Czasu na dokonywanie zabronionych przez Darka odkryć miałam niewiele. Zgodnie z grafiką w klubie miałam pojawić się w czwartek. Piątek i sobotni poranek znów wypadały nam w pracy. Piątek i tak odpadał, Łukasz planował wtedy powrót z delegacji i zapewne odbiór kluczy. Nie chciałam zresztą tak długo czekać. Na roztargnienie i krótką pamięć Darka mogłam liczyć najpóźniej do czwartku, bo w ten właśnie dzień zazwyczaj wywalał zawartość

sportowej torby i robił pranie. Nie miałam złudzeń, wiedziałam, że przepakowując rzeczy, przejrzy dokładnie każdą kieszeń. Zresztą wolałam wycieczkę do mieszkania Łukasza zaplanować na dzień, kiedy będę mogła na spokojnie udać się tam od rana, nie ryzykując, że Daro zacznie organizować mi życie. Jedyнным sensownym wyjściem była środa, kiedy Darek od rana siedział w klubie. Czyli jutro. Westchnęłam ciężko, próbując zmobilizować umysł do skryzalizowania jakiejś genialnej, błyskotliwej myśli, która doprowadzi mnie w krótkim czasie do uzyskania potrzebnych informacji.

Niestety po wygenerowaniu listy przeszkód i trudności na wyboistej drodze do upragnionej wiedzy moja kreatywność chwilowo odmówiła posłuszeństwa.

— Cholera, Darek, zabijesz mnie dzisiaj! — wrzasnęłam zirytowana, gdy nagle szarpnięcie samochodem w prawo zmusiło mnie do przytrzymania się fotela. Drugą ręką przycisnęłam do siebie torebkę, by cenna zdobycz nie wypadła na podłogę. Ujawnienie Darkowi całej akcji konspiracji było ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę.

— Przepraszam, widzisz, że idiota zajechał mi drogę — warknął Darek, waląc dłonią w klakson.

Zerknęłam w lusterko.

— Ten czerwony opel? — spytałam, choć sposób, w jaki kierowca prowadził auto, nie pozostawiał wielu wątpliwości. Siedział nam na ogonie, od czasu do czasu mrugając długimi światłami.

Przełknęłam nerwowo ślinę. Choć przez ostatnie kilka dni działalność jednostek niepoczytalnych umysłowo dała mi się we znaki, aż do tej pory udawało mi się uniknąć bezpośredniego kontaktu z szaleńcami. Fizjonomia jadącego za nami faceta nie nosiła wprawdzie widocznych znamion szaleństwa, ale mogłam się mylić.

— O co mu chodzi? — skrzywił się Darek, zjeżdżając na sąsiedni pas, bo czerwony opel znów podjął próbę wyprzedzenia nas. Gdy zauważył, że jesteśmy na pasie do skrętu w prawo, błyskawicznie zmienił zamiar, zwolnił i wcisnął się w lukę między nasze clio a jadącego za nami fiata.

— Jezu — szepnęłam, siedząc zmartwiała ze wzrokiem utkwionym w ścigającym nas oplu. — Darek, a jak to on? Ten od opon i wybitego okna? Błagam, zrób coś! Choć raz ty coś zrób!

— Ciekawy moment sobie znalazł, żeby się objawić — mruknął Darek. — Mam pomysł.

Obrany przez niego skręt wydłużał nam drogę do pracy, jednak spóźnienie było ostatnią rzeczą, jaką zawracałam sobie głowę. Zaciskając ręce na torebce, rozglądałam się, próbując odgadnąć zamiary Darka. Histeryczna myśl, że działający do tej pory w ukryciu prześladowca dojrzał do konfrontacji, sprawiła, że uporczywie próbowałam nie patrzeć w lusterko. Dopiero gwałtowny wstrząs

wywołany pokonaniem zbyt wysokiego progu spowalniającego, przez który Darek przeleciał, nie zwalniając nawet odrobinę, przywrócił mi zdolność myślenia w choć szcążkowej formie. Z trudem przełamując dławiący strach, zerknęłam w lusterko i przyjrzałam się twarzy kierowcy opla z nadzieją, że po podaniu rysopisu i relacji z pościgu policja podejmie mniej anemiczne działania.

Bliska odległość, w jakiej nadal trzymał się za nami, pozwoliła mi zarejestrować szczegóły wyglądu potencjalnego psychopaty, który ku mojemu zdziwieniu prezentował się zupełnie normalnie. Za kierownicą dostrzegłam opaloną, szczupłą twarz w okularach, należącą do mężczyzny dobiegającego pięćdziesiątki. Ostrzyżone na jeża siwe włosy również sugerowały niemłody już wiek. „Niemożliwe, żeby ten człowiek urozmaicał sobie życie szczeniackimi wygłupami”, pomyślałam, wytrącona z równowagi. „Przestępcy w jego wieku są chyba bardziej wyrafinowani...”

Odwróciłam się do tyłu i spojrzałam bezpośrednio w sympatyczne oczy za okularami w grubych oprawkach.

Mężczyzna również spojrzał mi w oczy, uśmiechnął się i zaczął machać.

— Daro, zatrzymaj się — jęknęłam osłupiała. — On chyba jednak nie chce mnie zamordować...

— A co? — sapnął gniewnie Darek. — Towarzystwo tak za nami jedzie, czy z nudów?

— Nie wiem — potrząsnęłam głową. — Ale po cholere miga tymi światłami?

— Wolę się tego dowiedzieć w stosownym miejscu — oświadczył Darek i włączył kierunkowskaz.

Rozejrzałam się nerwowo, chcąc sprawdzić, gdzie jesteśmy.

— Na policję za nami raczej nie pojedzie — wyjaśnił Darek, widząc mój ogłupiały wzrok i skręcił na parking przed komisariatem. — Co, do diabła?

Z narastającą konsternacją patrzyliśmy, jak tajemnicze indywiduum włącza kierunkowskaz i zjeżdża za nami. Facet nie wjechał na miejsce parkingowe, stanął byle jak i wyskoczył z auta. Żwawym truchtem ruszył w naszą stronę.

— Niech cię ręka boska broni wysiadać — zastrzegł Darek i również wysiadł z samochodu.

W tym samym momencie zasapany właściciel opla dopadł do naszego clio.

Wpatrzona w obu panów wychyliłam się nieco nad kierownicą, nie chcąc uronić ani chwili z rozgrywającej się na moich oczach konfrontacji. Dzięki lekko uchylonej szybie miałam też możliwość wysłuchania każdego słowa. Paranoiczne podejrzenia, że facet za sekundę wyciągnie nóż i zamorduje nas z zimną krwią, odsunęły się na dalszy plan. Chyba nie mordowałby ofiar na policyjnym parkingu w biały dzień?

Wypowiedziane przez potencjalnego bandziora słowa sprawiły, że jęknęłam

głucho z politowaniem dla naszej głupoty.

— Ja bardzo państwa przepraszam — wysapał bandzior, nadal walcząc z lekką zadyszką. — Pewnie to dziwnie wyglądało, ale naprawdę nie wiedziałem, jak pana zatrzymać.

Przestałam na chwilę pomstować pod nosem na paranoję, która zawładnęła bez reszty naszymi umysłami i wychyliłam się bardziej, próbując dostrzec przedmiot, który kierowca opła podawał Darkowi.

— Zostawił pan na dachu auta, jak byliście na stacji. Jak samochód ruszył, spadło. Akurat widziałem, chciałem panu oddać...

Błada ze wzburzenia twarz Darka oblała się szkarłatem, a osłupienie na obliczu zaczęło ustępować dziwnej mieszance zawstydzenia i wdzięczności.

— Bardzo dziękuję — wydukał, chowając tajemniczy przedmiot do kieszeni. — Coś takiego...

Coraz bardziej zaintrygowana obserwowałam, jak panowie podają sobie ręce i rozstają się w najlepszej komitywie, a Darek wsiada do auta, kręcąc głową z niedowierzaniem.

— Co to było? — chciałam wiedzieć, gdy wsiadł i zapiął pas.

— Boże, co ze mnie za idiota — westchnął Darek i spojrzał na mnie oskarżycielsko. — Aleksandro, mam niemiłe poczucie, że przez ciebie wszyscy dostajemy manii prześladowczej. Jeszcze trochę i dłuższy pobyt w Tworkach gwarantowany.

— Rozumiem, że nie miał żadnych zbrodniczych zamiarów — zaczęłam ostrożnie. — Mówiłam, że coś tu nie pasuje i że to nie jest chyba żaden bandzior...

Darek spojrzał na mnie z politowaniem.

— Bandzior? A jaki bandzior jechałby za nami, żeby oddać mi portfel? Ja bardzo cię proszę, każdy czasem coś gubi — zjeżył się, bo napięcie, które wypełniało mnie przez ostatnie kilka minut znalazło upust w postaci histerycznego chichotu.

Do pracy dotarliśmy spóźnieni pół godziny i wywołaliśmy lekką konsternację współpracowników. Przez kolejne piętnaście minut tłumaczyłam skomplikowane powody, dla których Darek objawił się z zaciśniętymi zębami, a ja wpęłam za ladę recepcji, zgięta od spazmatycznego śmiechu...

Szczęśliwie klątwa porannych korków dosięgła również moją nową klientkę, która przybyła dopiero na dziewiątą czterdzieści. Nie przeszkadzało mi to. Zadowolona z możliwości odsapnięcia po emocjonującym poranku, czekałam na nią na fotelu przy recepcji. Papierologię związaną z zapisaniem się do klubu, kwestionariusz planu treningowego i grafik zajęć przygotowałam sobie wcześniej. Nie chcąc irytować rozeźlonego objawami złapanej ode mnie manii prześladowczej Dareczka, bazgroliłam na kartce wzór kwestionariusza żywieniowego, który w ciągu następnych kilku dni miał uzupełnić papierowe oblicze pracy nad formą i

sylwetką podopiecznych.

— Matko, to zaczyna przypominać wniosek o kredyt hipoteczny — złapał się za głowę Marcin, patrząc na stosik formularzy, i klapnął na fotel obok.

— Nie marudź, będziemy mieli sprawne, silne nadgarstki — pouczyłam go, podnosząc wzrok znad kartki.

— Krzysio nas zaszczycił swoją wizytą — wymruczał Marcin po chwili, przeglądając papiery.

Skrzywiłam się niechętnie i czekałam na ciąg dalszy.

— Ale chyba za bardzo cię nie szukał — ciągnął Marcin. — Podrzucił tylko jakąś siatkę i poleciał. Odłożyłem w szatni na ławie.

— Miło, dzięki — mruknęłam, przyjemnie zaskoczona. — Wiem, co to jest, ale nie sądziłam, że się pofatyguje tutaj. Myślałam, że będę musiała jechać do niego.

— Bomba? — zasugerował niepewnie Marcin. — Tak się domyślam, zważywszy na wasze relacje ostatnio.

— Moja bluza, też na „b” — uspokoiłam go. — Chyba nie jest napromieniowana. Zabiorę ją po pracy.

Temat moich relacji z Krzysztofem nie został jednak wyczerpany. Po chwili milczenia Marcin wrócił do intrygującej go sprawy.

— Krzysio to chyba pieśń przeszłości? — zapytał.

— Na szczęście tak — przyznałam. — Inaczej na samą wzmiankę rzuciłabym w ciebie czymś ciężkim.

Uspokojony w kwestii swojego bezpieczeństwa Marcin usadowił się wygodniej.

— No — stwierdził z satysfakcją. — Ja ci tam nie chciałem nic mówić, ale ten nowy facet wygląda bardziej sensownie.

Gwałtowny wstrząs na chwilę mnie sparaliżował.

— Jaki nowy facet? — spytałam słabo, ignorując fakt, że trzymane jeszcze przed chwilą kartki lądują miękko na podłodze. — Nie mam żadnego nowego faceta...

— Eee — skrzywił się Marcin. — Nie wmawiaj mi, że z kuzynem latasz po parku na spacer.

— Z nikim nie latam... — zaczęłam, ale Marcin przerwał mi w pół słowa.

— Taki wysoki brunet. Z dużym psem. To chyba jest jakiś pitbull, dość groźnie wygląda.

Z niedowierzaniem słuchałam przytaczanego rysopisu obydwu towarzyszy moich spacerów. „Czy świat jest naprawdę tak cholernie mały, że całe moje życie prywatne musi przenosić się do roboty?”, pomyślałam z rozpaczą.

— Śledzisz mnie, czy co? — jęknęłam, zbierając nerwowo kartki. — Co to za inwigilacja w godzinach nadliczbowych?

— Żadna — wzruszył ramionami Marcin. — Po prostu byłem ciekaw, co cię łączy z moim nowym sąsiadem.

Głos pień anielskich nie zalałby mojej duszy tak błogim szczęściem. Porzuciłam zbieranie rozsypanych papierów i wbiłam zachłanny wzrok w Marcina.

Zadowolony z wywołanego efektu Marcin bez dodatkowej zachęty zdecydował się rozwinąć temat.

— Nie mów, że jeszcze u niego nie byłaś — cmoknął z przyganą.

— Gdybym była, wiedziałabym, że jest twoim sąsiadem — sarknęłam. — Jak bardzo jest twoim sąsiadem?

— Mieszka na tym samym piętrze, naprzeciwno. Chyba dwunastka to jest? — zastanowił się. — Ja mieszkam pod dziesiątką, gość obok pod jedenastką... No, czyli twój amant z psem pod dwunastką.

— To nie mój amant — zaprzeczyłam odruchowo, jednak bez większego przekonania. Wszystko w tej chwili przestało się liczyć, poza informacjami o upragnionej lokalizacji.

— To się może postaraj, żeby nim został — doradził mi życzliwie Marcin. — Facet robi dobre wrażenie. O wiele lepsze niż Krzysio. I pies też fajny — uśmiechnął się. — Niby wygląda na groźnego, ale ma mordę taką... wesołą... To pitbull?

— Amstaff — sprostowałam. — W sumie to takie pitbullowate... Charakter też ma wesoły...

— To życzę powodzenia — uśmiechnął się Marcin. — O, przyszła ta babka do ciebie — pokazał mi korpulentną, jasnowłosą czterdziestolatkę, rozmawiającą z Gosią przy recepcji. — Zmykam.

— Dzięki — wyszeptałam za nim i uszczęśliwiona podeszłam przywitać się z klientką.

* * *

Przez dłuższą chwilę stałam na parkingu przed wejściem do nowego, niewysokiego bloku w drugiej części osiedla, na którym bywałam przez ostatnie lata kilka razy w tygodniu.

Plan osiedla, na którym mieszkali Darek z Beatką, od zawsze stanowił dla mnie tajemnicę. Bardzo rozległe, o przedziwnie rozmieszczonej numeracji, podzielone było na dwie części za pomocą coraz częściej odwiedzanego przeze mnie parku. Część, w której mieszkali Marcin i Łukasz, stanowiła skupisko nowoczesnych, niskich, lecz wyposażonych w windy bloków. By dostać się tu pieszo z części starej, należało wykonać pół godziny intensywnego marszu przez parkowe alejki, obejść niewielki staw i przejść przez szeroki parking otaczający pobliskie Tesco. Z niewiadomych przyczyn obie, dość odległe od siebie i różniące się wyglądem oraz stopniem zadbania części nosiły jedną nazwę i miały wspólną

numerację bloków. Tajemnicze to zjawisko fascynowało mnie na równi z faktem, że pomiędzy blokami o numerach od 25 do 30 wyrastał nagle budynek numer 45, a bloku 29 należało szukać gdzieś w okolicach 16. Z tym większą ulgą powitałam informację, że Łukasz jest sąsiadem Marcina w tym samym wejściu. U Marcina bywałam, znałam adres, co oszczędziło mi czasu i obłądu, grożącego każdemu, kto zapuścił się w te rejony, nie zapoznawszy się wcześniej z planem osiedla.

Pod wskazany adres udałam się środkami komunikacji miejskiej, tłumacząc się w domu umówioną od dawna wizytą u dentysty. Areszt domowy wyjść do lekarza nie obejmował, zatem, wyposażona przez panią Elizę w zapasowy komplet kluczy i polecenie nabycia pieczywa, o ósmej trzydzieści wsiadłam w tramwaj. Przed wyjściem sprawdziłam jeszcze grafik zajęć w klubie, by upewnić się, że na miejscu nie napatoczę się na Marcina. Znając bardzo naciąganą wersję dyskrecji w wykonaniu kolegi, mogłam założyć się o dowolne pieniądze, że w razie spotkania informacja o moim pobycie w mieszkaniu Łukasza dotarłaby do Darka z prędkością światła. Wynikających z tego potencjalnych komplikacji absolutnie sobie nie życzyłam.

Metodą prób i błędów znalazłam klucz do domofonu. Manipulacje przy drzwiach na klatkę schodową nie trwały zbyt długo, gdyż miałam do wyboru cztery klucze. Z najmniejszego zrezygnowałam od razu, domyślałam się, że pasuje on do pomieszczenia gospodarczego, w jakie wyposażone było każde mieszkanie w tym bloku. Pożyczając swego czasu komplet pędzli od Marcina, miałam okazję zetknąć się z tym wygodnym rozwiązaniem. Pomieszczenia gospodarcze zastępowały ciasne klitki piwniczne i mieściły się na każdym piętrze w niewielkiej odnodze korytarza. Dzięki temu w razie potrzeby każdy mógł podejść do swojej skrytki nawet w kapciach i piżamie, a dobre oświetlenie i brak konieczności schodzenia do ponurych, brudnych piwnic zapewniały lokatorom o wiele większy komfort i poczucie bezpieczeństwa.

Rączymi susami pokonałam schody na trzecie piętro. Przez chwilę korciło mnie, by skorzystać z windy, jednak szybko zrezygnowałam z ryzykownego pomysłu. „Znając moje szczęście do tego typu urządzeń, zepsuje się między piętrami i utknę tu na Bóg wie jak długo. Tego jeszcze brakowało, by jednostką, która zechce ratować mnie z opresji, był wracający z pracy Marcin”, pomyślałam.

Stojąc przed drzwiami mieszkania numer dwanaście, przełknęłam nerwowo ślinę. Dopiero teraz dotarło do mnie, że jedyną osobą, której aresztowanie było tak naprawdę w tej całej hecy uzasadnione, byłam ja sama. Odciski palców, jakimi usmarowane były ściskane przez całą drogę skradzione podstępnie klucze i te, jakimi niewątpliwie usięję większą część sprzętów w mieszkaniu, stanowiłyby wystarczającą podstawę, by mnie przytknąć. Dołóżmy do tego zarzut włamania i wtedy nareszcie zainteresowanie policji moją skromną osobą wzrośnie. Problem tkwił w tym, że nie o takie zainteresowanie mi chodziło.

Bardzo prawdopodobne, że stałabym tak sobie do uśmiechniętej śmierci, nie mogąc zdecydować się na wtargnięcie do obcego mieszkania, gdyby nie fakt, że za sąsiednimi drzwiami zadzwonił domofon. Nieważne kto, nakryta nie chciałam być przez nikogo. Słyszając na schodach ciężkie kroki zdecydowanym ruchem wybrałam na chybił trafił jeden z kluczy i wcisnęłam w górny zamek. Z ulgą poczułam, że ustępuje bez oporu. Nad kluczem do dolnego zamka nie miałam już co filozofować, został jeden. Dzięki odrobinie szczęścia, które chętnie towarzyszy idiotom, znalazłam się w mieszkaniu, zanim niepokojąca mnie osoba na schodach dotarła na piętro.

Najciszej jak potrafiłam zamknęłam drzwi i zakluczyłam oba zamki, po czym oparłam się o futrynę i westchnęłam ciężko. No trudno, stało się. Szlag trafił moją upiorną praworządność, uczciwość i niechęć do popełniania najmniejszych nawet wykroczeń. Oficjalnie wkroczyłam na drogę przestępczą i nie pozostało mi nic innego, jak sprawdzić, do jakich odkryć mnie ona zaprowadzi. O tym, że mogłabym pod wpływem uwierających nieznośnie wyrzutów sumienia natychmiast opuścić zwiedzany bezprawnie lokal, jakoś nie pomyślałam. Za dużo stresu, wysiłku i dylematów moralnych kosztowała mnie cała akcja, by teraz tak łatwo to zmarnować.

Z rozpaczliwym jękiem oderwałam się od futryny i chwiejąc się nieco na roztrzęsionych nogach, rozejrzałam się dookoła.

Stałam w przedpokoju elegancko, lecz oszczędnie umeblowanego wnętrza.

Przedpokój i trzy pokoje oraz aneks kuchenny stanowiły doskonale zgraną kompozycję czerni, grafitu i stonowanej zieleni. Z prawej strony znajdowało się wejście do małego gabinetu z regałami pełnymi książek i czasopism. Fotel i stojący przy oknie stolik na komputer zostały zepchnięte na obrzeża pokoju, którego centralne miejsce wypełniała wielka, miękka poducha. Na posłaniu walał się znany mi już zmasakrowany trampek i kilka piłek pingpongowych. „Idiotyczne miejsce na legowisko dla psa”, pomyślałam. Z drugiej jednak strony, dysponując wzrostem i długością nóg właściwymi zawodnikowi NBA, Łukasz mógł pozwolić sobie na przełożenie przez poduchę, nie ryzykując potknięcia i rozwalenia głowy. Krótkie spojrzenie za uchylone drzwi uświadomiło mi, że umeblowanie ma charakter prowizoryczny. Dość wyraźnie informował o tym piętrzący się pod ścianą stos kartonów.

Drzwi obok gabinetu prowadziły do równie małej, przytulnej sypialni. Tak małej, że z trudem mieściła łóżko, stolik z nocną lampką i zabudowaną szafę. Na łóżku leżał rzucony niedbale sweter. Z wahaniem uchylłam drzwi przesuwnej szafy. W dwóch częściach ubrania zostały już rozłożone, trzecią wypełniały upchnięte szczelnie pudła. Miejsc dla psów zakazanych widocznie w tym mieszkaniu nie było, bo i tu na podłodze znalazłam zmięty beżowy koc, pokryty wzorem w psie łapki. Z trudem pohamowałam chęć, by go podnieść i porządnie

wytrzepać. Dragon nie należał wprawdzie do rasy kłaczącej, jednak z powodzeniem nadrabiał braki w papraniu rozwłóceniem suchej karmy i psich przysmaków. Niemile zdziwił mnie brak determinacji opiekuna, by w miarę systematycznie usuwać walające się nawet na dolnej części szafy okruszki. Być może Łukasz doszedł do wniosku, że nie jest w stanie opanować działalności psiego szkodnika na każdym polu, i wszystkie siły zaangażował w ochronę mienia przed pożarciem...

„Albo wykazywał pewne podobieństwo do psa”, pomyślałam, patrząc na pokruszone pozostałości po wafelkach, walające się na stoliku w sąsiedztwie kubka z fusami po kawie...

Z trudem powstrzymując chęć uprzątnięcia okruszkowego syfu w sypialni, przeszłam do salonu z aneksem kuchennym, które oddzielała półokrągła ściana z wbudowanymi zielonkawymi luksferami. W międzyczasie zerknęłam jeszcze do niewielkiej, grafitowo-białej łazienki i dopiero teraz poczułam się na tyle pewnie, by przystąpić do akcji badawczej. Rzuciłam torebkę na znaną już ze zdjęć Dragona skórzaną kanapę i rozejrzałam się, próbując ustalić, do czego spodziewam się dokopać i gdzie najszybciej to znajdę. W myśleniu na trudne tematy zazwyczaj szalenie pomagała mi biała herbata, miałam nawet przy sobie kilka torebek ulubionego napoju, uznałam jednak, że posilanie się podczas wtargnięcia do cudzego mieszkania byłoby szczytem bezczelności w wydaniu dla mnie niewyobrażalnym. Postanowiłam zadowolić się łykiem noszonej ze sobą wody mineralnej, choć narastająca w środku histeria pchała mnie w kierunku meblościanki, w której z daleka dostrzegłam barek. Łyk mocniejszego trunku zapewne dodałby mi skrzydeł równie skutecznie jak red bull, obawiałam się jednak spadku koncentracji i wynikających z niego efektów ubocznych. „Napiję się w domu”, pomyślałam, obiecując sobie oprócz pieczywa nabyć butelkę ulubionego białego, półsłodkiego bordeaux.

W łazience nie było sensu zbyt długo tkwić, zajrzałam tam właściwie tylko z ciekawości dotyczącej tego, jakich kosmetyków używa Łukasz. Ciekawość pozostała niezaspokojona, gdyż kosmetyki razem z właścicielem wyjechały w delegację. Na pocieszenie zostało mi stojące obok kabiny prysznicowej pudełko z psim szamponem przeciw pchłom, cząstkami do przycinania pazurów i preparatem do czyszczenia uszu. Na samym dnie leżała nierozpakowana obroża przeciw kleszczom i innym paskudztwom.

Grzebanie w koszu na brudne rzeczy sobie odpuściłam, to była działka Dragona. Z zaciekawieniem obejrzałam zamontowane prowizorycznie zipy, przytrzymujące pokrywę. Najwyraźniej moja sugestia dotycząca magnesików nie zaginęła bezpowrotnie w eterze.

Gabinecik poza szczątkami trampka i dwoma kolejnymi kubkami z fusami po kawie nie krył żadnych bulwersujących tajemnic. Leżące na regale czasopisma

dotyczyły przede wszystkim branży motoryzacyjnej, znalazłam też kilka egzemplarzy „Men’s Health”. Usatysfakcjonowana rzuciłam okiem na cztery półki wypełnione literaturą sensacyjną i serce zapłonęło mi wielkim wzruszeniem, gdy obok thrillerów medycznych Michaela Crichtona, kilku pozycji Deana Koontza i mniej znanych mi autorów znalazłam kompletną kolekcję powieści Stephena Kinga. Szybko wyłowiłam tytuły, których jeszcze nie czytałam. „Lepiej niż w bibliotece”, pomyślałam z uznaniem i z trudem stłumiłam chęć wypożyczenia jednej lub dwóch książek natychmiast.

W salonie uzupełniłam wiedzę o informacje na temat muzycznych upodobań Łukasza. Sama wielką fanką U2 i Bruce’a Springsteena nie byłam, ale po krótkim namyśle przyznałam, że ten rodzaj muzyki pasuje do Łukasza całkiem nieźle.

Wracając do sypialni, ze zdziwieniem odkryłam ogarniające mnie coraz bardziej zniechęcenie. Aura wielkiej tajemnicy otaczająca Łukasza i bardzo skutecznie zagęszczana przez jego krewnych sugerowała, że przekraczając próg mieszkania, dokonam licznych szokujących odkryć, a z każdego kąta wyzierać będą coraz bardziej niepokojące fakty. Na miejscu odkryłam jedynie mieszkanie zrównoważonego mężczyzny z tendencją do zdrowego trybu życia i bez szczególnego wstrętu do samodzielnego gotowania, za to o wysokim poziomie niechęci do zmywania, szczególnie porzastawianych prawie w każdym pomieszczeniu kubków po kawie. Mogłabym przyczepić się również do skłonności do pozostawiania po sobie okruszków, jakimi obficie usiane były poza nocnym stolikiem również fotele, sofa i krzesło w gabinecie, zwłaszcza że o syfienie w tych miejscach trudno byłoby podejrzewać Dragona. Dragon syfił bowiem na podłodze i w swoich prywatnych miejscach wypoczynku. Intrygowało mnie, czy jedzenie bez użycia talerza wynika z faktu, że potem trzeba by było ten talerz umyć, czy po prostu z męskiej ignorancji wobec takich drobiazków jak kilka okruszków. Ostatecznie w tyłek nie uwierały, więc po cóż zawracać sobie nimi głowę?

Pięć kubków z fusami po kawie mogło świadczyć również o: a) niskim ciśnieniu, b) pracoholizmie i wysiadaniu do późna w nocy, c) końskim zdrowiu, bo sama na takich dawkach skoncentrowanej kofeiny już dawno padłabym ofiarą ciężkiej arytmii. Nie świadczyło jednak to o potencjalnej psychopatii i nie dyskwalifikowało Łukasza z grona zrównoważonych psychicznie, sympatycznych ludzi.

W końcu musiałam przyjąć do wiadomości, że w tym mieszkaniu nie znajdę niczego, co mogłoby świadczyć o szaleństwie, skłonnościach przestępczych czy podejrzanych romansach. Brak fotografii, subtelnego zapachu perfum zawieszonych w powietrzu i innych najdrobniejszych oznak kobiecej obecności wykluczał jakikolwiek zresztą romans. Jedyna miłość, jakiej ślady dostrzegałam na każdym kroku, dedykowana była psu.

Ostatnie spostrzeżenie przywróciło mi jasność myślenia. „O to chyba chodziło, idiotko”, stwierdziłam zirytowana własną głupotą. O to, żeby wykluczyć starannie ukrytego w szafie trupa i przestać się martwić, w jak głębokie bagno mogę wleźć, angażując się w ten związek. Widoków na bagno nie było żadnych, perspektywy na przyszłość jawiły mi się raczej w postaci niezmaconego, szemrzącego, krystalicznie czystego potoku. No może zmaconego okruszkami psiej karmy i batoników czekoladowych, ale to żaden dramat jeszcze.

„Dobra, wystarczy”. To, co widziałam, prezentowało się nieźle, pomijając okruszki, brudne kubki po kawie, wątpliwej czystości gąbkę do mycia naczyń i zainstalowaną w kuchni zmywarę, którą w przypadku jednej lub nawet dwóch osób w domu uważałam za zbędną. Zważając na zamiłowanie do ręcznie zdobionych naczyń i kojący wpływ ręcznego zmywania na poddaną działaniu stresu duszę, miałam wystarczająco dużo powodów, by szczerze zmywarek nie cierpieć. Możliwe również, że brakowało w tym mieszkaniu odkurzacza. Albo był sprytnie ukryty w którymś z kartonów, skąd trudno było go wydobyć i tym samym łatwiej było o usprawiedliwienie dla okruszkowego syfu.

Znalazłam zatem raj, następnie kilka rys w owym raj, mogłam więc z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku powrócić na ziemię i zakończyć rekonesans.

Niestety, jak to w raj, rysy i drobne pęknięcia ujawniają się z czasem, a historia stworzenia dobitnie wskazuje, że najbliższe ich odkrycia są skuszone przez węża i zakazany owoc niewiasty. Jako przedstawicielka słabej płci pięknej, uległam zdradliwym podszeptom równie szybko jak Ewa. Zamiast zamknąć za sobą drzwi i cieszyć się uzyskaną wiedzą, zerknęłam na zegarek.

Powrót do domu zapowiedziałam na godzinę czternastą, tymczasem dochodziła dopiero dwunasta. Choć ręce mnie świerzbiały, nie odważyłam się wrócić do regału z książkami i przejrzeć kolekcji dzieł Kinga. Zdecydowałam się zadowolić czymś mniejszym i z zainteresowaniem sięgnęłam po leżącą w salonie na ławie obok sofy *Historię Lisey*. Przeglądając rozdziały, próbowałam ocenić, z jakiego rodzaju dziełem mam do czynienia. Bez względu na własne umiłowanie Kinga uważałam go za pisarza niezwykle kapryśnego i fanaberyjnego, a jego twórczość nasuwała mi skojarzenia z sinusoidą. Wybitne powieści przeplatały się z irytująco nielogicznymi książeczkami, czytany ze złością, bo niedoczytanego Kinga na półkę nigdy nie śmiałam odłożyć.

Historia Lisey wyglądała na jedno z tych ciężkich, pokręconych czytań, od których starałam się trzymać z daleka, a które i tak jakimś cudem ostatecznie lądowały na mojej półce. „Trzeba podpytać Łukasza”, powiedziała sobie w duchu i już miała odłożyć książkę, gdy spomiędzy stron wysunęła się zakładka. W ostatniej chwili przytrzymałam ją we właściwym miejscu i otworzyłam książkę, by poprawić ułożenie kartki. Odruchowo zerknęłam na śliski, błyszczący papier.

W końcu trafiłam na trupa.

Czując narastające, histeryczne dławienie w gardle, wpatrywałam się w fotografię ładnej, młodej, czarnowłosej kobiety, trzymającej na rękach kilkuletniego chłopca, dopóki łzy nie zamazały mi obrazu. Dopiero gdy spłynęły na policzki, z trzaskiem zamknęłam książkę i odłożyłam na miejsce.

Trzęsącymi się dłońmi przetarłam twarz, próbując opanować napierającą lawinę emocji. „To było do przewidzenia”, powtarzałam sobie, zakładając płaszcz i wychodząc w pośpiechu z mieszkania. Nie miałam prawa przebywać tam ani chwili dłużej. W ogóle nie miałam prawa tam przebywać. Ta przestrzeń już była zajęta, nawet jeżeli nie fizycznie.

Przez całą drogę do domu próbowałam wymazać z pamięci uśmiechniętą twarz kobiety ze zdjęcia. Choć piękna i promieniejąca szczęściem, wiedziałam, że będę ją widzieć przez wiele nocy jedynie w najgorszych koszmarach. Resztki popadającego w obłęd rozumu podpowiadały mi, że należy akcję bez względu na jej wynik doprowadzić do końca: kupić po drodze to cholerne pieczywo i przy najbliższej okazji podrzucić Darkowi do torby klucze. „Boże, jak dobrze, że wymyśliłam tego dentystę”, pomyślałam udręczona. „Bez względu na to, w jak kiepskim stanie pojawię się w domu, nikt nie będzie się dziwił ani czepiał, że źle się czuję i nie mam apetytu”. Wlokąc się po schodkach i gmerając w zamku kluczem, zmobilizowałam się na tyle, by przywitać się z panią Elizą i wczłogać do pokoju na piętro. W miarę możliwości grzecznie wyłgałam się od zejścia na obiad i nareszcie zamknęłam za sobą drzwi. Schowanie się w łóżku ze słuchawkami ipoda wcisniętymi na uszy nie usunęło z wyobraźni promiennego, zielonkawego błysku w oczach tamtej kobiety, ale przynajmniej na chwilę odizolowało mnie od reszty świata, pozwalając tarzać się do upojenia we własnym nieszczęściu.

Masochistyczne skłonności uspokoiły się dopiero pod wieczór. Tuż przed szóstą wylazłam spod kołdry i postanowiłam zejść na dół. Sama myśl o jedzeniu nadal wywoływała odruch wymiotny, ale zaczęło brakować mi kawy. Marnym wyglądem nie przejmowałam się zbytnio. Żeby wypadło bardziej wiarygodnie, postanowiłam wzbogacić siną bladość pełnym bóleści trzymaniem się za lewy policzek.

— Robię kawę — wymamrotałam, zaglądając do salonu.

Siedząca na podłodze pani Eliza oderwała się od przeglądanych kopert. Wyjęła je z szafki pod telewizorem razem z wielkimi albumami i próbowała uporządkować ich zawartość.

— Bardzo chętnie — mruknęła. — Zrób dla mnie też, Oleńko.

Po chwili wróciłam do salonu z filiżanką parującego napoju i postawiłam ją na szafce. Właściwie planowałam przynieść kawę i natychmiast się ulotnić, jednak bijące z pani Elizy kojące ciepło przyciągało jak magnes. Przycupnęłam ze swoją filiżanką obok niej, sącząc płyn.

— Co tam? Przestało boleć? — zagadnęła, spoglądając na mnie zza okularów. — Jak chcesz, w apteczce mam aspirynę.

— Nie, dziękuję — mruknęłam. — Ojciec mi zawsze powtarzał, że złego diabli nie biorą, więc chyba przeżyję.

— Twój ojciec ma bardzo interesujące poglądy — uśmiechnęła się pod nosem. — Oluś, nie siedź tam sama na górze. Robię porządek w rodzinnych zdjęciach. Rzadka okazja, żeby ponabijać się z Dareczka — zaproponowała ze złośliwym błyskiem w oku.

— To chyba Beata powinna pooglądać... — zawahałam się, ale z ciekawością zerknęłam na zdjęcie, które podawała mi pani Eliza i natychmiast wybuchłam głośnym śmiechem.

Bez względu na ogrom nieszczęść, jaki spadł mi na głowę, widok przyjaciela we wdzięcznym wieku lat dziesięciu, przebranego za Murzynka Bambo na balik karnawałowy, był absolutnie bezcenny.

— Mówiłam, że poprawi ci się humor — pani Eliza delikatnie pogładziła mnie po policzku. — Tu jest cała seria takich kompromitujących fotek.

Kreatywność pani Elizy w zakresie szycia przebrań na wczesnoszkolne baliki przeszła moje najśmielsze oczekiwania.

— Tu mieli przebrać się za zwierzątko — wyjaśniała, krztusząc się śmiechem na widok kolejnego zdjęcia. — Łukasz zażyczył sobie strój kangura, gdzieś to powinno być...

Kangurze wydanie Łukasza chwilowo mało mnie interesowało. Sama udając prosię, pokwikiwałam radośnie na widok Darka szczerzącego się do aparatu w stroju goryla.

Pokaźna kolekcja kompromitujących zdjęć natychmiast poprawiła mi humor. Z niewielkim antraktem na kolejną kawę rozchichotane buszowałyśmy wśród rozrzuconych fotografii ponad godzinę.

— Dobra, trzeba to posegregować — wyrzęziła wreszcie pani Eliza. — Wszystko już obejrzałyśmy?

— Tam jest jeszcze coś ze zdjęciami — sięgnęłam po leżący z boku album i nie czekając na zgodę, otworzyłam na pierwszej stronie.

Przez kilka sekund siedziałam zmartwiała, walcząc o odzyskanie oddechu, który zamarł mi w płucach.

Na pierwszej stronie albumu zobaczyłam powiększoną wersję zdjęcia, które wypadło z książki w domu Łukasza.

— Kto to jest? — zapytałam słabo, wpatrując się w zielone oczy i piękny uśmiech czarnowłosej kobiety, tulącej w ramionach małego chłopca. — To ktoś z rodziny?

Pani Eliza zerknęła mi przez ramię i spoważniała.

— To Alicja z małym Łukaszem — wyjaśniła z westchnieniem. — Siostra

Antułana. Nie żyje już od wielu lat.

„O Boże”, jęknęłam w duchu, opierając się plecami o szafkę, by nie polecieć do tyłu, przygnieciona ciężarem własnej głupoty. Z rodzinnej fotografii z dzieciństwa, którą Łukasz wykorzystał jako zakładkę do książki, w imponującym tempie wysnułam zawikłaną historię miłosną o porzuconej w Stanach z kilkuletnim synkiem kochance. Wprawdzie robienie zakładek ze zdjęć zmarłej ciotki w wykonaniu trzydziestokilkuletniego mężczyzny wydało mi się dziwnym pomysłem, jednak spowodowało natychmiastową chęć powrotu do mieszkania Łukasza w celu przejrzenia innych książek. Może ogólnie jest sentymentalny i całą posiadaną literaturę upstrzył rodzinną dokumentacją?

Siedziałam sama, przeglądając ostatni album, gdy pani Eliza podniosła się, by podgrzać obiad wracającemu z biura mężowi. Na wszystkich znajdujących się tu zdjęciach widać było wesoły uśmiech Alicji, której często towarzyszył Łukasz. Na niektórych ujęciach dostrzegłam również inne dziecko. Była to drobna, blada dziewczynka o czarnych loczkach i brązowych oczach. Przedstawiły ją też późniejsze zdjęcia. Pewnie Alicja miała córkę, domyśliłam się, przyglądając się chudziutkiemu podlotkowi z szopą ciemnego afro na głowie. Dokonałam szybkiego przeglądu osób znanych jako członkowie rodziny Darka i zawiedziona stwierdziłam, że nie przypominam sobie nikogo, kto mógłby być trzydziestoletnią wersją nastolatki z fotografii.

Zagadnięta o tożsamość dziewczynki pani Eliza potwierdziła moje domysły.

— Tak, to córka Alicji. Agnieszka — wymruczała, biorąc ode mnie album i przeglądając powoli zdjęcia. Zerknęłam jej przez ramię, gdy przerzucała ostatnie strony. Kusiło mnie, by zapytać, dlaczego ostatnie fotografie przedstawiają dziewczynę w wieku kilkunastu lat, jednak obawy, że odpowiedź będzie podobna jak w przypadku Alicji, sprawiały, że pytanie nie chciało przejść mi przez usta. Przez chwilę zastanawiałam się, jak je sformułować, by nie trzasnąć straszliwej gafy. Z drugiej strony pozostawienie sprawy w spokoju w krótkim czasie doprowadziłoby mnie do wniosków równie idiotycznych jak te, do których doszłam po zobaczeniu nieszczęsnego zdjęcia u Łukasza.

— Chyba nie miałam okazji jej poznać — zaczęłam dyplomatycznie. — Nie było jej na ślubie Darka...

Pani Eliza wpatrywała się w zdjęcia w zadumie.

— Nie — powiedziała wreszcie. — Kiedy miała osiemnaście lat, wyjechała z Poznania. Chciała szukać ojca. A z nami... No cóż... Z nami nie chciała utrzymywać kontaktu — uśmiechnęła się smutno. — O ile wiem, przez jakiś czas dzwoniła jeszcze do Antułana, ale po kilku latach zupełnie przestała się odzywać. Nie mam pojęcia, co się z nią teraz dzieje.

Jeszcze przez chwilę przeglądała zdjęcia, by nagle zamknąć album z trzaskiem. Zgarnęła go wraz z innymi do szafki i pozbierała rozrzucone luzem

fotografie.

— Mam prośbę, Ola — powiedziała stanowczo, gdy uporałyśmy się ze zdjęciowym bałaganem. — Niech ta rozmowa zostanie między nami. Już śmierć Alicji była dla Antułana bardzo trudna, a faktu, że jej córka nie chce mieć z nami nic wspólnego, do dziś nie może przeboleć.

Skinęłam ze zrozumieniem głową. Natrętne pytania o przyczynę konfliktu dziewczyny z rodziną musiałam schować w kieszeń. W ramach dobrego uczynku postanowiłam zapomnieć o sprawie i odpuścić sobie snucie sensacyjnych historyjek. „Jak znam życie, wyjdzie mi to tylko na dobre”, pomyślałam i pozwoliłam, by karmiony płodami nadmiernie wybujałej wyobraźni umysł tym razem zajął się czymś pożytecznym. Po kolacji razem z panią Elizą usiadłyśmy do planowania menu na sobotnią imprezę.

* * *

— Murzynek Bambo w Afryce mieszkał — wyrecytowałam złośliwie, naśladując małe dzieci, gdy następnego dnia Darek podjechał, by zabrać mnie do pracy.

Zdumiony Darek popukał się w czoło.

— Dziecinniejusz na starość? — zapytał. — W przedszkolu nas uczyli takiego wierszyka.

— I zabawy w *Stary niedźwiedź mocno śpi* — uzupełniłam. — Ale jako goryl Magilla podobałeś mi się o niebo bardziej.

— Jezu, matka pokazała ci zdjęcia — jęknął Darek. — Ta przeprowadzka do nich była bardzo debilnym pomysłem.

Sama powoli zaczynałam być innego zdania.

— Oj tam, oj tam — zachnęłam się. — Obaj z Łukaszem byliście słodkimi dziećmi, szkoda, że tej słodyczy nie udało się zachować na późniejsze lata. Proszę, jedźmy dziś do pracy bez żadnych pościgów, nie gub portfeli, ja nie chcę się spóźnić.

— Ja też nie — ożywił się Darek. — Ta dietetyczka dziś przyjeżdża o dziesiątej. Szef kazał nam zrewidować wszystkich pracowników pod kątem wnoszonych nielegalnie źródeł cukrów prostych. Kobita jest podobno skrajną fanatyczką.

Z westchnieniem wygrzebałam z torebki tabliczkę czekolady, przełamałam na pół i poczęstowałam przyjaciela.

Na dyskusje o nowej członkini ekipy nie miałam zbyt dużo czasu. Pani Halinka, z którą od poniedziałku pracowałam nad zgubieniem piętnastu nadprogramowych kilogramów, dotarła dziś punktualnie. Po przyjeździe do klubu czasu wystarczyło mi, by się przebrać i chyłkiem podrzucić Darkowi klucze do mieszkania Łukasza.

— Pierwsza ofiara na konsultacje dietetyczne? — zagadnął dyskretnie Darek, obserwując moją nową klientkę, która rozgrzewała się na bieżni. — Rzucimy ją na żer?

— Sam się rzuć — mruknęłam. — Ja tam na niej eksperymentować nie będę. Współczuję babeczce. Siedemnaście lat zainwestowanych w męża i dziecko, siebie odpuściła totalnie. I co? Rozwód.

— Jak ty to robisz? — Darek spojrzał na mnie zaskoczony. — Jakim cudem na drugim spotkaniu jesteś w stanie tyle o tej babce powiedzieć? Wywiad cię szkolił, czy co?

— Jestem po prostu sympatyczna — wyszczerzyłam się. — Powinieneś podnieść mi pensję, bo zasuwam tu jako psychoterapeuta.

— Właśnie widzę — stwierdził z przekąsem Darek i skinął głową w kierunku strefy siłowej. — Zwłaszcza ten gość mocno cię lubi. Zakabluję bratu.

Powiodłam za nim wzrokiem i jęknęłam rozpaczliwie.

Widząc, że spoglądam w jego stronę, Mareczek pomachał do mnie radośnie. Zmusiłam się do odwzajemnienia uśmiechu, choć musiał on przypominać grymas osoby cierpiącej na nadwrażliwość zębów po zjedzeniu lodów. Przyglądający się z boku Darek zarechotał złośliwie. Umilkł dopiero, czując silny cios pod żebra, który wymierzyłam lewym łokciem.

— Kto to jest? — zainteresował się.

— Kolega Krzyśka — skrzywiłam się. — Bardzo chciał, żebym z nim trenowała, podobno Krzysio tak bardzo mnie zachwalał. Jakoś nie mogę go spławić.

— Załatw go z łokcia, masz wprawę — poradził uprzejmie Darek i oddalił się w kierunku sali do spinningu, w której czekali na niego uczestnicy zajęć.

Wróciłam do pani Halinki, starannie unikając rozanielonego spojrzenia Marka, którego tylko ciężar wrzuconej na klatę przez Marcina sztangi powstrzymywał przed przemieszczeniem się w okolicę bieżni.

— Zawsze chciałam przebiec maraton — wysapała pani Halinka, maszerując z zawzięciem. Rzucane zazdrośnie spojrzenia w kierunku biegnącej obok dwudziestolatki nie uszły mojej uwadze.

— To trzeba to zrobić — uśmiechnęłam się i lekko przyspieszyłam jej tempo. — Spróbujemy trochę podbiec?

— No nie wiem — spojrzała na mnie w popłochu, ale nie nacisnęła guzika zwalniającego taśmę bieżni.

— Minutka truchtu, dwie minutki marszu — zasugerowałam i zaprogramowałam komputer. — Przez kwadrans. Damy radę.

— Mój były mąż sugerował mi zazwyczaj coś dokładnie przeciwnego — sarknęła. — Sam biegał kilka maratonów w roku, ale to przecież wyzwanie dla prawdziwych mężczyzn. Ja jestem za słaba. Nie mam formy. No i byłoby mu

wstyd, gdybym przybiegła ostatnia...

Zrobiło mi się jej żal. „Bycie kobietą to cholerne przekleństwo”, stwierdziłam, wracając myślami do wszystkich sytuacji, kiedy Krzysztof namiętnie udowadniał mi moją własną słabość, wynikającą jego zdaniem z faktu, że zamiast zarostu golę nogi. Spojrzałam na dyszącą ciężko podczas truchtu panią Halinkę. Oto kobieta — czterdziestoletnia matka Polka z nastoletnim synem, wieczna nieśmiała obserwatorka blasku chwały pana małżonka i wychowanego na jego obraz i podobieństwo potomka. Zawsze w cieniu, zawsze z wyciągniętym usłużnie bidonem, zawsze z żalem na myśl o własnym niespełnieniu i rzuconych gdzieś w kącie marzeniach. „Cud boski, że znalazła dość siły, by zdecydować się na rozwód”, pomyślałam z podziwem, jednak podziw szybko zgasł, przyćmiony kolejnym wspomnieniem z własnej autobiografii. Równie dobrze mogła zostać do rozwodu zmuszona, stwierdziłam. Ciekawe pod wpływem jakich zdarzeń diabli wzięli jej anielską cierpliwość do męża. Przed oczami mignęło mi czarne auto Krzyśka z siedzącą obok Agnieszka, wywołując zgrzytnięcie zębami tak potężne, że iskry poszły. Zanim zdążyłam opanować nagły ból, będący efektem gwałtownego szczękocisku, usłyszałam własny głos mówiący:

— Na wiosnę skopiemy mężowi tyłek. Pobiegniemy razem i gwarantuję, że nie będziemy na mecie ostatnie...

„Dobry Boże”, jęknął struchlały rozum, gdy dotarła do niego treść deklaracji, ale natychmiast umilkł, gdy zawzięta na męski rodzaj dusza wymierzyła mu tęgiego kopa. Nawet gdyby chciał się jeszcze odezwać, głupio by mu pewnie było pod wpływem pełnego wdzięczności spojrzenia pani Halinki. Nie pozostało mi nic innego, jak udać się do doświadczonego w przebieraniu przez czterdzieści dwa kilometry nogami Marcina i poprosić o ułożenie planów treningowych dla nas obu...

Marcina znalazłam obok recepcji, gdzie stał razem z Małgosią, właścicielem klubu, i robił maślane oczy do chudej brunetki, która pojawiła się przed chwilą. Cmoknęłam z niezadowoleniem. Zaabsorbowany kobiecym pięknem Marcin tracił poczucie rzeczywistości, a ponieważ do perfekcji opanował sztukę prowadzenia jednocześnie całkiem przytomnej i błyskotliwej konwersacji, wielokrotnie klęłam na czym świat stoi, zwiedziona poczuciem, że treść owej konwersacji pozostaje w jego pamięci. Może i zostawała, jednak najczęściej w postaci niepowiązanych ze sobą urywków. Lata współpracy oraz pieklenia się na przedziwny i umiejętnie ukrywany rodzaj roztargnienia w obecności płci pięknej nauczyły mnie, że w chwilach opętania przez feromony najlepiej poważne rozmowy z Marcinem odpuścić. W razie konieczności chlusnąć uprzednio wiadrem lodowatej wody, a i to bez gwarancji powodzenia. „Może obecność szefa podziała na bujający w marzeniach o długonogiej brunetce umysł jak grawitacja”, pomyślałam z nadzieją i zwolniłam nieco, ciekawa, jakież to oblicze wywołało w oczach kolegi wyraz

cielęcego otępienia. Chociaż wysoka, szczupła sylwetka, obdarzona wybitną obfitością w okolicy klatki piersiowej i siedzenia w zupełności wystarczała...

Gdy podeszłam bliżej, nadzieja na rozsądną rozmowę z Marcinem prysła jak bańka mydlana. „Rozdając wdzięk i urodę, matka natura zaszalała”, pomyślałam. Wzrost i figurę modelki uzupełniła bujnymi, przyciętymi do ramion czarnymi lokami, wydatnymi policzkami i pełnymi ustami. Czarne, przysłonięte gęstą firanką długich rzęs oczy rzucały rozbawione, lecz sympatyczne spojrzenia na zahipnotyzowanego Marcina. Wesoły uśmiech na ładnej buzi udaremnił wybuch przykrego i częstego wśród kobiet zjawiska zawiści i odpuściłam sobie pomstowanie, że z moim metrem sześćdziesiąt wskazane by było natychmiastowe włożenie szpilek. Dodatkowo gnała mnie ciekawość, gdyż obecność szefa i widoczna na zegarze nad recepcją godzina dziesiąta sugerowały, że młoda brunetka jest nową członkinią naszej ekipy.

I rzeczywiście.

— Ola, poproszę cię tutaj — skinął do mnie zaaferowany szef. — Chciałbym, żebyś poznała panią dietetyk, która będzie z wami pracować przez najbliższe trzy miesiące. A potem, mam nadzieję, na stałe.

Sympatyczne wrażenie rosło odwrotnie proporcjonalnie do mojej odległości od recepcji. Pełna dobrych przeczuć wyciągnęłam rękę.

— Aleksandra, trener personalny — uśmiechnęłam się.

Zdecydowany, niewymuszony uścisk dłoni wzmacnił pozytywne pierwsze wrażenie. Dziewczyna odwzajemniła uśmiech.

— Agnieszka, będę kontrolować poziom spożycia czekolady i cheeseburgerów.

— U Marcina jest wyjątkowo wysoki — rzuciła niby od niechcienia Małgosia, jednym okiem zezując złośliwie w stronę Marcina, drugim mrugając w moim kierunku.

— Ja myślę, że wszyscy pracownicy powinni świecić przykładem — chrząknął szef, którego ciężki szlag trafił na widok naszych grzeszków żywieniowych i bezskutecznie próbował ograniczać moje pielgrzymki ze słynnym słojem miodu do terenu szatni. — Pani Agnieszko, poproszę do gabinetu. Chciałbym przejrzeć kwestionariusze żywienia i poznać pani oczekiwania. Ola, przyślij do nas Darka, jak raczy się objawić — rzucił w moim kierunku.

— Na razie katuje ludzi na spinningu — wyjaśniłam powód nieobecności Dareczka przy recepcji. — Powiem mu, żeby przyszedł po zajęciach.

— Ja też mogę? — jęknął Marcin, gapiąc się na oddalające się z szefem nogi Agnieszki.

— Ja cię podziwiam, tyle czasu nie mrugać — klepnęłam Marcina w ramię. — Na niteczki montujesz sobie te powieki, czy co?

— Trenuję do księgi rekordów Guinnessa — Marcin spojrzał na mnie z

wyższością.

— To chodź, potrenuj tłumaczenie mi, jak przebiec maraton — zamruczałam przymilnie i pociągnęłam go w kierunku bieżni, na której pani Halinka stawiała pierwsze kroki do skopania tyłka byłemu małżonkowi.

Marcin do misji podszedł bardzo poważnie i po wyciągnięciu z nas stosownych wyznań zadeklarował przysłanie planów treningowych jeszcze tego samego wieczora. Bez względu na poziom przerażenia własną brawurą i głupimi pomysłami pożegnałyśmy się z panią Halinką z pewnymi siebie minami, obiecując, że na kolejnym spotkaniu przejrzymy listę zaplanowanych przez Marcina treningów i natychmiast w pełni zmotywowane przystąpimy do realizacji. Żadna z nas nie podała w wątpliwość sensu rzuconego sobie i światowi męskiego szowinizmu wyzwania. Dopiero gdy pani Halinka zniknęła za drzwiami szatni, żołądek skręcił mi się na myśl o potwornej odległości, trzy razy dłuższej niż ta, którą zwykłam pokonywać na treningach. „Raz kozie śmierć”, pomyślałam z determinacją, rozpaczliwie odsuwając od siebie inne znane powiedzenie dotyczące tych wdzięcznych zwierzątek. „Jak to tam szło? Gdyby kózka nie skakała...”

Szybko pożałowałam chwili słabości. Kilka sekund rozkojarzenia i czujne oko Marka wyłowiło mnie spośród sprzętów do treningu cardio. Zwolniony przez Marcina po dwugodzinnych torturach Mareczek podbiegł do mnie rączym kłusem, jakby przez cały ranek wylegiwał się na plaży na Majorce. Brak czegokolwiek, co zastopowałoby ten radosny pęd, wyrwał mi z gardła jęk rozpacz. Chromołą, w pracy obowiązuje mnie profesjonalizm, a nie przyjmowanie umizgów ze strony podopiecznych. Przecież on wcale nie jest moim podopiecznym, przypominałam sobie nagle i zupełnie odpuściłam silenie się na uprzejme uśmiechy.

— Widzę, że nabierasz tężyzny — rzuciłam, a Mareczek w odpowiedzi naprężył wątyły po zaledwie trzech dniach ćwiczeń biceps. „Boże, co za palant”, jęknęłam w duchu, próbując nie wybuchnąć śmiechem na widok niedorobionego okazu Pudziana. Do obcej osoby podeszłabym zapewne z większą życzliwością, szczerze motywując do dalszej pracy, jednak Mareczek nieodłącznie kojarzył mi się z Krzysiem, te zaś skojarzenia wywoływały coś na kształt długotrwałej zgagi emocjonalnej. Dodatkowo nigdy nie lubiłam facetów zbyt otwarcie demonstrujących swoje zapędy. W rezultacie starannie pielęgnowany chłodny profesjonalizm w przypadku Mareczka szybko przybrał oblicze arktycznej zamieci. Nadal zbyt uprzejmej, by natręta zniechęcić. A może by tak...

— Co słyhać w salonie? — zagadnęłam. — Czy Krzysiek nadal robi mi reklamę?

Przypuszczenie o wątpliwym prawdopodobieństwie reklamowania moich kompetencji zawodowych przez Krzyśka zostało natychmiast potwierdzone szkarłatnym rumieńcem, jakim oblało się na chwilę oblicze Marka. Szybko wróciło jednak do normalnej barwy, a Marek odzyskał rezon.

— Wspominał coś ostatnio, że nie jesteście już razem — palnął i tym razem to mnie grunt osunął się pod nogami. — Może pogadamy o tym po zajęciach?

— Wybacz, o moim życiu prywatnym w godzinach pracy nie gadam. Zwłaszcza z klientami — zgrzytnęłam zębami z nadzieją, że kombinacja arktycznej zamieci i przykręcenia kurka z udawaną uprzejmością uświadomią mu wreszcie, na jakiej stopie powinna się kształtować nasza znajomość.

Na obliczu Marka odmalowała się pełna niezrozumienia konsternacja. Pogratulowałam sobie sukcesu i na osłodę zamierzałam rzucić jakiś motywujący do treningu frazes, a następnie oddalić się na zajęcia power pump, które rozpoczynałam za piętnaście minut. Osiadłam jednak na laurach zbyt szybko...

— Oła, no przecież znamy się prywatnie — wyszczerzył się Marek, którego mój chłód zmroził tylko na chwilę. — Wspólna impreza, wspólni znajomi...

— I na szczęście na tym koniec — ucięłam litanie wspólnych dóbr i przeżyć. — Przepraszam, zaraz prowadzę zajęcia. Tylko dla pań — zaakcentowałam, bo po minie Marka widziałam, że chętnie przedłuży pobyt w klubie.

— A po zajęciach? — dopytywał odporny na każdą formę odmowy Marek.

„Pojadę do Honolulu”, cisnęła mi się na usta rozpacзлиwa odpowiedź. Z ciężkim sercem nastawiłam się na dywanik u szefa za impertynencję wobec klienta i wysiliłam umysł w poszukiwaniu wypowiedzi bardziej kulturalnej niż „odwal się”, gdy ratunek spadł mi z nieba sam.

— Pani Aleksandra będzie zajęta — usłyszałam tuż za swoimi plecami. — Prowadzi spotkanie z nowymi pracownikami. Polecenie służbowe.

— Widzisz, szef mi już zaplanował wieczór — wypełniające duszę szczęście i wdzięczność sprawiły, że posłałam Markowi uprzejmy uśmiech. — Miłego dnia... — wytchnęłam, odwracając się do nieznanego anioła stróża, którego interwencja wybawiła mnie od mąk piekielnych za coraz bardziej prawdopodobne popełnienie morderstwa.

— Dziękuję, kocham cię — wyszeptałam, biorąc pod rękę stojącą za mną Agnieszkę i ciągnąc ją w stronę sali do zajęć choreograficznych.

— Wkupiam się w łaski — mruknęła z uśmiechem. — W twoje, zdaje się, szczególnie warto.

— Punkt za spostrzegawczość — spojrzałam na nią z sympatią. — A polecenie służbowe chętnie wykonam. Dziś niekoniecznie, ale wieczorek zapoznawczy się przyda...

Zerknęłam szybko w kierunku sali, w której moja grupa zebrała się już na zajęcia i z żalem pomyślałam, że na konwersację nie zostało nam zbyt wiele czasu, jednak kilka sekund wystarczyło na wymianę serdecznych uśmiechów i numerów telefonu. Idąc na zajęcia, czułam, że nawiązana nic sympatii bardzo szybko ulegnie przemianie w grubą, solidną linię okrętową. Kilka zamienionych w przelocie słów ujawniło przyjaźń dusz starą jak świat, relację niemal bliźniaczą, przez przypadek

jedynie zagubioną i nadszarpniętą. Nie potrzebowałam lat, by poczuć, że Agnieszkę znam i mogę jej zaufać. „Jaka miła odmiana”, pomyślałam zaskoczona łaskawszym spojrzeniem ze strony Losu i pokręciłam głową, zatroskana o przyszłość klienta, któremu na widok Agi Marcin omal nie upuścił na nogi sztangi. Jednak zamiast zmyć mu głowę i palnąć wykład na temat romansowania i niepożądanych przypadków miłosnego rozmiękczenia mózgu w miejscu pracy, stwierdziłam beztrzesko, że właściwie wcale mu się nie dziwię. Ładna, atrakcyjna i emanująca pozytywną energią dziewczyna...

Pokazałam Marcinowi uniesiony kciuk, gdy potok życzliwych myśli pod adresem Agi przerwała jeszcze jedna, elektryzując umysł niedorzecznością, której niepodobna było zaakceptować, jednak narzucała się z całą wyrazistością i nie pozwalała wyprzeć: „emanująca pozytywną energią dziewczyna”...

Zupełnie jak na starych fotografiach Alicja...

Bez względu na charakter prowadzonych tego dnia zajęć aż do zakończenia pracy prowadziłam prywatny, wewnętrzny trening bokserski, usiłując wybić sobie z głowy wyimaginowane podobieństwo nowej koleżanki do ciotki Darka i Łukasza. „Obcy ludzie też bywają do siebie podobni”, argumentowałam, dorzucając w myślach jako świadectwo incydent ze studniówki, kiedy jeden z kolegów uparcie zwracał się do mnie per „Sharon”, twierdząc, że widzi wokalistkę naszego ulubionego zespołu. Zważywszy na gotycko-rockowy image, podkreślony czerwonymi pasemkami w długich, ufarbowanych wówczas na czarno włosach oraz obfitą ilość rozrywkowych trunków, jakie polały się tamtej nocy, nie próbowałam wyprowadzać go z błędu, zwłaszcza, że na trzeźwo opinii jakoś nie zmienił. Miałam jednak świadomość, że raz wbite do głowy skojarzenie nie będzie mi dawało spokoju, szczególnie, że wbijający je coraz głębiej młotek powtarzał za każdym razem: „Agnieszka, Agnieszka, Agnieszka”...

No właśnie, Agnieszka...

Spragniona konfrontacji rozczarowałam się okrutnie, gdyż Aga pojawiła się dziś w klubie na krótko. Po rozmowie z szefem została oprowadzona przez Małgosię i ulotniła się po ustaleniu dni i godzin pracy. Gdy opływający potem Darek skończył torturować rozentuzjzmowanych miłośników spinningu, jedynym śladem po jej obecności był wyraz cięłego rozanielenia w oczach Marcina, który co chwilę molestował Gosię o numer telefonu nowej koleżanki.

„Organizacja wieczorku zapoznawczo-integracyjnego jest całkiem niezłym pomysłem”, stwierdziłam w myślach, z rozbawieniem obserwując objawy narastającego obłędu w wykonaniu Marcina. Wizja wieczornej imprezy w klubie natychmiast pojawiła mi się przed oczami. Impreza ze szwedzkim bufetem i koniecznie dużą ilością dobrej muzyki do tańca. Niekoniecznie z udziałem szefa... „Ale z udziałem drugich połówek, jeżeli objawią ochotę”, pomyślałam buntowniczo, wspominając imprezy integracyjne w firmie Krzysztofa: wyjazdowe,

dyskryminujące partnerów pracowników, propagujące za to dużą ilość alkoholu, obżarstwa i niechlubnych czynów dokonywanych na gazie. „Żadnych nieszczęśliwych żon ani wściekłych mężów”, zdecydowałam, wygrzebując z pamięci pełne rozgoryczenia i niepewności noce, po których odbierałam Krzysztofa spod salonu na potężnym kacu, żegnającego z rozczuleniem bardzo umownie trzeźwe koleżanki. Nie, moi państwo, jak dobra zabawa, to dla wszystkich. „Ja ręki do demolowania cudzych związków nie przyłożę”, pomyślałam, z wyjątkowo nieżyczliwą dedykacją dla pani Agnieszki D. z podpoznańskiego salonu Toyoty. Dobre relacje prywatne przekładają się na jakość pracy, co zostało naukowo i empirycznie udowodnione, ja tylko do teoretycznej podbudowy dołączę stosowny przykład. A jak wyswatać się przy okazji uda singli, też nie zaszkodzi, mam już wprawę. Na takie okazje doskonałą alternatywą dla żarcia i chlania jest taniec... Nie każdy potrafi, więc można zaprosić profesjonalnego instruktora... I takie imprezy integracyjne to ja rozumiem!

Rozentuzjasmowana pognałam do recepcji podzielić się pomysłem z Małgością i zastanowić się nad stosownym terminem. Po intensywnym ryciu w kalendarzu wybrałyśmy dwa, wystosowałyśmy maile do reszty ekipy z prośbą o deklarację i wywiesiłyśmy w szatni dla trenerów nabazgroloną naprędce listę chętnych.

Gdy wyszłam spod prysznic i skończyłam suszyć włosy, na liście widniało pięć podpisów. „Będzie okazja, żeby opić moje debilne pomysły”, pomyślałam z zadowoleniem i wyszłam z szatni.

Kontrastującą z pogodnym wyżem chmurę gradową na obliczu czekającego przy samochodzie Darka powitałam z lekkim zdziwieniem. Zaniepokojona zerknęłam na zegarek — nie musiał czekać na mnie dłużej niż pięć minut, rozkręcenie akcji „Impreza” załatwiłyśmy z Gosią błyskawicznie.

— Ktoś zmarł, czy jak? — zapytałam niepewnie, podchodząc do auta.

— Ja. Prawie — sapnął z irytacją Darek. — Omal się nie wypieprzyłem przy wejściu o to cholerstwo.

— Co to? — jęknęłam z podziwem na widok wielkiego bukietu, jakim machał mi przed nosem.

— To ty mi powiedz — nadąsał się Darek. — Jakiś debil przyniósł i zostawił w recepcji dla niejkiej Aleksandry L. Znasz może?

„O Jezu”, pomyślałam w panice, czując, jak zachwyty na widok dekoracyjnego wiechcia wyparowuje, ustępując miejsca mniej przyjemnym uczuciom. Trzęsącymi się dłońmi rozgarnęłam kwiecie, próbując znaleźć wizytówkę, na której ofiarodawca być może był uprzejmy ujawnić swoje personalia. Nerwowo wyszarpałam ukryty głęboko ozdobny kartonik i jęk rozpaczony wydarł mi się z gardła.

— Czyżby tożsamość debila została ujawniona? — zainteresował się Darek,

przerywając pomstowanie pod adresem Gosi, która przyniesiony bukiet ustawiła w wazonie tuż obok recepcji z daleka od przejścia i była najmniej winna tego, że Darek w niego wlaźł.

— Marek? — zdziwił się, wydarłszy mi z ręki wizytówkę. — Co za Marek? Obstawiałem, że Krzycha ugryzło sumienie...

— Mareczek, ten misowaty blondynek od Marcina — wyjaśniłam zgryźliwie. — Przekleństwo Toyoty na mnie ciąży, pół salonu spod Poznania się na mnie uwzięło.

Rozejrzałam się po parkingu i ruszyłam w kierunku pierwszego lepszego kosza na śmieci, jaki udało mi się zlokalizować. Pozbywszy się przeklętych kwiatków, nie poczułam się jakoś lepiej, ale poziom irytacji spadł wystarczająco, bym po kilku głębszych oddechach spokojnie wsiadła do auta i powstrzymała chęć natychmiastowego natrzaskania Markowi po pysku.

— Następnym razem po prostu wywal. Możesz sobie odpuścić nawet informowanie mnie o badylach, listach miłosnych i innych tym podobnych duperelach.

— Jak chcesz — wzruszył ramionami Darek. — Myślałem, że po ostatnich atrakcjach to miła odmiana. Osobiście wolałbym kwiatki od pociętych opon i zdechłego szczura w szafce...

— Zdechłego szczura na szczęście jeszcze w szafce nie znalazłam i lepiej, żeby tak pozostało — burknęłam. — Odwieź mnie lepiej do domu i odbierz maila w sprawie imprezy integracyjno-zapoznawczej.

— Będzie impreza? — zainteresował się natychmiast Dareczek, ku mojej uldze porzucając temat zdechłych gryzoni. — Szef chce nas integrować?

— Szef ma w tym czasie jakieś szkolenia — uśmiechnęłam się. — Szefa nie ma, chata wolna, będzie bal. Zabierz Beatkę, przewiduję integrację na szerszą skalę.

— A, rozumiem... Integrujemy się na gruncie prywatnym i zawodowym, takie *wash and go*. Czy ty w takim razie będziesz się integrowała z Łukaszem? — błysnął dowcipem Darek i natychmiast oberwał paczką chusteczek do nosa, które akurat miałam pod ręką.

— Pogadamy o tym, jak podrzucę ci twój ulubiony strój na imprezy — odparowałam. — Pytanie, co powie Beatka na towarzystwo goryla Magilli.

— Sama jesteś małpa — obraził się Darek i uznał za stosowne przez najbliższe pół godziny się nie odzywać.

„I chwała Bogu”, westchnęłam z ulgą, wyciągając z torebki brzęczącą komórkę. Wdech, wydech, wdech, wydech... Z kolejnym głębokim wydechem wyrzuciłam z głowy myśli zaprzątnięte Markiem, prześladowającymi mnie kłótniami i innymi wątpliwymi przyjemnościami, jakimi ostatnio częstowała mnie codzienność. Nacisnęłam klawisz odbioru wiadomości i odczytałam ciepłego,

wesołego SMS-a, po którym przyszło zdjęcie Dragona pozującego w okularach przeciwsłonecznych w Łazienkach.

„Błagam, niech już będzie piątek”, pomyślałam z westchnieniem, machając Darkowi na pożegnanie i czekając niecierpliwie, aż granatowe clio odjedzie z parkingu. Potem powoli podeszłam do niewielkiego parku na tyłach osiedla. Usiadłam na ławce, wygrzebałam z torebki telefon i wybrałam numer. Przez chwilę czekałam na połączenie, z rumieńcem zażenowania przyznając, że z każdym sygnałem niedostrzegalne początkowo bicie serca nabiera na sile, a wolna ręka nerwowo nawija na palec kosmyk włosów. „Jezu, przecież nie miałam się zakochiwać”, przemknęło mi przez myśl i odgarnęłam gwałtownie opadające na ramiona włosy.

„A właściwie dlaczego nie”, szepnęło bezczelnie serce, gdy w słuchawce odezwał się głos Łukasza.

* * *

Wbrew prośbom, groźbom, zaklęciom i innym formom perswazji przedstawiciele płci brzydkiej od piątkowego poranka kontynuowali utwierdzanie mnie w przekonaniu, że na męski upór lekarstwa nie ma. Tuż przed wyjściem do pracy, machając białą flagą w postaci chusteczki do nosa, przemknęłam przez kuchenną linię frontu. Działania wojenne koncentrowały się wokół sobotniej imprezy urodzinowej pani Elizy, w szczególności listy zaproszonych gości, z których jeden znów wywołał burzę kontrowersji. W charakterze agresora wystąpił pan Antoni, którego pisemny wniosek o aprobatę obecności Łukasza najwyraźniej nie wzruszył, a może rozjuszył jeszcze bardziej. Pani Eliza stanowczo odmawiała kapitulacji, widoków na rozejm nie było, zatem z ulgą opuściłam pole bitwy, snując domysły, czy zamiast pokazu fajerwerków i sztucznych ogni imprezy nie uświetni wybuch bomby atomowej.

Żadną z tych refleksji nie zdążyłam podzielić się z Darkiem, gdyż rano odwoziliśmy do pracy jeszcze Beatkę. Cichą nadzieję na spokojną pogawędkę w przerwie na lunch szlag trafił już na wejściu, gdy Gosia z dziwną miną wręczyła mi kolejny gustowny bukiet. Pomny jedynie wybiórczo na moje prośby Darek stanowczym gestem wydarł mi z rąk dowód oblędu Marka i zgodnie z instrukcją cisnął z impetem do kosza. Następnie, wspiąwszy się na szczyty dyplomacji i dyskrecji, wygłosił długi, dosadny komentarz, którego wysłuchali z osłupieniem wszyscy z wyjątkiem adresata. Adresat nieżyczliwego *exposé* dostarczył jedynie kwiatki, gdyż, jak wyjaśnił skonsternowany Marcin, kolejny trening miał umówiony dopiero w niedzielę.

— Czyli jutro przed klubem znajdziemy klombik z różami układającymi się w serduszko — parsknął Darek, z trudem powstrzymując chęć kopnięcia w Bogu ducha winny śmietnik, w którym spoczywał sponiewierany bukiet.

Przerażona awanturą i jeszcze bardziej jej skutkami, na samą myśl o kolejnym idiocie demolującym mi życie prywatne i w ramach bonusu również zawodowe, oprzytomniałam na tyle, by poskromić ziejącego furia Dareczka.

— Wystarczy, że Krzysiek narobił mi wstydu przed wszystkimi w pracy, przyjeżdżając tu z tą dziunią — wysyczałam, ciągnąc pomstującego przyjaciela do kantorka tuż obok szatni. — Co ci zależy, żeby następny idiota zrobił ze mnie cyrk? Musisz mu pomagać?

Zirytowany porannymi atrakcjami Darek miotnął się w kierunku szafki, w której dotąd mieliśmy zachomikowane na czarną godzinę węglowodany w niedozwolonej postaci i zaklął szpetnie na widok pustki.

— Aleksandro, bądź łaskawa wyznać — prychnął. — Obraziłaś jakąś Madame Tarot czy, tak jak w *Śpiącej królownie*, klątwa wróżki chrzestnej cię ściga na każdym kroku?

— A skąd ja mam wiedzieć, kto na moje konto manipuluje laleczką voodoo!? — wrzasnęłam. — Sama jestem pełna podziwu, czuję się, jakbym od tygodnia miała sobie tylko dedykowaną, prywatną puszkę Pandory! Obfitość pecha ostatnio mnie przerasta!

— Ostatnio? — jęknął Darek i złapał się za głowę. — Przecież pecha do facetów ty masz przez całe życie! Co jeden to lepszy oryginał! I wiesz co? Z całej tej ekipy mój brat jest chyba najbardziej normalny!

— To znaczy, że ewoluuję we właściwym kierunku — stwierdziłam słabo, siadając na krześle.

— Ten Mareczek też mi wygląda na ciekawy egzemplarz — prychnął Darek z obrzydzeniem. — Śmierdzi obsesją na kilometr. Skąd on się w ogóle wziął?

Z ciężkim westchnieniem streściłam i tak wybitnie krótką historię mojej znajomości z Markiem. Darek przysiadł na krześle naprzeciwko i spoglądał na mnie spode łba.

— Też sobie moment znalazł na amory — burknął. — Jakby nie dosyć było innych kłopotów... Wiesz co, Ola, ja bym się nie zdziwił, gdyby te wszystkie cuda na kiju to była jego robota... Przecież to widać, że namiętnie chce zwrócić na siebie uwagę.

— Niszcząc moje mienie i spokój ducha? — wytrzeszczyłam na Darka oczy. — Daj spokój, to się kupy nie trzyma...

Ale bujna wyobraźnia Dareczka, w którą jad sensacji sączył się już zbyt długo, nie pozwoliła się tak łatwo zastopować. Raz dźgnięta ostrogą, galopowała radośnie, ciągnąc za sobą wizje krwawych scenariuszy, które Darek coraz bardziej ochoczo przede mną roztaczał.

— No właśnie się trzyma — zawołał z oburzeniem. — Słuchaj, facet nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. Wie, że rozstałaś się z Krzychem?

— Wie — pokiwałam automatycznie głową, w napięciu czekając na ciąg

dalszy.

— Więc wie, że jesteś wolna — kontynuował Darek. — Wie również, że nie będziesz skłonna teraz się angażować, zwłaszcza, jeśli ma obiektywny ogląd samego siebie. Apollo to nie jest — mruknął złośliwie. — Ale idiota też nie. Uznał, że zestresowana, wystraszona będziesz bardziej skłonna oprzeć się na silnym męskim ramieniu. Więc zadbał o wystarczającą ilość stresu, a potem zorganizował procesję z kwiatkami — zakończył triumfalnie.

W osłupieniu wytrzeszczyłam na Darka oczy. Pozornie pozbawiona sensu teoria podrywu, jaką właśnie mi zafundował, zaczynała nabierać realnych kształtów. No tak, kto jest bardziej podatny na męskie umizgi, jak nie słaba, bezbronna, wystraszona kobietka?

— No dobra — przyznałam, odgarniając grzywkę, której na skutek nadmiaru zajęć pozwoliłam urosnąć za mocno i teraz coraz skuteczniej ograniczała mi widoczność. — To się jednak trzyma kupy. To co teraz? Umizgi nie są karalne, a wcześniejszej demolki mu nie udowodnisz, bo jak?

— Wieczorem w ciemnej uliczce udowodnię mu wszystko — sensacyjny charakter wydarzeń opętał Darka bez reszty, brakujące elementy kryminału był gotów uzupełnić osobiście.

Mnie z kolei cała ta sensacja zaczęła wychodzić bokiem i nastawienie przyjaciela budziło coraz większy niepokój. Zważywszy na entuzjazm, z jakim Darek obsadził Marka w roli czarnego charakteru, konfrontacja w ciemnej uliczce miała szansę nabrać całkiem realnego kształtu.

— Ja bardzo proszę, bez ciemnych uliczek — mruknęłam. — I bez mordobicia.

— To może go na kawę zaprosimy? — nadał się Darek. — I poprosimy ładnie o wyjaśnienia?

Poprosić o wyjaśnienia nie byłoby źle, jednakże...

— Nie — ucięłam krótko. — Zaczekamy do jutra. Tam w tych kwiatkach był numer telefonu i zaproszenie na kolację. Nie przyjdę, nie zadzwonię, może do niego dotrze. A jak nie, pozostaje faktycznie konfrontacja.

— No dobra — zgodził się niechętnie Darek, który zapewne widział już siebie w glorii i chwale supermana, ratującego przyjaciółkę z opresji. — Sama chcesz z nim pogadać? Chyba lepiej, żebym poszedł z tobą.

— Będę wdzięczna za obstawę — pokiwałam głową. — Ale nie będziemy rozmawiać z Markiem. Wolę najpierw pogadać z Krzysztofem...

— Po kie licho? — wytrzeszczył oczy Darek. — Jeszcze ci mało komplikacji?

— Nie — odparłam po krótkim namyśle. — Ale chcę zweryfikować tę historyjkę, że to Krzysiek zachęcił go do przyjścia do mnie na treningi i dał mu namiary.

— Myślisz, że będzie miał ochotę z tobą rozmawiać? — zainteresował się Darek, do którego zasadność pomysłu zaczęła powoli trafiać.

Tu istotnie mógł pojawić się pewien problem. Chociaż...

— Skoro ostatnio przyjechał do klubu oddać moją bluzę, zamiast przerobić ją na szmatki albo spalić publicznie z innymi pamiątkami po naszym związku... — zawahałam się.

— Można spróbować...

— Ale jutro — zdecydowałam. — Możliwe, że do jutra Marek poczuje się wystarczająco spławiony.

Darek nie podzielał mojego optymistycznego nastawienia.

— Albo uzna, że jesteś za mało podatna i podłoży ci w szatni bombę — uzupełnił ponuro. — Psychopaci tak mają — dodał z przekonaniem.

— Idiota — syknęłam i opuściłam kantorek.

Za pół godziny byłam umówiona z panią Halinką na trening i konsultacje naszych biegowych planów treningowych z Marcinem. „Boże, tu bardziej przydałby się psychiatra”, pomyślałam, przełykając ślinę i machając do pani Halinki wydrukowanymi naprędcą z maila wytycznymi.

Jeżeli nawet pespektywa podjęcia szalonego wyzwania przyprawiała ją o taki sam zawrót głowy, o jaki przyprawiała mnie, chęć moralnego dokopania byłemu małżonkowi równoważyła strach i była paliwem o niewyobrażalnej wręcz mocy.

„Dzielna kobita”, pomyślałam z uznaniem, gdy po godzinie wycisku na bieżni z zaciętą miną, opływając potem i klnąc nadprogramowe kilogramy, żwawym truchcikiem podbiegła do rowerka. „Od jutra codziennie rano wypożyczam Dragona na bieganie”, postanowiłam i zmodyfikowałam lekko plany na popołudnie.

Szczęśliwie sklep dla biegaczy miałam po drodze do domu. W przelocie między zajęciami złapałam Darka, by poinformować go, że nie musi na mnie czekać po pracy, gdyż w związku z szaleństwem, jakie mnie opętało, zamierzam udać się po stosowne obuwie.

Darek popukał się w czoło, sprzeciwu jednak nie wyraził, szczególnie że chęć wybrania się ze mną na zakupy zgłosił Marcin, który również miał w planach nabycie nowych butów.

Wyjściu z pracy nie towarzyszyły żadne spektakularne niespodzianki ze strony Marka, więc pożegnałam się z Darkiem, dzieląc się cichą nadzieją, że akcje konfrontacje być może nie będą wcale potrzebne.

— Oby — westchnął Darek, któremu bojowy nastrój po wyczerpującym dniu w pracy trochę opadł. — Zresztą od jutra możemy odpuścić sobie dyplomację i przetrząść się na szczucie psem — mrugnął.

Pomimo całej sympatii, jaką miałam dla Dragona, wzdrygnęłam się nerwowo na samą myśl o potencjalnym stanie poszczutej jednostki. Potężne

uzębienie naszego amstaffa oglądałam najczęściej w komplecie z wywalonym ozorem i uśmiechniętą mordą, która budziła wyłącznie ciepłe uczucia, jednak przeczytane na stronach internetowych informacje na temat rasy i nieco mniej przyjazne ujęcia uświadomiły mi wreszcie, że *american staffordshire terrier* jest klasycznym psem bojowym, zdolnym zrobić człowiekowi równie duże kuku, jak świętej pamięci trampkowi Łukasza.

Szczucia takim psem zdecydowanie wołałabym uniknąć.

Rozstałam się z Darkiem, modląc się w duchu, by nie zaistniała żadna sytuacja, która mogłaby sprowokować kogokolwiek do pomysłów szczucia Dragonem. Teraz ani nigdy.

* * *

Bez względu na moje dobre chęci, by rozwiązać zaistniałą sytuację bez konsekwencji w postaci ran kłasnanych, poważne zagrożenie pogryzieniem dla Marczkowego tyłka zaistniało już rano, gdy wchodząc do pracy zamiast Małgosi ujrzelśmy na ladzie recepcji wielkiego, białego, puchatego niedźwiedzia z serduszkami w łapach. Małgosia wychyłała zza pluszowego zwierza kilka sekund później, tłumacząc nerwowo, że wyklócanie się z klientem przynoszącym każdego dnia dowody uwielbienia nie należy do jej zadań, niech nikt więc nie waży się zgłaszać pod jej adresem pretensji. Nerwowość bynajmniej nie leżała w charakterze Gosi, zwykle flegmatycznej i niewzruszonej. Sama odczułam nagły skok ciśnienia, słysząc potężne zgrzytnięcie zębami, jakim Darek powitał nowy objaw obsesji Marka na moim punkcie. Kolejne zgrzytnięcie wywołał Kubuś, który na widok miśka gwizdnął z uznaniem i zażądał informacji, czy w ramach jakiejś akcji promocyjnej zafundowaliśmy klubowi oficjalną maskotkę.

— To bardzo ociepla wizerunek i pomaga przełamać dystans — stwierdził z przekonaniem, po czym poszedł jak zmyty na widok miny Darka, którego dystansu i nastawienia nie ociepliby nawet tygodniowy urlop w tropikach. Na sugestię Oliwki, by zatrzymać i wykorzystać efektowne zwierzątko, Darek zawył i sam zaczął wykazywać objawy poważnego zezwierzęcenia. Ujawniony w krwiożerczych okrzykach pod adresem Marka instynkt drapieżnika upewnił mnie ostatecznie, że szczucia Dragonem nie muszę się obawiać. Doprowadzony do szału Dariusz nie był skłonny czekać na powrót Łukasza z psem. W ciężkim popłochu zastanawiałam się gorączkowo, jak jego samego powstrzymać przed pogryzieniem natrętnego amanta. Zwłaszcza teraz, gdy, zgodnie z ustalonym planem, podjęcie bardziej energicznej działalności stało się nieuniknione.

Praca w charakterze trenera w fitness klubie ma jednakże tę zaletę, że pozwala sfrustrowanym lub nabuzowanym od rana jednostkom upuścić nieco pary i wyhamować nieprzyjemne dla ludzkości zapędy. Kiedy o wpół do dwunastej wsiadaliśmy do samochodu, po Dareczkowej furii został jedynie szczękościsk,

uniemożliwiający prowadzenie ożywionej konwersacji, dzięki czemu spokojnie wykonałam telefon do Krzysztofa i poprosiłam o kilka minut rozmowy. Ponieważ po wygłoszeniu prośby nie usłyszałam sygnału przerwania połączenia, pozwoliłam sobie na odkręcenie kurka z optymizmem, pilnując jednak, by nie odkręcać go zbyt mocno.

Krzysztof czekał na nas na parkingu przed salonem.

— Mam chwilę przerwy, wolałbym załatwić to szybko — burknął na mój widok, gdy wysiedliśmy z samochodu.

„Pełnia fochowej formy”, pomyślałam zgryźliwie, tłumiąc cisnący się na usta komentarz, odpuściłam jednak, gdy panowie kulturalnie, choć bez szczególnej sympatii wymienili uścisk dłoni. Potem znowu będzie, jak to baby się awanturują...

— To pogadajcie sobie, ja pooglądam autka — zdecydował Darek, gdy przez dłuższą chwilę staliśmy z Krzyśkiem, mierząc się nieufnie wzrokiem. — Zawołaj mnie potem, Ola.

— Jak nie masz teraz czasu, możemy się umówić i pojedziemy na jakąś kawę — zaproponowałam w końcu. — Nie spieszy mi się.

Krzysztof skrzywił się niechętnie.

— Bez sensu — uciął. — O czym chciałaś rozmawiać?

„Żegnaj nadziejo na życzliwą i autentyczną chęć pomocy”, pomyślałam ponuro, choć zważywszy na nastawienie, powinnam wznosić do nieba pienia dziękczynne, że zgodził się na spotkanie. Nie pozostało mi nic innego, jak przejść do sedna sprawy i poprowadzić rozmowę w konkretnym, rzeczowym tonie. Na sentymenty w tym związku nigdy nie było miejsca, chyba że w charakterze chusteczki do nosa, wątpliwe zatem, by jakimś cudem Krzysiek przypomniał sobie o funkcjonowaniu w praktyce takiego pojęcia jak empatia. Zdaje się, że dla niego to pojęcie i w teorii nie funkcjonowało... „W sumie wszystko mi jedno, jak to załatwię”, zbuntowałam się nagle w myślach, „byle z tej odrobiny czasu wycisnąć jak najwięcej”.

— Mam problemy z powodu Marka — walnęłam prosto z mostu i krótko naszkicowałam obraz kotła, w jakim od kilku dni Marek próbował ukisic mnie we własnych, nieodwzajemnionych uczuciach.

Krzysztof wysłuchał całej opowieści, krzywiąc usta w ironicznym, pełnym wyższości uśmieszku, który przez ostatnie miesiące doprowadzał mnie do furii, ilekroć się widzieliśmy. Zazwyczaj wiele naszych rozmów kończyło się awanturą, gdy unoszące się nad jego głową jak aureola przekonanie o własnej nieomyślności prowokowało wybuch furii, podsycanej gnębiącymi mnie kompleksami. „O nie, tym razem mam coś do załatwienia”, przemknęło mi przez głowę i nim się zorientowałam, usłyszałam własny, spokojny jak nigdy głos, mówiący rzeczowym, uprzejmym tonem:

— Chciałabym wiedzieć, czy kiedykolwiek rozmawiałeś z Markiem na mój temat albo zachęcałeś go do przyścia na siłownię.

Spokój i opanowanie przyniosły nieoczekiwany dobry skutek. Przez chwilę w oczach Krzyśka odbiła się dezorientacja. „I tu cię mam”, pomyślałam triumfalnie, patrząc, jak ironia na jego twarzy powoli się zamazuje.

— Ja go do niczego nie zachęcałem — powiedział wreszcie niechętnie, jednak w jego głosie nie wyczuwałam już potrzeby, by spławić mnie szybko i pomachać mi przed nosem lekceważeniem mojej skromnej osoby. — I nie rozmawiałem z nim, choć po tej imprezie, na której się poznaliście, cały czas się o ciebie dopytywał. Gdzie pracujesz, czy ten związek to na poważnie, takie tam inne — skrzywił się. — Co, próbujecie teraz wykorzystać szansę?

— Daj spokój, jaką szansę? — prychnęłam. — Cały czas myślę, co zrobić, żeby się odpitolił. Ty go znasz lepiej, jak go można spławić?

— Niech go spławi ten twój nowy facet — wycedził Krzysiek.

— Jaki znowu...? — spojrzałam na niego zdumiona, słysząc pozornie neutralne, lecz w rzeczywistości napęczniałe jadem słowa. „O co mu chodzi”, zastanawiałam się gorączkowo, „nie o Dareczka przecież”... No, no, a od kiedy to jesteśmy, proszę pana, w ogóle zazdrośni?

— Aleksandra, tylko mi nie mów, że ten gość z Tesco to kolega — zachnął się Krzysztof, pozwalając sobie na całkiem jawną demonstrację zazdrości.

„Nie ma jak opóźniony zapłon”, jęknęłam w duchu. „Gdyby choć trochę ci tak zależało, jak byliśmy razem, cholero”, wrzasnęły rozjechane męską dumą i próżnością, a potem przydepnięte obcasikiem pani Agnieszki D. uczucia.

„To i tak nic dobrego by z tego nie wyszło”, zgasił wybuch namiętności rozum i przyjął krótką modlitwę dziękczynną za szybką reakcję. Oblana zimnym prysznicem racjonalizmu, natychmiast odzyskałam równowagę.

— Krzysiu, to co ja mam myśleć o towarzyszącej ci podczas zakupów koleżance z pracy? — wytchnęłam złośliwie. — Albo oboje intensywnie romansujemy, teraz już zresztą legalnie, albo z różnych powodów znajomi postanowili nam towarzyszyć.

Na wspomnienie awantury o Agnieszkę Krzysztof natychmiast się zjeżył.

— Tłumaczyłem ci już, woziłem ją do pracy...

— A ona płaci za benzynę, tak, tak, już to słyszałam — dokończyłam zirytowana. — No i po co się tłumaczysz? Na ten moment jestem ostatnią osobą, której powinienes się spowiadać z wożenia pani Agnieszki. A czy w ogóle komukolwiek się musisz spowiadać, nie moja broszka.

Pokaz obojętności najwyraźniej podkopał pewność siebie Krzyśka dużo bardziej, niż była w stanie to uczynić moja odporność na ironiczne uśmiešky. Z nieumiejętnie tłumioną złością kopnął leżący nieopodal kamień.

— Nie mam zwyczaju się w ogóle spowiadać — burknął. — A jeśli cię to

interesuje, Aga już ze mną nie jeździ.

„O, cóż za nowość”, wykrzyknęłam w duchu, jednak w przeciwieństwie do Krzyśka zapanowałam nad emocjami.

— Bywa — bąknęłam. — Jakiś konkretny powód?

— Podbierała mi klientów i finalizowała sprzedaże, które dogadałem — westchnął Krzysztof. — To, co płaciła za benzynę, odbierała z nawiązką jako premię. Byłem na tym, powiedzmy, trochę stratny.

Złośliwa dusza pchała mi na usta zjadliwy komentarz. Ostatecznie mógł sobie teraz dokładnie zobaczyć, dla jakiej osoby uparł się poświęcić życie prywatne. Jedno uważne spojrzenie na Krzyśka sprawiło, że jednak ugryzłam się w język. Od naszego ostatniego spotkania w supermarkecie jego poczucie pewności siebie przyblakło, on sam jakby zmizerniał i zapadł się w sobie. Wrogość i chęć udowodnienia własnych racji za wszelką cenę gdzieś wyparowały i przede mną stał zmęczony, zniechęcony mężczyzna, wyładowujący frustrację na kopanym zawzięcie kamyczku. I mówił. Pierwszy raz, od kiedy go znałam, mówił. Otwierał się. Przyznawał się do swoich porażek. Wyznawał, że nie jest wolny od emocji. Chciał się podzielić tym, co go boli i uwiera.

Tylko że na to było już za późno. Jedyne, na co mogłam się zdobyć wobec tego przyływu szczerości, to odrobina współczucia, takiego, jakie ofiarowuje się obcej, poznanej w przelocie osobie.

— Bardzo mi przykro — powiedziałam. — Szkoda, że tak wyszło.

— Bywa — uśmiechnął się blado Krzysztof. — Markowi naprawdę powiedz, że masz nowego faceta, przeprowadzasz się, bierzesz ślub, nie wiem... Coś tam wymyśl. Zobacz cię kilka razy z gościem i odpuści. Jak chcesz, też mu puszczę taką informację.

— Dzięki — wymamrotałam, jednak trochę przybita nowym obliczem swojego byłego.

Staliśmy obok siebie, jak miało to miejsce wiele razy. Jedno silne, pewne siebie, pewne własnych przekonań i pragnień. Drugie tonące we frustracji, zaciskające bezradnie pięści, zbyt słabe, by wymierzyć cios swoim kompleksom i lękom. Po raz pierwszy to nie ja zaciskałam pięści, nie mój wzrok był pełen niepewności i to nie ja trzęsłam się z tłumionej wściekłości na samą siebie i na to, że nie umiem sobie poradzić. Siła była po mojej stronie, a jednak zabrakło mi jej na cieszenie się tą chwilą. Zbyt trudno było patrzeć na cudzą porażkę i chełpić się własnym zwycięstwem. Nie chciałam przeciągać rozmowy, by nie pogłębić dzielącej nas przepaści. Może i nie był tego wart, ale złość i zawód uleciały dość daleko, bym mogła spokojnie odejść i nie patrzeć na odartego z pozorów siły człowieka. Wolałam pozwolić mu w samotności przeżywać rozczarowanie, które sam wybrał.

Wyciągnęłam rękę na pożegnanie.

— Dziękuję za pomoc — chrząknęłam i parsknęłam śmiechem, słysząc własny, oficjalny ton. — Gdybyś czegoś potrzebował, dzwoń.

— I wzajemnie — uśmiechnął się Krzysiek. — Dasz sobie radę.

„Tyle razy chciałam to usłyszeć”, pomyślałam z rozgoryczeniem. Trzy małe słówka, które dawniej były mi potrzebne jak powietrze... Paradoksalnie w tej chwili, gdy wreszcie je z siebie wykrztusił, stały mi się obojętne. Zbyt oczywiste, odkryłam ze zdumieniem.

Ale o tym Krzysztof nie musiał już wiedzieć.

— Wiem — powiedziałam, gdy uścisnęliśmy sobie dłonie.

Więcej słów ani gestów nie było trzeba. Zostało powiedziane i przyjęte już wszystko.

Gdy Krzysiek wrócił do salonu, rozejrzałam się po parkingu w poszukiwaniu Darka, jednak szybko przypomniałam sobie, że nie zamierzał czekać w aucie. Jęknęłam głucho. Jeżeli utknął w którymś z wystawionych w salonie samochodów, mogę wytrzeszczać oczy do uśmiechniętej śmierci. Nie bardzo miałam ochotę pchać się do środka, na razie postanowiłam zajrzeć przez duże okna wystawowe, a potem spróbować zlokalizować Darka przy pomocy komórki.

Jak to było do przewidzenia, w otoczeniu nowych aut Dariusz kompletnie stracił poczucie czasu i rzeczywistości. Tkwił tuż przy oknie, wlepiając zachwycone spojrzenie w nowy model toyoty avensis. Mój wzrok, pomimo sprawnie przeprowadzonej lokalizacji, był od zachwytu bardzo daleki, gdyż zwiewnym krokiem sylfidy płynęła w kierunku Dareczka Agnieszka.

„A niech cię piekło pochłonie”, zgrzytnęłam zębami. Dostyc atrakcji na dzisiaj, jedna trudna rozmowa w zupełności mi wystarczy. Odwróciłam się na pięcie i poszłam do samochodu, po czym wyciągnęłam z torebki telefon. Wywołanie Darka tą metodą nie działało na moje samopoczucie tak destrukcyjnie, jak działały na nie potencjalne umizgi, których nie miałam ochoty oglądać.

Nie zdążyłam jednak wybrać numeru, gdy Darek w nagłym pośpiechu z własnej inicjatywy opuścił salon.

— Cóż to się stało? Ceny mają za wysokie? — błysnęłam dowcipem na widok mało radosnej miny przyjaciela. — Krzysiek po znajomości załatwi ci rabacik.

— Przestań mi tu pieprzyć o znajomościach — warknął Darek, wpychając mnie do auta i startując z piskiem opon z parkingu. — O takich znajomościach wolałbym nie pamiętać, że je w ogóle mam.

Spojrzałam na niego zdziwiona. Poza Krzysztofem jako żywo żadnych innych znajomości w salonie według mojej wiedzy nie powinien posiadać...

— Duchy twoich byłych cię straszą? — zapytałam niepewnie.

Darek prychnął zirytowany.

— Wolałbym je wszystkie razem, nawet przyżyciowo — sapnął. —

Widziałaś tę babę w salonie?

— O, ta to potrafi każdemu zepsuć humor — burknęłam z przekąsem. — Mi rozpieprzyła życie prywatne, to przez nią poległ mój związek z Krzysztofem. Też już miałaś z nią nieprzyjemność?

— Aleksandro, uwierz, twoje nieprzyjemności z nią to pikuś — wysapał Darek, oddalając się od salonu z prędkością, którą delikatnie można by określić jako niedozwoloną i nadmierną. W przypadku spotkania drogówki z pewnością znalazłoby się jeszcze kilka innych stosownych przymiotników.

— Miałaś większe? — zainteresowałam się. Działalność destrukcyjna Agnieszki zataczała coraz większe kręgi. Co więcej, dziwnym trafem w gronie moich najbliższych.

— Miałem — zgrzytnął zębami Darek. — I ja, i ojciec, i matka, i Łukasz. Większe. Duże, ogromne, gigantyczne nieprzyjemności.

Neutralne dotąd zdziwienie przybrało zabarwienie zdecydowanie negatywne. Łukasz? Podczas spotkania w Tesco bardzo skutecznie unikał przyznania się do znajomości... Ona zresztą też. „Co tu się, cholera, dzieje”, pomyślałam z niepokojem.

— Daro, kto to jest? — spytałam nerwowo. — Bardzo cie proszę, nie piernicz o nieprzyjemnościach, tylko raz kiedyś powiedz mi wprost.

— Wprost? — zaśmiał się ponuro Darek. — Ależ proszę bardzo. To moja kuzynka. Kluczowy element rodzinnej awantury, o której tak bardzo chciałaś wszystkiego się dowiedzieć. Kość niezgody między ojcem a Łukaszem. Nie mieliśmy z nią kontaktu przez ostatnie kilkanaście lat, a tu proszę! Jezu, niech tylko ojciec się nie dowie, bo szlag go trafi na miejscu... Aleksandro, niech cię ręka boska broni wspomnieć coś w domu!

— Ani słowa — obiecałam słabo. Uzyskana wiedza przeszła moje wszelkie wyobrażenia i poszczykiwałam nerwowo zębami, próbując przetrwać szokującą informację, a dokładniej jej konsekwencje.

„Przecież mógł mi powiedzieć, że ją zna, do cholery, po co udawał”, myślałam, z całej siły zagryzając zęby. Świadomość potężnej afery, starannie dotąd ukrywanej przez rodzinę Darka, byłam w stanie przełknąć. Pewne brudy raz wyprane lub zamiecione pod dywan warto zostawić, przyjaźń nie zakłada spowiadania się z grzeszków przeszłych, przyszłych, lekkich i skazujących na wieczne potępienia. Ale na samą myśl, że Łukasz naszą znajomość rozpoczął od kłamstwa i kompletnego braku zaufania, gdy ja swoje bezpieczeństwo powierzyłam mu całkowicie, trzęsłam się jak w febrze, każdym nerwem czując bolesne działanie gorzkiej pigułki rozczarowania.

* * *

Komplikacje stomatologiczne, wykorzystane już drugi raz jako alibi,

pomogły mi w miarę wdzięcznie wyłgać się od wspólnego obiadu, nie skorzystałam jednak z propozycji pani Elizy i Beatki, by zamiast szaleć w cukierniczej orgii przed wieczorną imprezą, iść się wykąpać. Ich kojąca obecność była mi bardzo potrzebna, zwłaszcza teraz, gdy po powrocie do domu odrzuciłam cztery połączenia i skasowałam wiadomość, która przyszła chwilę później.

„Ola, jesteśmy z Dragonem w domu. Wszystko w porządku? Odbierz, proszę, telefon”.

Żeby posłuchać sobie kolejnych kłamstw? Albo jak gołąbki w *Kopciuszk* poprzebierać w płątaninie prawdy i łgarstw? Dobre do kociołka, a złe do gardziołka... Ani ochoty, ani siły na takie zabawy nie miałam.

Podczas kolejnych godzin telefon dzwonił jeszcze pięć razy. Z nerwowym jękiem wyłączyłam ustrojstwo, jednak przyspieszone sygnałem odbioru wiadomości serce nie dało mi odetchnąć. Z każdym uderzeniem pompowało zbyt wielką ilość krwi i emocji, wśród których wyraźnie czułam silnie skoncentrowaną dawkę lęku. Za kilka godzin będę musiała przywitać Łukasza, spojrzeć mu w twarz i chłodnym, rzeczowym tonem wyjaśnić mu, że zakłamanych dupków było już w moim życiu za dużo i z kolejnym się bujać nie chcę. Bez łez, bez wypieków na policzkach, bez trzęsących się dłoni rozlewających wino i spojrzeń uciekających w kąty.

Bez szans na wspólny spacer podczas zaćmienia Księżyca za osiemnaście lat...

Tradycyjny, utrwalony już podział ról sprawił, że ostatnie przygotowania do najazdu gości przebiegły bez większej hysterii. Gdy my byliśmy w pracy i odwalaliśmy kolejny etap działalności śledczej, na kuchennym posterunku została Beatka, która po piątkowym kulinarnym szaleństwie odpuściła sobie powrót do domu i spała na kanapie. Niezawodne „Darek Taxi” rozpoczęło kursowanie o czternastej. By ograniczyć wycieczki i wystawianie na próbę Dareczkowej cierpliwości, pojechaliśmy najpierw po wskazaną przez Beatkę sukienkę i buty, odebraliśmy zamówiony komplet biżuterii, stanowiący prezent dla matki od Beaty i Darka, na końcu wyładowaliśmy pod moim blokiem, gdyż pakując się w pośpiechu przed tymczasową przeprowadzką, zabrałam jedynie rzeczy codzienne i nie dysponowałam stosowną na imprezę kreacją.

— Pójdę pierwszy — zaproponował Darek, wyprzedzając mnie na schodach.

— Daj spokój, reszta okien wygląda na nienaruszoną — wzruszyłam ramionami, jednak podałam mu klucze do mieszkania i pozwoliłam, by dotarł na drugie piętro przede mną.

Choć obecność Darka dodawała mi poczucia pewności, w progu mieszkania zatrzymałam się, wstrzymując oddech. Tajemnicza jednostka od zeszłej niedzieli zawiesiła jawną destrukcyjną działalność, więc na myśl o powrocie do domu głowę automatycznie wypełniały mi posępne wizje płonących zgliszcz, zalanego

mieszkania lub inwazji podrzuconych podstępnie karaluchów. Z wytchnieniem ulgi, ale i ze zdziwieniem przyjął fakt, że zastała mieszkanie w dokładnie takim stanie, jak je zostawiła. Na podłodze widoczne były nawet niewyraźne odciski brudnych po spacerze w parku łap Dragona.

„Cholera”, pomyślała, wyciągając z szafy kieckę, buty i dobierając biżuterię, „może i Darek miał rację”. Może to naprawdę Marek, realizujący jakiś kompletnie pomyłony dwustopniowy plan poderwania dziewczyny? Jezu, to już lepszy byłby chyba jakiś złośliwy obłąkaniec, mniej by mi to dopiekło niż następny zakochany dupek...

W ponurych rozważaniach przeszkodził mi Darek, zaglądając do sypialni i przyglądając się uważnie zasłaniającemu szczelnie wnękę okienną regałowi.

— To tu tak będzie stało? — zainteresował się, podchodząc bliżej. — W sumie pasuje...

— Idiota — mruknęłam. — Miałam wezwać szklarza, ale bałam się przyjechać sama. Chciałam poczekać, aż Łukasz wróci.

— Łukasz wróci... — powtórzył z przekąsem Darek. — A kumpel to co? Nie łaska?

— Daj spokój — skrzywiłam się, przeciągając z obrzydzeniem palcem po komodzie. Boże, ile tu kurzu, nienawidzę kurzu... Nic dziwnego, że zaczyna mi być duszno. W takich warunkach byłoby mi duszno i bez dodatkowych nerwów.

— Nie chodzi o Łukasza, tylko o psa bojowego — odwróciłam się do Darka. — Ty nie masz w akwarium nawet porządnej piranii.

— Specjalnie dla ciebie zamówię żarłacza białego — zachnął się Darek. — Masz wszystko?

— Ta — westchnęłam. — Wiesz co, masz rację. Będę ci bardzo wdzięczna, jeśli podjedziesz ze mną w poniedziałek i załatwimy tego szklarza. Zdaje się, że w poniedziałek wieczór mamy wolny?

— A mamy, mamy — potwierdził Darek. — Wszystko?

— Wszystko — skinęłam głową i wyszliśmy z mieszkania.

Kolejne kursy Darek miał odbyć już sam, odbierając tort niespodziankę i dowożąc wieczorem rodziców pani Elizy. Pozostali goście postanowili przybyć we własnym zakresie.

Działania na kuchennym froncie zostały ukończone tuż przed moim powrotem. Za dostarczenie cateringu był odpowiedzialny pan Antoni, co miało ten dobry skutek, że do godziny siedemnastej swobodnie posprzątałyśmy mieszkanie, nie narażając się na męskie utyskiwanie i pielgrzymki po mokrej podłodze w poszukiwaniu pilota od telewizora. Gdy pan Antoni wrócił, upragniony symbol władzy leżał na swoim miejscu, można zatem było zająć miejsce na gruntownie odkurzonej fotelu i poświęcić czas na przetrwanie faktu obecności młodszego z synów na wieczornym spotkaniu. Ja szansa na trawienie tegoż samego już nie

miałam, gdyż temat Łukasza i różnych wersji przebiegu spotkania ojca z synem i pani Eliza, i Beata wałkowały z wyjątkowym upodobaniem, gdy tkwiłyśmy w moim pokoiku na górze, szykując się na przyjęcie gości. „Może i lepiej”, przemknęło mi przez myśl. Trawienie w samotności mogłoby zakończyć się potworną emocjonalną zgagą. Przeplatane wyciąganiem z szafy pani Elizy kolejnych kiecek i biżuterii, dało się znieść bez bólu żołądka.

Ból żołądka dał o sobie znać dopiero tuż przed dwudziestą, gdy ubrane i umalowane stałyśmy w salonie, lustrując przestrzeń i z zadowoleniem kontemplując efekt przygotowań. Jedynie moje zadowolenie tłumili symptomy wszechogarniającej paniki. Kołatanie serca, suchość w ustach, gorączkowe wypieki na twarzy... „Jeszcze moment i wybuchnę przeraźliwym wrzaskiem”, pomyślałam histerycznie, patrząc na zegarek.

„Przysięgam, jak przeżyję ten wieczór i nie wyląduję u czubków, przysięgam pozmywać ręcznie wszystkie te cholerne naczynia”, jęknęłam w duchu, słysząc dzwonek, zwiastujący przybycie pierwszych gości. Do zmywarki się nawet nie zbliżę... Tak mi dopomóż Bóg i anieli święci...

Narastający w gardle histeryczny wrzask dławiłam z całkiem niezłym rezultatem, przynajmniej przez pierwsze pół godziny. Zajrzałam do salonu, próbując oszacować liczbę kłębiących się wokół jubilatki gości. „Jeszcze kilku osób brakuje”, pomyślałam ponuro. Szczególnie jednej osoby... Kolejny dzwonek do drzwi sprawił, że wystrzeliłam do kuchni po szklankę wody. Pobrzękując zębami o ozdobne szkło, nasłuchiwałam nerwowo, próbując rozpoznać po głosie tożsamość przybyłej jednostki. Słyszając damski głos, odetchnęłam z ulgą i wyrzałam do przedpokoju.

Pani Eliza witała koleżankę ze studiów, która wraz z mężem przyjechała na imprezę z Jarocina.

Zirytowana kolejnym fałszywym alarmem, odstawiłam mało skuteczną jako środek uspokajający wodę. „Trzeba rozejrzeć się za czymś mocniejszym”, zdecydowałam, wpuszczając do domu kolejnych gości i odbierając od nieznannej mi bliżej, obfitej w kształtach damy równie obfity bukiet. „Ciekawe, gdzie to upchnąć”, zastanowiłam się, „tak dużych wazonów chyba nie mamy”...

— Daro, umiesz zlokalizować jakieś wolne wazony? — mruknięłam, przeciskając się przez kłębiący się tłum w kierunku przyjaciela. Wolałabym zapytać Beatkę, wrażliwą na dekoracyjne domowe szczegóły, jednak dostępu do uwięzionej w kuchni przyjaciółki skutecznie broniła barykada w postaci stolika na kółkach, na którym ktoś bezmyślnie ustawił zapakowany tort.

Na widok gigantycznego wiechcia Darek stanął jak wmurowany.

— Weź to wrzuć do jakiejś miski albo garnka — wymamrotał. — Nigdzie indziej się nie zmieści...

— I w misce postawię w salonie — parsknęłam zirytowana. — Idiota!

Przesuń w ogóle ten tort! Blokuje wejście do kuchni, zaraz ktoś w niego wlezie!

Darek spojrział krytycznie na tkwiący w przejściu stolik.

— Święta racja, do przedpokoju z tym.

Rzuciłam bukiet na stojącą obok ławę i pomogłam Darkowi przepchnąć stolik z tortem przez wąskie przejście. Potem wróciłam do kwiatków, rozglądając się bezradnie w poszukiwaniu odpowiedniego naczynia, gdy silne szarpnięcie za ramię pociągnęło mnie w kierunku schodów prowadzących na piętro.

— Mama podobno ma jakieś duże coś w sypialni na górze — wysapał triumfalnie Darek, któremu najwyraźniej udało się mimo ogólnego szaleństwa wydębić od matki stosowne informacje. — Kto to w ogóle przyniósł, do cholery?

— Ta babka, przyszła przed chwilą — kiwnęłam głową w kierunku zażywej damy, która wylewnie witała się z babcią Janeczką.

— O rany, szefowa matki — Darek uczynił chybnięcie w kierunku damy i zachichotał nerwowo. — Myślałem, że nie przyjdzie, ona nienawidzi się spóźniać...

— Obstawiam, że miała problem z wciśnięciem się w to cudo — z półpiętra przyjrzałam się krytycznie kreacji. Przy swoich gabarytach szefowa pani Elizy osiągnęła duży sukces, wtłaczając obfitość figury w kapiącą złotem, idealnie dopasowaną suknię.

Zafascynowany błyszczącym zjawiskiem Darek gapił się ze schodów, próbując stłumić coraz głośniejszy chichot.

— W *Małym Księciu* był taki rysunek, wąż pożerający słońca — wyrzeźbił wreszcie. — Postawić w pionie, zasmarować brokatem i idealnie coś takiego by wyszło...

— Że niby uszy o okolicach biustu... — zastanowiłam się, zapominając na chwilę o trzymanym bukiecie i kontemplując z uwagą obiekt naszego zainteresowania. Wystarczyło wyteńczyć nieco wyobraźnię, przywołać w pamięci rysunek i wizja brokatowego węża stojącego na czubku ogona z pożartym słońcem w środku pojawiła się przed oczami jak żywa. — Ty masz rację, to całkiem pasuje...

Darek parsknął śmiechem i pociągnął mnie na górę do pokoju, z którego po chwili z triumfem wytaszczyliśmy pękaty wazon w kolorze ciemnego złota z delikatnymi złotymi zdobieniami.

— Pasuje do tych kwiatków idealnie — pochwaliłam, gdy ustawiliśmy go wraz z zawartością na komodzie w salonie.

— I do tej pani też — szepnął Darek, mrugając do mnie za plecami ofiarodawczyni. — Idę pomóc Beacie — rzucił w przelocie i z rzadkim w swoim wykonaniu wdziękiem oddalił się w kierunku kuchni.

Bardzo chętnie ulotniłabym się również, jednak pani Eliza uparła się przedstawić mnie wężowej damie ze słońcem w środku, więc przez kolejne kilka

sekund gimnastykowałam się, usiłując opanować narastający w okolicach przepony chichot i nie zrobić z siebie idiotki. Wysiłki przyniosły oczekiwany skutek, jednak nerwowo wyczerpały mnie do cna. „Trzeba się napić”, zdecydowałam i niespiesznie, przerywanym pogawędką z zagadującymi mnie gośćmi krokiem przemieściłam się w okolice barku, z którego dla wygody pan Antoni wymontował na dzisiejszy wieczór drzwiczki.

Stałam przez chwilę, kontemplując zawartość w poszukiwaniu czegoś, co pozwoli mi zachować równowagę psychiczną, a jednocześnie nie wywoła konieczności zajęcia pozycji horyzontalnej już na samym początku imprezy, gdy równie niespiesznie, acz zdecydowanie dołączył do mnie pan domu.

Z przyklejonym do twarzy, zadziwiająco spokojnym i pozornie niewymuszonym uśmiechem pan Antoni najwyraźniej również szukał czegoś, co pozwoli mu ograniczyć stres związany z imprezą do minimum. „Pewnie nie z samą imprezą, tylko gościem, który jeszcze nie był uprzejmy przybyć”, pomyślałam, zerkając z irytacją na zegarek. Zbliżała się dwudziesta pierwsza, kwadrans akademicki już dawno minął... Uśmiechnęłam się w miarę możliwości krzepiąco do pana Antoniego, gnębiona tą samą zapewne niepewnością. Skoro nie przyszedł do teraz, to może w ogóle nie przyjdzie?

„Albo przyjdzie, kiedy my bez większego żalu pogodzimy się z jego nieobecnością”, pomyślałam gniewnie.

W zachowywaniu pokerowej twarzy byłam widocznie gorsza niż pan Antoni, gdyż gospodarz błyskawicznie zorientował się, że jestem kłębkim nerwów.

— Obłęd, co? — zagadnął, wyciągając butelkę burbona.

„Głęboki wdech i pełna motywacja”, pomyślałam rozpaczliwie i spróbowałam być dzielna.

— Zaraz podamy kolację, zapędzi się gości do stołu i zapcha żarciem — mruknęłam. — Będzie chwila spokoju. Właściwie już można zacząć... — rozejrzałam się z wahaniem w poszukiwaniu Dareczka, który miał za zadanie porozsadzać gości. — Mamy już mniej więcej wszystkich?

— Mniej więcej — przyświadczył pan Antoni, zerkając ponuro w kierunku drzwi.

Powędrowałam wzrokiem w tym samym kierunku i poczułam, że zaaferowany szykowaniem imprezy żołądek znów przypomina sobie o zasadniczym problemie.

Pan Antoni chyba również borykał się z podstępny sabotażem ze strony organizmu, gdyż ręce delikatnie mu się trzęsły, gdy wyciągał dwie szklaneczki i napełniał je burbonem.

— To co, za spokój ducha — mruknął, podając mi jedną.

— Za spokój ducha — powtórzyłam.

Jeszcze raz spojrzeliśmy na drzwi, potem na siebie i opróżniliśmy zawartość szklaneczek.

„Od razu lepiej”, pomyślałam, czując rozchodzące się wraz z ciepłem delikatne rozluźnienie napiętych mięśni. „Teraz mogę ruszać do boju”, pomyślałam i gotowa na walkę z rozbawionym towarzystwem odwróciłam się w stronę kuchni. Gospodarz, pełniąc honory domu, poszedł pomóc żonie zapędzić gości do stołu.

Ukojony wysokoprocentowym trunkiem i późną godziną rozum przedstawiał się powoli na optymistyczne tory myślenia. „No, to z głowy”, pomyślałam niefrasobliwie, zadowolona z możliwości uniknięcia nieprzyjemnego spotkania przynajmniej do jutra. Po wybiciu dwudziestej pierwszej z pana domu również napięcie jakby uszło i z właściwą sobie swobodą kręcił się pomiędzy gośćmi, zagadując i zachęcając do zajęcia miejsc przy stole. Uspokojony i ukierunkowany na zapachy dochodzące z kuchni żołądek skrzywił się jeszcze tylko na chwilę, gdy w przelocie mignęła mi twarz jubilatki, zerkającej ze zmartwioną miną na wiszący w salonie ozdobny zegar. „Jezu, jestem skończoną egoistką”, jęknęłam w duchu. „Ale przynajmniej jest nas dwoje”, pomyślałam z desperacją, szukając wzrokiem pana Antoniego, który również bawił się coraz lepiej. „Jedynym problemem będzie teraz niczego nie zbić”, myślałam, równie swobodnie jak gospodarz krążąc między kuchnią a salonem i pomagając Beatce w ekspediowaniu na stół zakąsek. Podziwiając nowe, zdobiące ścianę nad sofą malowidło autorstwa jubilatki tłum nieco się rozrzedził, skuszony dochodzącymi z kuchni zapachami. „No, po problemie”, odetchnęłam z zadowoleniem, że zamiast na nerwowym wyczekiwaniu, mogę skupić się na bardziej konstruktywnych zajęciach. Przynajmniej do chwili, gdy razem z Darkiem wyniosłam na stół pierwszą partię zakąsek i byłam w połowie drogi powrotnej.

Bardzo późniony dzwonek do drzwi omal nie utonął w ogólnym rozgardiaszu i większość gości zapewne w ogóle go zignorowała. W przeciwieństwie do rodzonych i przyszywanych członków rodziny, wśród których wywołał energiczny ruch i kompletne oderwanie od wykonywanych aktualnie czynności.

Z radosnym okrzykiem pani Eliza rzuciła się do drzwi wejściowych, omal nie taranując stolika z ukrytym w opakowaniu piętrowym tortem.

— O kurwa, chować noże i widelce — jęknął tuż za moimi plecami Darek i miotnął się do kuchni, z której Beatka natychmiast wystawiła głowę, wpatrując się w nas z pokrytą silnymi wypiekami twarzą. — Będzie się działo...

Bez słów lub gestów porozumienia oboje z panem Antonim nader jednomyślnie rzuciliśmy się w kierunku otwartego barku, jednocześnie chwytając otwartą uprzednio butelkę.

Źródło mojego zdenerwowania nie było znane panu Antoniemu, jednak dokładne informacje za ten temat uznał za niepotrzebne. Intuicyjnie orientując się,

że mamy problem generowany przez bardzo konkretną osobę, spojrział na mnie ze zrozumieniem i bez zbędnych ceremonii podał mi napełnioną szklaneczkę.

— No, Olencja, do dna.

— Do dna — jęknęłam rozpaczliwie.

Słyszając w przedpokoju znajomy głos, ledwo dostrzegalnym ruchem wznieśliśmy szklaneczki i opróżniliśmy jednym łykiem, zastygając następnie z pośępnymi minami tuż pod zegarem.

Rola dekoracji urodzinowych bardzo przypadła nam do gustu i zapewne spędzilibyśmy tą metodą resztę wieczoru, gdyby nie ruszył nas wyjątkowo przytomny i zorganizowany jak nigdy Dareczek.

— Do stołu zapraszam, do stołu — warknął, chwytając nas pod ręce i wlokąc na wyznaczone krzesła. — Ojciec obok mamy usiądzie, Olka, ty ze mną i z Beatą...

— A Łukasz? — syknęłam, rozglądając się w panice dookoła.

— Też z nami, ty obok matki, potem my z Betty, potem Łukasz — wycedził Darek, sprawnie dyrygując kręcącymi się w poszukiwaniu miejsc zabłąkanymi jednostkami. — Byle daleko od ojca...

— Najdalej to w łazience na piętrze — bąknęłam słabo, jednak posłusznie zajęłam miejsce, dziękując Bogu, że jakimś cudem nie posadzono nas razem.

Przybycie Łukasza zbiegło się z pielgrzymkami wokół stołu, więc na jego spóźnienie nikt poza nami nie zwrócił uwagi. Wędrując między kuchnią a salonem w charakterze kelnerki, zezowałam dyskretnie w kierunku przedpokoju, gdzie pani Eliza ścisnęła syna, przyjmując życzenia i kwiaty. Zanim ruszyli do stołu, zdążyłam cztery razy przedefilować niezauważona tuż obok. Dopiero interwencja Darka ściągnęła ich do salonu.

Zajęłam wyznaczone miejsce obok pani Elizy, która jeszcze raz uściskała obu synów i spiorunowała wzrokiem małżonka. Panu Antoniemu burbon najwyraźniej nie wystarczyło do opanowania pulsującej coraz mocniej na skroni żyłki. Uśmiechnięty na dzień dobry, Łukasz na widok ojca dostał silnego szczękocisku i zastygł wrośnięty w ziemię obok matki.

— Przywitaj się z ojcem — wycedziła pani Eliza, uśmiechając się do towarzystwa i zrobiła potwornego zeza do pana Antoniego.

Zmotywowani przez jubilatkę, panowie niechętnie ruszyli ku sobie. Pan Antoni podniósł się z krzesła, pozostając za stołem, zjeżony Łukasz podszedł, całym sobą komunikując światu, że oto stąpa po polu minowym ku niechybnej zagładzie. Obserwujący niespokojnym wzrokiem całą scenę Darek szybkim, dyskretnym ruchem usunął z zasięgu rąk ojca talerz z pieczoną w sosie pomarańczowym kaczką, obok której spoczywał rzeźnickich rozmiarów nóż do krojenia drobiu.

Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, gdy Łukasz z ojcem krótko uścisnęli sobie

ręce, posępnym wzrokiem mierząc się przez ułamki sekund, a potem odskoczyli jak oparzeni i błyskawicznie zajęli swoje miejsca.

Dramatyzmu, jakim napęczniała na chwilę atmosfera w salonie, poza domownikami szczęśliwie nikt nie zauważył. Tatar z łososia z kilkoma rodzajami sałatek i hojnie rozlewane przez Darka wino przyciągnęły uwagę w stopniu wystarczającym. Wisząca w powietrzu awantura na razie została zażegnana. Zgodnie z przewidywaniami pani Elizy tak Łukasz, jak i jego ojciec szybko skupili uwagę na obfitości pożywienia wypełniającego stół. Zbawienny wpływ artykułów spożywczych szczególnie było widać po panu Antonim, który pogrążył się w ożywionej dyskusji z siedzącym obok teściem. Nerwowo zerkałam w stronę Łukasza, który przez chwilę żartował z bratem, rozglądając się co jakiś czas po salonie. Jedno z jego badawczych spojrzeń trafiło na mój wzrok, gdy zezowałam ukradkiem, próbując zorientować się w sytuacji.

„No to koniec”, jęknęłam w duchu, czując wypęłzający na policzki podstępnie rumieniec. Szybka próba odwrócenia wzroku i nawiązania błyskotliwej konwersacji z panią Elizą na temat stopnia dopieczenia kaczki nie zdołała mnie uratować, gdyż Łukasz już wstał z krzesła i podszedł do nas cichym krokiem.

— Cześć, nie przywitasz się? — wymruczał, nachylając się do mnie i przeciągając delikatnym ruchem dłoni po mojej ręce od nadgarstka aż do ramienia.

— Nie było okazji, zresztą myślałam, że już nie przyjdiesz — szepnęłam, rozpaczliwie próbując opanować drżenie ręki, na której dotyk Łukasza pozostawił pasmo wprawionych w wibracje komórek.

— Mała awaria z Dragonem — zaśmiał się cicho Łukasz. — Potem ci opowiem... Chodź na chwilkę do kuchni...

Przymknęłam oczy, czując tuż przy karku ciepły oddech i chłonąc delikatny tembr każdego z wypowiedzianych przez Łukasza słów. Do cholery, miałam być dzielna, chłodna, opanowana i coś tam jeszcze! Tymczasem reakcje ciała i umysłu stały w rażącej sprzeczności z przyjętym planem, a cały mój chłód diabli brali, gdyż wzdłuż ręki promieniowało gorące pulsowanie, nie pozwalając mi się skoncentrować ani zapomnieć o krótkiej chwili bliskości. „Niebieski kwiat i kolce, niebieski kwiat i kolce”, mamrotałam w duszy ulubioną mantrę, która w kryzysowych momentach pozwalała mi od lat wziąć się w garść i wykrzesać odrobinę skupienia. „Niebieski kwiat i kolce...” No wreszcie...

— Łukasz, jest kolacja, głupio będzie, jak znikniemy teraz w kuchni — szepnęłam. — Porozmawiamy potem.

Łukasz bez przekonania rozejrzał się po salonie, ale posłusznie odsunął głowę od mojej szyi.

— Głupio to nas posadzili — mruknął z niezadowolaniem.

— Daleko od tatusia — wtrącił uprzejmie Darek, który zorientował się w sytuacji. — Do końca kolacji wytrzymasz separację. Potem i tak wszyscy się

rozleżą, a foteli nazwiskami nie podpisywałem... Ola, pomożesz Betty? Sok trzeba donieść, ja podolewam wina...

„Chwała Ci, Boże na wysokościach”, westchnęłam i z przepaszającym uśmiechem przemknęłam obok Łukasza, który wyglądał, jakby chciał podążyć za mną, jednak natychmiast został zaangażowany przez brata do uzupełniania kieliszków.

Godzina przy stole minęła bezkolizyjnie, w głównej mierze dzięki Dariuszowi, który z żelazną konsekwencją pilnował narzuconego podziału obowiązków. Dwa najczęściej przemierzone szlaki komunikacyjne — jeden dookoła stołu, drugi do kuchni i z powrotem — obstawione zostały przez dwuosobowe grupy płci jednakiej. W wędrówkach do kuchni od czasu do czasu towarzyszyła mi i Beatce pani Eliza, sugerując kolejność i sposób roznoszenia dań oraz napojów. Łukasz poczynił wprawdzie kilka prób wypadu w tym kierunku, za każdym razem jednak udaremnionych przez starszego brata, który nagle postradał władzę w rękach i umiejętność sprawnego otwierania wina. Przy każdej butelce domagał się braterskiej pomocy. Upór w zakresie niedopuszczenia do pozostawienia nas w odległości mniejszej niż metr od siebie zaintrygował w końcu panią Elizę, która uprzejmie przeprosiwszy gości, chyłkiem wsunęła się do kuchni za mną i Beatką.

— Czy ktoś mi wyjaśni, co tu się dzieje? — spytała zirytowana, wyciągając z szafki ozdobne sztuce do deseru i podała je Beacie. — Wyczuwam jakieś dziwne napięcie, które bardzo mi się nie podoba. Czego ci dwaj znowu poszaleli?

— Ja tam uważam, że nie jest najgorzej — mruknęła Beatka, błędnie rozumując, że jedynymi jednostkami mogącymi wywoływać napięcie, są Łukasz i pan Antoni. — Nie rozmawiają ze sobą, ale jedzeniem w siebie też nie rzucają... Oszczędzili nam jakichś bardzo gorszących scen...

Pani Eliza nerwowo machnęła ręką.

— Mówię o moich synach — rzuciła niecierpliwie. — Nie poznaję Darka. Ten nagły wysyp talentów towarzyskich i organizacyjnych jest niepokojący. I mam wrażenie, że bardzo konkretnie ukierunkowany... — wycodziła, wbijając we mnie spojrzenie. — Ola, czy wyście się z Łukaszem nie pokłócili przypadkiem?

— Nie... — zaczęłam ostrożnie, gratulując sobie wyboru lekkiej, przewiewnej srebrno-grafitowej sukienki z dużym dekoltem na plecach, gdy cienka strużka potu spłynęła mi wzdłuż kręgosłupa. Wyjaśnianie, że jestem bardzo urażona brakiem zaufania i kręactwem, jakie zafundował mi Łukasz na początku naszej znajomości, w obecnej chwili było wykluczone. Zepsucie imprezy pani Elizie było ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę.

Pani Eliza z miejsca wyczuła smród łgarstwa i z dezaprobatą pokręciła głową.

— Darek, możesz podejść na chwilę? — zawołała, wychylając się z kuchni.

Słyszając naglące wezwanie, obsługujący ojca Dariusz zamarł. Po kilku sekundach i głębokim wdechu odwrócił się do nas i podszedł niespiesznie do matki, prezentując tyleż kojąco-czarujący, ile fałszywy uśmiech.

— To co, zmiana dekoracji? — zapytał przymilnym tonem.

Pani Eliza nie miała ochoty bawić się w dyplomację.

— Co ty odstawiasz, robisz za przyzwoitkę? — syknęła. — Ola i Łukasz latają jak tresowane małpy na każde twoje gwizdnięcie, a ty tak mocno pilnujesz, żeby na pewno latali w przeciwnych kierunkach! Olka też dobra, upiera się, że wszystko gra. Nie róbcie ze mnie idiotki! Powariowaliście wszyscy, czy tylko ja mam problemy z percepcją?

— Miałem pilnować, żeby Łukasz z ojcem się nie pozagryzali — sapnął obrażonym tonem Darek. — A ojciec nie jest zachwycony znajomością Olki i Łukasza, więc nie chcę go drażnić. Wszystkie działania zostały starannie rozplanowane, to się nazywa logistyka!

— A mnie się wydawało, że takie pojęcie jest ci obce — sarknęła pani Eliza. — Dobra, widzę, że nic z was teraz nie wyduszę, ale potem niech Bóg was ma w opiece, bo nie odpuszczę! I proszę ten cyrk odstawiać dyskretniej, babcia już mnie pytała, co tu się dzieje.

— Nic się nie dzieje! — rozbrzmiało zgodne trio, z czego tylko zapewnienie w wykonaniu Beatki zabrzmiało jako tako szczerze.

— Potrenujcie to jeszcze, bo kiepsko wam idzie — westchnęła pani Eliza i opuściła kuchnię.

Tuż za nią wyszła Beatka, chcąc zorientować się, czy podać deser przy stole czy w formie szwedzkiego bufetu. Zważywszy, że najedzeni goście, zgodnie z przewidywaniami Darka, rozpoczynali migrację do różnych części salonu, druga opcja była lepszym pomysłem. Powoli tworzyły się grupki dyskusyjne, wypełniając przestrzeń i nadając imprezie mniej oficjalny charakter.

— No właśnie, Daro, co tu się dzieje? — syknęłam, ocierając pot, którego kropelki osiadły mi na karku. — Co to za idiotyczne wygłupy z tą separacją?

— Mam dziwne wrażenie, że wam się przyda — mruknął Darek, wpatrując się we mnie badawczo. — Ostatnie wydarzenia chyba nie wpłynęły na wasze relacje dodatnio...

— Zgłupiałeś — wytrzeszczyłam na niego oczy. — Ostatnio to Łukasz był w delegacji, nie widziałam się z nim od poniedziałku!

— No, to tydzień urlopu będzie optymalny — rzucił tajemniczo Darek. — Za pół godzinki podajemy torcik, pomożesz mi ze świeczkami. Przytargamy go tutaj, będzie wygodniej.

— Niczego nie targam, dopóki nie dowiem się, co jest grane — syknęłam i ostentacyjnie skrzyżowałam ręce na piersiach.

— Uuuuu — zabuczał zniecierpliwiony Darek. — Dobra, pomóż mi z

tortem, potem będzie chwila, to pogadamy — zastanowił się chwilę. — W łazience. Tam będzie święty spokój.

— A tort? Zdążymy w pół godziny jeszcze ze świeczkami? — zaniepokoiłam się.

— Daj spokój, są nażarci — zachnął się Darek. — Jak dostaną tort za godzinę, nikt nie umrze. Będzie nawet fajniej, o północy...

Z ciężkim westchnieniem ruszyłam za przyjacielem po tort.

* * *

Siedziałam na krawędzi wanny, przytupując nerwowo i klnąc wlokące się niemiłosiernie minuty. Straciłam zupełnie poczucie czasu, gdyż dla pewności, że nikt nie zastanie nas zamkniętych razem w łazience, wybraliśmy lokum na piętrze, gdzie miarowe, wybijające kolejne kwadransy odgłosy starego zegara z salonu już nie sięgały.

Poderwałam się nerwowo, gdy Darek wsadził głowę do łazienki.

— Jeszcze sekunda, mąż tej babki z Jarocina się ululał na wesoło, muszę pomóc ojcu go opanować — syknął i zniknął z pola widzenia, zatraskując za sobą drzwi.

— No dobra — westchnęłam zrezygnowana i siedziałam dalej, bawiąc się srebrnym łańcuszkiem, który dość niestandardowo ozdobił dekolt na plecach, sięgając delikatnym splotem aż do talii. Po krótkim wahaniu zrzuciłam z nóg szpilki i podeszłam do lustra podpiąć grzywkę. „Chyba faktycznie fryzjer się kłania”, pomyślałam krytycznie, usiłując odnaleźć niewidoczne odrosty, gdy drzwi łazienki znów się uchyliły.

— No nareszcie, już myślałam, że żrecie tort beze mnie — mruknęłam i odwróciłam się, by z impetem wpaść w otwarte ramiona Łukasza.

— O Jezusie, nie — jęknęłam, czując jak silne ramiona ukryte pod cienką warstwą czarnej koszuli zamykają się wokół mojej talii. — Co robisz, przestań!

Łukasz odsunął się nieco i spojrzał na mnie zdumiony. Nerwowo poprawiłam sukienkę i czym prędzej wsunęłam stopy w leżące obok szpilki.

— Oła, co się dzieje? — Łukasz niespokojnie spróbował złapać mnie za rękę. Wyglądał na zdenerwowanego, gdy znów odsunęłam się o krok. — Przecież rozmawialiśmy o tym w piątek, jak zadzwoniłaś... Myślałem, że wszystko sobie wyjaśniliśmy i nie ma już co udawać...

— Widocznie nie — potrząsnęłam głową. — Ja ci powiedziałam wszystko, bardzo ci ufałam... Okazuje się, że tylko ja byłam szczerą. Wybacz, ale po tym, czego się dowiedziałam, nie wiem, ile jest prawdy w tym, co mówisz...

— Cholera, o czym ty mówisz? — Łukasz przyglądał mi się ze zmarszczonym czołem.

— O tym, że mnie okłamałeś — rzuciłam oskarżycielsko. — Nie zaufałeś

mi.

— Oluś, w niczym cię, na Boga, nie okłamałem!

— Nie zaufałeś mi! — wrzasnęłam, wyrwijając się, gdy spróbował położyć dłonie na moich ramionach. — Masz jakieś cholerne tajemnice, wychodzi na to, że nic o tobie nie wiem! A to, co wiem, nie jest prawdą... Ja tak nie dam rady... — jęknęłam. — Ja już naprawdę nie chcę faceta, który ciągle kręci... Szlag! — wyrwało mi się, bo przecież nie tak planowałam tę rozmowę. Próbując powstrzymać łzy rozczarowania, oparłam się o ścianę i osunęłam na podłogę. „Niebieski kwiat i kolce, niebieski kwiat i kolce... Cholera, przecież teraz cała łąka nie pomoże...” Oparłam głowę o kolana, próbując choć troszeczkę odzyskać panowanie nad sobą.

— Bardzo cię proszę, nie dotykaj mnie — warknęłam, bo Łukasz usiadł obok na podłodze i wpatrywał się we mnie badawczo.

— Oła, spokojnie, pogadajmy...

— Nie mamy o czym!

— Oła, ja mam o czym, więc proszę cię... — zawiesił głos. — Po prostu dajmy sobie chwilę i wyjaśnijmy...

— Przysięgając z ręką na sercu, że będziemy mówić prawdę, samą prawdę i tylko prawdę — uzupełniłam sarkastycznie.

Łukasz westchnął zniecierpliwiony i przeczesał dłonią włosy, próbując się opanować.

— Dobrze, Oluś, samą prawdę... W piątek zadzwoniłaś. Powiedziałaś, że tęsknisz i chciałabyś, żebym już wrócił. Powiedziałaś, że mnie potrzebujesz. Ode mnie usłyszałaś to samo. I klnę się na wszystkie świętości, że każde moje słowo było prawdziwe.

Tępo kiwałam głową na potwierdzenie każdego z tych zdań. Dopiero przy ostatnim parsknęłam ironicznym śmiechem.

— W piątek też tak myślałam.

— To co się zmieniło? — Łukasz spojrział na mnie zdumiony. — Przecież to nie był żaden cholerny piątek trzynastego!

— Wiesz co, dla mnie to pechowy był dzisiejszy poranek — syknęłam i postanowiłam iść na całość. — Agnieszka Dukaciak — rzuciłam. — Mówi ci coś to nazwisko?

— O Chryste — jęknął Łukasz i odsunął się ode mnie, opierając czoło o zimny brzeg umywalki. — Chryste, skąd wiesz?

— Nie powinieneś być zdziwiony — burknęłam, lustrując pobladłą nagle twarz Łukasza. — Chyba od dziecka wiesz, że masz kuzynkę. Kompletnie nie rozumiem tego nagłego ataku amnezji w Tesco.

Łukasz przez kilka sekund siedział w milczeniu, pocierając czołem o chłodną porcelanę umywalki. Kiedy znów podniósł na mnie wzrok, w jego oczach nie

widziałam już blasku radości, z jakim wszedł do łazienki, chcąc się przywitać.

— Ola, sprawa z Agnieszką jest bardzo nieprzyjemna — powiedział powoli zachrypniętym głosem. — Stara, nieprzyjemna, śmierdząca sprawa... Nie wiem, skąd się dowiedziałaś, ale zupełnie niepotrzebnie, bo Agnieszka nie utrzymuje kontaktu z rodziną od wielu lat. Zostawiła po sobie straszliwy bajzel... Więc nie dziw się, że nie chcę mieć z nią nic wspólnego i traktuję ją jak obcą osobę.

— Świetnie, tylko mogłeś mi to po prostu powiedzieć — stwierdziłam gorzko. — Tak czuję się totalnie oszukana. Nie rozumiesz? Pokazałeś, że mi nie ufasz!

— Nie, Ola — sprostował Łukasz zmęczonym głosem. — Po prostu chciałem, żeby pewne sprawy zostały zamknięte.

— To ci nie wyszło — burknęłam. — Darek jakoś nie miał problemu, żeby krótko i zwięźle wyjaśnić mi, kto to jest.

— A po jaką cholerę Darek w ogóle cię w to wciągał? — krzyknął Łukasz, waląc pięścią w umywalkę.

— Spotkaliśmy się — wycedziłam i streściłam przebieg sytuacji, jaka miała miejsce kilka godzin wcześniej w salonie Toyoty.

— Wiedziałem — burknął Łukasz, wysłuchawszy całej historii. — A tak się modliłem, żeby już do końca życia nie mieć z nią nic wspólnego...

— O, to bardzo ciekawe, musisz z nią mieć w takim razie więcej wspólnego niż Daro, skoro on się przyznał do kuzynki — sarknęłam. — Zresztą nie o to chodzi — zniecierpliwiałam się. — Ja nie mam pretensji o wasze rodzinne kołomyje, tylko o to, że czuję się oszukana. Za dobrze znam to uczucie z poprzednich związków i mam dość! Więc proszę, nie dzwoń, nie pisz, nie domagaj się odbierania telefonów, po prostu... Zostaw mnie w spokoju...

Z głębokim wdechem wykrzesalam z siebie resztki motywacji, by tym razem z podniesioną głową i odpowiednio wcześniej zrezygnować z kolejnej relacji, która coraz bardziej zapowiadała się na toksyczną. Koniec uciekania z podkulonym ogonem. Bez względu na to, jak bardzo będzie bolało...

Szybkim ruchem pozbierałam się z podłogi. Łukasz patrzył z niedowierzaniem, jak poprawiam sukienkę i zbieram się do odejścia.

— Chryste, ty mówisz poważnie... I ja już nic nie mogę zrobić, tak? — zapytał cicho.

— Przykro mi — szepnęłam i na trzęsących się nogach wybiegłam z łazienki. Po drodze do pokoju wpadłam na Darka, któremu dopiero teraz udało się opanować nieznane mi atrakcje z udziałem rozrywkowych gości.

— Olka, co ty? — zapytał zaskoczony. — Mieliśmy pogadać?

— Nieaktualne — rzuciłam, przemykając obok. — Ogarnij proszę ten cyrk na dole, ja za chwilę przyjdę!

Zatrzasnęłam drzwi do pokoju i przekręciłam klucz w zamku dokładnie w

chwili, gdy Łukasz i Darek zderzyli się w pościgu za mną.

— Dajcie mi chwilę, do cholery — wrzasnęłam, bo z korytarza dobiegały odgłosy gwałtownej kłótni. — Idźcie obaj do wszystkich diabłów!

Panowie widocznie mieli problem z obraniem właściwego kierunku, gdyż jeszcze przez chwilę pod drzwiami ciskali gromy o straszliwej mocy rażenia, a bogactwo inwektyw, jakimi się obrzucali, znacznie przekroczyło zakres moich własnych kompetencji językowych. Odetchnęłam z ulgą, gdy awanturujący się bracia wreszcie opuścili piętro. Nerwowo nasłuchiwałam odgłosów dochodzących sprzed domu. Cisza nieco mnie uspokoiła. Czyli zeszli do gości, są na tyle kulturalni, że zrezygnowali z uczczenia urodzin pani Elizy pojedyńkiem. „Jeszcze rozlewu krwi mi tu potrzeba”, jęknęłam w duchu i opadłam na łóżko. „Trochę spokoju, troszeczkę spokoju i będę mogła zejść na dół”, powtarzałam sobie, masując pulsujące skronie. Spokój...

Lecz nawet to niewygórowane pragnienie okazało się niemożliwe do spełnienia. W momencie, gdy opanowałam w przyzwoitym stopniu drżenie nóg, rozległo się ciche pukanie do drzwi.

— Zaraz zejść, mówiłam przecież — krzyknęłam. — Dajcie mi chwilę, do cholery!

— Chciałam sprawdzić, czy wszystko w porządku — rozległ się za drzwiami głos Beatki. — Mogę wejść?

„Nareszcie ktoś normalny”, odetchnęłam i pozbierałam się z łóżka, by wpuścić przyjaciółkę.

— Ty się dobrze czujesz? — zaniepokojona Beatka przyglądała mi się przez dłuższą chwilę. — Darek mówił, że ci słabo, naprawdę jesteś okropnie blada.

— Tak? — pociągnęłam nosem. — No faktycznie. Za dużo nerwów, jestem już zmęczona. Co słychać na dole?

Beatka parsknęła śmiechem.

— Ten gość z Jarocina się zalał — powiedziała. — Oprotestował wyniki wyborów i uparł się, że przedstawi własny program wyborczy. Wyszła mu z tego debata z dziadkiem, a tata stwierdził, że ktoś musi tym pokierować. Normalnie takie obrady odstawili... Dopiero teraz ochłonęli, bo Darek zapowiedział tort. Więc po ciebie przyszedłam.

„A, tort”, przypomniałam sobie mętnie. Miałam im pomóc ze świeczkami, pięćdziesiąt sztuk trzeba tam upchać. No dobra, chyba ochłonęłam na tyle, żeby zejść.

Już miałam zamknąć za sobą pokój, gdy nieprzyjemne przecucie przytrzymało mnie w miejscu. Daruś tak szybko odpuścił awanturę z Łukaszem, czy po prostu zadźgał brata dyskretnie i upchnął pod zlewozmywakiem? Nie zapytam o to wprost, jakby to... Dyplomatycznie jakoś...

— Beatka, a Łukasz z panem Antonim w tej polityce się nie pomordowali?

Oni chyba mają odmienny... hm, światopogląd? — zapytałam ostrożnie.

— Łukasz już poszedł — wzruszyła ramionami Beatka. — Spieszył się do domu, jakieś problemy z psem podobno mu wyskoczyły i bał się zostawić go samego na długo. Bardzo fajny ten pies, ale z rybkami jest chyba dużo mniej kłopotu...

Powoli oderwałam rękę od klamki i ruszyłam za Beatką, potakując mechanicznie, jednak ani słowo z jej wywodu o wyższości posiadania rybek nad posiadaniem psa do mnie nie dotarło. Zakodowałam jedynie poprzedzającą go informację... Wyszedł... Znaczy wyrzuciłam go bardzo skutecznie... Znaczy...

„Znaczy, że się skończyło, zanim się na dobre zaczęło”, burknął zniecierpliwiony mazgajstwem duszy umysł. „Zanim zdążyłaś na dobre wsiąknąć”, uzupełnił po chwili, „więc bądź idiotką zadowolona, że nie stracisz cennego czasu na kolejny błąd i jego konsekwencje”.

Kopnięta brutalnie w tyłek dusza zmiłkła na chwilę. Powoli ruszyłam za Beatką, która nadal mruczała coś na temat zwierząt domowych i swoich preferencji w tym zakresie. Jej słowa buczały mi w głowie jak monotony szum zepsutego telewizora, jednak temat był męczący i błędził mi w głowie wyjątkowo natrętnie. Po chwili uległ sprecyzowaniu i przybrał postać uśmiechniętej mordy z wywalonym jęzorem i przyklapniętym uchem.

„Cholera, a co teraz z Dragonem”, zakwiliła dusza boleśnie, dobijając mnie ostatecznie.

* * *

Ostatni goście pożegnali się tuż przed trzecią. Z przyklejonym do twarzy uśmiechem i totalnym zamętem w głowie automatycznie gięłam się wraz z pozostałymi członkami rodziny w ukłonach, dziękując za przybycie, życząc dobrej nocy i ściskając jednostki, które pod wpływem szampańskiej zabawy lub wysokoprocentowych trunków uparły się przyjąć mnie do grona bliskich znajomych. Ponieważ Darek zajęty był zamawianiem taksówek dla mnie i trzeźwych i sam świadczył usługi transportowe, powoli zaczęłam przejmować obowiązki koordynatora. Szybko uporałam się z niemrawymi protestami ze strony gospodarzy, którzy pomiędzy coraz szerszymi ziewnięciami przebąkiwali coś na temat pomocy przy sprzątaniu. Przy odrobinie determinacji udało mi się w miarę szybko wysłać panią Elizę i pana Antoniego do sypialni. Beatkę odprawiłam po w miarę sensownym upchnięciu zdatnych do spożycia resztek w lodówce. Darek, który po ostatnim kursie również miał zostać w rodzinnym domu, ulotnił się na kanapę w pokoju gościnnym z własnej inicjatywy. Dość debilnie ułożony grafik zakładał, że bez względu na rodzinne imprezy, o dziewiątej rano w niedzielę pojawi się w pracy.

Tuż przed czwartą zostałam w kuchni sama, wpatrując się ponuro w sterty

brudnych naczyń, które zobowiązałam się w miarę możliwości posegregować i namoczyć, a następnie zostawić w spokoju do rana.

„W sumie już jest rano”, wzruszyłam ramionami i zamknęłam się w kuchni, wciskając w uszy słuchawki ipoda.

Blady świt zaglądał przez okno, gdy wyniosłam do salonu ostatnią partię ozdobnych naczyń, wyjmowanych przez panią Elizę z sekretnej szafy w meblościance na specjalne okazje. Ostatni raz widziałam je na stole podczas kolacji zaręczynowej Beatki i Darka. Wzięłam do ręki jedną z wysokich, wąskich filiżanek i z uśmiechem przeciągnęłam palcem wzdłuż krawędzi. Delikatny kwiatowy wzór, połyskujący srebrnym blaskiem, za każdym razem przyciągał mój wzrok. Choć od lat funkcjonowałam w tym domu jak członek rodziny, nie doczekałam się jeszcze okazji, by biała zastawa ze srebrnym dekokrem została wyjęta dla mnie. Teraz, gdy okazja wreszcie nieśmiało zamajaczyła na horyzoncie w postaci Łukasza, własnoręcznie przecięłam niewidzialny sznureczek, dzięki któremu mogłabym przyciągnąć ją bliżej.

Przygnębiona odstawiłam serwis do szafki i zamknęłam na kluczyk, który zgodnie z prośbą pani Elizy schowałam do szufladki z biżuterią. Potem wróciłam do wypucowanej kuchni. Siedząc przy stole, bawiłam się kubkiem z herbatą, licząc, że mocny napój rozjaśni myśli i ponury cień, pochłaniający będące na wyczerpaniu resztki optymizmu.

„Podziwiam wszystkie kobiety, które ułożyły sobie życie, skutecznie wychowując swoich facetów albo równie skutecznie dając im kopa w tyłek”, pomyślałam z goryczą. Pierwsze mi nie wychodzi, na drugie tym razem kompletnie nie mam ochoty. Jak to ogarnąć, do cholery? Jak zacząć żyć dla siebie i z wyrachowaniem dokonywać selekcji niewłaściwych lub wybrakowanych egzemplarzy płci męskiej, opierając się na silnym poczuciu własnej wartości, zamiast na lęku, że samej jest się egzemplarzem nieco uszkodzonym i pechowym?

Wlokąc się do pokoiku na górze, dokonałam krótkiego przeglądu znanych mi i szanowanych kobiet, z których mogłabym wziąć budujący przykład. Problem w tym, że wszystkie były zameżne i z powodzeniem radziły sobie ze swoimi facetami. Pani Eliza stanowiła dla mnie niedościgniony wzór, jak dyplomatycznie i dyskretnie pokierować mężczyzną, choć i mojej własnej mamie od przeszło trzydziestu lat udawało się poskramiać pełen temperamentu i tendencji do cholerowania charakter ojca. Stoicki spokój i zaradność Beatki bardzo szybko poradziły sobie z pełnym ułańskiej fantazji i totalnego życiowego nieogarnięcia typem, jaki reprezentował Daruś. Nawet Oliwka po pierwszym, nieudanym małżeństwie otrząsnęła się błyskawicznie i schowała głęboko w kieszeń złe doświadczenia, by nie przeszkadzały jej cieszyć się nową obrączką, włożoną na palec przez właściwego mężczyznę.

„Beznadziejne”, pomyślałam, kładąc się do łóżka. Naprawdę nie znam

żadnej niezależnej, emanującej siłą singielki, którą można uczynić swoim guru w wymagającym zaciśnięciu zębów głupim okresie?

Zamroczony niewyspaniem umysł rozpaczliwie bronił się przed skuteczną z uporem psychoanalizą. Wreszcie ostatkiem sił wygrzebał z siebie wizerunek okrągłej, lekko piegowatej, sympatycznej twarzy, okolonej krótkimi, farbowanymi na blond włosami. Natychmiast przed oczami stanął mi upór, z jakim jej właścicielka drobnymi, lecz nieustępliwymi kroczkami torowała sobie drogę do niezależności. „Siła jest kobietą”, przemknęło mi przez myśl na wspomnienie spoczonej, zziąbanej, lecz triumfującej po każdym treningu pani Halinki. Nie pozostało mi nic innego, jak razem z nią wydeptywać sobie ścieżkę do odkrycia samej siebie.

Zwłaszcza, że tuż obok łóżka leżały nowe, niebieskie buty biegowe, idealne na nową drogę życia.

* * *

— Siódma? — ziewnęła pani Eliza, na którą nadziałam się, gdy kilka minut po jedenastej wpadłam do kuchni przygotować sobie lekkie śniadanie przed podejściem numer jeden do realizacji planu treningowego zaaplikowanego przez Marcina.

Zastygłam przy drzwiach lodówki, gapiąc się na matkę Darka ze zdumieniem.

— Dzień dobry — bąknęłam. — Nie bardzo rozumiem...

— Robimy zakłady, o której skończyłaś romans z garami — wyjaśniła Beatka, siedząca z teściową przy kawie. — Obstawiam coś koło piątej.

— Pudło — uśmiechnęłam się niemrawo. — Ja zgarniam forszę. Szósta dwadzieścia.

— Możesz co najwyżej zgarnąć ostatni kawałek tortu... Nie zakładałyśmy się o forszę.

Krytycznie spojrzałam na starannie ukrojony samotny kawałek urodzinowego, piętrowego tortu pani Elizy. Miało być przed bieganiem coś lekkiego, chociaż z drugiej strony podtruta goryczą awantury z Łukaszem nawet nie spróbowałam ciasta. „Spalę”, rozgrzeszyłam się szybko na myśl o piętnastu kilometrach, jakie miałam przed sobą. Wprawdzie Marcin coś tam mówił, żeby nowych butów nie testować na długiej trasie, ale nakręcona porannymi przemyśleniami nie miałam ochoty zawracać sobie głowy widmem pęcherzy i otarć na stopach. Ochoczo wyciągnęłam kawałek tortu, fundując sobie na śniadanie bombę kaloryczną, naszpikowaną wyzwalającymi produkcję endorfin płatkami czekoladowymi.

Byłam jedyną osobą, która po wczorajszym szaleństwie objawiała nadmiar energii i chęć zaangażowania się w jakąkolwiek formę aktywności. Odczekałam

zatem pół godziny po wysokokalorycznym śniadaniu i bez żalu zos-tawiłam panią Elizę z Beatką przed telewizorem, czując instynktownie, że oglądanie najnowszej wersji *Titanica* grozi emocjonalną zgagą. „To już lepsza zgaga po torcie”, zdecydowałam i poszłam na trening.

Awantura, w wyniku której moje nadzieje na bliższą relację z Łukaszem poległy definitywnie, posiadała niewątpliwie jeden pozytywny aspekt. Choć przez ostatnie kilkanaście godzin skupiałam się głównie na roztrząsaniu własnego nieszczęścia, biegnąc w jasny, jesienny dzień zupełnie nową, znaną dotąd z okna samochodu trasą, po raz pierwszy od kilku tygodni odetchnęłam z ulgą. Wspomnienie pani Halinki i danego jej niebacznie przyrzeczenia o skopaniu tyłka byłemu małżonkowi zdopingowały mnie do walki o to, by wymierzony męskiej arogancji kop był odpowiednio dotkliwy. „Cóż, trzeba być w formie”, postanowiłam i spróbowałam skupić się na pracy własnego organizmu.

Przebiegnięcie piętnastu kilometrów nie stanowiło szczególnego wyzwania, a krótki rzut oka na ekran pulsometru potwierdził moje dobre samopoczucie. „Torty są najwyraźniej dobrym paliwem”, pomyślałam zdziwiona. Przyspieszone, lecz miarowe i równe tętno rozbestwiło mnie już po pięciu kilometrach. „A może by tak do naszego parku i z powrotem”, błysnęła zuchwała myśl. Pięć kilometrów więcej, chyba od razu nie umrę?

Wdech, wydech, wdech, wydech...

Spokojne tempo sprawiło, że nogi rozgrzały się miarowo i gdy dobiegałam do parku na osiedlu Darka, czułam się rześka i szczęśliwa. Wyjątkowo ciepły w tym roku wrzesień przez całą trasę rozpieszczał mnie delikatnym dotykiem promieni słońca. Temperatura pozwalała na lekceważenie nieprzyjemnej myśli o ewentualnym wyziębieniu, nawet w chwili, gdy zagęszczenie chmur na niebie zaczęło przypominać o zbliżającej się jesieni.

W beztróskim pędzie pozwoliłam nieść się nogom w obranym kierunku, coraz bardziej optymistycznie nastawiona do szatańskiego pomysłu, na jaki wpadłyśmy z panią Halinką. „No, tak maratony mogą biegać, to tylko dwa razy trasa ode mnie do rodziców Darka i z powrotem”, wzruszyłam ramionami i rączym galopem skręciłam w boczną alejkę parku, rozwidlając się na kilka małych ścieżek. Wybrałam jedną na chybił trafił, licząc, że wyprowadzi mnie na część osiedla, na której mieszkali Darek z Beatką, i po kilku sekundach zakląłam szpetnie. Ścieżka, owszem, wyprowadziła mnie na właściwe osiedle, jednak niedokładnie na tę część, na której się chciałam znaleźć. Dobry humor przeszedł mi tym bardziej, że wylądowałam dokładnie naprzeciwko klatki, w której mieszkał Łukasz.

„Nie ten kierunek!”, zawyła w głowie ostrzegawczo syrena. „Natychmiast z powrotem!” Posłuszna i wyjątkowo zgodna z głosem instynktu rozejrzałam się pobieźnie, czy nic mnie nie przejedzie, i żwawym krokiem skręciłam na parking.

Rozglądanie uchroniło mnie przed rozplaszczaniem się na masce czerwonego opła, który cofał z ułańską fantazją, jednak kompletnie zlekceważyłam pojazdy stojące i po kilku sekundach wylądowałam na plecach Łukasza, który właśnie wysiadał ze swojej hondy. Przygnieciony moim skromnym wprawdzie, lecz rozpedzonym ciężarem, rąbnął klatką piersiową w drzwi i dopóki szok po zderzeniu paraliżował mi zdolność ruchu, dane mi było wysłuchać stłumionej wprawdzie, lecz dosadnej litanii pod adresem kretyna, który rzuca się na ludzi w nieokreślonym bliżej celu.

Poprzez panikę, która tuż przed awaryjnym hamowaniem wybuchła mi w umyśle, dotarło tylko jedno: „Nie zauważył!”. A skoro nie zauważył, nadal miałam szansę zwać, zanim odwróci się i zażąda wyjaśnień. Co do charakteru wyjaśnień nie miałam najmniejszych wątpliwości. Wiedziałam, że będą dotyczyły spraw bardziej zawyłych niż informacja, dlaczego postanowiłam urozmaicić sobie trening znokautowaniem niedoszłego narzeczonego.

— Przepraszam! — wrzasnęłam zmienionym głosem i wystartowałam w przeciwnym kierunku.

Być może akcja błyskawicznej ewakuacji bez zdradzania swojej tożsamości przebiegłaby sprawnie i zakończyła się sukcesem, jednak w tym momencie z samochodu za swoim panem wyskoczył pies. Nieco zdezorientowany zapachem spoconego ciała, zastygł na ułamki sekund, wężąc intensywnie. Świetny refleks i bezbłędne powonienie sprawiły, że zorientował się w sytuacji dużo szybciej niż Łukasz. Szczeknął krótko kilka razy i rozdziawił paszczę w pełnym zadowolenia śmiechu.

Widząc reakcję Dragona, Łukasz odwrócił się błyskawicznie.

„Przepadło”, zawylałam w myślach, jednak nadzieja na uniknięcie konfrontacji nie opuściła mnie do końca. Wykonałam zwrot i sprintem opuściłam parking. Na zakręcie rzuciłam okiem na sytuację z tyłu i zaklęłam. Dragon, któremu najwyraźniej opieka Łukasza służyła i nabierał coraz więcej psiej ogłady, na komendę zastygł obok samochodu, trzymając w zębach kluczyki od auta, natomiast jego pan rączym sprintem pędził za mną, przeskakując nad małym pieskiem, który niebacznie stanął mu na drodze. W oddali usłyszałam przerażony wrzask właścicielki pieska, po którym nastąpiło kilka nieprzyjemnych inwektyw pod adresem Łukasza i przyspieszyłam, gdyż talenty lekkoatletyczne niedoszłego ukochanego przerosły nieco moje wyobrażenia. Nie zastanawiałam się zbyt, czy Łukasza niesie wypracowana podczas sprintów z piesem-biesem kondycja, czy raczej skrajna postać desperacji, ponieważ coraz trudniej było utrzymać go na dystans. Po chwili szaleńczego galopu pulsometr zapiszczał ostrzegawczo, dając do zrozumienia, że troszkę z prędkością przesadzam. „Szlag”, pomyślałam z rozpaczą i pruć dalej, słysząc za sobą ciężki oddech Łukasza, który odpuścił sobie wrzaski i wołanie mnie, próbując utrzymać równe tempo.

I tak oto pędziliśmy z rozwianym włosem, bijąc rekordy własne i światowe,

za wszelką cenę usiłując nie zwolnić. Bóg jeden raczy wiedzieć, jaki dystans bylibyśmy skłonni przebyć tą metodą, gdyby na drodze nie pojawiła się przeszkoda w postaci potężnej dziury w chodniku, związanej z naprawą kanalizacji.

Wyjścia z sytuacji jawiły mi się trzy: zboczyć na jezdnię, na której ruch stwarzał duże zagrożenie dla jednostek niezmotoryzowanych, przeskoczyć przez dziurę lub skręcić na trawnik. Sprint po jezdni i skoki w dal przez wykop nie przypadły mi do gustu, skoczyłam zatem na trawę, modląc się, by nie ściągnąć na siebie uwagi dwóch pozbawionych smyczy rottweilerów. Ściganie się na Psim Polu, jak nazwaliśmy kiedyś z Darkiem spory trawnik ciągnący się wzdłuż osiedla, nie było pomysłem rozsądnym, chyba że ktoś miał na celu sprawdzenie refleksu, prędkości i stopnia bojowości psów, spacerujących tu codziennie w ilości mnogiej. Mnie na nogach i spodniach w całości zależało, dlatego zwolniłam do lekkiego truchtu, z cichą nadzieją, że czworonogi zastopują również Łukasza. Owszem, zastopowały, jednak w chwili gdy ominęliśmy obszar zagrożenia i zbierałam się do podjęcia wyścigu, poczułam silne uderzenie w plecy i rozpędzony pocisk zwałił mnie z nóg, popiskując radośnie. Oszołomiona upadkiem, nie zdążyłam się nawet przestraszyć, gdy czułe, mokre buziaki na karku umożliwiły mi identyfikację napastnika. Najwyraźniej kibicujący Łukaszowi, lecz zniecierpliwiony nieudolnością pana Dragon postanowił zaprezentować własne talenty lekkoatletyczne.

— Dragon, złaź — stęknęłam i zepchnęłam psa, który z zadowoloną miną usiadł obok, najwyraźniej nadal zaprogramowany na komendę „Pilnuj!”.

Ścigać się wokół osiedla z Łukaszem to jedno, ale na szarpanie się z trzydziestokilowym, wytrzymałym do obłędu bojowym psem nie miałam już sił.

Siedziałam na krawężniku, próbując złapać oddech. Zmęczony olimpijskimi wyczynami organizm powoli odmawiał współpracy. Łukasz, biegnący w sztafecie z psem, był w nieco lepszym stanie, choć podchodząc do nas, nadal walczył o uspokojenie tętna.

— Poradzę sobie — burknęłam, ignorując wyciągniętą w moim kierunku dłoń.

Pozbierałam się z krawężnika i otrzepałam spodnie. Korzystając z momentu mojej nieuwagi, Łukasz chwycił mnie pod rękę.

— Dragon, idziemy — rzucił cicho.

Przez dłuższą chwilę szliśmy w milczeniu, oddychając ciężko. Jedyne pies-bies truchtał z przodu, merdając z zadowoleniem ogonem.

— Gdzie mnie prowadzisz? — wyburczałam wreszcie. — Miałam w planach inną trasę.

Łukasz stanął, odwrócił mnie do siebie i odetchnął głęboko, wyrównując oddech.

— Mam rozpieprzone nowe buty, zgubiłem forszę i ostatnie piętnaście minut

spędziłem na wariackich biegach przełajowych. Wybacz, Ola, chcę wyjaśnić z tobą kilka kwestii i skoro cię dopadłem, nie odpuszczę. Poza tym muszę wyprać koszulę. Była przewidziana na jutrzejsze spotkanie z szefem, a nie weekendowy rajd dookoła osiedla.

— Nie wybieram się do ciebie, mam dość daleko do domu — warknęłam. — A właśnie zaczyna padać.

Faktycznie. Szaleńcza gonitwa, którą uskutecznialiśmy jeszcze przed chwilą, sprawiła, że żadne z nas nie dostrzegło przybywających na niebie chmur. Ich ciemny kolor wskazywał, że najwłaściwszym wyjściem byłoby przyspieszyć kroku i prostą drogą udać się w kierunku schronienia.

— Cholera... — jęknął Łukasz i pociągnął mnie w stronę parkingu.

— Cholera!

Przekleństwo zabrzmiało znacznie ostrzej i szybko powróciliśmy do galopu, gdyż delikatny deszczyk po kilku minutach zmienił się w gigantyczną ulewę. W chwili, gdy dopadliśmy klatki schodowej, już nie tylko koszula Łukasza, ale oboje nadawaliśmy się do gruntownego prania.

— Kocham cię, Dragon, dobry pies — mruknął Łukasz, wyciągając spomiędzy zębów piesa-biesa kluczyki od samochodu. — Zakupów do domu pewnie nie przyniosłeś? No dobra, sam pójdę...

Czekałam na klatce z Dragonem, nadąsanym wzrokiem wodząc za Łukaszem, który, coraz bardziej przemoknięty, wywlekał z auta zakupy. W drodze wyjątkowej łaski przytrzymałam drzwi wejściowe, by nie musiał szarpać się z domofonem.

— Dzięki, pięknie mnie wrobiłeś — wywaliłam język w kierunku Dragona, ale przepuściłam Łukasza przodem i bez dalszych protestów ruszyłam za nim na górę, pilnując tylko, by nie zdradzić się ze znajomością terenu.

— Zapraszam — Łukasz otworzył drzwi, wpuszczając mnie do mieszkania.

Adresat wypowiedzi nie został doprecyzowany. Słusznie rozumując, Dragon bez większych ceregieli wepchnął się do przedpokoju przede mną i jak na zmarzniętego w wyniku deszczu psa przystało, sposobił się do poszukania ciepłego kąta, gdy głos czujnego opiekuna zastopował go na progu sypialni.

— Stój, ani kroku dalej — warknął Łukasz. — Łapy!

— Ja też? — zainteresowałam się złośliwie, patrząc ze współczuciem na Dragona, który wycierania łap po spacerach szczerze nienawidził. Teraz wrócił do przedpokoju i czekał z wymalowaną na pysku rezygnacją, aż pan odstawi zakupy. Pomimo wyraźnego wstrętu do małego, brązowego ręczniczka, podnosił po kolei łapy, pozwalając usunąć z nich błoto.

— No dobra, zmiataj — sapnął Łukasz, rzucając ręcznik na ławę. — Tobie ręcznik nie wystarczy... — spojrzał na mnie krytycznie.

— Może jednak — burknęłam, choć ociekające wodą ubranie i przyklapnięte

od wilgoci włosy mówiły coś zupełnie innego.

— Może jednak to idź się wykąpać — wzruszył ramionami Łukasz. — Oła, ja bardzo cię proszę — warknął, bo już otworzyłam usta, by zaprotestować. — Dam ci rzeczy, zrobię coś do picia i porozmawiamy jak ludzie dorośli. Bo tej sceny z soboty ni cholery nie rozumiem.

Takiego apelu nie wypadało zlekceważyć. Zważywszy na pogodę i tak ulewę będę musiała tu przeczekać... „Szląg”, zakląłam, ale poczekałam bez słowa, aż Łukasz przyniesie mi ciepłą bluzę i świeży ręcznik. Pozwoliłam zaprowadzić się do łazienki, zamknęłam za sobą drzwi i zasunęłam blokadę. Przed wejściem pod prysznic rzuciłam jeszcze okiem na półkę z kosmetykami, by uzupełnić zeszlotygodniowy rekonesans. „Nieźle”, gwizdnęłam z podziwem. Pielęgnacja szwajcarskiej marki *Artemis* plus zapach *made in Gucci*. Bez metroseksualnego obłędu, zdradzanego przez Krzyśka, ale z klasą. „Będę żałować”, pomyślałam ponuro, rozdarła w znanym starogreckim bohaterom konflikcie tragicznym. Kochać bez zaufania z drugiej strony, czy kochać samotnie, fundując drugiej stronie podobną przykrość? „Tak źle i tak niedobrze”, westchnęłam, wchodząc pod prysznic.

Rozgrzewające strumienie ciepłej wody uświadomiły mi wreszcie, jak bardzo jestem przemarznięta i zmęczona. Kilkukilometrowy sprint i szalony stres związany z nieprzewidzianym spotkaniem spływały ze mnie bardzo powoli, pozostawiając czysty umysł i pewność, że skoro diabli mnie już tu przynieśli, stawiając na drodze Łukasza, należy ostatecznie zamknąć rozgrzebane w sobotnią noc sprawy, zanim zaczną gnić i smrodem niepewności zatruwać mi życie. Choć widoki na *happy end* malały, wiedziałam, że każde rozstrzygnięcie pozwoli mi spojrzeć na sytuację spokojniej i da poczucie, że nareszcie wybór nie dokonał się sam, gwizdząc na moje zdanie.

Łukasz zdążył przygotować gorącą kawę i rozwiesić moje rzeczy. Bez słowa podał mi kubek, po czym sam zamknął się w łazience. Naciągnęłam na siebie leżący obok koc i przyknięłam oczy. Delikatny zapach wody po goleniu otulił mnie ze wszystkich stron i ze znużeniem pomyślałam, że tak naprawdę chciałabym odpocząć od pytań i wątpliwości, otoczyć się tym zapachem na dobre i przestać się zamartwiać, jak podzielić się opieką nad psem, względnie psem jako takim. Brakowało mi tylko pewności, czy właściciel zapachu zechce powalczyć o utracone z własnej winy zaufanie...

Tymczasem właściciel zapachu wyszedł z łazienki i usiadł w fotelu naprzeciwko. Nie zajmowałam wprawdzie na kanapie dużo miejsca, jednak to, co pozostało, zaanektował Dragon. Ułożył głowę na moich nogach i nie wyglądało, by jakakolwiek ludzka siła zdołała go ruszyć.

Żołądek skręcił mi się nieprzyjemnie. Może jednak nie czekałam na decydującą rozmowę tak spokojnie, jak mi się wydawało? *Ladies and gentleman,*

przedstawienie czas zacząć! „Oby tylko nie skończyło się na cyrku”, przemknęła w głowie trwoźna myśl. Mocniej okręciłam się kocem. Niestety do tego spektaklu nikt nie napisał scenariusza, a jeśli nawet, to zapomniał mi go wręczyć. Tchórzliwie pozostawiłam pierwszą kwestię Łukaszowi, zastanawiając się mętnie, kogo w przypadku burzliwego rozwoju wydarzeń w pierwszej kolejności pogryzie poirytowany przerwaniem drzemki Dragon.

Łukasz miał chyba podobny dylemat, gdyż bardzo długo siedział, wpatrując się w swoją kawę. „Przebieg rozmowy nie zapowiada się zachęcająco”, uznałam, patrząc na jego skupione spojrzenie...

— Aleksandra, co to miało być w sobotę? — padło wreszcie krótkie, celne pytanie.

— Nie prima aprilis — zaczęłam ostrożnie. — Chyba dość jasno powiedziałam, że mam do ciebie pretensje i czuję się oszukana.

— Tyle zrozumiałem — mruknął Łukasz. — Poza tym ni cholery...

— Jezu, czego jeszcze nie rozumiesz? — zirytowałam się. — Kręcisz, coś tam ukrywasz, śmierdzące, zdaje się, są te tajemnice... Jak mam ci zaufać? Nie chcę wiązać się z kimś, kto nie ufa mi ani nie pozwala zaufać sobie!

— A w ogóle chcesz się wiązać?

— Do soboty chciałam — machnęłam ręką. — Czas przeszedł.

Cisza. Znokautowany gramatyką i zawartym w niej przesłaniem Łukasz wpatrywał się w kawę, która chyba zupełnie wystygła. Ja również nie miałam ochoty na kontakt wzrokowy. No dobrze, odwagi. Siedziałam ze wzrokiem wbitym w ziemię, bawiąc się frędzlami koca.

— Dobra, poddaję się — męską decyzję o przerwaniu milczenia podjął Łukasz. — Jakie śmierdzące tajemnice cię interesują?

— Jeszcze mnie przekonaj, że powiesz prawdę — parsknęłam.

— Słowo harcerza wystarczy? Na Biblię mam przysięgać, czy jak? Jak się uprzesz, to i tak będziesz wiedziała lepiej — wściekł się Łukasz. — Wybacz, nie posiadam pod ręką wykrywacza kłamstw! Ola, no do cholery, chcesz to wszystko tak zostawić? Naprawdę tak mało ci na mnie zależy?

Skąd, do diaska, miałam to wiedzieć? Gdyby nie matactwa, odpowiedź byłaby prosta i nieskomplikowana. I zgodna z oczekiwaniami wpatrującego się we mnie uporczywie, siedzącego obok faceta. Wzięłam głęboki oddech.

— Zależy mi na wzajemnym zaufaniu i poczuciu bezpieczeństwa, które się ostatnio mocno, że tak powiem, ulotniło — wycodziłam.

— Dobrze, rozumiem. Co mam zrobić?

Tu już było trochę łatwiej, oczekiwania miałam sprecyzowane.

— Powiedzieć, o co chodzi z panią Dukaciak — rzuciłam twardo.

— Dukaciak się teraz nazywa, no proszę — skrzywił się Łukasz.

— Albo ustalić sensowny system opieki nad psem...

Prowadzona *fortissimo* dyskusja nie tylko na nasze samopoczucie wpływała negatywnie. Próbujący uciąć sobie drzemkę Dragon od czasu do czasu łypał na nas okiem. Gdy doszliśmy do newralgicznego tematu Agnieszki D., poirytowany pies otworzył ślepią zupełnie i gapił się na nas metodą rozbieżnego zęza, usiłując ustalić, kto jest odpowiedzialny za zakłócanie spokoju i kogo w razie potrzeby w pierwszej kolejności spacyfikować. Ponieważ jednak agresja nie leżała w jego charakterze, zaskomlał znacząco, by przypomnieć, że sami nie jesteśmy i jako rezydent również ma prawo do odpoczynku na własnej kanapie.

Upomnienie nie było bardzo natarczywe, jednak wystarczyło. Z poczuciem winy spojrzeliśmy na psa i poczuliśmy się w obowiązku ograniczyć poziom decybeli.

Zredukowany stopień głośności zrekompensowałam sobie, podkreślając upór.

— No — rzuciłam z naciskiem, świdrując wzrokiem Łukasza.

— A już miałem nadzieję... — westchnął ponuro Łukasz. — Oleńko, tak w skrócie, bo, z tego co wiem, Darek rodzinnej kroniki też ci nie przytoczył... Dawno, dawno temu, lat temu mniej więcej piętnaście, Agnieszka z wielkim hukiem rozpieprzyła moje relacje z ojcem. Z jej powodu ojciec na przykład tak bardzo się wściekł, kiedy miałem ten wypadek. Urobiła go totalnie. Zamiast zmartwić się, że wylądowałem w rowie, ważne było, że nie zdążyłem załatwić pewnej sprawy, która Agusi była koniecznie potrzebna. Jeszcze kilka razy takie akcje były, po czym Agusia zerwała z nami kontakty, zostawiając ojca w przekonaniu, że koegzystencja z tak wypaczonym osobnikiem jak ja jest wykluczona. Próbowала też wmówić mu, że mam zły wpływ na matkę. Chryste, omal się wtedy nie rozwiedli... Wobec powyższego uznałem, że należy się jej wystrzegać jak ognia piekielnego. Ojca też, bo z matką się jakoś dogadał, ale ze mną nie. Widocznie jakiś rozwód był potrzebny. Więc wyemigrowałem. Koniec pieśni, dziękuję za uwagę.

Słuchałam uważnie, wpatrzona w spokojną twarz Łukasza. Nieważne, jak bardzo musiał go boleć wyduszony przeze mnie fragment biografii, obojętnie patrzył przed siebie, niedbale bawiąc się kubkiem z niedopitą kawą.

— Przykro mi — wymamrotałam wreszcie.

„I głupio, że sprawiłam ci przykrość”, dodałam w duchu. Wprawdzie gdzieś tam uwierał mnie brak wyjaśnienia, jakież to konkretnie machloje uskuteczniała pani D., jednak to można było na razie odłożyć na później. Ale tylko trochę później, obiecałam sobie.

— Mi też — wzruszył ramionami Łukasz. — Że z ojcem się nie dogadam, jakoś się pogodziłem, ale krew mnie zalewa, jak pomyślę, że ona znowu się tu płacze i miesza. Raz mi życie rozpitoliła, teraz widać czas na podejście numer dwa. Nawet za bardzo się nie musiała starać, żeby nas skłócić.

Talenty pani Agnieszki D. w zakresie demolowania cudzego życia znałam,

próbkę miałam okazję przetestować na sobie. W każde słowo Łukasza byłam gotowa uwierzyć bez zastrzeżeń, jednakże...

— Za to ty się postarałeś — zasugerowałam delikatnie.

Łukasz spojrział na mnie z niedowierzaniem.

— Chryste, co ty chrzanisz, Ola? Ja? Ja się postarałem z tobą pokłócić? Wybacz, to ostatnia rzecz, o jaką bym się starał.

— Było nie kręcić — mruknęłam. — Mogłeś powiedzieć wtedy na tych zakupach, co to za baba. Ja wiem, że miałeś dobre intencje, nie chciałeś jej mieszać w nasze sprawy i sam w efekcie zawałiłeś. Przecież bym ci uwierzyła, wiem, jak ona potrafi zatruć życie...

— Mylisz się — uśmiechnął się gorzko Łukasz. — I niech Bóg broni, żebyś kiedykolwiek poznała jej możliwości.

Ciężkie do wydania na świat i przetrwania tematy najwyraźniej nie przypadły do gustu Dragonowi, który po raz kolejny podniósł łeb i zaczął się wgapiać w nas znacząco. Im bardziej dramatyczny ton przybierała rozmowa, tym bardziej niecierpliwe i zde gustowane było psie spojrzenie. Trudno określić, czy rodzinne problemy pana, czy też nasz wspólny problem z dogadaniem się tak go bulwersowały, ostatecznie żądny spokoju Dragon prychnął z pogardą i zdecydował się poszukać lepszego miejsca na drzemkę. Po krótkim namyśle w przedpokoju wybrał sypialnię.

— Brawo, wkurzyliśmy psa — stwierdziłam z przekąsem.

— Tak się objawia destrukcyjny talent mojej krewnej — wycedził Łukasz. — Widzisz, nie ma jej tu, a duch niezgody unosi się nad nami, pewnie wysłała go telepatycznie.

Zdolności pani Agnieszki do wiadomości przyjął, jednak sposób, w jaki Łukasz zwał na nie wszystkie negatywne zjawiska w swoim życiu, powoli zaczynał mnie irytować. Na miłość boską, w każdej rodzinie zdarza się ktoś, kto sieje ferment, ale bez przesady...

— A my, jak takie cielęta, dajemy się prowadzić na rzeź — przewróciłam oczami. — Nie demonizuj, jedyną jednostką przejawiającą piekielny rodowód jest póki co Dragon. Widziałam, że dałeś się przekonać do zipów — rzuciłam z nadzieją na zmianę tematu.

Łukasz szybko połknął haczyk.

— No, przynajmniej przestał wywlekać brudne ciuchy z kosza — mruknął. — Chociaż nie wiem, czy to takie dobre rozwiązanie. On ogólnie lubi spać na ubraniach, więc jak nie może ich wyjąć z kosza, próbuje wyciągać z szaf. W sobotę się spóźniłem na tę imprezę, bo otworzył szafę w sypialni i pościągał mi wszystkie koszule z wieszaka. Musiałem na szybko wyprasować te świeżo wyprane...

Z przerażeniem zakrapianym nutką uznania słuchałam opowieści o diabelskich wyczynach piesa-biesa.

— Nieźle — pokiwałam głową. — Chociaż wilczur Oliwki ode mnie z pracy robi lepsze numery... Ściąga z kołdry i poduszek świeżo wypraną pościel i wywleka do kojca. Najbardziej lubi białą, więc obrusy i serwety po praniu też nie są bezpieczne...

Łukasz parsknął śmiechem.

— Też niezły agent... Najgorsze jest to, że on wszystko robi w idealnej ciszy. Tak jak było z tą rybką u Dara. Cisza, spokój, odwracasz się, a tu totalna masakra...

— On te ciuchy jakoś szczególnie niszczy?

— Nie wiem, czy szczególnie... Zależy, czy ma łatwy dostęp. Z wieszaków ściągnął w miarę łatwo, więc były tylko lekko, hm... zaślinione i wygniecione. Ale raz zrobiłem pranie, powiesiłem na suszarce w sypialni i zapomniałem zamknąć drzwi... Potem na suszarce znalazłem takie dyndające szczątki z klamerkami. Urwał i wyniósł.

— Dobry piesek — przełknęłam ślinę. Kilka sztuk pościeli może i bym przebolała, ale pozbyć się przy pomocy psiej niszcarki całej garderoby... Dziękuję, postoję. — Myślałam, że on tak tylko buty...

— Ja też — Łukasz uśmiechnął się słabo. — Na początku żarł tylko buty, widocznie chciał mieć coś na bis. A wiesz, ciekawe. Jak jakieś rzeczy leżą luzem na wierzchu, to nie ruszy. Tylko zamknięte i ta suszarka... O cholera! Ola, zabijesz mnie!

Nie do końca pojęłam sens zawarty w osobliwym okrzyku, jakim Łukasz zakończył wyznanie na temat psich grzeszków.

— Coś się stało? — spytałam, bo nagle pobladły zerwał się z fotela.

— Bardzo możliwe... — jęknął. — Twoje rzeczy powiesiłem na suszarce... I nie zamknąłem drzwi... Chryste, Ola, przepraszam — zawołał i wystartował w kierunku sypialni.

Zaniepokojona losem swojej odzieży wyprysłam za Łukaszem.

Daleko nie ubiegłam. Stojąca tuż przy drzwiach suszarka doskonale eksponowała wiszące smętnie szczątki materiału, który do niedawna był moją bluzą. Podobny los spotkał skarpetki i koszulkę. Jedyne spodnie ocalały z okrutnej rzezi.

Staliśmy w przejściu, wpatrując się bez słowa w resztki odzieży biegowej. Nie wiem, jakie myśli towarzyszyły Łukaszowi, który z przerażoną miną przeczesywał nerwowo palcami włosy, sama wyjątkowo przytomnie dokonałam finansowego podsumowania strat i obliczyłam wysokość rachunku, który powinnam na zakończenie dzisiejszej wizyty wystawić piekielnemu psu.

Rachunek na szczęście bardzo wysoki nie był. Koszulka miała już swoje lata, podobnie jak bluza, i fakt, że poległy, mógł co najwyżej zmotywować mnie do przyspieszenia odwlekanej od dawna decyzji o zastąpieniu ich nowymi. Gorzej ze

skarpetkami, ale i te odżałowałam dość szybko, pocieszona myślą, że straciłam jeden z prezentów otrzymanych od kogoś ze znajomych, a nie owoc mojej własnej finansowej krwawicy. Spodnie, lekko wprawdzie zmierzwiłone, wyglądały na nadal całe. Co ja jeszcze miałam? Lekki pas sportowy, w którym upchnęłam komórkę, chusteczki i jakieś drobne, leżał w salonie na kanapie... No i buty...

— Łukasz, gdzie są moje adidas? — wyrzeziłam, czując jak lodowate macki rozpaczy zaciskają mi się na gardle. Nowe, nowiuteńkie, pierwsze profesjonalne buty biegowe... Wizja pożarcia trzystu pięćdziesięciu dwóch złotych, które w piątkowe popołudnie przybrały postać niebieskich biegówek marki *Asics* z pomarańczową podeszwą, była zbyt przerażająca. Spazmatycznie zacisnęłam rękę na nadgarstku Łukasza, wpatrując się w niego z narastającą paniką.

— Adidas? — Łukasz oderwał wzrok od masakry w sypialni i spojrzał na mnie niezbyt przytomnie. — A, buty! Buty są całe, przetarłem i schowałem do pawlacza... Ale to tutaj, Chryste, przepraszam, zabij mnie, jak chcesz...

Chęcią popełnienia mordu zapalałbym dopiero po pozostawieniu psu na żer nowego obuwia. Skoro było bezpieczne, inna nieprzyjemna myśl zaświtała mi w głowie.

— Słuchaj, czy on te ciuchy... zżarł? — zapytałam. — Może trzeba jechać do weterynarza... Gdzie on w ogóle jest, żeby się nie zadławił!

Tknięta niepokojem rozejrzałam się dookoła w poszukiwaniu psich zwłok udławionych z powodu przesadnego łakomstwa moją odzieżą.

— Nie, pewnie wciągnął do kojca — mruknął Łukasz bez przekonania, ale na wszelki wypadek poszedł do gabinetu. — Cholera, gdzie ten diabeł polazł? Ola, nie ma go gdzieś w sypialni?

Wizja odnalezienia wciśniętych gdzieś w kącie psich szczątków doczesnych nabrała rumieńców i zmotywowała mnie do ruszenia tyłka nieco energiczniej. Przepchnęłam się między łóżkiem a suszarką, po drodze otwierając przesuwne drzwi szafy. „Przecież by za sobą nie zamknął, idiotko”, warknęłam w myślach. Między łóżkiem a oknem? Niby trochę przestrzeni tam jest, chociaż lepsze miejsce dla ratlerka, dla amstaffa raczej mało wygodnie... Dragon nie jest głupi.

Już chciałam porzucić sypialnię i wrócić do salonu, do którego podczas zamieszania mógł udać się zaniepokojony naszym nagłym poruszeniem pies, gdy zaintrygował mnie delikatny ruch zasłony w rogu pokoju. „Otwarte okno”, domyśliłam się, tłumacząc lekki przeciąg, którego skutki odczuwałam od chwili porzucenia ciepłego koca. Odruchowo ruszyłam zamknąć uchylone okno, gdyż dyskomfort wywołany zimnem zawsze mnie irytował. Wcisnęłam się w wąską przestrzeń między łóżkiem a ścianą i sięgnęłam do klamki, gdy trafiłam stopą na dziwnie wybrzuszony, włochaty i miękki kawałek panela.

— Jezu! — wrzasnęłam, bo nadepnięty panel poruszył się, uciekając mi spod

stopy.

— Co się stało? — zanim zdążyłam się opanować, do sypialni wpadł zdenerwowany Łukasz. — Znalazłaś go?

— Na to wygląda — odetchnęłam, gdyż wreszcie do mnie dotarło, że jedyną włochatą jednostką, przemieszczającą się czterema łapami na podłodze, może być w tym mieszkaniu Dragon. Skoro zaś wlałam na jakiś jego fragment i fragment zareagował, myśl o zadławieniu była mało prawdopodobna.

— Jest za zasłoną — powiedziałam, nachylając się za łóżko.

Wybrzuszona, przykrywająca coś dużego i poruszająca się zasłona potwierdziła moje przypuszczenia.

— Uduszę go — obiecał ponuro Łukasz. — Uduszę i obedrę ze skóry.

— Często tam włazi? — zapytałam, próbując delikatnie odsunąć firankę. — Jezu, jak on się tam wcisnął?

— Włazi, jak coś ukradnie i próbuje schować — westchnął Łukasz. — Dobra, stary, wyłaź!

Firana znieruchomiała.

— Wiemy, że tam jesteś, wyłaź! — powtórzył zniecierpliwiony Łukasz i przepchnął się obok mnie za łóżko.

— Może jakieś chrupki przyniosę — zasugerowałam ostrożnie. Szarpanie się na bardzo ograniczonej przestrzeni z Dragonem nie wydawało mi się najlepszym pomysłem.

— Nie — sapnął Łukasz, próbując odsunąć firanę, którą Dragon owinał się bardzo skutecznie. — Pomyśli, że to nagroda i będzie dalej kradł ciuchy. Ola, przytrzymaj firanę, bo jak szarpnie, to polecą razem z karniszem... Spróbuję mu wyciągnąć spod tyłka twoje rzeczy.

Z rosnącym niepokojem obserwowałam, jak wyplątuje najpierw firanę, potem zasłonę spomiędzy trzymających je psich łap.

Pierwsza faza operacji przebiegła pomyślnie i po odsunięciu firan ukazała nam się wciśnięta i zredukowana chyba o połowę psia sylwetka.

Zgodnie z przewidywaniami Łukasza spod piesa-biesa wystawały fragmenty czegoś niebieskiego, co mogło być szczątkami mojej odzieży. Wyzierająca z psich oczu anielska niewinność była bardziej dosadna niż mogłoby być jakiegokolwiek przyznanie się do winy na piśmie. „Czy coś się stało?“, zdawał się pytać Dragon całym sobą. Przez sekundę przemknęło mi przez myśl, że tak naprawdę powinniśmy go przeprosić i pełni skruchy wycofać się z niewygodnego, ciasnego miejsca, w którym biedny pies zaszył się, nie mogąc znieść naszych wrzasków w salonie.

„Na miły Bóg, przecież nikt nie wrzeszczał”, otrząsnęłam się, wzięłam głęboki oddech i spróbowałam groźnie spojrzeć na psiego kryminalistę. Po chwili skapitulowałam. Kiepsko mi szło.

— Nie bądź miękka, nie patrz mu w ślepie — ciężko doświadczony Łukasz był bardziej odporny na dobre wrażenie, które na potrzebę chwili Dragon wyczarowywał w mgnieniu oka. — To kamuflaż.

— Bardzo skuteczny — przyznałam niechętnie.

— No dobra...

Po zabezpieczeniu firan i zasłony zgięty w pół Łukasz nachylił się jeszcze bardziej, sięgając po zmiętolone pozostałości mojej odzieży. Skarpetki wydobył stosunkowo łatwo i rzucił mi przez łóżko. Koszulka najwyraźniej również nie była cennym łupem, Dragon z jej utratą pogodził się bez żalu. Zachęcony sukcesem, Łukasz sięgnął po ostatni element mojej garderoby.

Niezadowolone szczeknięcie sprawiło, że podskoczyłam nerwowo. Stojąc z drugiej strony, oparta o szafę, miałam ograniczony widok na przebieg akcji. Czym prędzej przepchnęłam się bliżej i nachyliłam, opierając ręce o materac.

— Wszystko w porządku? — zapytałam.

„Najwyraźniej nie”, domyśliłam się, słysząc kolejne szczeknięcie. Skupiony, spocony Łukasz spokojnym, rzeczowym tonem nakłaniał psa do zmiany zdania.

— Złaż — powiedział i delikatnie pociągnął za fragment wystający spod psiego tyłka. — To bez sensu. Ola, przynieś, proszę, mój trampek. Leży w gabinecie, tam jest taka duża poducha.

Przejęta wydostałam się z ciasnej przestrzeni i po chwili wróciłam do sypialni z pożądanym przedmiotem.

— Dragon, chodź — Łukasz odebrał zabawkę i podsunął psu pod nos. — Chodź, pobawisz się.

Coś na kształt rozdarcia mignęło w psich ślepiach. Wodząc wzrokiem za ukochaną zabawką, nie zauważył, że pan wyciąga coraz większy kawałek skradzionego materiału.

Zmasakrowany trampek posiadał widocznie hipnotyzującą wręcz moc. Wpatrzony w rękę pana, pies-bies powoli wstał i wyciągnął łeb, chcąc pochwycić w zęby zabawkę. Wykorzystując chwilę jego nieuwagi, Łukasz z triumfalnym uśmiechem szarpnął delikatnie materiał. Ze wzrokiem równie wlepionym w jego dłoń jak pies, nachyliłam się, opierając się o materac. Udało się, prawie się udało... Jeszcze jedno pociągnięcie...

Czując, jak miękkie podłoże wyjeżdża mu spod tyłka, Dragon z obrażonym skowytym zerwał się na równe łapy. Pomimo absurdalnie małej powierzchni, jaką miał do dyspozycji, wybił się i sprężystym susem wyskoczył na łóżko, wyrwijąc Łukaszowi z ręki trampek. Z wrzaskiem spróbowałam się usunąć z trajektorii psiego pocisku, odchylając się maksymalnie do tyłu. Manewr prawie się powiódł, uniknęłam staranowania, jednak plecami odbiłam się od szafy i poleciałam z powrotem na łóżko. Popchnięty przez wyskakującego z kryjówki Dragona, Łukasz zatoczył się i runął wprost na mnie, klnąc siarczyście. Nie miałam złudzeń. Choć

bardzo szczupły, mierząc metr dziewięćdziesiąt, Łukasz nie mógł kwalifikować się do wagi piórkowej. Zamknęłam oczy w oczekiwaniu na uderzenie.

„Jest dobrze, żyję”, dotarło do mnie po chwili, gdy leżałam wciśnięta ciężarem Łukasza w materac. Euforia przeszła mi natychmiast, gdy uświadomiłam sobie, w jakiej sytuacji się znaleźliśmy.

— Cholera — jęknęłam, zamykając oczy. — Czy mógłbyś...?

— Przepraszam, jasne — wymamrotał Łukasz w moje ramię, o które opierał się podbródkiem. — Zabiję tego psa...

— Już to dziś słyszałam...

Odetchnęłam z ulgą, gdy Łukasz powoli się pozbierał i usiadł, wodząc dookoła błędnym wzrokiem.

— Ola, żyjesz? — usłyszałam po chwili.

— Chyba nie zmiażdżyłeś mi żeber ani nic w tym stylu — mruknęłam, powoli unosząc się na łokciach. — Jezu, to naprawdę pies z piekła rodem. Nie dość, że nie mam ciuchów, to jeszcze kulam się z tobą po łóżku.

Łukasz parsknął śmiechem, obserwując, jak niezdarnie zsuwam się na brzeg materaca. Z jękiem opuściłam nogi i usiadłam, rejestrując z niezadowoleniem nieprzyjemny ucisk, narastający w okolicy lewego barku. Po chwili skupiłam się na znacznie bardziej nieprzyjemnym ucisku w dołku, który przypominał mi, że jesteśmy sami w sypialni, w sytuacji dość dwuznacznej, ja dodatkowo niekompletnie ubrana. Zrobiło mi się gorąco. „Nie ma co czekać, trzeba uciekać”, przemknęła mi spłoszona myśl, to się może skończyć bardzo niedobrze...

— Pójdę zobaczyć, gdzie ten diabeł — wytchnęłam, odwracając głowę.

„Błąd”, wrzasnął umysł, gdy wzrokiem napotkałam rozpalone, wpite we mnie zachłannie spojrzenie zielonoszarych oczu. Zignorowałam go, zahipnotyzowana głębią rozszerzonych źrenic, które powoli odkrywały swoje tajemnice. Z ulgą, że tama nieufności nareszcie pęka, dałam się zalać rzece zaufania, przyciągającej jak magnes. Bez słowa pozwoliłam, by palce Łukasza delikatnie zacisnęły się na moim nadgarstku i pociągnęły mnie z powrotem na łóżko.

* * *

Otworzyłam oczy, niechętnie przerywając półsen, w jaki zapadałam co chwilę, leżąc otulona ramionami Łukasza. Jego delikatny oddech muskał mój policzek, raz za razem poruszając niesfornym kosmykiem, który opadł mi na twarz. Leniwym ruchem Łukasz odgarnął go, zatapiając palce w moich włosach i przeczesując je lekko.

— Ola...

— Hm?

— Wiesz, że cię już nie wypuszczę?

— Nie wypuszczaj. Całkiem mi tu z tobą dobrze...

Delikatne, głębokie pocałunki, stemplujące skórę na karku...

Wyciągnęłam rękę, przesuwając palcami po rozgrzanej skórze obejmujących mnie ramion. Uwięziona w ich uścisku, czułam się cudownie odgradzona od wydarzeń ostatnich tygodni, z wyjątkiem pewnej księżycowej nocy, która już wtedy szeptała zapowiedź dzisiejszej namiętności. Woal miłości i bezpieczeństwa otulał mnie delikatnie, lecz nieustępliwie, zagarniając uczucia i pożądanie, które tłumione od długiego czasu, wibrowały pod powierzchnią skóry, czekając na odpowiedni moment, by się wyrwać.

— Ola...

— Hm?

— Ola, kocham cię...

Srebrny brokat Księżycy, który niewidocznym pyłem pokrył tamtej nocy nasze ciała, zalśnił w oczach Łukasza, gdy ujął w dłonie moją twarz i otulił ciepłem pocałunków.

* * *

— Która godzina?

— Po piątej... Nie wstawaj jeszcze.

Dłoń Łukasza przytrzymała mnie mocno, gdy nagle oprzytomniała spróbowałam poderwać się z łóżka.

— Daj spokój, wyszłam z domu przed dwunastą, powiedziałam, że będę za dwie godzinki! Pewnie wszyscy już tam świrują! Z Dareczkiem na czele!

— No nie bardzo — uśmiechnął się Łukasz. — Zadzwoń, powiedziałem matce, że musiałaś przeczekać u mnie deszcz.

— I co powiedziała?

— Że mam cię bezpiecznie odstawić do domu. I że ma nas serdecznie dosyć.

Parsknęłam śmiechem, wyobrażając sobie minę pani Elizy na wieść, że choć ciężko na siebie obrażeni, jakimś czarownym sposobem spędzamy razem niedzielne popołudnie. „Matko, do tego w taki sposób”, jęknęłam w duchu, oblewając się krwawym rumieńcem. Przecież nikt nie jest na tyle naiwny, żeby posądzać nas o trzymanie się za rączkę i oglądanie *Na dobre i na złe*... „Darka trafi szlag, on jest mało odporny na wstrząsy”, pomyślałam z poczuciem winy.

— Oluś, nie zostaniesz do jutra? — wymruczał Łukasz.

— Raczej niewykonalne — uśmiechnęłam się smętnie. — Rano idę do pracy. Nie mam rzeczy. Właściwie nie mam żadnych rzeczy — zirytowałam się.

— A co ty takiego potrzebujesz? — umysł Łukasza nadal pracował w trybie otumanionym hormonami.

— Cały arsenał kosmetyków. Torba z rzeczami do pracy. Płyn do soczewek kontaktowych i okulary — wyliczyłam. — Ciuchy, do cholery! Właśnie się

zastanawiam, jak mam wrócić do domu w twojej bluzie i adidasach?

— Spodnie jeszcze masz, zresztą cię odwiozę. Nie wiedziałem, że nosisz soczewki — zainteresował się Łukasz. — Za mało o tobie wiem.

— Jak będziesz grzeczny, dam ci szansę nadrobienia braków — uśmiechnęłam się i powoli wyplątałam ręce pomiędzy palców Łukasza.

Leniwym ruchem sięgnęłam po wiszącą byle jak na oparciu łóżka bluzę, wciągając w płuca intensywny zapach wody po goleniu. Właściwie teraz to chyba nie muszę jej oddawać?

Pocałowałam Łukasza, który również usiadł w pościeli, i zsunęłam nogi na podłogę. Przeciągnęłam się i z myślą o rychłym powrocie do sypialni ruszyłam w kierunku kuchni, by wstawić wodę na kawę. Uczyniłam dwa kroki i z gardła wyrwał mi się wrzask przerażenia.

Ruchliwe, wybrzuszone, porośnięte sierścią panele przemieściły się na drugą stronę łóżka, przytargawszy ze sobą znajomy brązowy koc w psie łapki, leżący teraz w roli dywanika chroniącego bose stopy wstającej z łóżka osoby przed nieprzyjemnym kontaktem z zimną podłogą.

— Co tam? — zaniepokojony Łukasz wychylił się w moim kierunku.

— Nie co, tylko kto — mruknęłam, patrząc z zażenowaniem w szeroko otwarte, pytające ślepie brutalnie wyrwanego z drzemki psa. — Czy on tutaj był cały czas? Jak my...?

— No coś ty, to bardzo taktowny pies — oburzył się Łukasz. — Przyszedł dopiero przed chwilą.

— Miło z twojej strony — mruknęłam pod adresem Dragona i ostrożnie przelazłam przez legowisko, by kolejny raz nie przerywać psu drzemki.

Wysilek okazał się zbędny. Żywo zainteresowany moją wędrówką w kierunku kuchni, Dragon błyskawicznie otrząsnął się z senności. Zanim się obejrzałam, przydreptał za mną i usiadł obok pustej miski.

Po chwili pałaszował swoją porcję, gdy państwo w oczekiwaniu na pizzę bezskutecznie próbowali zagłuszyć burczenie żołądków pitą na głodnego, gorącą kawą.

Kilka minut przed siódmą Łukasz nareszcie dał się przekonać, że powinnam wrócić do domu, by zdążyć przygotować się do pracy, poszukać w Internecie namiarów na szklarza i wypowiedzieć się trzem, względnie czterem sępom, spragnionym woniejącej subtelną nutką sensacji i romansu padliny.

— Właściwie to powinieneś iść tam ze mną, a nie rzucać mnie na żer i jechać spokojnie do domku — dogryzłam Łukaszowi, gdy wsiadaliśmy do auta. Odsypiający pełne wrażeń popołudnie pies-bies zrezygnował z wycieczki.

— Spokojnie. I tak mnie dopadną kiedyś tam — mruknął Łukasz. — Możliwe, że nawet dziś wieczorem. Telefonicznie.

— Taaa. Jak skończą ze mną...

Z porażającą beztrąską Łukasz pouczył mnie, żebym nie przesadzała, i przystąpił do kwestii bardziej w jego mniemaniu interesujących. Pół godziny jazdy wystarczyło, by przemaglował mnie na okoliczność szklarza, stojącego na parkingu ubezpieczalni samochodu i ewentualnych działań psychopatycznej, pałającej do mnie niechęcią jednostki.

I nic z tego, co powiedziałam, go niestety nie uspokoiło...

— Nie podoba mi się ta informacja — mruknął, wydusiwszy ze mnie żądane wiadomości.

— Która, na litość boską? — jęknęłam zrezygnowana.

— Żadna. Wolałbym być z tobą, jak będziesz załatwiać okno.

— Jezuuu, będzie Darek... On jest duży i silny... I chyba zna karate...

— No, w sumie trenowaliśmy w szkole, niech ci będzie — przyznał Łukasz.

— A auto?

— Odbieram w przyszły poniedziałek.

— Dopiero?

— Bo coś tam im się z tymi oponami nie zgadzało — zgrzytnęłam zębami.

— A jak się zaczęło zgadzać, uznałam, że mają w ramach odszkodowania naprawić. Nie daj Bóg, zrobię sama, a w międzyczasie znowu coś się przestanie zgadzać w papierach.

— Ola, Chryste, teraz już nie ma co im się nie zgadzać... Przecież przyjęli zgłoszenie, wszystkie papierki są wypełnione, mają dokumentację z ekspertyzą.

— Dobra! — wrzasnęłam. — Nie znam się na tym! Po prostu wybrałam najwygodniejsze rozwiązanie! Dla leniwych... A do pracy i tak jeżdżę z Darkiem.

— Niech ci będzie — zgodził się niechętnie Łukasz. — Baby... Poza tym nic się nie działo? Absolutnie nic? — zapytał z naciskiem.

— Oprócz afery na imprezie waszej matki nic — zeznałam. — Poza tym, że Daro chciał spuścić łomot koledze Krzyśka, który mnie podrywa w pracy trochę zbyt... hm... natrętnie...

„Wiedziałam”, jęknęłam w duchu, gdy na wieść o wybrykach Marcuszka Łukasz wyhamował trochę zbyt nerwowo na światłach. Było siedzieć cicho...

Ale siedzieć cicho już nie było mi dane. Kiedy Łukasz z piskiem opon wystartował po zmianie świateł, z własnej inicjatywy streściłam Marcuszkowe szaleństwa florystyczne i upominkowe. Dla świętego spokoju wspomniałam o wymysłach Darka, w których Marek figurował jako główny podejrzany. Dopiero przy białym niedźwiedziu, który pozostał w charakterze maskotki w klubie, nieco przystopowałam ze szczerością. „No, teraz to mordolejstwo w ciemnej uliczce gwarantowane”, pomyślałam ze ściśniętym żołądkiem.

— Nie sądzę — wycedził Łukasz, przerywając mi snucie ponurych wizji na temat pełnej sińców, złamań i krwawej masakry przyszłości Marka. Spojrzałam na niego zdumiona.

— Jak to?

— On jest za głupi — mruknął Łukasz. — Ogólnie pomysł Darka ma sens, ale nawet gdyby gość wymyślił ten cały masterplan, to dyskretniej. A ten tu wchodzi w oczy każdemu, kto u was pracuje albo ćwiczy. Za bardzo się afiszuje z tą swoją obsesją, jak dla mnie.

— To rozumiem, że odpuscicie mu mordobicie? — spytałam z ulgą. Przynajmniej nie będę musiała wyciągać chłopaków z mamra za napaść na niewinnego...

— Pod warunkiem, że uda się go spławić jakoś inaczej — skrzywił się Łukasz i struchlałam na nowo. — Wolałbym, żeby inni faceci nie kręcili się zbyt blisko.

— A, zazdrość, rozumiem — pokiwałam głową i przypomniałam sobie radę Krzyśka. Może po obejrzeniu kilka razy obejmującego mnie czule bruneta, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, Marek faktycznie odpuszczi?

Pomysł zastąpienia rano Darka w roli transportu przypadł Łukaszowi do gustu.

— Zdążymy, spotkanie z szefem mam na dziesiątą. Przyjadę o wpół do dziewiątej — powiedział, gdy zatrzymaliśmy się na parkingu przed domem pani Elizy. — Po południu jedź już z Darem załatwić to okno, niech będzie... Nie, nie wejdę z tobą do domu.

Wzruszyłam ramionami i objęłam Łukasza, gdy nachylił się, by mnie pocałować.

— Masz odbierać telefon, być grzeczna i nie dać się podrywać innym facetom — wyszeptał mi do ucha, pieszcząc skórę na szyi i karku z tłumioną z trudem namiętnością.

Gorący oddech przywołał wspomnienie popołudnia. Przysunęłam się bliżej, zatapiając palce w gęstych, czarnych włosach. Drugą rękę wsunęłam pod koszulkę, wodząc delikatnie dłonią wzdłuż kręgosłupa Łukasza, który coraz mocniej przyciągał mnie do siebie.

— Zgaś światła — wymruczałam, tknięta resztką odbiegającego rozsądku. — Stoimy pod domem...

— Daj spokój, mają lepsze zajęcia, niż tkwić w oknie...

„Oby”, pomyślałam, wysiadając z samochodu piętnaście minut później i przeczesując nerwowo włosy.

— Matko, nawet na studiach tak nie szalałam. Że też ci nie wstyd... Żeby tak zaraz pod nosem rodziców... — mruknęłam. — Przez ciebie wariuję na starość...

— Daj spokój, przecież nie poszliśmy na tylne siedzenie — zachichotał Łukasz. — Tu się nic takiego nie działo...

— Nie, wcale — przewróciłam oczami.

Na myśl o niczym roześmialiśmy się głośno.

— Zadzwoń wieczorem — Łukasz odgarnął mi z czoła niesforną grzywkę.

— Do jutra, kochanie.

Pomachałam do niego na pożegnanie i przez chwilę patrzyłam za grafitową hondą, dopóki nie skręciła w główną ulicę. Upojona czułością i euforią, z jaką po raz pierwszy w życiu pozwoliłam sobie myśleć o jakimkolwiek związku, lekkim krokiem podbiegłam do prowadzących na ganek schodków. „Ojoj”, pomyślałam beztrosko i schyliłam się, żeby podnieść paczkę chusteczek, która wysunęła mi się z kieszeni. Wcisnęłam zgubę do bocznej kieszonki pasa, po czym energicznym krokiem pokonałam schody.

— No, do cholery — mruknęłam pod nosem, próbując dostać się do kluczy.

— Jest!

Zadowolona ruszyłam w kierunku drzwi, podnosząc rękę z kluczami, gdy dotarło do mnie, że nie jestem na ganku sama. Zachłysnęłam się powietrzem na widok barczystej, męskiej sylwetki, opartej o drzwi wejściowe. Mężczyzna stał ze skrzyżowanymi ramionami i pochyloną głową, przytupując niecierpliwie.

Diabli nadali, ciemno tu, Daro miał naprawić to przekłete światło! Wrzeszczeć, uciekać? Coś, co go zaskoczy, żebym miała odrobinę czasu... Narastająca w gardle panika skutecznie tłumiała jakikolwiek głos.

W przeblýsku natchnienia powoli wysunęłam rękę w kierunku małej półeczki, na której pani Eliza zostawiała zraszacz do hodowanych w doniczkach na ganku kwiatków. Pozostała część mnie trwała sparaliżowana na miejscu.

Oparty o drzwi mężczyzna położył dłoń na klamce. Spanikowana myślą o domownikach, na których bezmyślnie ściągnęłam niebezpieczeństwo, wrzasnęłam. Strach zdopingował mnie do wydania z siebie głosu tym skuteczniej, że choć natrafiłam ręką na półeczkę, zamiast zraszacza chwyciłam powietrze. „Głośniej, idiotko...”

Nie zdążyłam wydać z siebie kolejnego okrzyku, gdy facet zniecierpliwionym gestem nacisnął na klamkę.

— Chodźże, do cholery — zasapał poirytowanym głosem. — Właśnie jemy kolację.

Trzymający mnie w miejscu paraliż przeistoczył się w dziwne dygotanie w okolicy kolan. Oparłam się o balustradę i przez dłuższą chwilę próbowałam odzyskać kontrolę nad szaleńczym łomotaniem serca.

— Szlag — wytchnęłam. — Daro, jeśli ja w tej chwili mam zawał...

— Jaki zawał, co ty chrzanisz? — skrzywił się Darek. — Widziałem, że podjechaliście, długo nie wchodziłaś, to poszedłem zobaczyć, o co kaman.

— Cholera... — jęknęłam. — Jak długo tu sterczysz?

— Hm... Wystarczająco długo — poinformował mnie Dariusz. — Wystarczająco, żeby obejrzeć ten przeskok od nienawiści do namiętnej miłości...

A wydawało mi się, że ostrzegałem cię przed robieniem głupot...

— Coś tam trułeś — przyznałam niechętnie. — Ale wiesz co? Będę wdzięczna, jeśli pozwolisz mi jednak na te głupoty.

— Aleksandro, to nie jest...

— Proszę — przerwałam stanowczo, zanim Darek się rozpędził. — Daro, zrozum. Jestem szczęśliwa.

— O Jezu — wymamrotał Darek i wreszcie się zamknął.

Reszta rodziny nie została uszczęśliwiona dokładną relacją z miejsca zdarzenia. Skierowana na tematy szklarza i mojego powrotu do własnego domu rozmowa nie sprzyjała wnikaniu w szczegóły intymnych relacji między mną a Łukaszem. Niezadowoleni z perspektywy wtorkowej wypowiedzi domownicy całą energię spożytkowali na przekonanie mnie, że to bardzo zły pomysł. Im dłużej trwał magiel, tym bardziej miałam ochotę zaszyć się w pokoju, spakować i cichcem zwać przez okno. „Nadgorliwość gorsza od faszyzmu”, pomyślałam, dziękując w duchu Beatce, która ku mojej ogromnej uldze ucięła wreszcie temat, z właściwym sobie pragmatyzmem przytaczając argument, że najlepszym wariantem ochrony będzie bliskie sąsiedztwo psa klasycznej rasy bojowej. Ostatecznie, skoro już takiego posiadamy, niech ta bojowość się na coś przyda, tłumaczyła.

Pani Eliza z filuternym uśmiechem rzuciła jakąś uwagę na temat właściciela psa klasycznej rasy bojowej, co z kolei wywołało burkliwy komentarz ze strony jej męża. Darek odpuścił udział w dyskusji zasadniczej, zmuszony do skupienia się raczej na zażegnaniu awantury pomiędzy rodzicami. Ostatecznie sytuację uratował szklarz, niejaki Radosław Piąska, znajomy pana Antoniego.

— Zadzwoń do niego, obiecał podjechać z tą szybą po osiemnastej — mruknął pan Antoni, odrywając się na chwilę od tematu psów bojowych i ich właścicieli. — Dam ci numer, Olencja, zadzwoń do niego z rana i podaj mu wymiary okna.

Dzięki panu Piąsce atmosfera uległa poprawie. Zaaferowany moim oknem, pan Antoni odpuścił Łukasza i pospieszył podyktować mi namiary na znajomego.

W łóżku wylądowałam tuż po jedenastej. Szykując się do snu, zerkałam co chwilę na ekran telefonu, który uparcie odmawiał informacji o nieodebranych połączeniach lub chociaż wiadomości. Wylądowałam frustrację na zębach, trąc je szczoteczką i systematycznie, warstwa po warstwie, zdzierając sobie szkliwo. Kiedy nadmiar spienionej pasty w zestawieniu z podkrążonymi oczami i dzikim z niepokoju spojrzeniem nadał mi wygląd jednostki chorej na wściekliznę, komórka nadal milczała. „No, to byłam szczęśliwa”, pomyślałam z goryczą, choć serce z uporem odrzucało myśl o niespełnionych, zlekceważonych obietnicach, nawet tak błahych, jak chwila rozmowy wieczorem. Zasnęłam z głową nabitą wątpliwościami.

Było pamiętać, że Łukasz ma bardzo luzackie podejście do czasu, już je

poznałam podczas księżycowej randki. Zamiast tego poderwałam się z łóżka z wrzaskiem, zbudzona dźwiękiem telefonu.

— Wieczorem, nie o wpół do pierwszej w nocy — wymamrotałam do słuchawki, jednak na dźwięk ukochanego głosu przez rozespany umysł przemknęła myśl, że właściwie godzina jest mi zupełnie obojętna... Byłam skłonna oddać każdą sekundę bezcennego dotychczas snu za ciepło, którym otulały mnie kojące samotność słowa Łukasza.

* * *

— O — rzuciła mile zaskoczona widokiem grafitowej hondy pani Eliza, wyglądając rano przez okno w kuchni. — Przyjechała ochrona full wypas.

— Nie taki full — mruknęłam. — Dragon został w domu, bo Łukasz potem jedzie załatwiać sprawy służbowe.

Odprowadzana znaczącym uśmiechem, wyszłam z domu i wsiałam do auta. Jeszcze bardziej znaczące spojrzenia przywitały mnie na parkingu przed pracą.

— Naprawdę poderwałamś mojego sąsiada — zapał z podziwem Marcin, który przyjechał jednocześnie z Darkiem, kilka sekund przed nami.

— I mojego brata — sapnął Dareczek, demonstrując umiarkowane zadowolenie na widok odwożącego mnie Łukasza. — Rozumiem, Aleksandro, że po pracy jedziemy do ciebie i czekamy na pana Radzia.

— A i owszem — przyświadczyłam. — Dzwoniłam do niego rano, pojawi się po siedemnastej.

Żywo zainteresowany moim życiem osobistym Marcin nie chciał odpuścić.

— Ty, on też tak będzie świrował z kwiatkami? — chciał wiedzieć.

— Nie, on jest normalny — burknęłam. — A ten świrujący kiedy ma teraz trening?

— Jutro od rana — nastawiony na kolejne atrakcje Marcin zrobił rozczarowaną minę. — Ciebie jutro nie ma?

— I chwała Bogu — odetchnęłam.

Godzinka na bieżni i druga skoncentrowana na treningu wzmacniającym z panią Halinką szybko wybiły mi z głowy świrowanie Mareczkowego autorstwa. Szczelnie zapchany przez Darka zajęciami dzień ogólnie nie sprzyjał refleksyjnemu nastawieniu do świata. Napędzana dodatkowo nagromadzonymi i produkowanymi systematycznie od wczoraj endorfinami, w biegu między jednymi a drugimi zajęciami, wreszcie znalazłam chwilkę, by podejść do Małgosi w sprawie imprezy integracyjnej.

— Lista pełna — Małgośka rzuciła mi na ladę świstek, który kilka dni wcześniej wywiesiliśmy w szatni dla personelu. — Prawie wszyscy z osobami towarzyszącymi. Jeszcze ty się musisz dopisać — uśmiechnęła się znacząco.

— Jako organizator nie muszę się spowiadać — rzuciłam buńczucznie, jednak ku zachwytowi Małgosi szybko wpisałam się razem z Łukaszem. — No co, odczep się, dobra?

— Brakuje mi jeszcze pani dietetyk — Małgosia poprzestała na kilku głupawych uśmieszkach, po czym skoncentrowała się na meritum sprawy.

— Pewnie przyjdzie — wzruszyłam ramionami. — Mam wrażenie, że to dość otwarta, fajna dziewczyna. Zapytam. Jak ona ma grafik?

Gosia wprawnym ruchem przewertowała kalendarz.

— W tym tygodniu wtorek, czwartek i sobota — mruknęła. — Pozostałe dni ma klientów spoza klubu. Ona chyba własną firmę rozkręca, coś tak słyszałam od szefa...

— Jutro mnie za to nie ma — pokręciłam głową rozczarowana. Bardzo liczyłam na spotkanie z nową koleżanką i zbadanie, na ile trafnie moja intuicja zwęszyła w niej bratnią duszę. — Pogadaj z nią o tej imprezie. Jak będzie chciała, wyślij jej na maila wszystkie informacje.

Wpadłam do szatni wrzucić nagryzmołoną listę chętnych do torby i czym prędzej wyprysłam na ostatnie tego dnia zajęcia. „*Step and shape* and litry wylanego potu”, jak złośliwie określił Darek układy choreograficzno-wzmacniające z wykorzystaniem stopnia, jak zwykle w poniedziałkowe popołudnie zgromadziły stałe grono fanek wypocenia weekendowego obżarstwa. Tym razem skład ekipy uległ lekkiej modyfikacji.

— Dzień dobry, na wycisk to tutaj? — pomachała do mnie Agnieszka, którą dostrzegłam na tyłach sali.

* * *

— To jak z tym wyciskiem? Usatysfakcjonowana? — zagadnęłam, gdy dziewczyny po skończonych zajęciach odkładały sprzęt.

— Właśnie sobie przypomniałam, że posiadam takie coś jak mięśnie tyłka — stęknęła Aga, krzywiąc się boleśnie.

— Zostań sobie jeszcze na jodze u Oliwki — poradziłam życzliwie. — Dobrze się rozciągniesz, a w najgorszym razie poza mięśniami będą cię jeszcze bolały stawy.

— Dziękuję, postoję...

Zagadnięta o imprezę, Agnieszka, zgodnie z moimi przewidywaniami, z dużym entuzjazmem dopisała do listy chętnych swoje nazwisko i adres mailowy, na który zobowiązałam się jeszcze dziś wieczorem wysłać informacje organizacyjne. Sobie obiecałam natychmiast poinformować Marcina o braku osoby towarzyszącej, gdyż nasza pani dietetyk wpisała się solo.

Sugestia o dziewięćdziesięciminutowym maratonie jogi dla zaawansowanych chyba naprawdę nie przekonała Agi.

— To nie na moje skostniałe gnaty — machnęła ręką, gdy szliśmy do szatni. — Wpadłam się trochę rozruszać. Może jak popracuję tu dłużej, to za swoją formę też się wezmę. Będzie mi wstyd przed klientami — zachichotała.

Niewielka powierzchnia, podzielona na niedające satysfakcjonującej swobody ruchu połowy, którą szef postanowił uszczęśliwić personel, przeznaczając ją na szatnię dla pracowników, posiadała tylko dwa prysznice: jeden w męskiej, drugi w damskiej części. Do wyjścia zostało mi niecałe pół godziny, przebrany Darek kręcił się już w okolicy recepcji, więc zamiast nietaktownie popędzać kąpiącą się Agnieszkę, wzięłam od Gośki kluczyk do pierwszej lepszej szafki i pognałam pod prysznic w szatni dla klientów. Przy okazji planowałam przetestować wprowadzone pod nieobecność Darka zmiany i sprawdzić, czy słusznie groziło mi obdarcie żywcem ze skóry.

Po kąpieli wygodnie wysuszyłam włosy i zrobiłam makijaż, gratulując sobie niesubordynacji i wynikających z niej ulepszeń. Dodatkowe lustro, zamontowane w niewykorzystanej dotąd wnęce, i wzmocnione oświetlenie dawały pełną swobodę ruchu, pomimo narastającej popołudniami w szatni ciasnoty. „Kto pierwszy, ten lepszy”, wzruszyłam ramionami na wspomnienie pieklącego się o zajęcie wnęki Darka, który w bliżej nieokreślonej przyszłości planował przerobić ją na schowek na papierowe ręczniki, mydła w płynie i inne środki czystości, zajmujące obecnie miejsce w wąskiej, wysokiej szafce w naszym kantorku. Pomysł może i nie był głupi, jednak wygoda klientów była dla mnie priorytetowa w stosunku do wygody pani sprzątaczk. Pozytywne komentarze, jakie wychwyciłam w rozmowach klientek, mile połechtaly moje ego. Żeby test jakości był kompletny, zweryfikowałam stopień precyzji wykonanego makijażu w trenerskiej szatni, do której wróciłam po bluzę i buty. „Powinnam zostać projektantem wnętrz”, pomyślałam, z satysfakcją przeglądając się w lustrze.

Upojona sukcesem podeszłam do szafki. Nękana sklerozą na tle pourazowym, raz za razem przypomiinałam sobie o zabranii próbek kosmetyków, które po znalezieniu pamiętnej koperty zostawiłam na górnej półeczce. Leżały tam sobie spokojnie, nie wadząc i nie zabierając zbyt wiele miejsca i pewnie leżałyby do sądnego dnia, gdyby nie deficyt kremu pod oczy, który zarejestrowałam wczorajszego wieczoru. Zastanawiając się, czy wśród próbek znajdę stosowną, która pozwoli mi przetrwać do kolejnej wizyty w galerii handlowej, z roztargnieniem wsunęłam w zamek kluczyk i spróbowałam przekręcić.

— Co znowu? — mruknięłam zaniepokojona.

Krótką chwilą manipulacji wystarczyła, by ujawnić przyczynę, dla której nie mogłam przekręcić kluczyka.

Najzwyklejniej w świecie szafka była otwarta.

„Jezu, aż tak mnie siepie skleroza”, pomyślałam zaniepokojona. Niemożliwe, żebym po latach wypracowanego nawyku starannego zamykania

wszystkiego na klucz i sprawdzania po pięć razy, ot tak sobie zatrzasnęła drzwiczki, zostawiając beztrosko dokumenty, portfel, klucze do mieszkania i całą resztę towarzyszącego mi w pracy majątku.

„Zmęczenie”, pomyślałam i wzięłam głęboki oddech. Stres, zmęczenie i nic więcej. Żadne czary-mary ani początki demencji starczej. Jestem zbyt piękna, młoda i sprawna, by poziom cholesterolu do tego stopnia przełożył się na zaniki pamięci.

Pokrzepiona logicznym wytłumaczeniem, wygarnęłam do torby wszystkie próbki jak leci. Przelotne spojrzenie na zegarek zmotywowało mnie do podjęcia decyzji o dokonaniu segregacji w domu. Lada moment Daro zacznie tupać nerwowo pod szatnią, marudząc o przysłowiowych babskich pięciu minutach. Pchnęłam drzwiczki szafki, dopychając je kolaniem i mamrocząc pod adresem niebios dziękczynną modlitwę za panującą na dworze przyjemną i nadal ciepłą aurę, która pozwoliła mi oszczędzić kilka minut, jakie zmarnowałabym, zmieniając klapki na bardziej stosowne obuwie, a potem wysłuchując zrzędzenia Darka. Grzebiąc jedną ręką w torbie w poszukiwaniu komórki, drugą chwyciłam tkwiący nadal w zamku kluczyk i spróbowałam przekręcić.

Kluczyk początkowo dał się przekręcić całkiem łatwo. „Za łatwo”, pomyślałam niespokojnie, gdyż zazwyczaj cholerstwo wymagało użycia odrobiny siły i często się blokowało. Tym razem mechanizm obrócił się gładko raz, drugi, trzeci, nie uruchamiając blokady drzwiczek...

— Nie wierzę...

Przez chwilę stałam, gapiąc się na zepsuty zamek w totalnym osłupieniu.

— Coś się stało? — usłyszałam za sobą głos Agnieszki, która wyszła spod prysznic.

— Mały problem techniczny z szafką — mruknęłam.

„Czyżby intuicja zawiodła”, przemknęło mi przez myśl. Nie było mnie przez kwadrans, wystarczająco dużo czasu dla pozostawionej samotnie osoby, by się wykapać, rozwalić zamek i urządzić mi rewizję torby. Albo coś podrzucić... Przypadek czy prześladowający mnie psychopatyczny złośliwiec przybrał wreszcie materialną postać?

Omiotłam wzrokiem wewnątrz szafki. Pusto, żadnych kopert, żadnych braków, nie wygląda, by cokolwiek dostało nóżek i ulotniło się z mojego stanu posiadania.

— Mam chyba zepsuty kluczyk do szafki. Cholera, boję się, że zostawiłam zapasowy w domu — powiedziałam, przerzucając wewnątrz torby sportowej i torebki w poszukiwaniu wymyślanego kluczyka.

Agnieszka przyglądała się moim poczynaniom w lustrze, przed którym stała, upinając włosy.

— W recepcji Gosia na pewno ma zapasowy, zapytaj — poradziła.

— Masz rację, dzięki — mruknęłam z roztargnieniem.

Niczego nie brakuje, śladów przekopywania się przez zawartość torby nie widać... Wszystko tak, jak zostawiłam, ale to jeszcze nic nie znaczy. Zapięłam torbę i jeszcze raz zerknęłam do szafki, doskonale świadoma, że problem nie tkwi w kluczyku, tylko mechanizmie i żadne zapasowe kluczyki tu nie pomogą. Powiedzmy, że dyżurny ręcznik, szczotkę do włosów i paczkę chusteczek higienicznych mogę bez obaw zostawić w otwartej szafce. Na najnowszy numer „Shape” też machnęłam ręką, bo za drzwiami rozległ się głos Darka, wyrzaskujący coś o babskiej skłonności do guzdrania.

— Już, zaraz! — odwrzasnęłam, blokując prowizorycznie drzwi szafki zwiniętym kawałkiem kartki, wyciągniętej naprędce z torby.

— Przepraszam, muszę lecieć — rzuciłam w stronę przebierającej się bez pośpiechu Agnieszki. — Do zobaczenia!

— Trzymaj się, pa — uśmiechnęła się Aga. — I spytaj o ten kluczyk, niemożliwe, żeby nie było kopii.

— Drobiazg — machnęłam ręką z udawaną beztroską. — I tak tam nie zostawiam nic cennego...

Po wyjściu z szatni nadziałam się na naburmuszonego Darka, który natychmiast podstawił mi pod nos zegarek.

— Ile można...

— Zamknij się — syknęłam, ciągnąc go do wyjścia. — Chyba ktoś mi grzebał w szafce, mam rozpieprzony zamek.

— Nie przesadzasz? — po pamiętnym pościgu ze zgubionym portfelem w roli głównej Darek ostrożnie odnosił się do kolejnych przejawów sensacji. Zafiksowany wokół własnej teorii na temat niekonwencjonalnych metod podrywu stosowanych przez Marka, nie miał ochoty zmieniać wygodnej koncepcji. — Tego całego Marcinka nie było dzisiaj ani wczoraj w klubie. Mechanizm się wyrobił, wielkie halo.

— Mechanizm ot tak se się nie psuje — warknęłam. — Cały czas chodził z oporem i teraz nagle kręci się jak karuzela? Totalnie bez połączenia z blokadą? Zauważyłabym, gdyby nawalał.

Takie argumenty były nie do odparcia i Darek z niechęcią przyznał mi rację.

— Pokaż tę szafkę — mruknął, zawracając w kierunku szatni.

— Nie teraz — przystopowałam go. — W szatni jest ta nowa dietetyczka.

— Oła, błagam, oszalałaś!

— Cicho — wycedziłam. — Spieszyłam się, więc poszłam się wykapać do szatni dla klientek. Szafkę zamknęłam, zamek działał. Jak wróciłam, była otwarta, a mechanizm spieprzony. Tylko ona była w międzyczasie w trenerskiej szatni. Możesz to wytłumaczyć?

W odpowiedzi Darek zasapał nerwowo i miotnął się kilkakrotnie w kierunku

szatni, recepcji oraz kantorka.

— Teraz odpuść, spóźnimy się — przerwałam mu wreszcie bezsensowne wypady. — Przegadamy sprawę w aucie.

Dojazd do mnie zajął nam wystarczająco dużo czasu, by wysnuć kilka kretyńskich pomysłów na temat ewentualnych motywów Agnieszki, które mogłyby ją zmobilizować do zorganizowania akcji zatruwania mi życia. Że nasze pomysły są absurdalne, czuliśmy instynktownie, natomiast na ich dopracowanie lub definitywne obalenie czasu i argumentów już nam zabrakło. I choć pan Radzio Piąska ze wstawieniem nowego okna uporał się nad wyraz sprawnie, oboje myślami zdążyliśmy odbiec od tematu na tyle daleko, że sprawy przyziemne pochłonęły nas doszczętnie tuż po wyjściu z mieszkania. Ja, coraz bardziej zde gustowana nagromadzoną przez ponadtygodniową nieobecność warstewką kurzu, próbowałam rozplanować na jeden wolny dzień gruntowne sprzątnięcie, zakupy i posegregowanie zalegającej w skrzynce poczty. Darek powoli zaczął odczuwać skutki całotygodniowego latania między mieszkaniem swoim i rodziców. Nie do końca mieliśmy ochotę się przyznać, jednak zmęczenie i ciągłe napięcie wywołane sensacyjną atmosferą, jaka zaległa się wokół mojej osoby, powoli wytłumiały stres i pompowaną w nadmiernych ilościach adrenalinę. A może po prostu byliśmy już tak spragnieni odrobiny codziennej nudy, której uroków do tej pory nie było nam dane docenić.

O nowych atrakcjach na razie postanowiłam nie wspominać Łukaszowi. Chwila oddechu była potrzebna i jemu, i mnie. Mnie — żeby odgruzować mieszkanie bez błakającego się po mokrych podłogach faceta. Łukaszowi — żeby skupić się na sprawach zawodowych. Intensywny, rozplanowany w najmniejszych szczegółach początek tygodnia wymagał od niego maksymalnej koncentracji, a nie wariackiego wyścigu pomiędzy sprawami prywatnymi a obowiązkami służbowymi. Podczas wieczornej rozmowy zdołałam go przekonać, że oprócz podwiezienia w dogodnych dla niego godzinach do domu, nie mam potrzeby zawracać mu głowy. Umówiliśmy się na wtorek na ósmą.

Zasób dobrodziejstw i życzliwości, jakich doświadczyłam od rodziców Darka, nie pozwalał mi wyjechać bez drobnego choćby gestu podziękowania. Ponieważ znałam namiętność całej rodziny do domowych pierogów, a także szczerą niechęć, z jaką feministycznie nastawiona pani Eliza podchodziła do wielogodzinnego stania przy garach, pomysł nasunął mi się błyskawicznie. W drodze powrotnej poprosiłam Darka o wysadzenie na parkingu pobliskiego marketu. Nabywszy ponad kilogram mięsa i innych niezbędnych składników, wróciłam do domu piechotą i uśmiechnęłam się o udostępnienie kuchni na kilka najbliższych godzin.

Zgodnie z przewidywaniami zafundowanie tygodniowych wakacji na Majorce nie wytrzymałoby konkurencji z obietnicą zapełnienia półki w

zamrażalniku domowymi pierogami z mięsem. Kręcący się zazwyczaj w kuchni wieczorem w poszukiwaniu czegoś słodkiego pan Antoni obiecał solennie tym razem nie przeszkadzać i zaszył się w gabinecie. Jego małżonka, choć bardziej skłonna do nabycia gotowych pierogów i włożenia w ich przygotowanie wysiłku w postaci wrzucenia do wrzącej, nie zawsze osolonej wody, tym razem zamelinowała się w kuchni ze mną. Wykrawanie pierogów, sklejanie i wyciskanie widelcem ozdobnych wzorków uznała za interesującą rozrywkę. Wystarczająco interesującą, by odpuścić dokładny, zapowiedziany w sobotę magiel w kwestiach dotyczących skomplikowanych relacji między mną a jej młodszym synem.

Następnego dnia, kilka minut przed ósmą pożegnałam się z domownikami i uginając się pod ciężarem własnym dobytku, przygotowanej przez panią Elizę paczki żywnościowej oraz licznych przestroóg i błogosławieństw, powoli zesłam na parking, na spotkanie nadjeżdżającej grafitowej hondy.

— Spokojnie, twój ojciec już wyjechał — uspokołam rozglądającego się nerwowo Łukasza. — Możemy jeszcze wejść na kawę, jak chcesz pogadać chwilę z mamą.

— Dziękuję, nie skorzystam — padła natychmiastowa odpowiedź. — Nie mamy tyle czasu, zresztą chciałbym cię jeszcze odprowadzić i obejrzeć okno, czy jest porządnie zrobione.

— Dla mnie bardzo porządnie — wzruszyłam ramionami. — Myślałam, że wykorzystasz chwilę nieobecności ojca. Ostatecznie od soboty za dużo chyba z mamą nie rozmawiałeś.

— I tu się mylisz — jęknął Łukasz. — Nie osobiście, ale wczoraj po południu miałem ochotę wyłączyć telefon.

To by wyjaśniało, dlaczego mnie się upiekło. Zmieniony został po prostu obiekt maglowania.

Byłam ciekawa, jakie zeznania wyciągnęła z syna pani Eliza, jednak Łukasz za bardzo się spieszył. Poza tym zależało mu na skierowaniu rozmowy na bardziej praktyczne tematy.

— Oluś, przez najbliższe trzy dni będę miał obłąd w robocie. Muszę dokończyć artykuł i trochę pojeździć po salonach kilku marek.

— Rozumiem, będziesz zajęty — rzuciłam beztrąsko i nagle mnie zmroziło. — Jakieś konkretne marki? — zapytałam ostrożnie. Przy obecnym stanie rzeczy, nie daj Bóg, diabli zanoszą go do sucholeskiej Toyoty... Krzysiek, Mareczek i ukochana kuzynka — kwintesencja kłopotów, proszę państwa.

— Głównie francuzy — usłyszałam i odetchnęłam z ulgą. Poza gruntownie zakorzenionym w ostatnim czasie wstrętem do aut marki Toyota nie zamierzałam czepiać się wymagających okresowo intensywnego zaangażowania obowiązków zawodowych Łukasza.

— Do kiedy to wariactwo? — zainteresowałam się.

— W czwartek oddaję artykuł, potem powinien być spokój przez jakiś czas — westchnął Łukasz. — Najgorzej zapowiada się jutro.

— Nie będę zawracać ci głowy — obiecałam wspaniałomyślnie. — Zadzwoń na chwilę wieczorem, dobrze?

— Trochę inaczej to widzę — mruknął Łukasz. — Słuchaj, mam prośbę. Wyjeżdżam z domu koło ósmej, wrócę wieczorem. Mogłabyś zaopiekować się Dragonem? Nie wiem, podrzucę ci go rano albo zostawię ci klucze i podjedziesz do niego w ciągu dnia...

— Nie ma sprawy, jak wolisz — perspektywa opieki nad piesem-bieśsem bardzo mi odpowiadała. Szczególnie że niedostatecznie wybiegany od rana, Dragon mógł być idealnym partnerem na długi trening...

— Sam nie wiem — zastanowił się Łukasz. — Chyba lepiej, żeby został w domu. Ty jutro idziesz do pracy. Wolę, żeby z nudów demolował moje mieszkanie.

Tok rozumowania był całkiem sensowny, zwłaszcza w obliczu gruntownej jazdy ze szmatą i odkurzaczem, jaką zamierzałam skutecznie zaraz po powrocie do domu. Trzeba spakować ciuchy do biegania i zabrać je do pracy. Potem wykąpię się u Łukasza i wrócę autobusem. Albo i pieszo, jak będzie ładnie... Zaraz, zaraz, co tam?

Zmusiłam się do przzerwania snucia planów na jutrzejsze popołudnie, gdyż Łukasz domagał się odpowiedzi na jakieś pytanie, którego treść nie do końca do mnie dotarła.

— Ola, twój samochód. Dobrze pamiętam, że odbierasz go w poniedziałek? — powtórzył cierpliwie.

— Jakoś rano, przed pracą — przytaknęłam. — Jutro do ciebie podjadę z Darkiem albo z Marcinem.

Wzmianka o osobniku, którego imię rozpoczynało się na „m”, zaczynała działać na Łukasza jak płachta na byka. Krótkotrwała i znana tylko z mojej relacji działalność Marcinka zostawiła głębokie ślady na jego duszy i umyśle.

— To ten, co tak się płacze? — wycodził.

— Nie, to Mareczek był — pospieszyłam z odpowiedzią, bo szczękościsk na twarzy Łukasza postępował bardzo gwałtownie. — Marcin to kolega z pracy, okazało się, że również twój sąsiad. Taki młody, wysoki, trochę rudy... Mieszka na tym samym piętrze co ty.

— A, już kojarzę — relacje sąsiedzkie widocznie układały się bez zgrzytów, bo na wspomnienie sąsiada Łukasz rozluźnił szczęki. — On biega, zdaje się? I na rowerze dojeżdża do pracy?

— I szaleje za dietetyczką, którą szef zatrudnił w zeszłym tygodniu — uzupełniłam z ulgą. — Dokładnie ten.

Wzmianka o szaleństwie ugruntowała życzliwe nastawienie Łukasza wobec sąsiada. Entuzjastycznie zareagował na pomysł wykorzystania go w charakterze

taksówki.

— Nawet dobrze się składa — mruknął. — Czyli ten Marcin podwiezie cię do mnie...

— A potem wrócę sobie autobusem — dokończyłam.

— Nie zaczekasz na mnie? — Łukasz wyglądał na rozczarowanego.

— Ja bardzo chętnie... Ale mówiłeś, że wrócisz późno. Nie chcę, żebyś potem jeszcze mnie odwoził, będziesz wystarczająco zmęczony.

— No racja — przyznał niechętnie Łukasz. — Pewnie i tak jeszcze w nocy będę musiał posiedzieć...

— Komunikacja miejska nie jest taka najgorsza — pocieszyłam go.

— Nie ma mowy — Łukasz miał inne zdanie.

— Mam się teleportować?

— Do czwartku zostawię ci auto.

Tak wybornej alternatywy dla nowych wprawdzie, ale bardzo awaryjnych autobusów jeżdżących po Poznaniu się nie spodziewałam.

— Zaraz, zaraz — powiedziałam. — Ty podobno masz jeździć, a nie siedzieć z tyłkiem przyklejonym do krzesła przed komputerem. Jak się zamierzasz przemieszczać?

— Ha! Samochodem służbowym — wyszczerzył się Łukasz z zadowoleniem. — Dostałem do przetestowania nowe renault talisman. Rano jadę taksówką je odebrać, więc od Dragona możesz wrócić hondą. Kluczyki i dokumenty zostawię ci w szafce obok łóżka. Z alarmem sobie poradzisz?

„Skoro poradziłam sobie raz, poradzę i drugi...”

— Przewieziesz mnie tą limuzyną? — zainteresowałam się.

Łukasz parsknął śmiechem.

— To żadna wielka limuzyna, Oluś. Fakt, komfortowe auto, ma zastąpić na rynku Lagunę. Jak będziesz chciała, to możemy się w czwartek przejechać. Jakoś to zorganizujemy.

— Bardzo chętnie — podchwyciłam. — Choć minę miałaś taką, jakby ci dali najnowszy model Jaguara.

— Kiedyś tam dali — mruknął Łukasz.

— Żartujesz! Kiedy?

— W marcu, jak wypuszczali XF-a... No co, jeszcze się nie znaliśmy!

— Bardzo szkoda — nadąsałam się.

— Cieszę się, bo ogólnie lubię testować samochody — wzruszył ramionami Łukasz. — Chociażby mam lepsze rozeznanie, czym sam chcę jeździć. I generalnie francuzów nie lubię. Bez urazy — mruknął.

— Wara od mojego peugeota! — warknęłam.

Obejrzawszy efekty pracy pana Piąski, Łukasz z zadowoleniem pokiwał głową. Jeszcze bardziej spodobała mu się informacja, że zapłaciłam tylko za szybę,

robocizną po znajomości mi odpuszczono. Pomimo rzekomego pośpiechu znalazł czas na dokładne obejrzenie zamków w drzwiach wejściowych. Troska w męskim wykonaniu była dla mnie zjawiskiem nowym i absolutnie fenomenalnym, jednak gdy przeglądając w kuchni wygarniętą ze skrzynki korespondencję, dostrzegłam przenikliwe spojrzenie lustrujące każdą kopertę i ulotkę, zakłętałam w duchu.

— Podejrzewasz, że wraz z zaproszeniem na pokaz zimowej pielęgnacji przysyłają mi z Douglasa bonus w postaci węglika? — zapytałam cierpko. — To samochodowe, masz.

— Toyota, Suchy Las — mruknął Łukasz. — Zdaje się, że nasza ulubiona. No, od nich to bym się węglika spodziewał.

— Teraz to bardziej ebola...

— Nie wszystko ci jedno?

Po jeszcze jednej krótkiej inspekcji i wygłoszeniu przemowy pełnej potępienia dla mojej lekkomyślności, Łukasz zaczął się zbierać do wyjścia. Zbierał się wyjątkowo ślamazarnie. Stojąc w przedpokoju, obserwowałam rozbawiona, jak wiąże buty, strzepuje ze skórzanej kurtki niewidzialne pyłki, wreszcie grzebie z roztargnieniem po wewnętrznych kieszeniach.

— Szukasz kluczy, żeby mi je zostawić? — zasugerowałam delikatnie, wyciągając rękę. — Dostanę zapasowy komplet, czy sobie zostawisz, a mnie dasz oryginalne?

— Niezupełnie — wymamrotał Łukasz i z ciężkim westchnieniem wydobył z kieszeni poszukiwany przedmiot.

Przez chwilę gapiłam się osłupiała na niewielkie, starannie zapakowane w ozdobny papier pudełko, które położył mi na dłoni. Choć drobne i lekkie, pod symbolicznym ciężarem domniemanej zawartości ugięły mi się nogi. „Wykluczone”, jęknął rozum, „wykluczone i niemożliwe! Znamy się zbyt krótko, zresztą wobec księżycowych randek nie spodziewałam się tak prozaicznej wersji wydarzeń”...

— Co to? — spytałam słabo, zaciskając palce na połyskującym pakunku.

Łukasz przez chwilę wpatrywał się w podłogę.

— Tak sobie pomyślałem — zaczął wreszcie, podnosząc wzrok. — Po tej nieszczęsnej sobocie. Twierdziłaś, że nie chcę ci zaufać i że bardzo ci to przeszkadza. No nie wiem, może to cię przekona, że nie miałaś racji...

Jeszcze na chwilę spuścił wzrok, jednak gdy drżącymi palcami zaczęłam rozrywać papier, podniósł oczy, zachłannie obserwując każdy mój ruch.

Po odwinięciu papieru trzymałam niewielkie, granatowe pudełeczko. „Za duże”, pomyślałam, przetykając ślinę. „To nie to...” Coraz bardziej zaintrygowana obracałam je w dłoni.

— Ola, nie chcę cię popędzać, ale otwórz może — usłyszałam niepewny głos Łukasza i nareszcie zdecydowałam się podnieść wieczko.

Na wyściełającej pudełeczko białej poduszczyce leżały klucze. Takie same, jak te, które w zeszłym tygodniu bezczelnie zwędziłam z torby Darka. Nawet breloczek wyglądał bardzo podobnie, wykonany z połyskującego metalicznym blaskiem, grafitowego kamienia. Gdy przyjrzałam się uważniej, dostrzegłam różnicę. Kamień w breloczku Łukasza był okrągły. W moim przyjął kształt doskonale wyszlifowanego serduszka.

— To chyba wystarczający dowód zaufania? — zapytał Łukasz, chrząknięciem maskując pobrzmiwającą w głosie niepewność. — Dorobiłem wczoraj dla ciebie... Miałem nadzieję, że zgodzisz się zająć psem, no i tak jakoś...

— Tak jakoś dziękuję — szepnęłam i wzruszona zarzuciłam mu ręce na szyję. — Tak jakoś to najlepszy dowód zaufania...

* * *

Orgia sprzątnięcia, prania i wymiatania nieprzyjemnych myśli na temat szafki, które ujawniły się po rozpakowaniu sportowej torby, pochłonęła mnie na cały dzień. Pozbywszy się kurzu, pozostawionego przez pana Piąskę i własną nieobecność, umyłam okna, wrzuciłam do pralki firany i rozszerzyłam zakres prac na pozostałe pomieszczenia. W głębi umysłu zamajaczyła wizja jakichś zakupów. Cała szopka z wybitym oknem miała miejsce w niedzielę, zakupy robiłam zazwyczaj w poniedziałek, więc tym razem dzień uzupełnienia produktów spożywczych wypadł. „Przydałby się samochód”, pomyślałam z niezadowoleniem. Targanie siatek na piechotę może i jest dobrym ćwiczeniem, ale mając w perspektywie pełną znacznie bardziej intensywnych ćwiczeń środę, niezbyt podobała mi się konieczność obciążania kręgosłupa. Przez chwilę rozważałam opcję wykonania krótkiego telefonu i zwinienia Łukaszowi hondy już dzisiaj. Zachomikowane w głębi duszy dla najbliższych osób i starannie przykryte warstewką asertywności resztki altruizmu powstrzymały mnie jednak przed zawracaniem mu głowy i zabieraniem dziś jeszcze potrzebnego auta. „Tego talismana jutro odbiera”, przypominałam sobie z rezygnacją i wybrałam opcję wypadu do sąsiadującego z moim blokiem Lidl. „Nawet lepiej, można odpuścić wyjściowy *look*”, uznałam i humor mi się poprawił. Pobieźnie przejrzałam zawartość lodówki, jeszcze bardziej pobieżnie obejrzałam się w lustrze i uznałam, że nie straszę. Nawet jeśli w starych portkach od dresu i bladą twarzą napotka mnie ktoś znajomy, z podpiętą grzywką i bez śladu ukochanej kredki do oczu zapewne i tak nie zostaną rozpoznana.

Dzień wolny od obowiązków służbowych uznałam za wolny również od świecenia przykładem i bez wyrzutów sumienia nabyłam średniej wielkości opakowanie mieszanki studenckiej. „Na jutro do pracy”, zdecydowałam i dorzuciłam orzechy w czekoladzie. Trzeba było podpytać Łukasza, co lubi, przez kilka wyczerpujących dni też by mu się przydało. Pani Eliza wspominała, że dla

niego dedykowany był deser kokosowy na sobotniej imprezie. Pożałowałam, że nie poświęciłam chwili na próbę identyfikacji pochodzenia czekoladowych okruszków na kanapie. Wafelki z kremem kokosowym powinny mu smakować... Krytycznie obejrzałam opakowanie. „Całkiem spore, będzie mógł sobie tym kruszyć do upojenia”, pomyślałam złośliwie.

Medytacje przy półce ze słodyczami przerwano mi, gdy zdecydowałam się wreszcie na wafelki i sięgałam po wybrane łakocie. Odruchowo wyciągnęłam brzęczący w kieszeni spodni telefon. „Ciekawe kto może dzwonić z zastrzeżonego numeru?”

— Halo? — rzuciłam, wolną ręką wrzucając zakupy do koszyka, i powoli skierowałam się w stronę pieczywa.

— Cześć, Oleńko — wytchnął znany mi głos. — Miałem nadzieję, że jednak się pojawisz na kolacji.

„Przyjazna, otwarta postawa, życzliwe nastawienie, cierpliwość wobec podopiecznych, inne pierdoły wciskane w ramach PR niech szlag trafi”, pomyślałam wściekła. W takiej sytuacji chyba przestają obowiązywać?

— Skąd masz mój numer? — syknęłam. — Jak śmiesz w ogóle dzwonić?

— Co, tak cię ten czaruś z hondą opętał? — w głosie Marka pojawiła się pretensja. — Podobno dziewczyny tak lubią dostawać kwiaty... Nie widziałem, żeby ci jakieś dał.

„Matko, co on pieprzy?” Nagle struchlała, zatrzymałam się w alejce z kosmetykami. „Gdzie on mnie widział z Łukaszem? Do pracy jechaliśmy razem tylko wczoraj, wczoraj go przecież nie było. Skąd wie, że się spotykamy? I że nie dostałam nigdy kwiatów?”

— Ostatni raz grzecznie proszę, żebyś mi dał święty spokój — zebrałam się w sobie, by wykrzesać z głosu twardy, obojętny ton. — Inaczej poproszę o usunięcie cię z klubu. A jak będę musiała, to pogadam z policją. Niepotrzebnie marnujesz forsy i czas. Nic z tego nie będzie.

— Mam nadzieję, że jeszcze zmienisz zdanie — westchnął Marek. — Przemyśl, czy warto spotykać się z byle kim.

— Już przemyślałam — warknęłam.

— Chyba nie do końca — cmoknął z przyganą Marek. — Pogadajmy, jak będziesz miała chwilę. To chyba niezbyt wygodnie tak z zakupami?

Zrobiło mi się gorąco.

— Zadzwoń jutro wieczorem — rzucił.

Z trudem opanowałam narastającą panikę.

— Nie zadzwonisz. Skasujesz mój numer i odwalisz się raz na zawsze! — wycodziłam przez zaciśnięte zęby. — Skąd go w ogóle masz?

— Do usłyszenia, Oleńko...

— Powiedz mi natychmiast, skąd masz mój numer! — wrzasnęłam, jednak

za odpowiedź musiał mi wystarczyć sygnał przerwania połączenia. — Szlag — syknęłam, ściągając na siebie zgorzzone spojrzenie starszej pani, czekającej cierpliwie, aż towarzyszące jej dzieci wybiorą czekoladę.

— Przepraszam — mruknęłam odruchowo i nie czekając na odpowiedź, ruszyłam w stronę kasy.

Swobodny krok cholernie utrudniało mi nieprzyjemne dygotanie w okolicy kolan. „Na tej zasadzie daleko nie zajdę... Jezu, wygląda na to, że to naprawdę świr... W dodatku doskonale poinformowany o tym, co robię...” Z trudem opanowałam narastającą histerię. Natrętny wielbiciel był wkurzający, ale natrętny wielbiciel łączy za mną krok w krok od nie wiadomo jak dawna, zdobywający jakoś mój numer telefonu i świetnie poinformowany o moim bardzo świeżym związku — to już niedobrze. Może Darek miał rację ze swoimi koszmarnymi wyobrażeniami o upiornej formie podrywu... Chyba należy zacząć się bać...

„Nie, no do cholery, bałam się na początku tego cyrku”, pomyślałam nagle oprzytomniała. Nadmiar stresu albo człowieka wykańcza i wpędza w permanentną paranoję, albo doprowadza do stanu, w którym lęk zaczyna ulegać przekształceniu w tak zwaną kurwicę i motywuje do skutecznego poszukania sposobu wyeliminowania trudności. Może dawniej groziłoby mi to pierwsze, jednak wkroczywszy raz na drogę buntu przeciw własnej słodkiej, kobiecej słabości, nie miałam ochoty zawracać w kierunku dawnego życia. „Koniec ery idiotów”, zgrzytnęłam zębami, potężnie zdopingowana wizją szczęścia u boku Właściwego Faceta. Normalnego Faceta.

Zastanawianie się nad tym, skąd Mareczek wykopał mój numer, zostawiłam sobie na później. W klubie nikt mu na pewno nie dał. Krzysiek moje podejście też już znał i bardzo wątpiłam, by pozwolił z siebie wydusić jakiegokolwiek informacje na mój temat. Za wyjątkiem tej, że mam już kogoś... Bingo! I już wiemy, jaką drogą dotarła do niego wieść o moim szczęściu... Ale tego, że Łukasz jeździ hondą, Krzysiek nie mógł mu sprzedać. „Jednak za mną łązi”, jęknęłam. Cholera, nawet na pewno, skoro wie, że jestem na zakupach!

Nie zdążyłam odejść daleko od usytuowanej przy wejściu alejki z pieczywem i słodyczami. O tej porze tabuny ludzi po sklepie się nie plątały. No dobra, rozejrzyjmy się...

Pozornie swobodnym, niespiesznym krokiem ruszyłam wzdłuż alejek, rozglądając się pod pozorem wybierania produktów. Minęłam kilku młodych facetów, z których żaden nie pasował do niedźwiedziowatej sylwetki z blond czupryną. „Gdzie ten gnojek? Na parkingu? Przez parking będę musiała przejść, zauważy i polezie za mną do domu... Albo nie pozwoli mi do niego dojść...”

Pragnienie zostawienia za sobą przykrych doświadczeń z idiotami rozmaitej maści było widocznie wystarczająco silne, by wykrzesać nagły przebłysk geniuszu. Nadal spacerując po sklepie, sięgnęłam po telefon i wybrałam numer Krzysztofa.

— Cześć, mam prośbę — powiedziałam. — Pamiętasz naszą rozmowę na temat Marka?

— Nie przeszło mu? — zainteresował się Krzysiek. — Dziwne. Ostatnio odpuścił gadanie na twój temat.

— Mam wrażenie, że się pogorszyło — wycedziłam i pokrótce przedstawiłam treść naszej rozmowy.

Reakcja Krzysztofa była krótka i wytrąciła mnie z równowagi.

— Niemożliwe — powiedział. — Nie wiem, skąd ma twój numer, ale od dziewiątej siedzi w salonie. Że dzwonił, tego nie wykluczam, ale stąd się nie ruszał.

— To skąd wie, co robię? — zapytałam, na nowo zdenerwowana. — Wspólnika ma, czy co?

Krzysztof przez chwilę milczał.

— No teraz ja też wiem, co robisz — stwierdził wreszcie. — Zakupy w Lidlu.

— Cholera, sami pieprzeni jasnowidze mnie otaczają — jęknęłam zdezorientowana.

— Wystarczy dobry słuch, myśl logicznie — pouczył mnie Krzysiek. — Przecież słyhać tę kretyńską melodyjkę w tle. Co chwilę puszczają informacje o promocjach. Głośno. Aleksandra, oducz się wreszcie snucia tych swoich wielkich teorii spiskowych.

„O, a miałam nadzieję, że życie mu dość nosa utarło”, pomyślałam, czując narastającą złość. Nieważne co się zdarzy, zawsze znajdzie okazję, żeby mnie pouczać i udowadniać swoje wyższe IQ.

Cięta, celująca poniżej pasa riposta czekała gotowa do wystrzelenia. W ostatniej chwili ugryzłam się w język. Udzielone informacje były bardzo pożyteczne, ostatecznie odsianie ich od wiecznego wymądrzania Krzysztofa pozwoli mi bez obaw wrócić do domu.

— Dziękuję, masz rację — a co mi tam, niech ma. — Jeśli nie masz nic przeciwko, to w razie potrzeby zadzwonię.

— Nie ma problemu — oświadczył łaskawie Krzysiek. Najwyraźniej odrobina lizusostwa nastawiła go do mnie jeszcze bardziej pozytywnie. — Cześć.

— *Adieu* — mruknęłam i odzyskawszy spokój ducha, udałam się do kasy.

* * *

— Zamek będziesz miała w piątek naprawiony. Niestety nie zdjąłem odcisków palców — przywitał mnie Darek, który stawiał się rano punkt ósma. — Małgośka da ci na razie kluczyk do tej starej szafki Niny.

— Przeżyję — rzuciłam beztrudno i pomachałam mu przed nosem kluczami, do których przypięłam komplet do mieszkania Łukasza.

Darek spojrział na mnie spode łba, ale komentarz jakoś zdusił w sobie. Z

nadal niejasnych dla mnie powodów moje bliskie relacje z Łukaszem nie miały u niego wysokich notowań. Żeby odwrócić uwagę od niewygodnego tematu, przytoczyłam historię kolejnego wygłupu Marcuszka.

— Wiesz, Aleksandro, nie do końca rozumiem twoje nastawienie — zasapał Darek. — Właściwie wiemy już wszystko. W klubie bywa, więc miał szansę dorwać się do twojej szafki. Nie wiem, skąd wziął twój numer, ale mam wrażenie, że determinacja faceta rośnie. Chyba wypada udać się na policję albo załatwić sprawę we własnym zakresie. Robi się naprawdę upierdliwy...

— Łukasz uważa, że jest za głupi — mruknęłam.

— Łukasz, Łukasz — zirytował się Darek. — Tego też nie rozumiem. Tkwisz w oku cyklonu, a ty zamiast się przejąć, romansujesz sobie z moim bratem!

— A co ci to tak cholernie przeszkadza? — wrzasnęłam. — Jak masz z tym problem, to powiedz jaki! Albo się odczep!

— Kiedyś pogadamy — burknął Darek i na resztę drogi uznał za stosowne się obrazić.

Sprzeczkę z przyjacielem z premedytacją zlekceważyłam. Nie pierwszy raz, kiedy Daro obraził się śmiertelnie i na wieki, po czym wieczność skracała się do godziny. Na większość dnia utknęliśmy w dwóch salach — Darek znęcał się nad amatorami crossfitu, mnie w udziale przypadły dwie godziny spinningu i zajęcia *step and shape*, doprawione zumbą. Razem z kaloriami wycopiliśmy wzajemną urazę. Ponieważ dodatkowo pamięć Darka nie miała w zwyczaju magazynować fochów, zgłosił chęć podwiezienia mnie po pracy do Dragona. W międzyczasie wykorzystał autorytet bossa i przeprowadził małe śledztwo wśród pracowników.

Bardziej lub mniej przyparci do muru, wszyscy jednogłośnie wyparli się udostępniania moich danych osobom spoza klubu. Solidna do granic możliwości Małgosia była poza podejrzeniami. Od recepcji odchodziła sporadycznie, pozostawiając w zastępstwie kogoś z trenerów. Dostępu do dokumentów broniła własną piersią i było wykluczone, by to od niej pochodził przeciek. Co do pozostałych osób również nie miałam wątpliwości. Od zarania dziejów obowiązywała nas wszystkich niepisana i przestrzegana z żelazną konsekwencją zasada nieudostępniania namiarów na współpracowników nikomu, chyba że za wyraźną zgodą zainteresowanego. Z niechęcią wysunęłam kandydaturę Agnieszki. Myśl, że nazbyt pochopnie obdarzyłam ją życzliwością, nie podobała mi się ani trochę. Z drugiej strony, incydent z szafką zasiał ziarno niepewności, które powoli kiełkowało, powodując coraz większą nieufność wobec nowej koleżanki.

Daro kandydaturę naszej dietetyczki stanowczo odrzucał.

— Byłaby głupia, tak od razu narobić sobie fermentu — zaprotestował. — Zresztą sama mówiłaś, że pomogła ci go spławić któregoś tam dnia...

— Nie wiem — mruknęłam. — Nie mam lepszych pomysłów.

— Bądź tak dobra i uważaj na siebie — zasapał Darek i zatrzymał się przed

blokiem Łukasza. — Czy ja mam po ciebie przyjechać wieczorem, czy mój brat cię odwiezie? Czy w ogóle jest potrzeba odwożenia? — zapytał znacząco.

— Nie ma — zirytowana wywaliłam w jego kierunku język. — Łukasz miał mi zostawić auto, w tym tygodniu jeździ służbowym. Odwiozę się sama.

— Właściwie nie powinno mnie to dziwić — przewrócił oczami Darek. — Do jutra. I pozdrów mordę. Lubię tego psa.

Pożegnaliśmy się jeszcze kilkoma głupimi minami. Kiedy Darek odjechał, rozejrzałam się po parkingu i uśmiechnęłam z zadowoleniem.

Grafitowa honda civic stała kilka metrów od klatki schodowej.

Teraz należało całkowicie legalnie skorzystać ze świeżo dorobionych kluczy z połyskującym metalicznie breloczkiem.

Niesiona perspektywą sympatycznego popołudnia w psim towarzystwie, na wstępie zrezygnowałam z windy. Dumna i blada przekręciłam klucz w dwóch zamkach. Uczucie, że jestem tu nie na miejscu, które tak mocno dało mi się we znaki podczas pierwszej wizyty, wywietrzało już w niedzielę. Zwłaszcza że dziś powitano mnie z dużym entuzjazmem, a w przedpokoju znalazłam pierwsze dowody, że moja obecność w tym mieszkaniu jest co najmniej pożądana.

Pełniący honory pana domu Dragon postanowił przywitać mnie bardzo po ludzku. Ledwo przekroczyłam próg i zamknęłam za sobą drzwi, pies-bies zaprezentował swoją ulubioną sztuczkę, stając na tylnych łapach i zawisając na mnie w geście czułego uścisku. Uścisk był tym czulszy, że chyba dość mocno podyktowany głodem. „Albo nuda”, uznałam, zaglądając do opróżnionej tylko w połowie miski. Obok miski wałał się ukochany poszarpany psi trampek. „Czyli co, spacer?”

Rozejrzałam się po przedpokoju w poszukiwaniu smyczy i innych psich akcesoriów. Brak. No przecież nie w sypialni! Salon odpuściłam, zajrzałam do gabinetu.

„O święci pańscy”, jęknęłam na widok znaleziska.

Na korkowej tablicy, która pojawiła się niedawno na ścianie, upstrzonej miliardem karteczek i notatek, na samym środku wisiała kartka formatu A4, zapisana drobnym, wyrazistym charakterem pisma. Kontrastowo wielki, nabazgrany zielonym markerem napis w górnym rogu wyraźnie wskazywał adresata.

Ola, przeczytaj!

Zaintrygowana podeszłam do tablicy i ściągnęłam kartkę. Jak Alicja w Krainie Czarów... „Przeczytaj mnie, zjedz mnie, wypij mnie... Są tu jakieś białe króliki?”

Brak białych królików doskonale równoważył wielki beżowy pies, który nie wykazywał zbytniego pośpiechu. Siedział obok i wpatrywał się we mnie wyczekująco.

Lektura nie wyglądała na krótką. Rozejrzawszy się po gabinecie, usiadłam na legowisku Dragona, ciekawa, jakiej treści list miłosny wystosował do mnie ukochany.

Po dwóch minutach bezowocnego wgapienia się w kartkę skłęłam ukochanego i jego drobny, zamaszysty, lekarski charakter pisma. Poza zielonym nagłówkiem czytelne nie było ani jedno słowo. A może i było, tylko wymagało mikroskopu. Przecież mówiłam mu, że mam wadę wzroku!

Po dłuższej chwili wytężonej pracy umysłowej, posługując się bardziej metodą dedukcji niż umiejętnością czytania, rozszyfrowałam wreszcie, co autor miał na myśli.

Mikroskopijne hieroglify zawierały instrukcję obsługi psa i pozwoliły mi ustalić miejsce pobytu niezbędnych akcesoriów.

— No, może nawet uda nam się wyjść przed zmrokiem — uśmiechnęłam się krzepiąco do Dragona, który cierpliwie przeczekał moje twórcze manipulacje dążące do zapięcia szelek. Obeznany z opieką nad psami, Łukasz wychodził ze słusznego założenia, że silny amstaff, którego charakteru mimo wszystko dobrze nie poznaliśmy, może wymagać mocniejszego przytrzymania, a gwałtowniejsze pociągnięcie smyczy przymocowanej jedynie do obroży niekoniecznie musi być dla zwierzęcia przyjemne. Zdecydował się zatem na zakup specjalnej uprząży, która może i dawała komfort psu i człowiekowi na spacerze, ale dla jednostki niedoświadczonej była straszliwie trudna do rozpracowania. „Jak mi się nie uda, przefarbuję się na blond”, zdecydowałam, patrząc z rozpaczą na niezliczoną ilość sprzączek. Do tego bardziej potrzebuję instrukcji niż do samego psa!

Gimnastyka przy szelkach wystarczyła mi za rozgrzewkę. Kilka sekund na przebranie i ruszyliśmy spod bloku, spokojnym, miarowym truchtem kierując się do parku.

Przez chwilę kurczowo ścisnęłam smycz, lekko zaniepokojona faktem, że po raz pierwszy jestem sama na spacerze z psem. Możliwe, że obecnością ratlerka u boku przejmowałabym się znacznie mniej... Spróbowałam skupić się na wiadomościach wyczytanych w Internecie. Usłużny umysł natychmiast podsunął mi stosowne informacje i tętno przyspieszyło mi niebezpiecznie.

„Bardzo agresywne wobec innych zwierząt... Zadziorne, skłonne do walki... Silny nacisk szczęk...”

Wobec powyższych rewelacji informacja: „niezbyt agresywne w stosunku do człowieka” brzmiała mało uspokajająco. I ja tu sama z taką bestią, proszę państwa, pośród całego stada yorków, westów, buldożków francuskich, płaczących się bez smyczy i ujadających na widok przejeżdżających obok rowerów! Ciekawe, który pierwszy podzieli los Dareczkowej rybki...

Krótki rzut okiem dookoła parku sprawił, że pomimo popołudniowego chłodu w ciągu kilku sekund spociłam się bardziej niż podczas seansu w saunie,

myśląc gorączkowo, jak w razie konieczności powstrzymać Dragona przed uciszeniem małych, jazgoczących piesków do towarzystwa. Było zakuć całą listę komend, którą Łukasz zostawił mi na tablicy. „Było ją najpierw czytelnie napisać”, sarknęłam. Z pożytecznych zapamiętałam trzy: „noga”, „do domu” i „zostaw”. Tę ostatnią Łukasz często wykorzystywał, oszczędzając pływającym w stawie kaczkom oskubania piór i silnego stresu. Poinstruował mnie, że komenda ta działała również w odniesieniu do innych zwierząt, czasami — ukradzionych skarpetek i butów. Uspokojona nieco, że w razie czego wiem, jakich słów użyć, zmówiłam krótką modlitwę w intencji ustrzeżenia nas przed sytuacją, w której musiałabym je wykorzystać.

Na psa z piekła rodem modlitwy i skuteczna tresura autorstwa pana działały wyśmienicie. Robiąc drugie kółko wokół parku, utrzymywałam podwyższone tętno wyłącznie dzięki wysiłkowi. Bieg w niezbyt szybkim, stałym tempie absorbował Dragona w wystarczającym stopniu, by zlekceważyć atrakcje w postaci innych psów. Skoncentrowany, trzymający się lekko z przodu i najwyraźniej bardzo zadowolony z długiej przebieżki, był idealnym partnerem na treningi. Może i pozostawiony sam sobie ujawniał potencjał małego tornada, jednak ukierunkowana aktywność była niezawodną metodą dyscyplinowania tego energicznego, silnego zwierzęcia.

— Kocham cię, mordo — mruknęłam, gdy po ośmiu kilometrach zrobiliśmy przy stawie przystanek techniczny.

Szukając odpowiedniego, ustronnego miejsca, Dragon poprowadził mnie na pobliski trawniczek. Przez dłuższą chwilę kręcił się wzdłuż krzaczków, nie mogąc zdecydować, który fragment trawki można wykorzystać w charakterze toalety. Nie miałam ochoty zmarznąć, wykorzystałam moment psich medytacji na założenie przewiązanej w pasie bluzy i zagapiłam się na Dragona, który nareszcie zdecydował, gdzie i co dokładnie ma zamiar zrobić.

Płynny efekt psich poczynań nie wymagał mojej interwencji, więc kiedy Dragon opuścił trawniczek i powrócił na ścieżkę, różnym marszem ruszyliśmy do domu.

Trasa, choć standardowa, najwyraźniej wymagała systematycznego obwąchiwania. Po kilku wspólnych spacerach z Łukaszem mapa szczególnie newralgicznych miejsc wbiła mi się wystarczająco w pamięć. Automatycznie zatrzymałam się przy mostku i przespacerowałam po nim w tę i z powrotem, przeczekałam obiegnięcie wielkiego głazu, wreszcie przedefilowałam kilkakrotnie wzdłuż alejki, gdy Dragon z upodobaniem zanurkował w krzaczkach rosnących na granicy parkowych alejek i osiedlowego parkingu.

„Ciekawe, czy Łukasz już będzie”, zastanowiłam się, kopiąc leżący na ścieżce kamień. Całkiem prawdopodobne, zważywszy, że buszowanie w krzakach, a tych w szczególności, Dragon odpracowywał bardzo sumiennie. Zupełnie nie

pojmując przyczyn psiej obsesji, zaintrygowana zagapiłam się na poruszające się energicznie gałęzie. Głucha na wszystkie dźwięki poza szelestem maltretowanej roślinności, zignorowałam powolne kroki za swoimi plecami.

— Widzę, że oboje lubimy tu spacerować — usłyszałam i drgnęłam, obracając się gwałtownie.

— Dosyć — warknęłam na widok intruza. — Nie waż się do mnie podchodzić!

Przymilny, misiowaty uśmiech wypełził na twarz Marka.

Lewa noga delikatnie przesunęła się w tył. Z trudem powstrzymałam ten sam odruch prawej. Twardo stałam w miejscu, choć każdy nonszalancki krok zbliżającego się Marka prowokował do cofnięcia się i ucieczki przed coraz bardziej realnym zagrożeniem.

„Jest zbyt głupi, zbyt powolny i zbyt słaby”, powtarzałam gorączkowo w myślach. „Jest dopiero osiemnasta, dookoła na pewno płaczą się ludzie, a w krzakach z tyłu płacze się mój pies. Właśnie, gdzie, do cholery, pies?” Wysuwana smycz ma pewnie swoje zalety, jednak chcąc uniknąć niepotrzebnej konfrontacji, odpuściłam manipulacje w celu zablokowania rozwijającej się w tej chwili swobodnie taśmy. I odebrałam sobie szanse na skuteczne przywołanie lekkim szarpnięciem zwierzęcia.

Marek w półmroku nadchodzącego wieczoru nie dostrzegł trzymanej przez mnie smyczy, jednak niechęć do wycofania się i brak oznak uległości z mojej strony przystopowały go nieco.

— Pogadajmy — rzucił zachęcająco. — Prosiłem, żebyś przemyślała, z kim będzie ci lepiej.

— Ja to doskonale wiem — syknęłam. — I wiem, że nie z tobą. Jutro idę do właściciela klubu z prośbą o usunięcie cię z listy klientów. Następnie informuję policję. Ostrzegałam.

— Oła, Oła, czy ty aby nie przesadzasz? — Marek zbył moją niechęć lekceważącym wzruszeniem ramion. — Po co ci to, dziewczyno?

— To po co ci tobie zawracanie mi głowy? Narobisz sobie tylko kłopotów — odparowałam.

„On naprawdę jest głupi”, przemknęło mi przez myśl. Tępy, zadufany w sobie idiota, którego tok rozumowania sprowadza się do pojęcia, że babskie „tak” i „nie” w praktyce znaczą to samo. I tu mam problem, ten typ nie przyjmuje odpowiedzi odmownej, wręcz przeciwnie, coraz bardziej naciska. Nic na siłę, wszystko młotkiem... Głupi na pewno, ale w swojej głupocie cholernie zdeterminowany... Nerwowo przełknęłam ślinę. Może jednak tej głupoty nie trzeba było aż tak lekceważyć?

Jezu, co robić? Nie miałam zamiaru stać i czekać na coraz mniej pomyślnie zapowiadający się ciąg dalszy. Dragon utknął w krzakach na dobre, mogłam go

oczywiście zawołać, ale bałam się, że raz zawoławszy, nie będę umiała go odwołać. Szlag, psem poszczuję w samoobronie, a potem, jak z tą rybką Darka, będziemy chyłkiem ukrywać zwłoki...

Marek moje wahanie zinterpretował po swojemu.

— Chodź, usiądziemy. Pogadamy rozsądnie — uśmiechnął się poufale i wyciągnął rękę, by chwycić mnie pod ramię.

Złowieszczy warkot tuż za moimi plecami był cichy, lecz pobrzmiewająca w nim energia wprawiła w wibracje chłodne, wieczorne powietrze.

Zmartwiła tkwiłam ze wzrokiem wlepionym w zwartą do skoku beżową bryłę, która zniemacka pojawiła się tuż obok. Obnażone zęby i skupione, wbite w Marka spojrzenie brązowych ślepi rzuciły wyzwanie, gdy Dragon powoli, lecz zdecydowanie wysunął się przede mną.

Zaszokowany Marek zamarł z wyciągniętą w moim kierunku ręką. Gest, choć urwany, wybitnie nie spodobał się psu. Sekundy dzieliły nas od nieszczęścia. „Albo natychmiast coś zrobię, albo z ramienia natrętnego amanta zostaną przemielone potężnymi zębiskami krwawe strzępy. Żeby tylko...”

— Dragon, do nogi — skupiona na wykrzesaniu z głosu stanowczego, opanowanego brzmienia, lekko pociągnęłam za smycz. — Noga.

— Jezu, odwołaj to bydlę, to sobie pójdę — do Marka nareszcie zaczęło docierać, że jego towarzystwo nie jest mile widziane. — Odwołaj to cholerne bydlę!

Dragon, który na moje polecenie lekko się cofnął i przestał warczeć, tkwił pozornie spokojny obok, odstraszać intruza spojrzeniem. Położyłam dłoń na uprząży, z cichą nadzieją, że jestem w stanie zapanować nad psem. Napięte, gotowe na natychmiastową interwencję, drgające pod skórą mięśnie mówiły coś innego. Jeden głupi ruch ze strony Marka i będzie po sprawie. Cokolwiek zrobi, reakcja będzie natychmiastowa i z zabójczą perfekcją obliczona na efekt lepszy niż odstraszenie przeciwnika.

Takiego obrotu spraw Marek się nie spodziewał. Rozszerzone strachem oczy i przyspieszony oddech aż nazbyt wyraźnie zapowiadały katastrofę.

— Trzymaj tego cholernego psa!

Nerwowy ton pobrzmiewający w jego głosie Dragon błyskawicznie zinterpretował na swoją korzyść. Chwyciłam mocniej uprząż.

— Opanuj się, człowieku — syknęłam. — Nie prowokuj go! Spieprzaj stąd raz na zawsze, byle nie biegiem!

Pewność siebie wyparowała z Marka w ciągu ostatnich kilku minut. Coraz bardziej spanikowany, wciągał gwałtownie powietrze, jednocześnie próbując wycofać się w miarę spokojnym krokiem. Sprzeczne sygnały stanowiły jasny przekaz dla psa. Czując przewagę, Dragon z głuchym warkotem wysunął się naprzód.

— Noga — spróbowałam jeszcze raz, tym razem bez skutku. Po dokonaniu krótkiej, trafnej oceny, pies doszedł do wniosku, że interwencja jest konieczna. Nie umiałam ocenić, jak daleko posunie się, by mnie bronić. Nie mogłam pojąć, dlaczego dotąd posłuszne, reagujące na każdą komendę zwierzę tym razem postanowiło samodzielnie podjąć decyzję.

Spanikowany Marek zachwiał się lekko i zatoczył z lekkim okrzykiem do tyłu. „To koniec”, pomyślałam, przygotowując się na gwałtowne szarpnięcie smyczy, którą owinęłam wokół dłoni. Pies tuż przede mną zebrał się do skoku.

— Zostaw!

Na dźwięk głosu pana rozjuszony zwierzę zamarło.

— Dragon, zostaw, mówię — stanowczość w głosie Łukasza, który znieacka pojawił się w alejce, pokazała psu, że ktoś inny przejmuje kontrolę nad sytuacją. Powoli się wycofał, jednak nadal nie spuszczał wzroku z Marka.

— Zostaw. Dobry pies. Zostaw — Łukasz zdecydowanym krokiem podszedł i wyjął mi z ręki smycz, wprawnym ruchem skracając maksymalnie taśmę.

Stali teraz obaj przy moim boku, uważnym, spokojnym spojrzeniem taksując przeciwnika. Bez względu na rozmiar własnej głupoty Marek nie był aż takim idiotą, by nie wyczuć, do kogo należy kontrola nad sytuacją.

— Nic się nie dzieje, no... Spotkaliśmy się na spacerze — wyjąkał, wijąc się pod wpływem zimnego spojrzenia moich obrońców. — Jezusie, takich psów nie powinno się wyprowadzać bez kagańca... Masz pozwolenie na hodowlę tego potwora, czy coś? Weź go pilnuj, przecież nic nie chciałem...

— O tym, co chciałeś, pogadamy za chwilę — Łukasza bezładny bełkot szybko zniecierpliwiał. — Nie próbuj wiać, bo, jak widzisz, psu się średnio podobasz. Mi tym bardziej. Ola — zwrócił się do mnie, podając mi smycz — weź psa do domu. Za chwilę przyjdę, wyjaśnię tylko kilka spraw. Dragon, do domu! Pilnuj pani! Dobry pies...

W psich oczach Łukasz był już od dawna niepodważalnym autorytetem. Zaufawszy panu w zakresie załatwienia nieprzyjemnej sprawy, Dragon posłusznie wycofał się i ruszył w kierunku klatki schodowej. Przerażona rozwojem sytuacji, niechętnie poszłam za nim. I choć nie miałam wątpliwości, czyja morda zostanie obita, wiedziałam, że smród konsekwencji wieczoru może ciągnąć się bardzo długo.

Dla Dragona akcja skończyła się z chwilą wejścia do mieszkania. Po wypięciu z uprząży, z którą pod wpływem buzującej we krwi przez cały czas adrenaliny poradziłam sobie w kilka sekund, potruchtał do kuchni i wymiół z miski resztę chrupek. W przeciwieństwie do mnie był głęboko przekonany, że pan dokończy sprawę skutecznie i w najwłaściwszy z możliwych sposobów. Do niego należało już tylko pilnowanie pani. A ponieważ pani utkwiała w oknie, nerwowo gryząc paznokcie, mądre zwierzę postanowiło przekazać mi trochę swego zaufania

względem kompetencji obronnych Łukasza. „Nie ma się czym przejmować”, sygnalizowało całym sobą, kręcąc się wokół moich nóg z wywleczoną z legowiska zabawką i trącając łbem.

Wbrew najszczerzszym chęciom trudno mi było wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu wobec zachęty do zabawy.

— Kochany pies — wymruczałam, głaszcząc odruchowo podstawiony pod rękę łeb, zbyt zaabsorbowana gęstniejącą na dworze ciemnością.

Widząc, że nastrój mam mało rozrywkowy, z ciężkim posapywaniem pies odpuścił i wyszedł z kuchni. Po chwili pojawił się znów, trzymając w zębach znienawidzony, brązowy ręczniczek. Skoro nie doceniałam jego inwencji twórczej w zakresie zabawy, uznał za stosowne odwołać się do poczucia obowiązku.

Takiego poświęcenia nie mogłam zlekceważyć. Przez chwilę stałam, patrząc na niezbyt szczęśliwą minę, z jaką Dragon wciskał mi do ręki ręcznik. Na widok paszczy trzymającej z obrzydzeniem nie ulubiany przedmiot, która kilka chwil wcześniej wyszczerzonymi zębami sygnalizowała bezwzględną gotowość obrony, załała mnie fala wzruszenia.

— Jesteś najlepszym pieszem na świecie, piekielny potworze — mruknęłam, klękając obok Dragona i przytulając wielki, beżowy łeb. — Dobra, dawaj, wytrzymaj łapy, bo pan dla odmiany nas pogryzie...

Gdy zgrzyt przekręcanego w zamku klucza zasignalizował powrót Łukasza, psie łapy były dokładnie wyczyszczone. Odpracowawszy przykrą konieczność, Dragon uznał, że może z czystym sumieniem zafundować sobie nagrodę w postaci odpoczynku na kanapie. Na powrót pana prawie nie zareagował, w przeciwieństwie do mnie. Jak rażona prądem zerwałam się z fotela i wyprysłam do przedpokoju.

Jeżeli nawet do rękoczynów doszło, efektów nie udało mi się dostrzec. Zastygłam, opierając się o futrynę między przedpokojem a salonem, i obserwowałam, jak Łukasz bez słowa ściąga kurtkę i buty. Zawieszono go w gęstej, wypełniającej przestrzeń ciszy znaku zapytania na razie nie chciał dostrzec. Dopiero gdy stanął naprzeciwko i wbił we mnie ciężkie spojrzenie, dotarło do mnie, że jeszcze nie opanował zdenerwowania po awanturze w parku.

Przerywane beztroskim pochrapywaniem psa, milczenie ludzi ciążyło mi nieznośnie. Przygnieciona pełną pretensji ciszą, zebrałam się wreszcie, by ją przełamać.

— Łukasz, ja naprawdę nie wiem, jak to się stało...

Łukasz z ciężkim westchnieniem przeczesał ręką włosy.

— Ja wiem — stwierdził krótko. — Ten gnojek mi wytłumaczył dość dokładnie. Myślę, że ja mu też pewne rzeczy wyjaśniłem w wystarczająco zrozumiałym sposobie. Mam nadzieję, że to utnie problem pana Marka raz na zawsze. W klubie się już nie pojawi, rezygnację z karnetu złożył przez telefon. Twój numer też zdążył skasować. Jak widzisz, rozmowa była konkretna, załatwiliśmy całkiem

sporo.

— Czyli to on, tak? — zapytałam cicho. — Te podrzucone zdjęcia, samochód...

— Przykro mi Ola, ale nie. Pocisnąłem go dość mocno, Dragon też zrobił swoje. Gdyby to była jego robota, już bym wiedział. Mówiłem ci, on jest na takie coś za głupi. Ale przynajmniej jeden problem mamy z głowy.

Powoli podeszłam i objęłam Łukasza w pasie.

— Bardzo ci dziękuję — wymamrotałam. — Obojgu wam dziękuję...

Z ciężkim westchnieniem Łukasz przygarnął mnie mocniej.

— Ola, czemu nic nie powiedziałaś? Teraz ja mogę mieć pretensje o brak zaufania...

— Czego nie powiedziałam? — spojrzałam na niego zdziwiona. — Wiedziałaś, że za mną łązi i jest wyjątkowo natrętny.

— Ale o wczorajszych telefonach nie wiedziałem.

— O Jezu... — Mareczek musiał zostać naprawdę intensywnie przepytany. — Przyznał się do tej wczorajszej akcji?

— Nie.

— To skąd wiesz? — Czyżbym naprawdę tylko ja w tym towarzystwie była zupełnie pozbawiona daru jasnowidzenia?

— Darek do mnie zadzwonił. Inaczej nadal siedziałbym u dealera Renault, a ty miałabyś duże kłopoty. I z tym facetem, i z psem. Wiesz co, Ola, idź się wykup. Jesteś zmarznięta. Zrobię coś do jedzenia, jestem cholernie głodny.

Skwapliwie skorzystałam z propozycji, z cichą nadzieją, że kiedy wyjdę z łazienki, ołowiane spojrzenie Łukasza straci choć odrobinę ciężaru. Nie zazdrość była tu problemem, oboje doskonale wiedzieliśmy, że w żaden sposób nie zachęcałam natręta. A że trafił się typ niereformowalny, na to też nie miałam wpływu. Za to koncertowo udało mi się rozwalić Łukaszowi popołudnie i teraz zapewne wieczór, pierwotnie zaplanowane na intensywną pracę. Pewnie inaczej by to wyglądało, gdybym poprosiła o wcześniejsze przeszkolenie i była w stanie sama okiełznać psa... Ale, do cholery, aż do tej pory wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że potrafię. Ki czort w niego wstąpił?

Jak każdy mężczyzna, po zaspokojeniu pierwszego głodu Łukasz nieco się rozpogodził. „Powietrze chyba zupełnie z niego zeszło”, stwierdziłam, obserwując podpuchnięte, podsinione oczy i zapadnięte jeszcze bardziej w szczupłej twarzy policzki.

— Chodź, zrobiłem kanapki — mruknął, gdy zorientował się, że stoję w progu. — Wstaw tylko wodę na kawę.

Posłusznie podeszłam do kuchenki, po czym uszykowałam dwa kubki.

— Zmyję się po kolacji — powiedziałam.

— Za zmycie naczyń będę wdzięczny. Natomiast w tej sytuacji naprawdę nie

wiem, czy powinienem pozwolić ci się zmyć... Boję się spuścić cię z oczu, bo od razu zaczynają się kłopoty. Nie wiem, co mam z tobą zrobić.

— Kochać... — zasugerowałam nieśmiało i przytuliłam się, wsuwając ręce pod domowy sweter, w który Łukasz zdążył się przebrać.

Sugestia nie była może najsmaczniejsza, ale miała zbawienny wpływ na napięcie, które jeszcze nie do końca opadło z nas obojga. Łukasz roześmiał się i przytulił mnie mocno.

— No, tu innej opcji nie ma. Zastanawiam się raczej, czy jest sens, żebyś wracała do domu.

Sama miałam wątpliwości, czy taki sens istnieje, jednak nie miałam ochoty jeszcze bardziej utrudniać Łukaszowi wykonywania obowiązków zawodowych. Nieśmiało zgłosiłam obiekcje.

Słyszając mętne tłumaczenie, Łukasz przez chwilę patrzył na mnie dziwnym wzrokiem, po czym parsknął śmiechem.

— Olka, ty zwariowałaś — stwierdził. — Ty naprawdę myślisz, że zamknę za tobą drzwi i usiądę spokojnie do pracy? Prędzej oszaleję, zastanawiając się, co ci się jeszcze ciekawego może przytrafić. Nie, nie, zdecydowanie lepiej będzie mi się pracowało, mając cię na oku. Włącz TV, poczytaj, pobaw się z psem, możecie się nawet huścić na lampie, tylko masz siedzieć na tyłku i nie organizować mi więcej rozrywek na dzisiaj. Bardzo proszę.

Rozgrzeszona, odetchnęłam z ulgą. Huśtanie na lampie z Dragonem niekoniecznie wchodziło w grę, zważywszy na brak wiszącego oświetlenia w tym domu. Pies, uwalony wygodnie na kanapie, również nie przejawiał chęci poszukiwania aktywnych rozrywek. Otrzymawszy błogosławieństwo na każdą głupotę, byle na miejscu, pomyślałam na zorganizowanie sobie zajęcia miałam całkiem sensowny. „Choć chyba najpierw wypadałoby faktycznie uprzątnąć kuchnię”, doszłam do wniosku, zerkając na upstrzony okruszkami pieczywa blat i kolekcję kubków z fusami po kawie, która stała tym razem obok zlewu.

Na wszelki wypadek obeszłam jeszcze mieszkanie, przeświadczona, że cztery naczynia ze śladami ulubionego napoju Łukasza to nieco za mało. Znając możliwości ukochanego, mogłam w ciemno obstawiać, że znajdę przynajmniej jeszcze jeden.

Bingo! „No proszę, wcale nie trzeba znać człowieka przez lata, by zorientować się w jego nawykach i przyzwyczajeniach”, pomyślałam, bez pudła trafiając na jeszcze jeden kubek na umywalce w łazience. Następnym razem po prostu ustawię je wszystkie razem i napiszę karteczkę „Umyj mnie”... Albo poukładam obok łóżka na podłodze... Jak w nie wlezie, może dotrze do niego głęboki sens tkwiący w systematycznym sprzątnięciu po sobie naczyń...

Do końca zmywania zdążyłam rozważyć jeszcze kilka genialnych pomysłów na oduczenie Łukasza dekorowania całego domu zapaskudzonymi naczyniami,

zanim mój perfekcjonizm zacznie brać górę nad miłością i ciężki szlag mnie trafi. Ot, takie proste. Gdyby na przykład Łukasz posiadał tylko jeden kubek do kawy, musiałby go myć, a jeden walający się po mieszkaniu kubek to dla mnie zawsze lepiej niż pięć kubków...

Niecne plany wyrzucenia z szafki przez okno kubków i szklanek należących do mojego ukochanego pokrzyżował mi nieprzyjemny trzask pod nogami. „No tak, wlałam w obszar misek Dragona, usiany w promieniu metra od samego naczynia kawałkami chrupek. Na miłość boską, dobrze, że Los tak świetnie ich dobrał, ale czy muszą obydwaj dbać o usłanie mojego życia okruszkami żarcia? Nie żebym była przesadnie sentymentalna, ale naprawdę wolałabym róże...”

Zmiotka i szufelka. Zapewne w szafce z koszem na śmieci pod zlewozmywakiem. A na przyszłość trzeba koniecznie zlokalizować w tym mieszkaniu odkurzacz. Ostatecznie Łukasz dał mi zielone światło na każdą głupotę, byle w zasięgu jego wzroku i bez zwracania mu głowy. Ależ ryjąc po pokojach, wcale nie musiałam mu jej zwracać...

„No, chyba że zgłoszę konieczność wyjścia ze śmieciami”, jęknęłam zrezygnowana, otwierając szafkę pod zlewem. Czyli uwielbiamy kruszyć, nie uznajemy zmywania, a systematyczne wynoszenie śmieci uważamy za niepotrzebną nikomu fatygę... Przynajmniej dopóki w koszu jeszcze choć odrobinę się mieści... „A to już chyba rodzinne”, stwierdziłam, przypominając sobie namiętne dyskusje z Darem na temat wyrzucania śmieci dopiero, kiedy zaczną śmierdzieć. „Jeżeli Łukasz prezentuje podobne poglądy, niedługo będzie trzeba dostawić nowy kosz”, stwierdziłam, pociągając nosem. Fiołkami może i nie pachniało, ale nie czułam potrzeby zainstalowania na nosie klamerki. Może nic śmierdzącego Łukasz nie wywalał... Chociaż dziwne, zważywszy na zamiłowanie do wędzonych ryb, które obaj z Dragonem pochłaniali w obłądnych ilościach...

Śmieci tak czy inaczej zdecydowałam się wynieść, wyżebrawszy uprzednio pozwolenie na wyjście z mieszkania bez psiej obstawy. Ostatecznie droga do śmietnika powinna zająć nie więcej niż dwie minuty, a oświetlona była co najmniej jak aleja gwiazd. Zajęty artykułem, Łukasz nawet jakoś mocno się nie kłócił.

Wiele mogłam ukochanemu facetowi wybaczyć, jednak piętrzących się w koszu śmieci nigdy nie byłam skłonna tolerować. Zwłaszcza, że chwilę po wyjściu z mieszkania z worka zaczął wydobywać się najpierw subtelny, potem coraz bardziej intensywny fetor, potwierdzający zamiłowanie Łukasza do wędzonych rybek. Jakim cudem w szafce nie było tego czuć? Niemożliwe, żeby woń chemikaliów do utrzymania czystości tak skutecznie zabiła smród rybnych odpadków. Na wszelki wypadek przyspieszyłam kroku, nie chcąc ryzykować, że za chwilę stanę oko w oko z którymś z sąsiadów, poirytowanych docierającym z korytarza odorem.

Pozbywszy się śmierdzącego już zupełnie jawnie worka i wróciwszy do

mieszkania, poszłam do kuchni, by włożyć do kosza nowy worek. Gdzieś worki widziałam, chyba na tej półeczce nad detergentami w wysokich butelkach... Ze wstrętem odsunęłam opakowanie kapsułek do zmywarki. „Co za leń, jedna sztuka człowieka, jedna sztuka piesa, a i tak do zmywania niezbędna jest maszyna! O, worki na śmieci! Jasne, zakopane zupełnie z tyłu i zasłonięte czymś... Co to jest, do diabła?”

Zaintrygowana tajemniczym, płaskim przedmiotem niewielkich rozmiarów, sięgnęłam w głąb szafki. Przedmiot wywoływał wprawdzie konkretne skojarzenia, jednak były one absurdalne... No bo co niby miałyby robić w szafce pod zlewozmywakiem samochodowy odświeżacz powietrza o morskim zapachu?

A jednak musiałam powtórzyć to pytanie głośno, gdy z takim właśnie odświeżaczem w dłoni i wyrazem totalnego osłupienia na twarzy stanęłam w drzwiach gabinetu.

Łukasz spojrział na mnie roztargnionym wzrokiem.

— No jak to co? — zdziwił się. — Odświeżacz powietrza. Sama nazwa wskazuje, co robi.

— Samochodowy — wyszeptałam ze zgrozą. — Łukasz, to do samochodów jest. Czy ja ci muszę tłumaczyć znaczenie słowa „samochodowy”? Akurat tobie?

Nie miałam prawa podważać więzów krwi pomiędzy braćmi Nawrockimi, bez względu na kolor ich włosów. Łukasz siedział przede mną, przyglądając się odświeżaczowi z miną podobnie zdezorientowaną, jaką zazwyczaj ma Daruś podczas wszystkich naszych scysji o śmieci.

— Oła, nie rozumiem, po co to w ogóle wywlokłaś — mruknął w końcu. — Ja wiem, że to odświeżacz samochodowy. Ale co? Taki jak w kiblu miałem zamontować? Wiesz, że lubię ryby, a resztki potem śmierdzą w koszu! No powiedz sama, co byś mądrzejszego zrobiła?

— Wyniosła śmieci — jęknęłam, ostatecznie przygnieciona ciężarem męskiej kreatywności.

Męska kreatywność nadal nie wiedziała, o co mi chodzi, gdyż poprosiła mnie uprzejmie o odniesienie odświeżacza na miejsce i zaprzestanie zawracania głowy duperelami.

Przeżyty wstrząs nie należał może do najbardziej powalających, jednak w głowie nadal mi się nie mieściło, jakim cudem Łukasz zdołał przebić uskuteczniane przez Dareczka idiotyzmy. Co gorsza, skoro potrafił popełniać większe, opanowanie problemu może mnie kosztować znacznie więcej wysiłku. Z trudem pohamowałam potrzebę natychmiastowego podjęcia akcji pedagogicznej, przypominając sobie złożoną niebacznie obietnicę, że nie będę zawracać głowy. Należało zająć się czymś, co pozwoli mi ochłonąć. Na szczęście w tym mieszkaniu istniała na to szansa.

Jak po sznurku powędrowałam do regału, który od czasu nielegalnej wizyty

wabił mnie nieodparcie bogactwem literatury. Konkretną pozycję miałam już upatrzoną. Uznawszy, że czytaniem raczej nie zmacę Łukaszowi spokoju, otuliłam się kocem i umościłam w psim legowisku w gabinecie.

— Lubimy Kinga? — uśmiechnął się Łukasz, zerkając na okładkę.

— Uwielbiamy — mruknęłam. — Pewnie od czasu do czasu coś pożyczymy...

— A proszę cię bardzo — wzruszył ramionami Łukasz. — Muzyka ci nie będzie przeszkadzać? Włączyłbym coś...

Muzyka nie przeszkadzała mi ani trochę. Ani podczas czytania, ani wtedy, gdy przysnęłam w psim kojcu, zastanawiając się mętnie, czy legowisko dla zwierząt nie jest lepszą alternatywą dla standardowego materaca. Łatwe w przechowywaniu, łatwe w praniu i przenoszeniu, miękkie i ciepłe. „Pojemne”, dorzuciłam w myślach nie do końca przytomna, gdy Dragon, niezadowolony z braku towarzystwa w salonie, wepchnął się obok.

Tuż przed pierwszą ściśnięty, zmaltretowany, ale uparcie tkwiący w swoim łóżku pies nareszcie zyskał szansę rozprostowania kości, gdy delikatne głaskanie po twarzy wyrwało mnie ze snu.

— Ola, idziemy spać — wyszeptał Łukasz, wpatrzony w nas z rozbawioną miną. — Zobacz, psa prawie wywaliłaś.

— No, już — wymamrotałam i na widok skulonego gdzieś na brzegu Dragona natychmiast oprzytomniałam. — Jezu, przepraszam! Już się wynoszę, wyśpisz się.

— Daj spokój. I tak zaraz przylezie do sypialni — machnął ręką Łukasz. — On tam zawsze śpi, na tym swoim kocyku...

Jakby na potwierdzenie pies-bies potoczył dookoła mętnym wzrokiem i zaczął gramolić się za mną. Stał chwiejnie na łapach i zataczającym się z lekka krokiem powędrował w kierunku sypialni.

Równie chwiejnym i zataczającym krokiem ruszyłam za nim.

— O Chryste — jęknął Łukasz i przerzucił mnie przez ramię, chroniąc przed czołowym zderzeniem ze ścianą.

Podczas gdy Dragon w sennym transie doczłapał do swojego koca i zległ na nim, nie otworzywszy ślepi, ja, przerzucona w niewygodnej pozycji przez ramię Łukasza, szybko otrząsnęłam się z senności. Gdy dotarliśmy do łóżka, oboje byliśmy bardzo zgodni, że żadne z nas nie ma ochoty próbować na siłę zasnąć z rozsądku.

* * *

— Łukasz... — zagadnęłam, gdy godzinę później sen nadal był zbyt daleko, by wcisnąć się pomiędzy splecione ciała.

— Mmmm?

— Naprawdę się dziś wystraszyłam...

— Dopiero dziś? Ja na twoim miejscu bym się bał tego świra trochę wcześniej. Całe szczęście, że byłaś z psem.

— No właśnie tego też się bałam — stwierdziłam ponuro. — Nie miałam pojęcia, jak go opanować. Wiedziałam, że chce mnie bronić, ale gdybyś nie wrócił wcześniej, bez rozlewu krwi by się nie obyło... Jak Boga kocham, do dziś nie wierzyłam, że te psy są tak agresywne...

— Nie są, Oleńko. Asty generalnie nie są agresywne...

— Jezu, to co to było dzisiaj?

— Inteligencja — mruknął Łukasz. — Inteligencja, dokonanie trafnej oceny sytuacji i umiejętność szybkiego podejmowania decyzji. Plus bezwarunkowe oddanie w stosunku do członków rodziny.

— Bezwarunkowe oddanie świadczyłoby, że powinien mnie posłuchać. Zawsze słuchał...

— Nie, Oluś. W jego mniemaniu oddanie znaczy gotowość do natychmiastowej obrony. To cholernie mądry pies. Wyczuł, że dzieje się coś niedobrego i że nie czujesz się pewnie. Uznał, że sama sobie nie poradzisz. Wolał podjąć decyzję, zanim byłoby zbyt późno. I dobrze, że ją podjął. Przynajmniej mam gwarancję, że jesteś z nim bezpieczna.

— Ale ty go odwołałeś...

— Ustąpił, bo widział, że mam kontrolę nad sytuacją. Nie musiał mnie wyręczać ani mi pomagać. O ciebie zwyczajnie się bał. Zresztą... — uniósł się na ramieniu i spojrzał na mnie uważnie. — Ja też się boję. Ola, nie możesz robić czegoś takiego, że nie mówisz mi, jak coś złego się dzieje. Nawet nie chcę myśleć, co by było, gdyby Daro nie zadzwonił.

— Łukasz, błagam, nie mogę wciąż polegać na tym, że będziesz na każde moje gwizdnięcie... Mówiłeś wyraźnie, że masz dużo pilnej roboty... Nie mogę cię absorbować dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— Ola, ja sobie czas zorganizuję — przerwał mi stanowczo Łukasz. — Więc proszę. Jest różnica między zawracaniem głowy pierdołami a informacją, że coś jest nie tak. Jesteś mądra dziewczynka, na pewno umiesz rozróżnić.

— Dobra, zakodowałam — mruknęłam, wtulając twarz w leżące pod moją głową ramię.

— Nie słyszałam...

— Będę grzeczna. Lepiej? — wytchnęłam, unosząc się lekko i zbliżając usta do ucha Łukasza.

— O wiele lepiej. Chociaż z tą grzecznością teraz nie musisz się wysilać... — wymruczał, osuwając się i przykrywając mnie swoim ciężarem...

* * *

Niespełna pięć godzin snu i poranek wypełniony nerwowym ganiem tuż po tym, jak z całkowitą beztrąską zlekceważyliśmy budziki, były dobrym testem na dopasowanie. Choć bez wieloletnich nawyków i przyzwyczaję, wykopani z łóżka przez Dragona, doskonale zorganizowaliśmy się w przeciągu czterdziestu pięciu minut, unikając zderzenia się w przejściach, wywalania nawzajem z łazienki oraz utrudniania sobie manewrów zmierzających do uszykowania śniadania. Po raz kolejny okazało się, że zdolny do podejmowania samodzielnie decyzji pies jest skarbem, który nie dość, że dba o bezpieczeństwo, to jeszcze można na niego liczyć w zakresie punktualności. O skarb należało dbać, więc kiedy o wpół do dziewiątej wybiegałam z mieszkania, Łukasz, który do wyjścia miał jeszcze trochę czasu, poświęcił cenne, zaplanowane na wypicie drugiej kawy minuty i zafundował Dragonowi podwójną rundę na porannej trasie.

— Masz odbierać telefon — marudził, biegnąc za mną, bo parking stanowił punkt startu. — Masz dzwonić. Masz mnie odebrać z salonu Renault, jak będziesz wracała do domu. Muszę do szesnastej odstawić samochód.

— O, to jakaś nowość — zdziwiłam się, usiłując sprawnie wyregulować siedzenie i wywalając spod tyłka okulary przeciwsłoneczne, które ukochany książę zostawił w charakterze baśniowego ziarnka grochu. — Nie mówiłeś mi nic...

— Mówiłem. Widocznie nie słyszałaś pod prysznicem...

— Idiota!

— Cicho, teraz już wiesz. Zadzwoń, jak będziesz wychodzić z pracy, to się dokładnie umówimy.

Spojrzałam na niego ciężkim wzrokiem.

— Twój brat miał rację, że bywa z tobą ciężko...

— Wiem, Oleńko. Też cię kocham — uśmiechnął się Łukasz i pożegnał mnie pocałunkiem.

Patrzyłam w lusterko, jak stoją z Dragonem i odprowadzają mnie wzrokiem. „Trzeba się skupić”, pomyślałam. Głupio by było rozwalić się na oczach Łukasza jego prywatnym samochodem... Albo ich przejechać, myśląc biegi...

* * *

— Ja nie chcę słyszeć o twojej głupocie ani słowa — sapnął Darek, gdy niemal jednocześnie wylądowaliśmy na parkingu. — Łukasz dzwonił do mnie wieczorem.

— Była taka zabawa, *Podaj dalej* — burknęłam. — Skoro już wszystko wiesz, wiesz również, że Mareczek się więcej tu nie pojawi. Na mojej drodze też nie. Przynajmniej dopóki mam piesa.

— Psa — poprawił Darek odruchowo.

— Piesa-biesa — uparłam się i przedstawiłam genezę niepoprawnej gramatycznie formy, jaką oboje z Łukaszem namiętnie stosowaliśmy.

— On mi raczej na anioła stróża wygląda — skomentował Daruś, wzruszając ramionami. — Mam nadzieję, że życie wróci do normy, skoro główna przyczyna problemów została wyeliminowana. Albo i nie? — zastanowił się. — Marcin przebąkiwał, że uszczęśliwisz nas biegiem maratońskim w charakterze kolejnej rozrywki...

— Pobiegniesz ze mną? — rzuciłam zaczepnie.

— Namów Łukasza — stwierdził złośliwie Daro. — On ma wprawę. Albo lata z tym waszym piesem, albo wokół ciebie... Wyrobił sobie chłopak formę.

— No ty jesteś mocny tylko w gadaniu! — sarknęłam.

— Wcale nie — obraził się Daro. — Właśnie wpadłem na dobry pomysł, który szef zgodził się sfinansować. Twoje problemy mnie zainspirowały.

— Dawaj — mruknęłam, przyjemnie zaskoczona.

Wczorajsza nagła rezygnacja Mareczka, złożona nietypowo przez telefon, zastała szefa podczas nadprogramowego spotkania z Darem. Deklaracja natychmiastowego zakończenia współpracy obu zdziwiła, przy czym Darek w duchu odetchnął z ulgą, szef zaś poczuł się niemile zaskoczony faktem, że wypowiadający się o klubie i trenerach w samych superlatywach klient odchodzi po niespełna dwóch tygodniach i w okolicznościach dość niejasnych. Ponieważ Marek nie był skłonny do wyjawienia przyczyn, bełkotał coś o braku satysfakcji, szef, mając pod ręką Dareczka, postanowił wydębić od niego informacje natychmiast. Niezadowolony klient oznaczał antyreklamę, której nasz przełożony absolutnie sobie nie życzył.

Wkurzony perspektywą łagodzenia sprawy i przeproszania za niespełniający oczekiwań standard, Darek uznał za stosowne wyjaśnić przyczyny niezadowolenia klienta bez owijania w bawełnę. Dość szczegółowo zaprezentował swój punkt widzenia, opowiedział o miłosnych perypetiach, które sprowadziły Marka do naszego klubu i w pierwszej fazie dostarczyły rozrywki, a potem spowodowały rozstrój nerwowy części personelu, głównie zaś mnie. Na dowód zaprosił do biura zbierających się do domu Małgosię, Oliwię i Kubusia Puchatka. Usłyszawszy zgodne potwierdzenie wersji Darka, szef odpuścił sobie wydzwanianie do mnie.

— Szkoda, że nie mamy bardziej namacalnych dowodów na niewłaściwe zachowanie tego pana — zatroskał się. — Jeśli jest niezadowolony, powinniśmy odpuścić mu płacenie za miesiąc wypowiedzenia umowy. Jeżeli umowa jest rozwiązana z jego winy, ponosi koszty okresu wypowiedzenia. Mam tylko wasze słowa, on się może wszystkiego wyprzeć.

Pomimo dużych wątpliwości, czy Marek zechce domagać się spełnienia jakichkolwiek wynikających z umowy roszczeń, Darek odpuścił dyskusję. Bez względu na problemy, które mógł nieść potencjalny konflikt z klientem, wołał skierować rozmowę na inne tory i spróbować przeforsować chodzący mu po głowie od tygodnia pomysł.

— Byłoby łatwiej, gdybyśmy mieli monitoring — bąknął. — Na salach i przy wejściu do szatni. Mówiłem szefowi, że ktoś Oli rozwalił szafkę. Możliwe, że to też ten facecik. Tylko że nikt go nie złapał za rękę. No i miałby szef czarno na białym te procesje z kwiatami i fakt, że Ola nie była niczemu winna. Ona go nie zachęcała, ale poza naszymi słowami dowodów szefowi nie przedstawimy.

— Masz rację, ale to pieśń przyszłości — zmartwił się nasz przełożony. — Przydałoby się teraz...

— Chwileczkę — wtrąciła się Małgosia, której pragmatyczne podejście do życia kolejny raz podsunęło genialne rozwiązanie. — My monitoring na razie nie mamy. Ale parking jest wspólny z sąsiednim bankiem. Oni mają monitoring w środku i na zewnątrz. Można poprosić o sprawdzenie, czy obejmuje też wejście do nas. Drzwi są właściwie po sąsiedzku.

— I co? Sprawdzisz, czy facet korzystał z ich bankomatu? Dowiemy się, że do nas przychodził, żadne odkrycie... — do Kubusia genialna prostota pomysłu jeszcze nie dotarła.

Na szczęście szef, którego praca polegała głównie na wysiłku umysłowym i nie cierpiał z głodu na okoliczność prowadzonych czterech zajęć spinningu pod rząd, myślał jasno i pojął w lot, na czym polega błyskotliwość pomysłu.

— Można sprawdzić, kiedy i na ile czasu przychodził — stwierdził zachwycony. — Porównać z jego planem treningów. Udowodnić, że bywał w celu dostarczenia kwiatów i to w dni, kiedy nie był umówiony z trenerem. Wchodził i wychodził po chwili, zamiast zostać i ćwiczyć... Pani Małgosiu, to bardzo sprytne rozwiązanie! Czy mogę obarczyć panią sprawdzeniem monitoringu banku?

— Jak znajdzie się zastępstwo na recepcji... — wzruszyła ramionami Gośka.

W obliczu zasług naszej recepcjonistki, szef skłonny był posadzić na recepcji po kolei wszystkich trenerów, nawet Darka, co natychmiast uczynił. W czwartek rano, zamiast udać się do pracy, Małgosia skierowała zatem kroki do sąsiedniej placówki. Miała w niej zostać do chwili uzyskania zgody na przejrzanie zapisu z kamer, a potem wspólnie z szefem poświęcić konieczną ilość czasu na seans filmowy.

Z tych właśnie powodów, wchodząc rano do klubu, ujrzałam za ladą Marcina.

— Nienawidzę tego gnojka — wymamrotał ponuro.

Wtajemniczona przez Darka w niecny plan szefa i świadoma żywiołowej nienawiści Marcina do papierków, poczułam lekkie wyrzuty sumienia. „Ostatecznie na moją okoliczność ten cyrk”, pomyślałam z szarpiącym coraz mocniej poczuciem winy i zaproponowałam, że wobec braku porannych zajęć i indywidualnych treningów, odbębnę dyżur w recepcji za niego.

— Niech ci będą dzięki — odetchnął z ulgą Marcin, czym prędeż ulatniając się w kierunku sali cardio.

Siedząc za ladą i monitorując karnety przychodzących i wychodzących klientów, odpuściłam na razie wędrówkę do szatni i przebieranie. Próbując udowodnić sobie, że jak się postaram, mogę być jednostką równie sumienną i zorganizowaną, jak nasza działająca w trybie najdoskonalszej wersji androida recepcjonistka, postanowiłam nie szwendać się między ćwiczącymi i nie narobić Goście zaległości, o co mogłaby mieć do mnie potem pretensje. Wyrzuty sumienia z powodu dezorganizacji dnia pracy osiągnęły poziom na tyle wysoki, że natychmiast wklepałam do systemu dane nowej klientki, przygotowałam do wstawienia na stronę internetową grafik na kolejny miesiąc i zabrałam się za aktualizowanie oferty klubu, wzbogaconej o możliwość konsultacji z dietetykiem. Miało to ten dobry skutek, że gdy około południa Małgosia z szefem pojawili się w klubie, byłam pierwszą osobą, z którą podzielili się zdobytymi informacjami.

Choć w oczach szefa każdy z ekipy miał nieposzlakowaną opinię, cień rzucany na moją osobę przez ewentualne skłonności do podrywania klientów i romansowania w godzinach pracy mocno naszego przełożonego martwił. Zainteresowanie mną, które potwierdziły udostępnione nagrania, było wystarczającym dowodem na to, że nie kiepska jakość pracy trenerów i niezadowolenie ze sposobu funkcjonowania klubu, lecz powody prywatne spowodowały decyzję Marka o rezygnacji. Ponieważ jego fascynacja znacznie przekraczała granice standardowego podrywu, szef coraz bardziej przychylił się do opinii Darka, że ofiarą natrętnego amanta mogła paść również moja szafka, szczególnie że jej pierwsza profanacja miała miejsce w dniu, w którym Marek zapisał się do klubu. Przeprowadzony przez szefa eksperyment dowiódł wyraźnie, że do niepilnowanych szatni trenerskich swobodnie może przeniknąć każdy, podobnie zresztą jak do klubu. Poza godzinami pracy Małgosi za ladą recepcji siedzieli zazwyczaj instruktorzy, którzy mniejszą uwagę poświęcali sprawdzeniu tłumów, które kłębiły się przy wejściu codziennie od szesnastej. Decyzja o instalacji monitoringu zapadła nieodwołalnie.

— Byle nie w tym miesiącu — jęknęła Oliwka. — Nie chcę się tłumaczyć szefowi z idiotyzmów, jakie mogą mieć miejsce podczas naszej imprezy.

Hasło „impreza” przeniosło nasze myśli w alternatywną rzeczywistość. Ponieważ koncertowo odpracowałam większość papierkowej roboty zaplanowanej na dziś przez Gosię, odczekałyśmy, aż szef zniknie w biurze, i przystąpiłyśmy do omawiania kwestii integracji i tak wybitnie zgranego zespołu.

— Robimy catering czy składkowe? — Goškę w pierwszej kolejności interesowały zagadnienia organizacyjne.

— Składkowe — mruknęłam. — Policzę, ile mam osób na liście i wyślę jeszcze jedną z prośbą, żeby każdy wpisał, co ma ochotę przynieść. Aga dopisała się do listy... Cholera, czy poprawność dietetyczna na imprezie też nas obowiązuje?

— Nie byłabym do końca przekonana, jak to u niej wygląda z tą poprawnością — mruknęła Małgosia. — Jak przeglądaliśmy monitoring, pooglądałam sobie, jak wyglądają nasi kochani współpracownicy przed i po wyjściu z pracy. Dość interesujące, bo pani dietetyk często wysiada z samochodu z jakimś batonikiem w zębach. Batonikiem, wafelkiem... Cholera ci wie.

— Może zbożowe — wzruszyłam ramionami. — „Cornny” albo inne zdrowe słodczyce. Proteinowe batony też przecież wcinamy. Mamy nawet w bufecie. Nie czepiała się, mówiła mi nawet, które są najlepsze.

— No właśnie — uśmiechnęła się tajemniczo Gosia. — Więc po co się kryje? Zresztą fachowiec wie, że wpychanie do paszczy całego batona na raz nie służy żołądkowi. A ona dosłownie... żarła... Nie wiem, musiałyś to zobaczyć. Tak to wyglądało, jakby była okropnie zdenerwowana.

— Ale w pracy ani razu nie widziałam, żeby była zdenerwowana — zdziwiłam się. — Taka sympatyczna, wyluzowana babka... Może z kimś mylisz.

Małgosia popatrzyła na mnie z uwagą.

— Oła, ile znasz wysokich, chudych babek z czarnym afro, które regularnie pojawiają się w klubie? Codziennie odbieram i wydaję karnety, gapię się na zdjęcia tych ludzi do porzygania. Nie ma nikogo, kogo mogłabym pomylić z Agą.

— No dobra — poddałam się. — To dość niezwykle. Tym bardziej uważam, że możemy odpuścić post i dietę ścisłą, planując menu. Zobaczymy, jak się zachowa na widok jedzenia. Masz tę listę zainteresowanych gdzieś wydrukowaną? Podsunę w wolnej chwili ludziom, niech chociaż część się opowie dzisiaj.

Jedyny egzemplarz wydruku Gosia dała mi kilka dni wcześniej. Nowego wydrukować na poczekaniu się nie udało, gdyż z niejasnych przyczyn drukarka zastrajkowała i po wciągnięciu kilku kartek papieru na raz przytknęła się definitywnie. Moja lista tkwiła w zepsutej szafce, złożona i zredukowana do formatu maleńkiej, lecz grubej wkładki przytrzymującej drzwiczki. Do pokazywania komukolwiek, ani tym bardziej do pisania, nie nadawała się absolutnie. Bez zbędnych dywagacji wysłałyśmy maile ze stosownym załącznikiem. Ze swojej strony postanowiłam natychmiast po pracy usunąć zmaltretowaną kartkę. Drzwi będą uchylone, ale trudno. Nie chciałam chwalić się blokadą własnego pomysłu przed konserwatorem, który jutro miał przyjść naprawić zamek.

Tuż przed siedemnastą wyszarpnęłam brudną jak diabli karteczkę i wygarnęłam z szafki swoje rzeczy. „Dobrze, że wysłałyśmy tego maila”, pomyślałam. Karteczka nie dość, że brudna, była teraz również podarta. Zaabsorbowana rewelacjami, jakie rano zafundował mi Darek, umiarkowanie wyspana, zapomniałam o chwilowej zamianie szafek i odruchowo wrzuciłam torbę do własnej. O ewentualnym przełożeniu nie pomyślałam, gdyż po zakończeniu dyżuru w recepcji w ekspresowym tempie pognałam się przebrać, by zdążyć na

trening z zachęconą przez panią Halinkę jej siostrą. Rozpoczęte o czternastej zajęcia indywidualne skończyłam dopiero kilka minut przed piątą i zabawa w przekładanie rzeczy kompletnie wypadła mi z głowy. „A niech tam”, pomyślałam głupio, „Marek wyeliminowany, Agi nie ma dziś w robocie... Oprócz nich w moich rzeczach mógłby grzebać jedynie uprawniony do tego Darek”.

„Właściwie ręcznik, gazetę i całą resztę też mogę zabrać”, stwierdziłam, pakując się do wyjścia. Miejsca w torbie miałam dość, by pomieścić wygarnięty z szafki majdan. Spakowana, przysiadłam jeszcze na chwilę na ławeczce i wyciągnęłam telefon.

— Wychodzę z pracy — poinformowałam Łukasza. — Gdzie mam po ciebie podjechać?

Łukasz szybko podał mi dokładną lokalizację salonu. Skrzywiłam się niezbyt zadowolona. Pchać się na Obornicką o tej godzinie to była ostatnia rzecz, o jakiej marzyłam. Z drugiej strony, skazać Łukasza na zasuwanie *per pedes* po ruchliwej szosie z Suchego Lasu byłoby cholernie nie w porządku. „Może da się to jakoś objechać bocznymi drogami”, pomyślałam i poprosiłam o krótką instrukcję obsługi systemu GPS zainstalowanego w hondzie.

Zakochany, ale trzeźwo patrzący na moją beznadziejną orientację w terenie, Łukasz pouczył mnie co do sposobu uruchomienia nawigacji, westchnął ciężko, pomyślał chwilę i rzucił nazwy kilku ulic, jakie mam wklepać.

— W razie gdybyś jednak zabłądziła, będziesz mogła zorientować się, gdzie jesteś. Zadzwońisz, podasz lokalizację i będzie mi łatwiej cię poprowadzić.

— No, jak wyląduję na głębokiej wsi, to na pewno będę umiała ci wytłumaczyć, gdzie jestem — sarknęłam. — Kochanie, właśnie minęłam duży, omszały kamień. Z prawej strony jest wjazd do lasu. Gdzieś w oddali słychać szum morza...

— Jakoś bym się nie dziwił — mruknął Łukasz. — To nie jest skomplikowana droga, mały ruch, więc jak nie dotrzesz w ciągu czterdziestu pięciu minut, zadzwonię, czy wylądowałaś w górach, czy zmierzasz nad morze. Ale bez względu na kierunek, byłoby wskazane, żebyś jednak Dragona i mnie też zabrała... Jedź ostrożnie, bo zaczyna padać. A, Ola!

— No?

— Mam prośbę. Będziesz przejeżdżała obok osiedla, wstąp po piesa. Zapomniałem, że na dziewiętnastą trzydzieści umówiłem wizytę u weterynarza, trzeba potwora zaszczepić. Nie chciałbym tego odwlekać, zwłaszcza po tej wczorajszej akcji...

— Myślisz, że Marek mógłby gdzieś donieść, że mamy wściekłego psa?

— Wolę nie ryzykować — mruknął Łukasz. — A termin szczepienia i tak wypada w tym miesiącu. Będzie z głowy. Smycz jest w przedpokoju.

— W sumie... Jak się zgubię, to pies tropiący będzie jak znalazł —

błysnęłam humorem.

Na samą myśl o małych, bocznych ścieżkach, które miałam pokonywać pierwszy raz w życiu, doznałam lekkiego wstrząsu. Przy wybitnych antytalentach, które objawiły się już w dzieciństwie, a z wiekiem tylko się pogłębiały, miałam duże wątpliwości, czy przez czterdzieści pięć minut dojadę do wskazanego miejsca. Na miły Bóg, bywając od wczesnych lat niemowlęcych na Starym Rynku przynajmniej raz w tygodniu, do dziś musiałam oblecieć go kilka razy dookoła, by znaleźć interesującą mnie uliczkę.

Pomedytowałam przez chwilę, czy aby zatłoczona, ale prosta jak strzełił Obornicka nie będzie lepszą alternatywą, jednak perspektywa zamykanego o osiemnastej salonu Renault i narażenia Łukasza na kwitnienie na dworze przez dość długi czas, zanim przepcham się do Suchego Lasu, była nie do przyjęcia. „Zwłaszcza, że naprawdę zaczyna padać”, stwierdziłam idąc do samochodu. Niech się dzieje wola boska, najwyżej naprawdę będą z Darkiem mnie szukali na jakimś zadupiu...

Stałam przy aucie, pomachałam odjeżdżającemu z parkingu Darkowi i sięgnęłam do torebki po kluczyki.

— Szlag — zakląłam, macając w bocznej wewnętrznej kieszonce. Kluczyki do hondy, klucze do dwóch mieszkań, zapasowe klucze do pracy... „Za dużo kłującego metalu”, pomyślałam i zakląłam ponownie, czując jak podręczne nożyczki do paznokci wbijają mi się w palec. Gdy wreszcie wyszarpnęłam właściwe kluczyki, z niezadowoleniem obejrzałam skaleczoną rękę. Czubek nożyczek wszedł dość głęboko, krew sączyła się mocniej, niż się spodziewałam.

Owinęłam ranek chusteczką. Jeszcze tego brakuje, żebym ubabrała tapicerkę. W nadziei, że krew szybko zaschnie, nacisnęłam mocniej na palec, drugą ręką próbując wymacać guziczki w pilocie. Który otwiera, do cholery? Źle naciśnięty guzik powodował nieprzyjemne piśnięcie auta. Nienawidziłam takich dźwięków. Podniosłam kluczyki do oczu, by sprawdzić symbole przy guziczkach.

A to co, do licha? Kluczyki i breloczek wymazane były ciemną, zaschniętą substancją. Na samym breloczku, identycznym jak ten przy komplecie kluczy do domu, plam nie było zbyt wyraźnie widać, jednak na jasnym metalu kluczyków dostrzegłam je od razu. Coś się wylało, czy ja krwią ubabrałam?

Wsiadłam do samochodu i skontrolowałam stan palca. Odetchnęłam z ulgą, wizja upstrzenia krwawymi plackami tapicerki odpływała w siną dal. „No dobra, to jak to tam szło z tą nawigacją?”

Włączyć GPS udało mi się od razu. Wklepanie celu podróży też nie było wielką filozofią, schody zaczęły się, gdy próbowałam zmodyfikować trasę zgodnie z wytycznymi Łukasza. Jestem tylko kobietą, stwierdziłam po kilku minutach szarpania się z urządzeniem.

— Jak ja mam wpisać te ulice, co mi podałeś? — spytałam, gdy Łukasz

odebrał telefon. — Jak wpisuję, automatycznie zmienia mi miejsce docelowe. Ten GPS jest tak głupi czy ja?

— GPS — westchnął Łukasz i udzielił mi szczegółowej instrukcji. Postępując krok po kroku zgodnie z wytycznymi, nareszcie uzyskałam pożądany efekt.

— Dzięki, kochanie — mruknęłam. — Teraz muszę już tylko dojechać. A tak przy okazji, czym uwalasz kluczyki od auta?

— Nie rozumiem.

— Plamy są jakieś, takie brązowawe — wyjaśniłam. — Rano ich nie zauważyłam.

— Ola, nie powinno być żadnych plam — głos Łukasza brzmiał niespokojnie. — Rano były czyste.

— Widocznie sama upaciałam. Skaleczyłam się, jak grzebałam w torebce, chociaż nie sądziłam, że krew tak szybko zastyga i brązowieje... No dobra, wyczyszczę w domu.

— Ola, kiedy się skaleczyłaś? — w głosie Łukasza napięcie stawało się bardzo wyraźne.

— Przed chwilą — zeznałam zgodnie z prawdą. — Miałam w torebce takie małe nożyczki do paznokci i pokłułam się, szukając kluczyków. Spokojnie, nie wykrwawiam się na śmierć, twoja tapicerka też jest bezpieczna. Może tusz z czerwonego długopisu mi się wylał...

— Ola, wiesz co...

— No?

— Nie podoba mi się to. Czy ktoś mógł grzebać ci w torebce? Spróbuj mi dokładnie powiedzieć, jak wyglądają te plamy.

Przewróciłam oczami. Że paranoja dopadła zwariowanego Dareczka, dotkniętego negatywnym wpływem czytania nadmiernej ilości kryminałów, wcale mnie nie dziwiło. Ale Łukasz wyglądał na jednostkę rozsądną, opanowaną i trzeźwo analizującą otaczającą rzeczywistość. Powoli zaczęłam się zastanawiać, czy moja skromna osoba dysponuje aż takim potencjałem w zakresie wywoływania zbiorowej hysterii. Dotąd niczego takiego nie zauważyłam.

— Plamy wyglądają jak zaschnięta krew — mruknęłam zniecierpliwiona. — Albo jakiś ciemny sok? Ale się nie lepia. Są na breloczku i kluczykach. W torebce mogłam dziś grzebać tylko ja sama. Skaleczoną łapą. Ochłoń.

— Pewnie masz rację — przyznał Łukasz niechętnie, jednak coś nadal go męczyło, bo zawiesił na chwilę głos. — Ola, jedź ostrożnie. Gdyby cokolwiek było nie tak, zjedź gdzieś i dzwoń.

— Co ma być nie tak? — jęknęłam. — Dobra, oświecisz mnie jak przyjadę, bo robi się późno. A dla świętego spokoju w drugą stronę poprowadzisz sam. Buziaki.

Ciężkie westchnienie z drugiej strony upewniło mnie, że Łukasz nie pozbył się czarnych myśli i nadal coś mu przeszkadza.

— Dobrze — powiedział wreszcie. — Uważaj na siebie.

— No przecież będę miała piesa — rzuciłam zniecierpliwiona i rozłączyłam się.

Alternatywna droga do domu nie nastęrczała trudności, zwłaszcza że jeździłam nią od czasu do czasu, chcąc uniknąć korków. W przeciągu kwadransa zdołałam dotrzeć do mieszkania, sprawnie wpakować Dragona w uprząż i przypiąć go w samochodzie. Przyzwyczajony do jazdy na tylnym siedzeniu pies usiadł, nie poświęcając ani chwili na zastanawianie się, dlaczego nie pan zabiera go tym razem na przejażdżkę. Widocznie w psim mniemaniu zostałam definitywnie włączona do stada, a przynależność do pana dawała mi pełną swobodę na jego terytorium.

— Mądry pies — pochwaliłam leżącego na kocu Dragona. — To może poprowadzisz?

Propozycja została rozpatrzona negatywnie, choćby z tego powodu, że Dragon nie lubił jeździć z przodu. Posadzony na fotelu obok kierowcy, natychmiast próbował precyzyjnie się do tyłu. Choć pomocny był w każdej innej sytuacji, teraz szerokim ziewnięciem zakomunikował mi jasno, że mam sobie radzić sama.

— Dzięki — mruknęłam z wyrzutem i powoli ruszyłam we wskazanym przez GPS kierunku.

Zanim wyjechałam z osiedla, zadzwonił telefon. Zerknęłam na wyświetlacz i zatrzymałam auto.

— No jadę — rzuciłam. — Zabrałam piesa, wyjeżdżamy spod bloku. Zaraz będę...

— Aleksandra, zostań, proszę, w domu — przerwał mi Łukasz zdenerwowanym głosem.

— Co znowu? — jęknęłam. — To jest kawałek, o co ci chodzi?

— Nie podoba mi się ta sprawa z kluczami — powiedział Łukasz. — Po prostu... Po prostu mam złe przeczucia. Chcę, żebyś została w domu. Wracaj na parking. I pod żadnym pozorem nie wsiadaj do auta.

— A ty jak wrócisz? — zirytowałam się.

— Taksówką — padła krótka odpowiedź.

— Kochanie, nie świruj — „Boże, tu naprawdę panuje jakaś zbiorowa histeria. O co mu chodzi, do cholery?” — Jadę po ciebie do Suchego Lasu, potem jedziemy do weta, żadnej apokalipsy w planie nie mamy.

Sprawa musiała być jednak poważna, bo w głosie Łukasza pobrzmiwała autentyczna histeria, gdy na mnie wrzasnął:

— Ola, wracaj natychmiast na ten cholerny parking! Przestań mi pieprzyć o apokalipsach! Nie rozumiesz, że z tymi kluczami coś jest nie tak? Dam sobie

głowę uciąć, że to jest krew, i że nie twoja! I boję się myśleć, skąd mogła się wziąć! Nie wystarczy ci porżniętych opon i świrów dookoła? Masz siedzieć w domu i na mnie czekać!

— Powariowaliście z Darkiem — sarknęłam. — Napij się melisy i ochłoń! I poczekaj na mnie na świeżym powietrzu, ponoć pomaga na ataki hysterii!

— Ola!

Wściekła zdążyłam się rozłączyć. Telefon natychmiast rozdarł się ponownie. „No, tą metodą to faktycznie nigdzie nie dojadę”, pomyślałam gniewnie i wyciszyłam dźwięk. Dla pewności wrzuciłam komórkę do torebki. Teraz musiałam skupić się na płątaninie uliczek, które miały doprowadzić mnie do sucholeskiego salonu Renault.

Przez labirynt ulic o dziwacznych, inspirowanych botaniką nazwach przebrnęłam bardzo szybko. Chwilę później trasa wyrzuciła mnie na długą, krętą drogę z wąskim poboczem. Ponieważ domów mijałam coraz mniej, ruch wkrótce ustał zupełnie. „Szansa na korki faktycznie równa zeru”, pomyślałam z uznaniem. W Suchym Lesie czasem bywam, można poćwiczyć jazdę tą trasą, całkiem przydatna.

Jednak jadąc w deszczu, pochłaniana przez ciemność nadchodzącego wieczoru, zupełnie sama na opustoszałej szosie, czułam się nieswojo. Z ulgą powitałam dostrzeżone w lusterku światła innego auta, którego kształt majaczył za mną w sporej odległości.

Paranoja, tylko paranoja, zjawisko całkiem powszechne i znane psychiatrii od lat. Histeryczny strach, który zaraża umysł wyprodukowanymi przez wybujałą wyobraźnię omamami. Zwłaszcza zmęczony umysł... Nie było tajemnicą, że Łukasz ostatnio pracował bardzo dużo, ta afera z Markiem też dobrze na niego nie wpłynęła. Boże, co mu do głowy strzeliło z tym zakrwawionym breloczkiem? Żaden omen, na miłość boską, zwyczajny efekt mojego gapiostwa! Na szczęście weekend mam wolny, jakaś kolacja, kino i solidny odpoczynek przydadzą się nam obojgu...

Mniej więcej w połowie drogi zerknęłam ponownie na towarzyszące mi z tyłu auto. Tu chyba jest jakieś ograniczenie prędkości? Nie teren zabudowany, ale kręta droga, w dodatku z mikroskopijnym poboczem. „Bez względu na to, kto siedzi za kierownicą, ma spore szanse na pamiątkowe zdjęcie z fotoradaru”, pomyślałam, spoglądając na zbliżający się szybko samochód. Według informacji udzielanych przez GPS gdzieś tu są takie pułapki na amatorów szybkiej jazdy...

Zwolniłam i zjechałam maksymalnie na prawo, przekonana, że najlepszym wyjściem będzie pozwolić się wyprzedzić. Auto za mną jechało pewnie, jednak nadmierna prędkość nasuwała mi natrętą myśl o wyczynach piratów drogowych, wyciskających z samochodu największe możliwe prędkości pod wpływem płynnych substancji rozweselających, zwanych potocznie alkoholem. „Ja po drodze

niczego nie gubiłam”, pomyślałam głupawo, przypominając sobie pościg na okoliczność portfela Dareczka. „No, wyprzedź mnie wreszcie, idioto!”

Ale idiota, wbrew wysyłanym telepatycznie zachętom, wcale nie był skłonny mnie wyprzedzić. Przyczepił się w niezbyt dużej odległości i jechał za mną, utrzymując równe tempo. Dopiero po chwili zorientowałam się, że co rusz próbuje mnie lekko popędzić, delikatnie przyspieszając i podjeżdżając na kilka sekund coraz bliżej. Potem natychmiast wracał do stałej odległości. Manewry były ledwo dostrzegalne, spostrzegłam je dopiero, skupiając się przez moment na widoku we wstecznym lusterku. „Do cholery, nie mogę prowadzić wgapiona w to, co się dzieje za mną, droga jest zbyt kręta”, pomyślałam mocno zaniepokojona i na wszelki wypadek rozejrzałam się po okolicy.

To, co zobaczyłam, bardzo mi się nie spodobało.

Mikroskopijne pobocze uległo jeszcze większej redukcji. Wąska jednopasmówka z obu stron wysadzona była rosnącymi gęsto topolami. Włączyłam na chwilę długie światła, tylko po to, by upewnić się, że przede mną nie ma żadnej zatoczki, możliwości skrętu ani zatrzymania się. Gdzieś w oddali dostrzegłam wprawdzie zabudowania, jednak przy takiej odległości nie miałam co liczyć na zjazd na przydrożne podwórko. Miałam dwa wyjścia: przyspieszyć, ryzykując, że na śliskiej od deszczu nawierzchni wylecę z trasy na pierwszym lepszym zakręcie i rozwalę się o któreś tam drzewo, albo zwolnić z nadzieją, że pirat drogowy za mną jednak zdecyduje się na wyprzedzanie. „Szlag”, pomyślałam, zerkając do tyłu, wcale nie wygląda, jakby chciał wyprzedzać. Wygląda raczej... Jezu...

Auto z tyłu odpuściło psychologiczne gierki i całkiem jawnie podjeżdżało co chwilę coraz bliżej. Z trudem próbowałam kontrolować, co dzieje się za mną, jednocześnie pilnując drogi z przodu. „Do celu jedenaście kilometrów”, poinformował mnie sympatycznym głosem GPS. „Cholera, jeszcze tyle? Czy tu naprawdę nic nie jeździ? Oddałabym wszystko za zatłoczoną do granic możliwości Obornicką...”

„To też może być, dzięki Ci, Boże”, jęknęłam z ulgą, gdy daleko przed nami na zakrętach mignęły światła. „Dam znać długimi”, pomyślałam zdesperowana. Kompletnie nie wiedziałam, o co chodzi szaleńcowi z tyłu, jednak miałam nadzieję, że uda mi się zatrzymać nadjeżdżającego z naprzeciwka kierowcę i wystraszyć siedzącego mi na ogonie świra. Żeby tylko nie oślepić tego z przodu...

Wrzasnęłam zaskoczona, czując szarpnięcie, któremu towarzyszył krótki, stłumiony huk dochodzący z tyłu. Wyrwany ze snu Dragon poderwał się z koca z cichym, zdziwionym skowytym. Przerażona wbiłam wzrok w lusterko. „Szlag, było posłuchać Łukasza”, jęknęłam, widząc, jak samochód z tyłu zwalnia, by ponownie nabrać rozpędu. „Bierz diabli zakręty i deszcz, byle jak najszybciej dojechać do zabudowań”, pomyślałam desperacko. Trzęsąc się jak w febrze, z wysiłkiem napięłam mięśnie nogi, by zbyt nagłym przyspieszeniem nie zafundować sobie

poślizgu z finałem na drzewie. Delikatnie docisnęłam pedał gazu.

— No, zbieraj się — syknęłam przez zaciśnięte zęby, widząc, jak ścigające mnie auto szykuje się do kolejnego uderzenia.

Cudowny samochód lekko i płynnie zwiększył prędkość, w ostatniej chwili odjeżdżając siedzącemu mi na ogonie autu. Świr tuż za mną nie spodziewał się tego, nie zdążył przyspieszyć jednocześnie ze mną i pozostał z tyłu. Zanim zwolnił, by po raz kolejny zebrać rozpęd, wykorzystałam chwilę zaskoczenia, by przyjrzeć się osobie, która z maniackim uporem próbowała mnie staranować.

— Kurwa, tylko nie to — szepnęłam na widok znajomej twarzy. Malujące się na niej ponure zacięcie nie pozostawiało wątpliwości, że albo jak najszybciej dojadę do bardziej zaludnionego odcinka trasy, albo moje szanse na wyjście bez szwanku z opresji spadną do zera. Zakląłam cicho i jeszcze mocniej przyduśiłam pedał gazu. „Jezu, gdzie to auto, które jechało z naprzeciwka...”

Odkoczyłam nieco do przodu, jednak pościg po chwili dezorientacji ponownie nabrał tempa. Na szczęście auto z tyłu było cięższe i miało zdecydowanie gorsze przyspieszenie od lekkiej, zrywnej hondy. Cenne sekundy uzyskane dzięki ryzykownej prędkości dały mi wreszcie przewagę. Na krótko.

Samochód z tyłu z wyciem silnika rozpędził się wreszcie. „Zaraz mnie staranuje”, jęknęłam, dociskając gaz. Choć śliska nawierzchnia nie ułatwiała mi ucieczki, zakręty stały się łagodniejsze i coraz rzadsze. Na prawie prostym odcinku dostrzegłam wreszcie jadące z naprzeciwka auto. „Chwała Bogu”, odetchnęłam, próbując krótkimi mrugnięciami świateł zwrócić uwagę kierowcy, z nadzieją, że ścigające mnie wcielenie furii odpuści.

Nie odpuściło. Przeklęte auto zbliżało się, systematycznie zmniejszając dzielącą nas odległość. „Szlag, co się dzieje”, pomyślałam spanikowana. Jadący z naprzeciwka na moje sygnały również zareagował przyspieszeniem i gnał jak wariat, zbliżając się z niepojętą dla mnie szybkością. Pies na tylnym siedzeniu poszcze kiwał nerwowo. „Najwyżej”, przemknęło mi przez myśl, gdy z rozpaczą wcisnęłam pedał gazu. Gwałtownym skokiem honda wyrwała do przodu, zostawiając za sobą taran.

„Byle uciec”, myślałam w desperacji. „Jeszcze tylko kawałek...” W szalonym pędzie minęłam jadące z naprzeciwka auto. „Jezu, jeszcze tylko kawałek...” W niedużej odległości przede mną pojawiła się tablica sygnalizująca teren zabudowany. „Dzięki Bogu”, jęknęłam i spojrzałam w lusterko w tej samej sekundzie, w której jadący z Suchego Lasu samochód z piskiem opon skręcił w lewo. Autem zarzuciło. Obróciło się wokół własnej osi i stanęło w poprzek jezdni. Mój prześladowca miał wystarczająco dużo czasu, bo rozpocząć hamowanie, jednak śliski asfalt utrudniał manewr. Na ominięcie przeszkody zostało zbyt mało miejsca.

Wrzasnęłam krótko, gdy zahaczył o tył stojącego w poprzek drogi

samochodu, przepychając go jeszcze bardziej, i zjechał z asfaltu, zatrzymując się w płytkim rowie. Drugie auto pod wpływem uderzenia ruszyło po śliskiej nawierzchni i wyrznęło bokiem w najbliższą topolę.

— Szlag — wyszeptałam, patrząc we wsteczny lusterku na masakrę, która rozegrała się tuż za mną. Potem, nie zastanawiając się, co robię, zawróciłam, omal nie wbijając się w bok wyjeżdżającej z miasta mazdy. Sekundę później z piskiem opon ruszyłam w kierunku miejsca wypadku, wymuszając pierwszeństwo na kolejnym nadjeżdżającym kierowcy.

Kiedy wyhamowałam na poboczu, facet z mazdy biegał z przyciśniętym do ucha telefonem, próbując jednocześnie wezwać pogotowie i rozstawić trójkąt.

— Niech pani dzwoni na policję! — rzucił krótko, widząc, że wysiadam z auta. — Szybko! Karetka już jedzie.

Dziękując Bogu za obecność przytomnego, zdecydowanego człowieka, który przede mną znalazł się na miejscu i błyskawicznie zaczął organizować pomoc dla poszkodowanych, bez słowa wróciłam do hondy po komórkę. Po zgłoszeniu wypadku podbiegłam z powrotem do faceta z mazdy, szarpiącego się z drzwiczkami auta w rowie.

— Jada? — zawołał do mnie. — Niech pani idzie do tego drugiego! Spróbować otworzyć drzwi i wyciągnąć kluczyk ze stacyjki! Jak nie da rady, wywalić szybę! I sprawdzić, co z kierowcą!

Krótkie, ostre komendy wdzierały się do otumanionego szokiem umysłu. Jakimś cudem nadal trzymałam się na nogach, gdy biegłam do samochodu, który uderzył w drzewo. „Jak dobrze, że on się zajął tamtym”, przemknęła mi pełna ulgi, absurdałna myśl. Nie umiałabym, nie chciałabym ratować osoby, która kilka minut wcześniej próbowała mnie zabić.

Poślizg i impet uderzenia obróciły samochód w taki sposób, że opierał się o drzewo lewym bokiem, dając mi swobodny dostęp do drzwi ze strony kierowcy. Odetchnęłam z ulgą, widząc odkręconą szybę okna i zrezygnowałam z szarpania się z drzwiami.

Trzęsącą się ręką sięgnęłam nad bezwładnym ciałem, chcąc jak najszybciej dostać się do stacyjki i wyciągnąć kluczyki... Spojrzenie na odchyloną na bok, opuszczoną na prawe ramię głowę było na razie ponad moje siły. Po omacku trafiłam dłonią na kluczyki i wyszarpnęłam je ze stacyjki. Dobrze, łatwiejsze za nami... Sprawdzić puls i oddech...

Szybki, głęboki wdech, by opanować rozdrżane ręce i skupić przerażone perspektywą napotkania martwych oczu spojrzenie. Jęknęłam z ulgą, czując wyraźny, mocny puls na szyi mężczyzny. Nadal wystraszona, lecz już bez histerycznego, niezdolnego spowalniającego każdy ruch lęku, spróbowałam otworzyć drzwiczki. Nie ustąpiły od razu, jednak pod wpływem mocniejszego szarpnięcia otworzyły się na całą szerokość. Pochyliłam się nad klatką piersiową

poszkodowanego. Unosiła się i opadała, jej ruch zdążyłam zarejestrować dokładnie w momencie, gdy nozdrza owionął mi znajomy, subtelny zapach męskich kosmetyków, powleczony intensywną nutą wody toaletowej, której nazwę wyszeptałam bezwiednie. „Boss The Scent?” Błagam, nie...

Dławiąc się potężną, narastającą w gardle histerią, zebrałam się w sobie. Dudnienie w klatce piersiowej zagłuszało wrzask paniki, który na razie coraz głośniej rozbrzmiewał mi w głowie, szukając ujścia. Łapiąc powietrze krótkimi, urywanymi haustami, wyciągnęłam rękę i włączyłam lampkę nad lusterkiem. Mamrotana bezładnie modlitwa zamarła mi w gardle, gdy spojrzałam na bladą, zapadniętą twarz, po której z rozciętego łuku brwiowego sączyła się krew.

Gwałtownie cofnęłam się i upadłam na asfalt. Nabrzmiwający w krtani wrzask rozdarł powietrze, sprowokowany cichym jękiem, jaki wydobył się z zakrwawionych, opuchniętych warg Łukasza.

* * *

— Tylko zasłabnięcie, nie brała udziału w wypadku — rzeczowy, kobiecy głos przedzierający się przez błogą warstwę nieświadomości z każdą sekundą rozbrzmiewał w mojej głowie coraz wyraźniej. — Zaraz dojdzie do siebie. Proszę pani! Słyszysz mnie pani?

— Olka, obudź się, do cholery!

Powoli skinęłam głową, niechętnie otwierając oczy, i natychmiast zamknęłam je z powrotem, oślepiąca błyskającymi w ciemności czerwonymi i niebieskimi światłami.

Natrętne wołanie kazało mi podjąć jeszcze jedną próbę. Tym razem rozchyliłam powieki ostrożnie, przesłaniając je ręką.

— Chwała Bogu — jęknął pochylony nade mną Darek. — Dziewczyno, co tu się stało, na miłość boską?

— Nie wiem — wyszeptałam, próbując unieść się na łokciach i rozejrzałam się otępiiałym wzrokiem dookoła.

Leżałam okryta termicznym kocem na noszach tuż obok stojącej na poboczu karetki. Obok siedzieli Darek i ratowniczką medyczna, która widząc, że oprzytomniałam, zaczęła mierzyć mi ciśnienie.

Dookoła panowała szalona krzątanina. Pomoc drogowa usuwała dwa zmasakrowane pojazdy. Policja kierowała samochody z zablokowanej drogi na pobliskie objazdy. Na wąskim poboczu stała zaparkowana krzywo honda. W środku na tylnym siedzeniu dostrzegłam biegającego nerwowo i wyjącego Dragona. Każdy z obrazów mój umysł rejestrował osobno, jak oderwane od siebie fragmenty dziwnej układanki, której sensu nie umiałam pojąć. Dopiero po chwili nałożyły się na siebie, ukazując mi wreszcie w jasny i klarowny sposób, co się dookoła mnie dzieje. Wyparta na chwilę przez omdlenie pamięć wróciła. Z jękiem

opadłam na nosze, zanosząc się histerycznym płaczem.

— Spokojnie, spokojnie — cichy, stanowczy głos ratowniczkę z trudem przebijał się przez urywany szloch. — Podam pani środek na uspokojenie, zaraz będzie dobrze.

— Jakie dobrze? Nic nie będzie dobrze — wyłam, waląc głową w nosze. — Gdzie jest Łukasz? Co z nim jest? Daro, gdzie on jest?

Zaskoczony wybuchem Darek pochylił się, próbując mnie objąć.

— Cicho, Olka, cicho — uspokajał mnie nieporadnie. — Łukasz jest już w szpitalu, jest pod dobrą opieką. Olusia, uspokój się, musisz nam powiedzieć, co tu się stało.

Troska i niepewność, połyskujące przez łzy zbierające się w kącikach oczu Darka, omal nie wywołały kolejnego ataku hysterii. Wspomnienie chwil sprzed omdlenia nie pomagało mi nad sobą panować.

— Najpierw mi powiedz, co mu jest — zażądałam. — Gdzie w szpitalu? Co mu jest? Co mu, do cholery, jest? — wrzasnęłam, wyrrywając rękę ratowniczkę, która próbowała podać mi zastrzyk.

Kobieta spojrzała na Darka porozumiewawczo.

— Spokojnie — powiedziała, odsuwając go i delikatnie ujmując mnie za nadgarstki. — Karetka zabrała go do szpitala. Jak wyciągnęliśmy go z auta, był nieprzytomny, ale stabilny. Zaraz tam pani pojedzie, ale na razie muszę panią przebadać. Nie ma tragedii, naprawdę. Proszę podać mi rękę, coś na uspokojenie jest pani bardzo potrzebne. Mogę zrobić zastrzyk?

Skinęłam głową, próbując opanować przyspieszony po wybuchu hysterii, urywany oddech. Nieprzytomny, ale stabilny. Stabilny. STABILNY, do cholery!

Po chwili Darek pozbierał mnie z noszy i zaprowadził do auta. Zaprotestowałam, gdy otworzył drzwi z przodu.

— Nie chcę — wymamrotałam i wcisnęłam się na tylne siedzenie, obejmując piesa, który natychmiast się uspokoił.

— No dobra — mruknął Darek.

Jeszcze przez chwilę siedzieliśmy z Dragonem, czekając, aż skończy rozmawiać z policjantem, kierującym ruchem na przyblokowanej drodze.

— Chcesz jechać do domu czy do szpitala? — zapytał Darek, odwracając się do mnie.

— Do Łukasza — mruknęłam, wciskając nos w szeroki psi kark. — On jest sam...

— Matka już pojechała moim clio — uspokoił mnie Darek.

— Jak?

Kierując się w stronę Poznania, Darek skinął w geście podziękowania policjantowi, który przepuścił nas, zamiast nakazać skorzystanie z objazdu.

— Policja zadzwoniła do mamy, że był wypadek, a mama do mnie —

mruknął. — Przyjechałem po nią i na miejscu się okazało, że ty też tu jesteś. No i pies. Jezu, ten pies jest niemożliwy. Wiesz, że uratował Łukaszowi życie?

Ściskając cudowne zwierzę, wysłuchałam relacji Darka, usłyszonej od faceta, który jako pierwszy znalazł się na miejscu zdarzenia. Kiedy zauważył, że zasłabłam, odciągnął mnie na bok. Przy okazji zorientował się, że wyrwany fotel po stronie pasażera przesunął się i niebezpiecznie naciska na rękę poszkodowanego. Ponieważ bał się, że może być złamana, postanowił poczekać z wyciągnięciem Łukasza z auta na przyjazd policji. Tymczasem Dragon, którego zostawiłam w niedokładnie zamkniętej hondzie, na mój wrzask zrozumiał, że sytuacja jest bardzo poważna. Jakimś cudem wyszarpał się z uprzęży i ruszył w kierunku samochodu, którym jechał Łukasz. Dopadłszy do niego, zaczął ciągnąć pana, próbując wywlec go z auta.

— Facet na początku chciał go odgonić — mówił Darek. — Do tego czasu pies wyciągnął Łukasza na tyle, że Łukasz prawie wypadł na zewnątrz. Wtedy się okazało, że ma jakąś paskudną ranę na udzie. Gdyby nie pies, tamten gość by nie zauważył. Lekarz powiedział, że gdyby nie Dragon, do przyjazdu pogotowia Łukasz by się wykrwawił...

— Kochany pies — wymamrotałam. — Najlepszy pies pod słońcem... Bez ciebie państwo jak takie łamagi... I dobrze, pani łamaga drzwi nie zamknęła, przydałeś się bardziej ode mnie...

— Ola, co ty tam w ogóle robiłaś? — chciał wiedzieć Darek. — Pewnie policja jutro zacznie cię maglować do porzygania, ale ja ni cholery nie rozumiem, co się stało. Ty to wszystko widziałaś? Wiesz, kto w kogo przypieprzył?

— Jezu, Daro, wszystko widziałam — westchnęłam, odrywając się wreszcie od Dragona. — Miałam odebrać Łukasza z Suchego Lasu po pracy. Prawie nikt nie jechał, tylko to auto za mną...

Zmęczona, otępiąła po solidnej dawce leków uspokajających, powoli przypominałam sobie wydarzenia sprzed kilku godzin. Poszczególne obrazy, klatka po klatce pojawiały się w głowie. Poprzez otumanione farmakologicznie myśli przebijała się modlitwa dziękczynna za podane w karetce środki. Bez nich nie byłabym w stanie opowiedzieć Darkowi o przebiegu zdarzeń. O wiele łatwiej było je obserwować, nie wiedząc, kto pędził z naprzeciwka i zablokował drogę, ratując mnie przed staranowaniem. Dopóki myślałam, że to obcy człowiek, widziane obrazy z tamtej sytuacji interpretowałam na korzyść przypadku, głupiego ślepego losu, a może i mojej własnej winy. W głowie tkwiło przekonanie, że próbując zwrócić uwagę kierowcy, oślepiłam go długimi światłami. Zdezorientowany wpadł w poślizg i stanął w poprzek drogi, blokując ją. Znając tożsamość kierowców obu pojazdów, w mgnieniu oka uprzytomniłam sobie, jak wyglądała prawda. I kto jest w stu procentach odpowiedzialny za wszystko, co się stało.

Jedyną winną byłam ja sama.

— Daj spokój, to był przypadek. Nikt nie mógł tego przewidzieć — mruknął Darek, wysłuchując mojego samobiczowania.

— Nie rozumiesz — warknęłam. — Łukasz dzwonił do mnie, jak wyjeżdżałam z Dragonem spod domu. Kazał mi zostać, mówił, że ma jakieś złe przeczucia, że się o mnie boi. Nie wiem, jakim cudem przewidział, że coś może mi się stać. Jechał, żeby mi pomóc i celowo zablokował drogę. Wiedział, że inaczej ta wariatka mnie staranuje!

Darek w lusterku spojrzął na mnie zdumiony.

— Ola, co ty gadasz? — zasapał. — Przecież to się nie trzyma kupy. Mój brat nie jest jasnowidzem. Jaka niby wariatka miałaby chcieć cię zabić?

Roześmiałam się ponuro.

— Ta sama, która porznęła mi opony, podrzuciła rzeczy do szafki, wybiła okno...

— Olusia, błagam... Przecież ustaliliśmy, że to twój natrętny wielbiciel miał nierówno pod sufitem...

— Nie — zaprotestowałam zimno. — Ty ustaliłeś. Łukasz miał rację, że to nie on.

— O matko, to kto? — przewrócił oczami Darek.

— Agnieszka — wycedziłam, krzywiąc się z obrzydzeniem.

— Niemożliwe! — Darek wbił we mnie zszokowane spojrzenie. — Widziałaś ją?

— Widziałam cholernie wyraźnie — mruknęłam. — I widziałam furję, z jaką próbowała mnie rozwalić.

— O cholera — jęknął Darek. — Czyli jednak... A robiła takie dobre wrażenie... Ola, ale co ona do ciebie miała? Przecież w pracy wyglądało, że naprawdę się lubicie.

— Ona nic — zaśmiałam się ponuro. — Nie mówię o naszej dietetyczce. To pani Dukaciak chciała mnie zabić. Wasza ukochana kuzynka.

— Jezu... — jęknął Darek i zamilkł.

* * *

Białe ściany opasujące cichą przestrzeń, w centrum której stoi łóżko otoczone aparaturą monitorującą procesy życiowe, ze stojakiem na kroplówkę. Na monitorze ciche, popiskujące sygnały, mające udowodnić, że leżący bez ruchu na łóżku człowiek żyje, a jego serce i płuca, pomimo doznanych uszkodzeń, samodzielnie, wytrwale pracują.

— Ola, chodź już — Darek delikatnie pociągnął mnie za ramię. — Lekarz prosi, żebyśmy wyszli.

Przetarłam oczy, w których co chwilę zbierał się nadmiar łez. Pokiwałam bezmyślnie głową i pochyliłam się, żeby ucałować rozpalone, naznaczone już

szwami chirurga czoło Łukasza.

— Jutro przyjdę — wyszeptalam, przeczesując ostrożnie palcami zmierzwione, wilgotne włosy. — Od samego rana.

Darek cierpliwie przeczekał pieśszoty, którymi usiłowałam jakimś cudem przyspieszyć regenerację cierpiącego w wyniku odniesionych ran ciała ukochanego człowieka.

— Trzymaj się, brat — mruknął, ściskając na chwilę bezwładną dłoń, tonącą w płataninie rurek kroplówki. — Dasz radę.

Błada, ubrana w wyciągnięty domowy dres pani Eliza krążyła nerwowo po korytarzu. Jako pierwsza wyszła z sali, gdy chirurg poprosił ją o rozmowę. „Jezu, coś niedobrze”, pomyślałam i żołądek skręcił mi się ze strachu. Nie mogło być dobrze, to było od razu widać na poszarzałej, zapadniętej twarzy matki Łukasza, która miotła się wzdłuż korytarza, przygryzając przyciśniętą do ust chusteczkę.

— I co? — zapytał Darek, podchodząc do matki i obejmując ją.

Pani Eliza z jękiem zarzuciła synowi ręce na szyję.

— Wstrząs mózgu, połamane żebra, otwarte złamanie prawej nogi, duża utrata krwi z powodu głębokich ran — wymamrotała, kryjąc twarz w ramieniu Darka. — Daruś, dlaczego? Powiedz mi, dlaczego jemu ciągle się coś takiego przytrafia? Dlaczego tylko on w rodzinie ma takiego pecha? Przecież to taki dobry chłopak...

— Chodźmy. I tak nas na razie do niego już nie wpuszczą — mruknął Darek. — Ola, pojedziesz z nami do domu, co?

— Koniecznie — pani Eliza oderwała się od syna, przypominając sobie, że stoję obok. — Nie powinnaś być sama.

Spojrzałam w jej załzawione, udręczone oczy i zagryzłam zęby. Bardzo nie chciałam być sama, jednak w głębi duszy dręczyło mnie przeświadczenie, że dziś jestem częścią pecha, o którym mówiła. Gdyby Łukaszowi na mnie nie zależało, nie zostawiłby mi swojego auta, załatwił sprawy służbowe i spokojnie wrócił hondą do domu i Dragona. Boże, wystarczyłoby nawet, żebym posłuchała, zamiast upierać się przy odbieraniu go z pracy... Nieważne jak pani Eliza i Darek starali się podtrzymać mnie na duchu, czułam, że nie mam prawa siedzieć razem z nimi i czerpać z ich ciepła. Gdyby nie ja, nie zostaliby wciągnięci w wir nienawiści Agnieszki, która zebrała się jak wrzód wokół kilku mało istotnych zdarzeń i w krótkim czasie urosła do rozmiarów tornada, niszczącego wszystko na drodze do unicestwienia mnie. „Ale, Boże, dlaczego?”, przemknęła mi myśl. „Dlaczego cała ta nienawiść w ogóle istniała? Bo doprowadziłam do wyrzucenia jej z wygodnych podwózek do pracy samochodem Krzysztofa? Z powodu samego Krzysztofa? Przecież było jasne, że nie o niego jej chodzi, zresztą jeśli nawet, to dlaczego nie dała mi spokoju, kiedy został sam? Od czego zaczęło się to nienormalnie wybuchające pragnienie zniszczenia mi życia?”

— Nie, nie, pojedę do domu — uśmiechnęłam się blado, gdy pani Eliza ponowiła propozycję, bym przenocowała u nich. — Mam samochód, zresztą muszę zająć się piesem... Poradzę sobie.

— No dobrze — pani Eliza posłała zatroskane spojrzenie. — Zadzwoń do ciebie wieczorem, dobrze? Odbieraj telefon, kochanie. I jak tylko będziesz chciała, natychmiast przyjeżdżaj. Z piesem. Piesem? Jak wyście ochrzcili to nieszczęsne zwierzę? Za to co zrobił, należy mu się co najmniej poprawna deklinacja...

— Daruś, ja bym jutro urlop wzięła, co? — spojrzałam pytająco na Darka. — Chciałabym jak najwcześniej przyjechać tutaj.

— Nawet nie pytaj — machnął ręką Darek. — Już dzwoniłem do szefa, oboje mamy urlop do końca tygodnia. Też przyjedziemy z samego rana. Podjechać po ciebie, czy sama chcesz?

— Nie, przyjadę sama. Wieczorem się jeszcze jakoś umówimy — westchnęłam.

Darek i pani Eliza odprowadzili mnie do hondy, w której niespokojnie wyczekiwał Dragon. Nie wiem, na ile rozumiał, że teraz jesteśmy zdani sami na siebie, jednak błyskawicznie wyczuł, że będziemy sobie bardzo potrzebni.

— Upiekł ci się weterynarz — mruknęłam wzruszona, patrząc, jak wbrew wstrętowi do jazdy z przodu pies gramoli się na siedzenie obok mnie.

* * *

Tuż po powrocie do domu odfajkowaliśmy dwie rundki dookoła bloku. Stres wywołany niezrozumiałymi, niedobrymi wydarzeniami, w wyniku których byliśmy sami, a pan zniknął nie wiadomo gdzie i na jak długo, odbił się na samopoczuciu niezniszczalnego w moich oczach Dragona. Dziś nawet krzaki na trawniku obok parkingu straciły swój nęcący, tajemniczy urok. Smutny psi wzrok lustrował przestrzeń dookoła pytającym wzrokiem, nawet wtedy, gdy weszliśmy do mieszkania i przystąpiliśmy do rytuału wycierania łap. Choć na równi z Dragonem nie cierpiałam małego, brązowego ręczniczka, tego wieczoru rzuciliśmy się do niego natychmiast. Dotarło do nas, że w szalonym wirze rozbijających w drobny mak normalne życie wydarzeń ten niepozorny symbol obecności Łukasza jest dla nas kotwicą, utrzymującą nadzieję i łączność z szarą, upragnioną rzeczywistością.

Po krótkiej kąpieli umówiłam się z panią Elizą, że tuż przed ósmą spotkamy się przed wejściem do szpitala.

— Dzwoniła pani jeszcze do szpitala? — zapytałam z nadzieją, że Łukasz odzyskał przytomność i zagrożenie minęło.

— Nie, Oleńko — usłyszałam smutne westchnienie. — Przez telefon nikt ci nie udzielił informacji. Ale łudzę się, że skoro oni nie dzwonią, to nic złego się nie dzieje. Czasem brak wiadomości jest najlepszą wiadomością... Na pewno nie chcesz przyjechać? Darek pojechał już do domu...

Choć obraz pani Elizy snującej się z głową nabitą niespokojnymi myślami wywołał napad empatii, tym razem egoizm wziął górę. „Mam pod opieką piesa”, pomyślałam, grzecznie, lecz stanowczo odmawiając. Mam do zrobienia kilka rzeczy, choćby zadzwonić rano i przełożyć wizytę u weterynarza. Mam rzeczy Łukasza, które mogę bez pozwolenia właściciela bezczelnie ubrać, by poczuć choć namiastkę jego obecności. Mam łóżko, w którym mogę się skulić i otulić zapachem ukochanego mężczyzny do czasu, kiedy sam będzie mógł mnie objąć...

A jednak pościel dawała zbyt słabą namiastkę poczucia bezpieczeństwa i miłości, w której tonęłam poprzedniej nocy. Nie mogąc przywołać najłżejszego nawet snu, tuż przed jedenastą skapitulowałam. Zwlokłam się z łóżka i poszłam zaparzyć herbatę. Za mną przydreptał Dragon, który od powrotu do domu nie spuszczał mnie z oczu.

— Masz, przyjacielu — mruknęłam, wygrzebując z szafki paczkę psich przysmaków. — Ja mam czekoladę, tobie też się coś należy... Mieliśmy ciężki dzień.

Dragon chętnie przyjął propozycję pocieszenia. Pożarłszy trzy kabanosy, zaczął kręcić się niespokojnie, próbując ustalić, gdzie zamierzam przebywać, by pójść tam za mną i uciąć sobie drzemkę. W przeciwieństwie do piesa, coraz mniej odczuwałam potrzebę snu. Nie chciałam jednak zmuszać skonanego zwierzęcia do przyśnięcia w kącie na kuchennych kafelkach. Po krótkim namyśle skierowałam się do gabinetu, zdecydowana poświęcić bezsenne chwile na coś pożytecznego. Na przykład uszykowanie książeczki zdrowia Dragona, by rano o tym nie zapomnieć.

Zgodnie z instrukcją, nadal przypiętą do korkowej tablicy, większość rzeczy Dragona powinna leżeć w jednej z szuflad niewielkiej komody. „Nie ma”, wzruszyłam ramionami, przeglądając jej zawartość. Łukasz, człowiek uporządkowany, wykazywał się znacznie mniejszym roztargnieniem i nieporównywalnie mniejszą kreatywnością w zakresie robienia bałaganu niż jego starszy brat. Skoro książeczki zdrowia nie ma w psiej szufladzie, może miał ją przy sobie?

Spojrzałam na zegarek i niechętnie odpuściłam telefon do Darka z prośbą o przeszukanie zabranej z rozbitego samochodu teczki Łukasza. Niewykluczone, że książeczka została gdzieś na wierzchu, ostatecznie Łukasz podchodził do mojej krótkowzroczności z dużą dozą optymizmu. Rzucił gdzieś w nadziei, że znajdę i błysnę intelektem, zabierając ją razem z piesem?

„Próżne nadzieje”, pomyślałam niezadowolona, snując się po raz trzeci po poszczególnych pomieszczeniach. Wzrok mam kiepskawy, ale zupełnie ślepa nie jestem. No dobra, gdzie ostatnio zostawił mi kluczyki i dokumenty od auta?

Po cichu, nie chcąc budzić Dragona, który nareszcie zasnął snem sprawiedliwego psa, wróciłam do sypialni i usiadłam na dywanie, otwierając szufladę szafki obok łóżka. Przerzuciłam niecierpliwie jakieś kwitki, ładowarkę do

telefonu i ipoda. Zniechęcona zamknęłam szufladę i zerknęłam niżej. „Nie powinnam”, pomyślałam, wyciągając rękę w kierunku drzwiczek. Chyba... Palce zacisnęły się na niewielkim uchwycie i zanim podjęłam świadomą decyzję, pociągnęły, otwierając dostęp do wnętrza szafki.

Górna półeczka była prawie pusta. Leżał na niej jedynie podręczny, czarny kalendarz z mocno wytartą okładką. 2015, czyli aktualny. Jest szansa, ludzie w takich podręcznych kalendarzykach zapisują numery telefonów. Może znajdę coś, co choć trochę będzie przypominało namiary na klinikę weterynaryjną?

Drobne, pochyłe pismo, w wersji jeszcze bardziej pomniejszonej na potrzeby kalendarzyka nie ułatwiało zadania. Z trudem odcyfrowałam bazgroły pod literą „w” w części adresowej, znalazłam nawet coś, co mogło wyglądać jak „wet”, ale równie dobrze mogło wyglądać na cokolwiek innego. „To bez sensu”, jęknęłam, próbując obejrzeć maleńkie literki i odgadnąć ich znaczenie. Gdybym chociaż mogła to z czymś porównać... Może jechać datami? Może na dziś jest wpisana wizyta i namiary na klinikę?

Po opuszczeniu części adresowej odetchnęłam z ulgą. Notatki przy poszczególnych datach nadal wyglądały jak bazgroły będące wynikiem automatycznego pisania, ale osiągały całkiem przyzwoite rozmiary. Przy dzisiejszej dacie i zielonym, drukowanym wpisie „SZCZEPIENIE!” z satysfakcją znalazłam nazwisko weterynarza, telefon i godzinę wizyty. No i proszę, właściwie całe to śledztwo było mi potrzebne jak dziura w moście. Łukasz widocznie przywiązał się do kliniki, którą pierwszy raz odwiedziliśmy w dniu znalezienia Dragona. „Nie ma sprawy, sama pojedę w weekend”.

Zadowolona z osiągniętych rezultatów, odłożyłam kalendarzyk na miejsce. Już miałam zamknąć szafkę, gdy myśl o planowanej na weekend wizycie przywołała praktyczny aspekt sprawy. Idąc do weterynarza, wypadaloby jednak tę cholerną książeczkę zdrowia posiadać. Z ciężkim westchnieniem zajrzałam na niższą półkę i wywlokłam z niej całą zawartość.

Notes. Podręczny zapas energii w postaci otwartego opakowania z wafelkami z kremem kokosowym. No jasne, przecież lubimy kruszyć, zwłaszcza w łóżku... Mały segregator z wizytówkami. Kolejny notes. Ha! Książeczka zdrowia piesa-biesa! Ciekawe dlaczego upchnięta razem z kartą gwarancyjną laptopa... Może Łukasz wcale nie jest aż taką chodzącą kwintesencją uporządkowania? Zaintrygowana bogactwem niepowiązanych z sobą dokumentów, przeglądałam kolejne.

Wreszcie, na samym spodzie odkryłam niewielki album ze zdjęciami.

„Kolejna porcja z kompromitującej rodzinnej kolekcji”, pomyślałam i wepchnęłam pozostałe papiery z powrotem do szafki. Album wzięłam do łóżka, odruchowo strzepując z poduszki resztki wafelkowej uczy. Nie interesowało mnie, jaki okres życia uchwyciły ukryte w środku fotografie. Pragnęłam jedynie poczuć

bliskość Łukasza, nawet na papierze, nawet taką z przeszłości. „Nie mamy żadnych wspólnych zdjęć”, pomyślałam, otwierając powoli album.

Kompromitujący okres wczesnego dzieciństwa, kiedy rodzice uwieczniają bez opamiętania najbardziej kłopotliwe chwile z życia pociechy, nie zwracając sobie ani trochę głowy pytaniem, co sam zainteresowany myśli na ten temat bądź co pomyśli za lat kilka, został zaprezentowany w formie kilku zdjęć z przyjęcia urodzinowego z okazji roczku. Większość fotografii przedstawiała Łukasza w wieku między dziesiątym a piętnastym rokiem życia, jak oceniałam na oko. Niektóre z nich już znałam z albumu przeglądanego z panią Elizą. „Właściwie większość już widziałam”, pomyślałam zdziwiona. Podobnie jak album dedykowany zmarłej ciotce Łukasza i Darka, ten również był pełen jej zdjęć. Nawet na kilku umieszczonych na początku to Alicja przeważnie trzymała Łukasza na rękach. Dopiero później znalazłam fotografie przedstawiające go z bratem i z rodzicami. „Nie rozumiem”, zastanawiałam się, gryząc palce. „Aż tak się lubili?” Przeglądając album, nie było potrzeba zdolności Sherlocka Holmesa, by dostrzec łączącą tych dwoje silną więź. Ale wystarczyło spojrzeć na relacje pani Elizy z synem, by upewnić się, że to matkę darzył największym szacunkiem i przywiązaniem spośród wszystkich członków rodziny.

Z głową nabitą poplątanymi zmęczeniem myślami zasnęłam tuż po pierwszej. Album zostawiłam na wierzchu, obiecując sobie przy najbliższej okazji zagadnąć jakoś dyplomatycznie panią Elizę. Jaką drogę wyciągania z niej poufnych informacji wybrać, nie udało mi się ustalić, gdyż pochłonął mnie problem znacznie bardziej naglący.

— Jesteś pewien, że pan pozwala ci spać na łóżku? — mruknęłam krytycznie pod adresem Dragona, który lunatycznym krokiem przywędrował z gabinetu i płynnym skokiem znalazł się obok mnie.

„To niepedagogiczne”, pomyślałam nieprzytomnie, gdy ciepło emitowane przez trzydzieści kilo piesa w połączeniu z cichym pochrapywaniem zadziałało nareszcie jak najlepszy lek na bezsenność.

* * *

Na spotkanie pod szpitalem przybyłam lekko spóźniona, gdyż uspokojony moją obecnością w domu Dragon odzyskał humor na tyle, by zechcieć nadrobić zaległości w patrolowaniu krzaczków i obwąchiwaniu kamieni.

— Przepraszam! — wydyszałam do Darka, który czekał sam na parkingu. — Piesa musiałam wyprowadzić!

— Mama już poszła, chciała najpierw pogadać z lekarzem — skinął głową Darek. — Jezu, mam nadzieję, że wygląda to chociaż odrobinę lepiej, niż wyglądało to wczoraj.

Wzruszyłam ramionami. Sama cholernie chciałam mieć taką nadzieję.

Targana niepewnością co do stanu Łukasza i pragnieniem, by jak najszybciej znaleźć się przy nim, ruszyłam do wejścia, gdy Darek przytrzymał mnie za rękę.

— Olka, musimy pogadać.

— Co znowu? Nie możemy potem? — przewróciłam oczami.

Zatroskany Darek pokręcił głową.

— Ola, musimy ustalić, co powiedzieć matce.

Spojrzałam na niego zdumiona.

— Jak to co? Prawdę! Dokładnie taką samą, jak na policji. Właśnie, dzwonił już?

— Taaa, chcą nas widzieć zaraz po wizycie u Łukasza. Szczególnie ciebie. Aleksandro, zrozum, ojca szlag trafi...

— I co mnie to, do cholery, obchodzi? Dlaczego go tu w ogóle nie ma? — zapytałam z narastającą wrogością. — Łukasz mógł się zabić, ta wariatka mogła mnie zabić, a ty masz problem, bo ojciec się wścieknie? Dariuszu, albo podasz mi sensowny powód, dla którego miałabym próbować zatuszować sprawę przed twoimi rodzicami, albo natychmiast zadzwonię do waszego ojca i zdam szczegółową relację. Ze wszystkiego. Po tym, co wczoraj się stało, nikt mi nie wmówi, że ktoś inny jest odpowiedzialny za dziwne wydarzenia skupione wokół mojej skromnej osoby. Nie będę kryć wariatki!

Stanowczy ton i desperacja w moim głosie stropiły nieco Darka, który zadreptał nerwowo, zastanawiając się, co dalej.

— No? — rzuciłam zaczepnie. — Może wszystkim by wyszło na dobre, gdyby ojciec dowiedział się wreszcie, że źle obsadził rolę czarnej owcy? Musiałby przeprosić Łukasza i przyjąć, że ukochana siostrzenica nie bardzo pasuje do wyobrażeń o skrzywdzonym przez los aniołku.

— Aleksandro, przestań — zasapał zdenerwowany Darek. — To wszystko wygląda zupełnie inaczej.

— Jak? — wbiłam w niego pytające spojrzenie, jednak w odpowiedzi uzyskałam jedynie skrzępowane milczenie. — Tchórz — parsknęłam z pogardą i nie czekając na Darka, pobiegłam do szpitala.

W sali obok łóżka siedziała już pani Eliza, gładząc bezwładną dłoń syna.

— Coś wiadomo? — zapytałam szeptem, zbliżając się powoli.

— Jest dobrze — uśmiechnęła się. — Teraz śpi, dostaje dużo leków przeciwbólowych, ale nad ranem oprzytomniał. Dojdzie do siebie.

Napięcie, które od rana trzymało mnie na nogach i zmuszało do funkcjonowania wbrew ogarniającej umysł rozpacz, w ułamku sekundy ustąpiło. Z westchnieniem ulgi opadłam na drugie krzesło przy łóżku Łukasza. Już nie musiałam się bać widoku bezbarwnej, przezroczystej skóry powlekającej obojętną na wszystko twarz człowieka umierającego, który prześladował mnie w złych przeczuciach od chwili, gdy po przebudzeniu otworzyłam oczy. Ostrożnie

przytuliłam dłoń do policzka, nieznacznie już tylko rozgrzanego gorączką. Wysuszone usta poruszyły się lekko.

— Ola... — usłyszałam cichy, niewyraźny głos.

— Jestem, jestem, kochanie — wyszeptałam, nachylając się, by być jak najbliżej. — Jak się czujesz?

„Najwyraźniej całkiem nieźle”, pomyślałam, gdy z ust Łukasza padła ledwie słyszalna, lecz dobitna odpowiedź:

— Chryste, Ola, jesteś idiotką...

Obie z panią Elizą zastygłyśmy, patrząc na Łukasza w totalnym osłupieniu.

— To coś nowego — mruknęła pani Eliza. — Chyba uderzył się w głowę trochę bardziej, niż się wydaje lekarzom. Łukasz, dobrze się czujesz?

Łukasz spróbował spojrzeć na matkę i skrzywił się z bólu, gdy uniósł głowę.

— Bywało lepiej — stęknął. — Mamo, mogę prosić o coś do picia? Wodę jakąś?

Uspokojona coraz bardziej przytomnym spojrzeniem syna, pani Eliza wyszła z sali.

Łukasz zaczekał, aż zniknęła nam z oczu, i wbił we mnie uważne spojrzenie, pod wpływem którego poczułam się mocno nieswojo.

— Tak, wiem, jestem idiotką — wymamrotałam. — Miałam siedzieć w chacie. Miałam nie wystawiać się twojej porąbanej kuzynce, chociaż nie mam pojęcia, jakim cudem wiedziałaś, że akurat wczoraj będzie miała ochotę skutecznie się mnie pozbyć. Miałam cię posłuchać i nie doprowadzić to tego pieprzonego wypadku. Wiem. Kochasz mnie jeszcze trochę?

— Naprawdę jesteś idiotką — uśmiechnął się Łukasz i uniósł rękę, żeby przygarnąć mnie do siebie.

Czując swojski zapach skóry ukochanego człowieka, nareszcie dopuściłam do siebie świadomość, że strach i zagrożenie mamy już za sobą. Wtulona w ramiona Łukasza wybuchłam płaczem, oczyszczającym umysł z resztek niepewności, a ciało z potwornego napięcia, w jakim funkcjonowałam przez ostatnie dwa tygodnie.

— Cichutko, nie płacz — mruknął Łukasz, gładząc mnie po włosach. — Powiedz mi lepiej, co się wczoraj stało. Po tym, jak we mnie rąbnęła, kompletnie nic nie pamiętam.

W dużym skrócie zrelacjonowałam wydarzenia od momentu wypadku. Łukasz słuchał uważnie, choć było widać, że jest już zmęczony i trudno mu się skupić. Sama miałam do niego bardzo dużo pytań, jednak widząc wysiłek, jaki wkładał w skoncentrowanie się na moich słowach i dopasowanie ich do tego, co zapamiętał, postanowiłam zostawić zaspokojenie własnej ciekawości na później.

Nie wiem, ile wychwytał z mojej relacji, w końcowym rozrachunku interesowało go jedno:

— Czyli ty i pies-bies jesteście cali?

— Głupi ma szczęście — mruknęłam. — O sobie mówię. Honda też ocalała, zderzak z tyłu jest lekko zarysowany. Czołgiem jeździsz, czy coś? Czym ty w ogóle jechałeś? Błagam, nie mów, że dla mnie rozwaliłeś testowego talismana jeszcze przed premierą?

— Nie, w tym salonie pracuje kolega — wyjaśnił Łukasz. — Dał mi jakieś stare auto zastępcze. Ubezpieczone...

— Jesteś zmęczony? — zapytałam, bo mówił coraz ciszej, przymykając co chwilę oczy. — Chcesz spać?

— To nie jest głupi pomysł — mruknął Łukasz, próbując znaleźć wygodną pozycję. — Posiedzisz jeszcze?

— Jeszcze chwilę — obiecałam. — Potem jadę na policję złożyć zeznania i chciałabym umówić się na to szczepienie z Dragonem. Wieczorem przyjdę, dobrze?

— Dzięki — uśmiechnął się i powoli pogładził mnie po twarzy. — Tylko Ola...

— No? — spytałam zaniepokojona, bo w głosie Łukasza zabrzmiał twardy, zimny ton.

— Jak będziesz na policji, powiedz wszystko. Dokładnie. Niech wreszcie odpowie za to, co zrobiła.

— Nie chcesz wiedzieć, co się z nią stało, jak się czuje? To twoja kuzynka — zasugerowałam.

— Po tym, co zrobiła, mam to gdzieś — powiedział twardo Łukasz. — Nawet, jeśli będę musiał wpakować ją do pierdła. Albo tam, gdzie jej miejsce — mruknął. — Nieważne.

Przytaknęłam, nie chcąc, by marnował siły na zdenerwowanie i myślenie o ukochanej krewnej, która omal obojgu nam nie zniszczyła życia. Jednak pożegnawszy się z Łukaszem i panią Elizą, która razem z Darkiem weszła do sali, zamiast iść na parking, podeszłam do dyżurki pielęgniarek.

— Przepraszam, czy może mi pani powiedzieć, w której sali leży Agnieszka Dukaciak? — zwróciłam się do chudej, wysokiej kobiety w białym kitlu. — Przywieziono ją wczoraj z wypadku.

— Sala 27 — pielęgniarka uśmiechnęła się ze współczuciem. — Pani jest z rodziny?

— Tak — odwzajemniłam uśmiech. — Aleksandra Nawrocka, jestem szwagierką.

* * *

Przez chwilę stałam przed drzwiami z numerem 27, niepewna, po co tu przyszłam i co właściwie chcę osiągnąć. Nie miałam pojęcia, jak czuje się

Agnieszka i czy w ogóle będzie w stanie ze mną rozmawiać. Dokładnie te same wątpliwości dręczyły mnie wobec własnej osoby. Czy dam radę spojrzeć spokojnie w twarz kobiecie, która z błahych, nieistotnych powodów wyrządziła swoją złością tak wiele szkód?

„Skoro już tu jestem”, pomyślałam zrezygnowana i weszłam do sali.

Na pierwszy rzut oka Agnieszka zapłaciła za nienawiść i trawiące ją pragnienie zemsty za Bóg wie jakie przewinienia z naszej strony niską cenę. Niższą, niż zapłacił Łukasz za desperacką próbę ratowania mnie z bagna, w jakie wciągała mnie jego kuzynka. Unieruchomiona z powodu złamania ręki i nogi, leżała zupełnie przytomna, wpatrując się bezmyślnie w okno. Słyszając kroki, powoli odwróciła głowę.

— Czego tu chcesz? — skrzywiła się na mój widok.

— Chyba nietrudno zgadnąć — wzruszyłam ramionami i przysunęłam sobie krzesło, starając się pozostać w bezpiecznej odległości.

— Wynoś się — syknęła.

Uparcie siedziałam na miejscu, ze wzrokiem utkwionym w jej twarzy, próbując odgadnąć źródło nienawiści, przez którą jej twarz wykrzywiała się w brzydkim grymasie.

— Co ja ci zrobiłam? — zapytałam w końcu. — Czego ty ode mnie chcesz?

Agnieszka parsknęła nieprzyjemnym śmiechem.

— Od ciebie? Doprawdy nic. Jesteś denerwująca z tą swoją manią wielkości, ale pocięte oponki chyba sprowadziły cię trochę na ziemię. Od ciebie nie chciałam nic, poza tym, żeby przytrzeć ci to twoje wybujałe ego.

— Nie rozumiem — wymamrotałam skonsternowana. — To po co było to wszystko?

— Och, chyba nie dość skutecznie wyleczyłam cię z manii wielkości. Tobą bym miała aż tak zawracać sobie głowę? Jesteś śmieszna — spojrzała na mnie z pogardą. — Ale przydatna — dodała po chwili. — W sumie powinnam ci podziękować. Sama wlaźłaś mi w ręce. Takie idealne narzędzie do popsucia rodzinnej harmonii, kiedy mój ukochany braciszek wreszcie wrócił z zagranicznych wojaży.

— Kto? — jęknęłam osłupiała, ogłupiona słowem, które padło przed chwilą.

— Co, nie przyznał się? — zachichotała. — Ukochany pupilek cioci Elizy, pewnie nadal mówi do niej „mamo”. Zdziwiona? Jeszcze się zdziwisz — stwierdziła, nagle poważniejąc. — Jeszcze się zdziwisz, ile kłamstw się nasłuchałaś od tej rodziny. Przede wszystkim od niego... I zastanów się dobrze, zanim uwierzysz w choć jedno słowo. Właściwie żal mi ciebie — spojrzała na mnie z uwagą.

Siedziałam jak skamieniała, słuchając słów Agnieszki. O czym ona, do cholery, mówi? Wpatrzona otępiałym wzrokiem w jej wykrzywioną wrogim

grymasem twarzy, nie zauważyłam wejścia mężczyzny z kilkuletnim dzieckiem. Oprzytomniałam dopiero, gdy na widok rodziny Agnieszka w ułamku sekundy przykryła nienawiść radosnym, nieco zmęczonym uśmiechem poszkodowanej w wypadku pacjentki.

— Cześć, kochani — zaszcebiotała w kierunku wchodzących. — Przepraszam cię Ola, chciałabym chwilę побыć z bliskimi. Pozdrów mojego brata...

— Jasne — mruknęłam, podnosząc się z krzesła. — Już nie przeszkadzam.

Ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy wyszłam na korytarz nieco zbyt nerwowym krokiem i usiadłam na najbliższej ławce, usiłując ochłonąć.

Przez chwilę siedziałam nieruchomo, próbując przetrwać uzyskane informacje. Z tego, co powiedziała Agnieszka, wynikało jasno, że jestem przypadkową ofiarą cyklonu, którego główne uderzenie było wymierzone w Łukasza. Zatem słusznie się zastanawiałam, o które z nas chodzi, kiedy znalazłam w szafce kopertę z naszymi zdjęciami. Chodziło o niego. Bo, o ile słuch mnie nie zawiódł, a szok nie przytępił zdolności poznawczych, byli rodzeństwem... I to cholernie pokłóconym rodzeństwem... No i nareszcie mamy wyjaśnienie, dlaczego Łukasz na większości fotografii z okresu zasmarkanego dzieciństwa był razem z Alicją, dlaczego trzymał jej zdjęcie jako zakładkę. Straciwszy wcześniej matkę, nie do końca pogodził się z jej śmiercią, a ponieważ wuj traktował go jak pętający się pod nogami wyrzut sumienia, jasne jest, że wszedł w bliską relację z panią Elizą. Zaprzyjaźniony z Darem, ale kuzyn, nie brat... Dlaczego to wszystko takie skrętnie zamiecione pod dywan? Co tu się, cholera, dzieje?

„Jeszcze się zdziwisz, ile kłamstw się nasłuchałaś od tej rodziny. Przede wszystkim od niego...”

Wspomniane słowa Agnieszki przyprawiły mnie o gęsią skórkę. Tajemnica na tajemnicy i tajemnicą poganiana... Daruś też dziś jakiś mało rozmowny, zupełnie bez sensu upierał się przy ukryciu prawdziwej wersji wydarzeń przed rodzicami. „Chociaż w całym tym morzu tajemnic jedna więcej nie powinna robić mi różnicy”, pomyślałam z przekąsem. Pytanie zasadnicze brzmi, od czego zacząć ich rozgryzanie. Bo nie od rozmowy ze znaną, od lat kochaną rodziną, którą, jak widać, nie do końca słusznie darzyłam zaufaniem.

„A może to Agnieszce nie należało ufać”, pomyślałam, zastanawiając się, jak zinterpretować dziwne słowa Łukasza na jej temat. „Tam, gdzie jej miejsce”. Cholera, gdzie? Może tego najpierw należy się dowiedzieć?

Zdecydowana poszperać w prawdziwej przeszłości Nawrockich, wstałam i unikając starannie spotkania z Darkiem i panią Elizą, wyszłam na parking.

Trudno mi było dopuścić do siebie myśl, że obraz rodziny, której czułam się częścią, był jedynie doskonale wyretuszowanym, złożonym z wyselekcjonowanych elementów obrazkiem. Nie wierzyłam w ich złe intencje wobec mnie, szczerza

życzliwość i przyjaźń emanowała z obojga państwa Nawrockich, z Darem zżyta byłam bardziej niż z częścią własnej rodziny, w to, że Łukasz mnie kocha, od pamiętnej niedzieli nie zwątpiłam ani przez chwilę. Ale żyć w płataninie kłamstw nie chciałam i nie potrafiłam.

Z rysującym się mętnie w głowie planem działania wsiadłam do hondy i ruszyłam na posterunek policji, modląc się, by trafić na młodego funkcjonariusza, z którym rozmawialiśmy podczas pierwszej wizyty.

* * *

Litościwa Opatrzność, której interwencji podczas ostatnich tygodni ustrzegły mnie wielokrotnie przed konsekwencjami intensywnych działań autorstwa nieżyczliwych ludzi, uśmiechnęła się do mnie i tym razem. Gdy po złożeniu oficjalnych zeznań w sprawie wypadku zapytałam o znajomego funkcjonariusza, bez zbędnych pytań odesłano mnie do sąsiedniego pokoju.

Posterunkowy Nowakowski rozpoznał mnie od razu i w przeciwieństwie do większości funkcjonariuszy, z którymi miałam dziś do czynienia, zainteresowany był czymś więcej niż tylko wtrynieniem mi przepisowej ilości makulatury do wypełnienia. Wysłuchał obłąkanej historii, której prologiem uszczęśliwiłam go tydzień wcześniej, i jego wiara w skuteczność systemu polegającego na przyjmowaniu zgłoszeń, maglowaniu poszkodowanego delikwenta i odesłaniu go do diabła, która już od dawna wyraźnie zbladła, teraz zawałiła się z wielkim hukiem i szlag ją ogólnie trafił. Kiedy zakończyłam powtórne, już nieoficjalne składanie zeznań, złapał się za głowę.

— O Matko Przenajświętsza! — zawołał. — Ja nie wiem, jakim cudem pani żyje, ale drugi raz tego cudu nie zlekceważę. Co mogę zrobić?

W krótkiej, dyplomatycznej, lecz napakowanej ukrytym znaczeniem odpowiedzi poinformowałam go, na jaki rodzaj współpracy liczę. Przemyciona treść została błyskawicznie rozszyfrowana, przetrawiona i rozpatrzona. Posterunkowy przez dłuższą chwilę patrzył na mnie, analizując możliwości alternatywne do zarzucenia mnie kolejną porcją druczków.

— Oficjalnie do sprawy wypadku nie jestem przydzielony — powiedział wreszcie z namysłem. — Oficjalnie bez wyraźnej przyczyny i podejrzenia popełnienia przestępstwa grzebać mi w życiorysie tej pani nie wolno... Natomiast nieoficjalnie w poniedziałek i wtorek nie jestem na służbie, a mój numer telefonu pani ma.

— Dziękuję, życie mi pan ratuje — odetchnęłam z ulgą. — No, może nie życie, ale zdrowie psychiczne na pewno...

— Coś mi mówi, że jestem to pani winien — uśmiechnął się posterunkowy. — Natomiast przez weekend sugerowałbym naciągnąć kogoś na wspomnienia, posłuchać starych rodzinnych historii... Może pewne sprawy da pani radę

skonfrontować z informacjami w Internecie. A potem proszę o meldunek w niedzielę w godzinach wieczornych.

* * *

Uspokojona chęcią pozapapierkowej pomocy ze strony czynnego gliniarza, zgodnie z jego sugestią przyjął zaproszenie na sobotni obiad do domu Nawrockich. Zaproszenie pochodziło od pani Elizy, która powitała mnie nerwowym przytupywaniem już na ganku, gdy tuż po wizycie w szpitalu pojawiłam się na osiedlu w towarzystwie piesa-biesa. Po bohaterskim wyczynie on również mógł liczyć na życzliwe przyjęcie i solidną wyzerkę. Profilaktycznie przytargałam zapas psich chrupek, z nadzieją, że po obiedzie zdołam wycisnąć z pani Elizy maksymalnie dużo informacji, co może się nieco przeciągnąć w czasie. Na wszelki wypadek nabyłam także czekoladę, idealny środek na dolegliwości kobiece natury fizycznej oraz duchowej.

— Chodź, Ola — mruknęła pani Eliza, wpuszczając nas do domu. — Cześć, najmądrzejszy psie pod słońcem. Obiad na stole, Darek i Beatka już są. Jeszcze moment i jako przystawkę podam relanium. Albo zamorduję Antułana — dodała z desperacją.

Krwiożercze nastawienie wobec pana domu rozumiałam w pełni, gdyż podobne pomysły i we mnie kwitły bujnym kwieciami od chwili, gdy zlekceważył drugi już, ciężki wypadek podopiecznego. „Podopiecznego, syna?” Zastanowiłam się przez chwilę. Rany boskie, toż to dużo dyplomacji będzie wymagało od mojego niewyparzonego jęzora, żeby nic mu nie wygarnąć i nie puścić farby na temat zdobytych nielegalnie informacji. Z duszą na ramieniu odwiesiłam kurtkę, zmieniłam buty na moje klapki, które od lat stały w szafce z obuwiem domowym członków rodziny, i zerknęłam do kuchni, wiedzona dziwnym przekonaniem, że niosąc talerze lub przewidziane na kolację specjały, zapewnię sobie bardziej naturalne wejście.

Szybka lustracja kuchni upewniła mnie, że wszystko zostało już przygotowane i dla mnie nic szczególnego do roboty nie ma. Nawet wino, które kupiłam po drodze, trafiło już na stół i czekało, aż zajmie się nim Darek. Wzruszywszy ramionami, wygarnęłam z torby dwie miski, kocyk i z psim ekwipunkiem wkroczyłam na salony.

Atmosfera wybitnie nie sprzyjała jedzeniu i trawieniu w zalecanych przez lekarzy i dietetyków okolicznościach spokoju i harmonii. Zdawała się raczej skłaniać do szybkiego, nerwowego przełykania potraw bez rozpoznawania smaku. Względnie do siedzenia przed pustym talerzem i gapienia się w niego równie pustym wzrokiem. Przygnębienie spowodowane wypadkiem dostrzegłam w nerwowych, gwałtownych ruchach, jakimi pani Eliza podawała jedzenie, milczeniu rozgadanej zazwyczaj Beatki i zaciśniętych w wąską kreskę ustach Darka.

Rozluźnienie i zadowolenie emanowały jedynie z Dragona, który chętnie przyjął propozycję zajęcia miejsca przy kominku, oraz z pana Antoniego, zdecydowanego nie przyjmować do wiadomości żadnych informacji na temat Łukasza. Ten nie interesował go w ogóle, w przeciwieństwie do pieczeni, która od chwili pojawienia się na stole budziła jego sporą fascynację.

— Dzień dobry, Olencja — przywitał mnie z życzliwym uśmiechem, który w normalnych okolicznościach natychmiast bym odwzajemniła. Dziś z trudem powstrzymałam zgrzytnięcie zębami. — Bardzo miło taki rodzinny obiadek zjeść, nawet bez okazji.

— Nie do końca rodzinny, kogoś brakuje — wycedziła pani Eliza, spoglądając ze złością na męża.

— Skoro wolał rozwalić się samochodem, to już doprawdy nie moja wina — rzucił z przekąsem pan Antoni. — Żyje, nie widzę powodu, żeby na tę okoliczność marnować jedzenie. Dariuszu, podaj mi, synu, buraczki.

Słuchałam w osłupieniu pierwszej aż tak jawnej manifestacji wrogich uczuć, jakie pan Antoni żywił do siostrzeńca. Co za potworny kataklizm się tu wydarzył za sprawą wrednego babska, którego klątwa ciążyła od lat nad pozornie spokojną, pełną życzliwości rodziną?

Po pełnym chłodnego spokoju komentarzu, w którym pan Antoni zawarł wszystkie uczucia, jakie żywił do Łukasza, atmosfera skłęsała zupełnie. Nic zatem dziwnego, iż pieczeni na półmisku jakoś nie ubywało. Cud boski, że nikomu nie stanęła kością w gardle, choć brak słów wobec okrutnej obojętności wystarczająco skutecznie dławili większość obecnych. Nie zdziwiłam się, gdy tuż po obiedzie Beatka i Darek zgłosili chęć natychmiastowej ucieczki pod pozorem wyprowadzenia piesa-biesa na spacer.

Zapięłam smycz i wyszłam z Darkiem przed dom, czekając, aż Beatka pomoże uprzątnąć stół i upchnąć do lodówki niedocenioną dziś pomimo wyborczego smaku pieczeń.

Przez dłuższą chwilę staliśmy w milczeniu. Darek potupywał nerwowo, obserwując, jak Dragon skutecznie oplątuje mnie smyczą, biegając dookoła i obwąchując nowe, nieznanne dotąd krzaczki. Bez przekonania przekładałam od czasu do czasu smycz z ręki do ręki, coraz gruntowniej owinięta taśmą.

— Dzięki, że przyjechałaś — bąknął w końcu Darek. — Matka strasznie to wszystko przeżywa.

— Niech zgaśnie — parsknęłam. — Mniej by przeżywała, gdyby twój ojciec zachowywał się jak człowiek. Naprawdę się dziwię, że każesz mi siedzieć cicho. Z tego, co zrozumiałam, machloje pani Dukaciak są przyczyną jego kompletnie bezpodstawnej złości na Łukasza. Do których pani Dukaciak zresztą się sama przyznała.

Darek popatrzył na mnie zdumiony.

— Jezu, kiedy?

— Wczoraj w szpitalu — wycedziłam, patrząc na niego uważnie. — Odwiedziłam ją, ostatecznie też jest poszkodowana, no nie? Pogadałyśmy sobie od serca... I wiesz co? — wbiłam w Dariusza oskarżycielskie spojrzenie. — Prosiła, żebym pozdrowiła jej brata. Coś mi mówi, że dobrze tego brata oboje znamy...

— Ja pierdolę — jęknął Dariusz, chwytając się za głowę. — Ja pierdolę...

— Ja też — skrzywiłam się cierpko. — Po jaką cholere oszukiwaliście mnie przez tyle lat? Czego jeszcze nie wiem?

— Spokojnie, Ola, spokojnie — mamrotał Dariusz, bardziej chyba dla uspokojenia własnych nerwów, które po przeżytym szoku totalnie odmówiły posłuszeństwa. Ja własny, okupiony bezsennością nocą spokój już odzyskałam. Był mi zbyt potrzebny, by tak po prostu znów dać się wytrącić z równowagi. — Co wiesz?

— Łukasz i Agnieszka są dziećmi twojej ciotki Alicji — zaczęłam, zezując w stronę kuchennego okna. Beatka z panią Elizą nadal krzątały się w kuchni, co nie zmieniało faktu, że posiadane informacje muszę podać Darkowi w maksymalnie skoncentrowanej formie. — Zakładam, że po wypadku, w którym Alicja zginęła, twoi rodzice zaopiekowali się nimi. Było cacy, a potem sielankę szlag trafił. Nie mam pojęcia, co zrobiła Agnieszka, ale w wyniku tego czegoś twój ojciec, Łukasz i ona stworzyli coś na kształt Trójkąta Bermudzkiego, w którym kotłuje się do dziś.

— Bardzo ładnie to nazwałaś — wymamrotał Darek. — Tylko Ola, coś ci powiem. Że przez Agę Łukasz z ojcem dostają na swój widok piany na ustach, to święta prawda. Ale ja ojca trochę rozumiem. To, co zrobił Łukasz... Mnie na miejscu ojca i Agi też by potężny szlag trafił.

— Ją trafił bardzo potężny — przyznałam. — Skoro dla zemsty na braciszku próbowała zrobić mi kuku...

— Co ty chrzanisz?

— Tak mi powiedziała — wzruszyłam ramionami. — Podrzucone zdjęcia, rozwalona szafka, breloczek wymazany krwią... To wszystko była dedykacja dla Łukasza, nie dla mnie. Tak samo jak ten wypadek... Chciała mnie wykończyć tylko dlatego, że mu na mnie zależy. Nie wyobrażam sobie, co Łukasz mógł zrobić jej tak potwornego, żeby dla zemsty zabijać. Więc jeśli coś wiesz, powiedz mi, proszę. Ja muszę wiedzieć, z kim układam sobie życie... I kogo uważałam przez te wszystkie lata za swoją drugą rodzinę... O ile, oczywiście, naprawdę jesteśmy przyjaciółmi.

— Szlag, ostrzegałem cię przed pakowaniem się w związek z Łukaszem — mruknął z rozpaczą Darek. — Przyjadę do ciebie jutro rano i pogadamy. Cicho, idzie Betty...

Jak na zawołanie na naszych twarzach zakwitły uśmiechy tyleż radosne, co do bólu fałszywe. Przeegzaminowawszy przyjaciół z podstawowej wiedzy w zakresie obsługi psa na spacerze, pomachałam im, życząc udanej przechadzki.

Sama z ciężkim westchnieniem wróciłam do pani Elizy, którą sytuacja rodzinna z każdą chwilą zżerała jak podstępnie toczący organizm nowotwór. Ostatnie dwa dni wystarczyły, by schudła i przestała panować nad nerwową potrzebą bycia w ciągłym ruchu. Bez przekonania wyciągnęłam z torby czekoladę i poszłam do kuchni, w której pani Eliza nadal miotła się wśród naczyń, wyjątkowo dziś mało skłonna powierzyć pieczę nad nimi zmywarce. Z westchnieniem wyjęłam jej z rąk ścierkę i posadziłam na krześle.

Pani Eliza przez dłuższą chwilę patrzyła na mnie tępo, obserwując, jak doprowadzam kuchnię do porządku.

— Zabiję Antułana — jęknęła wreszcie. — Łukasz w szpitalu, a ten baran usadził tyłek przed telewizorem. Ja nie mam siły, Ola, nie mam już siły do tego faceta.

— Wcale się nie dziwię, sama mam problem, żeby czegoś głupio nie chlapanąć — mruknęłam, polerując filiżankę. — Tylko z drugiej strony, taka złość z powietrza się przecież nie bierze. Czy ktoś mi wreszcie wyjaśni, dlaczego oni się tak nienawidzą?

— Owszem — usłyszałam tuż za plecami i filiżanka omal nie wyskoczyła mi z rąk, gdy pan domu z kwaśną miną wszedł do kuchni. — Rozumiem, że nie pochwalasz faktu, że nie odwiedzam go w szpitalu. Szczególnie że z tego, co zaobserwowałam, jesteście od pewnego czasu bardzo ze sobą... hm... zżyci. Nie kibicuję tej relacji, Olencja, zwłaszcza że bardzo cię lubię i mam do ciebie duży szacunek. Nie uważam, żeby zasługiwał na tak wspaniałą dziewczynę, ale cóż.

Jad sączący się z każdego słowa i forma „on”, jaką pan Antoni zarezerwował dla Łukasza, sekunda po sekundzie podnosiły mi ciśnienie. „Bierz diabli dyplomację”, pomyślałam desperacko, czując zalewającą mi umysł furję wobec tak bezsensownej nienawiści. Zgnębiona, zrezygnowana pani Eliza, siedząca bez słowa tuż obok, z czołem wspartym na dłoniach, ostatecznie przypieczętowała decyzję o konfrontacji. „Jeżeli wszyscy tu siedzą cicho i potulnie jak stado baranów, ktoś spoza stada musi wreszcie zabezczeć, nawet jeśli przyjdzie mu za to beknąć”, pomyślałam histerycznie, resztką przytomności dziękując Opatrzności za ratujące mnie przed nieodwracalną utratą zdrowych zmysłów poczucie humoru. „Najwyżej wywali mnie z domu”, pomyślałam z desperacją i skoczyłam na głęboką wodę.

— Ze względu na to nasze zżycie tym bardziej będę wdzięczna — powiedziałam powoli. — I z państwem, i z Łukaszem czuję się bardzo związana i nie na rękę mi jest siedzenie w oku cyklonu.

— Otóż wyobraź sobie, Olencja, że cyklon został opanowany pewien czas temu, kiedy Łukasz słusznie zdecydował się na wyjazd z kraju. Razem z nim wyjechało wiele problemów, a teraz z wielkim hukiem wróciły. Widziałem, że oglądałyście z Elizą albumy ze zdjęciami. Domyślam się, że wiesz, że miałem siostrę.

— Alicję — skinęłam głową. — Bardzo mi przykro, współczuję straty.

— Wiesz również zapewne, że miała córkę, Agnieszkę — kontynuował pan Antoni. — Wychowywała ją sama, z naszą pomocą. Po jej śmierci zaopiekowaliśmy się Agnieszką, jednak nie było to łatwe, ze względu na silny konflikt, jaki istniał między nią i Łukaszem. Konflikt tak silny, że kiedy Agnieszka zachorowała i potrzebowała przeszczepu szpiku, jedyny zgodny dawca z premedytacją odmówił. Zresztą kilka dni później spektakularnie skasował samochód, więc nie było szans, żeby dostała od niego szpik. Domyślasz się, o kim mówię?

Rany boskie, oczywiście, że się domyślałam.

„Skasowałam auto i trochę się połamałam. Dzięki temu uniknąłem pewnej nieprzyjemnej sprawy rodzinnej. Inna sprawa, że ojciec się wściekł...”

Przełknęłam nerwowo ślinę w oczekiwaniu na dalszy ciąg rewelacji.

— Przez długi czas czekaliśmy na innego dawcę — pokiwał głową pan Antoni. — Ostatecznie Aga wyzdrowiała, ale nie chciała mieć już z rodziną nic wspólnego. Nie umieliśmy jej przekonać, że tu jest miejsce i dla niej, i dla Łukasza. Szczególnie, że Eliza od samego początku trzymała jego stronę — rzucił z przekąsem. — Wyjechała szukać ojca. W ten sposób straciłem córkę jedynej siostry. Przez niego i jego przeklęty upór. Nawet jeżeli teraz on potrzebuje pomocy, niech radzi sobie sam. Chociaż z tego, co widzę, w przeciwieństwie do Agnieszki, jak zawsze może liczyć na Elizę, Darka, no i ciebie. Nie pojmuję dlaczego, bo kiedy siedział w Stanach, żyło się naprawdę spokojniej. Czy takie wyjaśnienie cię satysfakcjonuje?

Nie satysfakcjonowało mnie ani trochę, choć nie musiałam już czekać na rozmowę z Darkiem. Sens jego słów o rzeczach, które Agnieszce zrobił Łukasz, pojęłam wystarczająco. Bezwiednie składałam do kupy poszczególne elementy układanki, które zaczynały tworzyć nareszcie spójny, autentyczny obraz piekielnie skłóconej, skonfliktowanej rodziny. Nieobecność Łukasza w kraju faktycznie gwarantowała im umowny spokój. Z jego powrotem idealne małżeństwo Nawrockich zaczęło mocno trzeszczeć w szwach, ostatecznie pani Eliza musiała faktycznie od zawsze trzymać stronę Łukasza. Podzieleni co do poglądów i uczuć względem siostrzeńców, Nawrocky funkcjonowali razem zgodnie dopiero, gdy jednostki problematyczne zniknęły z pola widzenia. A Darek? Nasłuchawszy się trochę od matki, trochę od ojca, na wyrobienie sobie własnych poglądów nie miał czasu ani chęci. Słusznie wołał zająć się studiami i karierą zawodową i przeczekać kłębiącą się w domu nawałnicę. Powiedzmy uczciwie, bez względu na całe bogactwo zalet i cnót, jakie reprezentował mój najlepszy przyjaciel, lenistwo i wygodnictwo nigdy nie były mu obce...

Pozostawało dowiedzieć się, co wydarzyło się między rodzeństwem po śmierci matki. Znałam Łukasza krótko, zdążyłam przypisać mu niesłusznie

skłonność do kręcenia, nieufność i niechęć do angażowania się, jednak jeżeli nawet rodzinna afera potwierdziłaby każdą z tych cech, nie wierzyłam, by bez wyraźnego powodu był zdolny z premedytacją kogokolwiek skrzywdzić. Nie po tym, jak bez namysłu podjął decyzję o przygarnięciu psiej znajdy, którą tak naprawdę na głowę zwałałam sobie ja.

Pan Antoni błędnie zinterpretował moje milczenie.

— Cieszę się, że jesteś skłonna przemyśleć, czy on naprawdę jest ciebie wart. Nie znam nikogo innego, kto tak potrafiłby zrujnować bliskim życie.

— Jakbyś ty nie próbował zrujnować jemu życia — syknęła pani Eliza, którą rzucane pod adresem Łukasza obelgi zabolały wystarczająco mocno.

— Elizo, dla głupiego kaprysu omal nie zabił Agnieszki. Nie pojmuję, dlaczego go bronisz.

— Antuś, wiesz dobrze, że musiał mieć powód! Zresztą po wypadku nie był w stanie jej pomóc! Przecież nie rozbił auta celowo!

— O, doprawdy — warknął pan Antoni. — A ja mam inne wrażenie. Teraz też narobił problemów i robi z siebie ofiarę, kolejny wypadek spowodował. To już mu w nawyk weszło.

— Jesteś niesprawiedliwy! — krzyknęła pani Eliza ze łzami w oczach. — Nigdy nie próbowałaś się dowiedzieć, dlaczego odmówił pomocy Agnieszce!

— Bo to bez znaczenia, skoro odmówił! Bez jego pomocy mogła nie przeżyć! Tak bezwzględnego egoisty w życiu nie widziałem! — huknął pan Antoni, który tym razem stracił zwykle opanowanie i spokój. — Olencja, zastanów się, masz niepowtarzalną szansę poznać prawdę na temat człowieka, któremu niebacznie zaufałaś.

Wzajemne oskarżenia, jakimi zasypywali się Nawroccy, coraz bardziej mąciły mi w głowie. Skupiona na wychyceniu informacji, które mogły naświetlić mi genezę rodzinnej wojny, zachłannie słuchałam każdego słowa, nie pilnując własnych reakcji. Toteż z przerażeniem ugryzłam się w język, gdy po ostatnim podsumowaniu, jakie pan Antoni wystawił Łukaszowi, wyrwał mi się stanowczy protest:

— Może i egoista, ale w bezwzględności nie dorasta Agnieszce do pięt!

„O kurwa”, zakwilił cichutko rozum, do którego z opóźnionym zapłonem dotarło, co powiedziałam. Z rozpaczą popatrzyłam po oszołomionych twarzach Nawrockich, patrzących na mnie w niemym oczekiwaniu na ciąg dalszy. „Boże, miej mnie w swej opiece”, jęknęłam w duchu. Zdradziwszy się ze szczątkową wiedzą, czułam, że nikt już nie pozwoli mi siedzieć cicho. Westchnęłam ciężko, szykując się na piekło, które rozpętam lada moment.

— Nie Łukasz spowodował wypadek — wymamrotałam i skoczyłam w przepaść.

* * *

— Gratuluję. Wspięłaś się na wyżyny dyplomatycznego kunsztu — zasapał poirytowany Darek, słuchając szczegółowej relacji z heroicznego starcia z panem Antonim, jakie zafundowałam sobie poprzedniego popołudnia. — Czyli, jak rozumiem, matka i ojciec wiedzą już, że moja kuzynka próbowała cię wyeliminować w ramach rewanżu za krzywdy sprzed iluś tam lat, jakie zafundował jej Łukasz. I wyrzuciłaś im prosto w oczy, że wykopałaś spod dywanu wszystkie rodzinne afery, których dla dobra ogółu nie chcieli wywlekać.

— No, mniej więcej tak — przytaknęłam zgnębiona. — Wiem, powinnam była trzymać gębę na kłódkę, ale wkurzyło mnie, że Łukasz został tak brutalnie z tego dobra ogółu wykluczony.

— Powiedziałaś, że wiesz, że są rodzeństwem?

— Nie... Ale chyba dość dobitnie im uświadomiłam, że idzie na noże i że mogą się spodziewać przypadkowych ofiar. Twój ojciec nie był zachwycony, kiedy się dowiedział, że Agnieszka przejdzie taranem po wszystkim, na czym zależy Łukaszowi.

— Uwierzył? — zapytał Darek, popijając kawę.

— Najgorzej, że opacznie to zinterpretował — jęknęłam, waląc głową w ścianę. — Uznał, że przyczyna tej ich wojny musi być dużo poważniejsza i że Łukasz musiał zrobić coś naprawdę okropnego, skoro tak się jej naraził. Zwalił wszystko na niego.

— Pięknie — zasapał Darek i umilkł.

Od ponad pół godziny siedzieliśmy w mieszkaniu Łukasza i próbowaliśmy poskładać w sensowną całość poszczególne elementy układanki. Darek, który na samą wzmiankę o rozmowie na temat przeszłości przyszywanego brata wił się jak piskorz, tym razem podjął słuszną decyzję o współpracy. Albo raczej skapitulował po rewelacjach, jakimi uszczęśliwiłam go, kiedy z Beatką wrócili z poobiedniego spaceru.

Awantura w kuchni, jaką rozpętałam poprzedniego dnia, przyniosła efekt dokładnie odwrotny do zamierzonego. Zamiast wybronić Łukasza w oczach pana Antoniego, osiągnęłam jedynie tyle, że po długiej i burzliwej dyskusji z jeszcze większą zajadłością atakował przybranego syna. Z trudem powstrzymałyśmy go przed wizytą w szpitalu u obojga poszkodowanych. I choć trzaśnięcie drzwiami gabinetu, jakim podsumował przeszło godzinną kłótnię, nie wróżyło szybkiego rozegnania czarnych chmur nad naszymi głowami, uchroniłyśmy przynajmniej Łukasza od ciężkich szkód psychicznych i niebezpiecznego wzrostu ciśnienia, jakimi skutkowałyby odwiedziny w wykonaniu przybranego ojca. Przerażona wynikiem własnego braku dyplomacji i umiejętności trzymania języka za zębami, zmyłam się do domu, gdy tylko Darek i Beatka pojawili się z piesem na horyzoncie. O tym, że dalszy pobyt w domu państwa Nawrockich grozi

poważniejszymi konsekwencjami niż wygodne umoszczenie tyłka na bombie atomowej, uświadomiłam Darkowi w przelocie, gdy w łazience czyściliśmy Dragonowi łapy. Atmosfera kontynuacji rodzinnego popołudnia wybitnie nie sprzyjała, bo kiedy godzinę później zadzwoniłam do przyjaciół, byli już w domu, przy czym nie pogadaliśmy sobie zbyt długo, gdyż rozdygotana skutkami bliżej niesprecyzowanej afery Beatka natychmiast po powrocie wyciągnęła odkurzacz. Zakłócana buczeniem maszyny konwersacja ograniczyła się do ustalenia godziny wspólnego śniadania w niedzielny poranek przed odwiedzinami u Łukasza w szpitalu.

Niedzielny poranek zainaugurowaliśmy dyskusją na wyjątkowo ciężkie tematy, w wyniku której ustaliliśmy wzajemnie, że oboje cierpimy na nieodwracalne zaburzenia natury umysłowej, poobrzucaliśmy się stosowną ilością inwektyw i wreszcie usiedliśmy na balkonie na zwiniętym dyskretnie Dragonowi kocyku z kawą i głowami nabitymi ponurymi perspektywami na przyszłość.

— Łukasz wie, że ty wiesz? — zapytał Darek, gapiąc się bezmyślnie w kafelki na podłodze.

— Zależy co — mruknęłam niechętnie. — Wie, że wiem, że to Aga spowodowała wypadek. Przypuszczam, że wie również, że zrobiła to celowo. Innych informacji mu oszczędziłam, co za dużo, to niezdrowo.

— I chwała Bogu — odetchnął Darek. — Jak wyjdzie ze szpitala, będzie trzeba mu poszerzyć horyzonty. Za dużo się wylało.

Automatycznie kiwałam głową, wpatrując się w kartkę, na której spisałam wszystkie odkrycia dokonane w ciągu ostatnich kilku dni. Lista sporządzona była raczej na potrzeby posterunkowego Nowakowskiego, jednak tuż przed przyjazdem Darka postanowiłam przycisnąć przyjaciela, machając przed nosem zasobem posiadanej wiedzy. Zasób przyprawił go o zawrót głowy. Dezorientacja i szok kręceniu nie sprzyjały, dzięki czemu otrzymałam wyjaśnienie prawie wszystkich nurtujących mnie problemów. Z wyjątkiem najważniejszego.

Od czego ten cały cholerny syf się zaczął?

— Cholera ci wie — burknął Darek. — To wiedzą tylko oni. Ja co najwyżej mogę poświadczyć, że do wypadku ciotki Alicji był spokój. Dość względny, bo nigdy nie byli szczególnie zgodnym rodzeństwem. Ale wszystko tak naprawdę szlag trafił, jak ciotka zmarła.

— Rozwiń myśl — rzuciłam zachęcająco. — Już wtedy chcieli się pozabijać?

— Pewnie tak — wzruszył ramionami Dariusz. — Po pogrzebie Łukasz kompletnie przestał się do Agi odzywać, traktował ją jak powietrze. Nie chciał jej odwiedzać, kiedy zachorowała, odmówił zgody na przeszczep. Nikomu nigdy nie powiedział dlaczego. A ojciec systematycznie dolewał oliwy do ognia, wypominając mu co rusz przewinienia wobec siostry. A jak Agnieszka po maturze

wyjechała, wyklął go ostatecznie. Łukasz wściekł się, wygarnął ojcu stroniczość i wyprowadził się na drugi koniec świata. I tak się nakręcają obaj od lat. Ale od czego się zaczęło, zabij mnie, nie wiem. Najgorsze jest to, że ani od Agi, ani od niego nie wydusisz ani słowa.

Tyle wiedziałam już sama. Z ciężkim westchnieniem przyjrzałam się po raz nie wiadomo który starannie spisanej w punktach wiedzy.

Gdy za Darkiem zamknęły się drzwi, szybko wrzuciłam do torby laptopa. Siedząc przez długie godziny przy łóżku nadal osłabionego i przysypiającego co chwilę pod wpływem leków przeciwbólowych Łukasza, miałam szansę zerknąć do Internetu i poszukać informacji na temat wypadków drogowych, które miały miejsce latem osiemnaście lat temu.

* * *

Bez względu na szlag, jaki trafił radosną egzystencję rodziny Nawrockich w wyniku mojej zabawy w detektywa, pani Eliza i pan Antoni kochać mnie jakoś nie przestali. Ze strony matki Darka wyczułam nawet coś na kształt cichej wdzięczności za ruszenie pokładów tajemnic i pozornie wygodnych niedomówień, które musiały jej bardzo ciążyć. Pan Antoni, po którym Daruś odziedziczył zamiłowanie do wygody i niechęć do wszystkiego, co może zburzyć jego święty spokój, z maniackim uporem odpowiedzialnością za wszelkie problemy obarczał Łukasza. Zruganie mnie za fakt, że sama osobiście spuściłam bombę na jego święty spokój, jakoś mu w głowie nie zaświtało. Moja przyjaźń z Darkiem natomiast trwała niewzruszenie jak sfinks na pustyni, czego dowodem było załatwienie mi kolejnego tygodnia urlopu na odreagowanie po obfitującym w sensacyjne wydarzenia miesiącu.

— Należy ci się — powiedział, gdy rozstawaliśmy się wieczorem po wyjściu od Łukasza. — Masz taką ilość niewykorzystanego urlopu, że szefa nie byłoby stać na wypłacenie ekwiwalentu. Zresztą — spoważniał — mojego brata w czwartek wypiszą ze szpitala. Będę wdzięczny za opiekę nad tą ofiarą losu.

— Kuzyna — sprostowałam odruchowo. Od czasu wylania się rodzinnych brudów unikaliśmy mówienia o stopniu pokrewieństwa, który łączył Darka i Łukasza.

— Brata — uśmiechnął się Darek. — Po tylu latach jakoś nie potrafię myśleć o nim inaczej. Właściwie to nawet nie chcę.

„Chociaż tu wygraliśmy”, pomyślałam zadowolona, wsiadając do hondy. Z ulgą pomyślałam, że to, co mogłam załatwić we własnym zakresie, skierowałam na właściwe tory. O tym, że droga do tych właściwych torów była bardzo okrężna, wołałam zapomnieć. Po powrocie wykonałam jeszcze jeden ważny telefon. Wciąż nie wszystkie sprawy zostały załatwione i te wołałam zostawić fachowcom.

Współpraca z posterunkowym Nowakowskim miała charakter ściśle tajny i

jeszcze bardziej ściśle nieoficjalny. Żadne z nas nie miało ochoty ujawniać natury łączących nas powiązań, ostatecznie umówiliśmy się u mnie w domu. Z mieszkania Łukasza wystartowałam tuż po ósmej, uznając określoną drogę łączącą nasze osiedla za dystans idealny w ramach godzinnego treningu biegowego. Z nadprogramowym obciążeniem w postaci psiej miski i dwóch saszetek karmy, których nie miałam sumienia przytroczyć Dragonowi do szelek, w towarzystwie coraz bardziej pełnego entuzjazmu do wspólnego galopowania piesa, pokonałam trasę w rekordowym czasie pięćdziesięciu dwóch minut.

Kolejne dwie godziny spędziłam, dziękując Bogu za pomysł na dobry początek dnia, gdyż informacje przyniesione przez posterunkowego były dalekie od przyprowadzenia mnie o euforię.

— Osiemnasty lipca dziewięćdziesiąt siedem — wymamrotałam, przeglądając przyniesione wydruki i odręczne notatki oraz porównując je z własną listą. — Auto osobowe z niejasnych przyczyn zjechało z drogi i uderzyło w drzewo. Jedna ofiara śmiertelna, Alicja Nawrocka. Piętnastoletnią córkę przewieziono do szpitala... Policja wykluczyła udział innych samochodów w wypadku... To coś nowego. Nie wiedziałam, że jechała z Agnieszką. Ale na ten moment to chyba dla nas mało istotne.

— Nie jestem pewien — sprostował posterunkowy. — Przeglądałem notatki z przesłuchania córki Nawrockiej. Interesujące, bo odbyło się w obecności psychologa, który odnotował wyjątkowo agresywne nastawienie dziewczynki.

— Nie wiem, czy sama nie dostałabym wścieklizny na wieść, że moja mama zginęła w wypadku, a ja przeżyłam — wzruszyłam ramionami.

— Tylko że ta agresja wyglądała dość dziwnie wobec faktu, że śmiercią matki nie wydawała się przejęta — uzupełnił policjant. — Ludzie różnie reagują na śmierć najbliższych, ale tu musiało być coś bardzo nietypowego, skoro sprawę konsultowano z psychiatrą. Nie bardzo wiem, jak to pani powiedzieć, żeby niczego nie sugerować, ale była wzmianka o podejrzeniu, że dziewczyna jest pod wpływem leków. Nie alkohol i narkotyki, bo coś bym na ten temat znalazł.

Porzuciłam kartkowane nerwowo wydruki i spojrzałam na posterunkowego z napięciem.

— Sugeruje pan, że coś brała?

— Sugeruję, że powinniśmy się udać na małą wycieczkę — powiedział znacząco posterunkowy i nie czekając na moją reakcję, sięgnął po kurtkę.

Pół godziny później wysiedliśmy na parkingu szpitala przy ulicy Szpitalnej.

— Zaczekamy w samochodzie — powiedział posterunkowy. — Pani doktor zaczyna dyżur za godzinę, obiecała spotkać się z nami przed pracą.

— Czy ja dobrze myślę, jaka jest specjalizacja tej pani doktor? — zapytałam przerażona własnymi domysłami. „Jeżeli to wszystko okaże się prawdą, sama mogę pilnie potrzebować jej pomocy”, pomyślałam histerycznie na widok

zbliżającej się szybkim krokiem kobiety w średnim wieku.

— Pani Olu, to doktor Natalia Halewicz — przedstawił mi wsiadającą do auta kobietę posterunkowy. — Specjalizuje się w leczeniu zaburzeń osobowości u dzieci i młodzieży. W latach 1992–97 opiekowała się Agnieszką Nawrocką. Myślę, że wyjaśni pani więcej niż ja.

* * *

Cicha, nierzucająca się w oczy kawiarenka, w której usiedliśmy we trójkę, była dobrym miejscem na rzeczową, konkretną rozmowę, która nareszcie naświetliła mi jasno problem, z jakim przyszło mi zmierzyć się w osobie Agnieszki, u której raczkujące we wczesnej młodości BPD rozwinęło się w wersję pełnoobjawową i, pozbawione jakiegokolwiek kontroli medycznej, siało spustoszenie, niszcząc wszystko, co stało na drodze. Gdy po niespełna godzinnej rozmowie odwieźliśmy doktor Halewicz do szpitala, z głową nabitą wątpliwościami, gdzie dopasować ostatni element układanki, usiadłam do komputera. Potrzebowałam chwili, by usystematyzować wiedzę na temat osobowości typu *borderline* i sformułować pytanie, które ostatecznie pozwoliłoby mi potwierdzić wysnutą przy pomocy zaprzyjaźnionego policjanta wersję wydarzeń.

I zdecydować, komu powinnam to pytanie zadać.

* * *

Odebrane tuż przed szesnastą auto zostawiłam na parkingu pod blokiem. Skoro główna przyczyna moich kłopotów znajdowała się w stanie skutecznego unieruchomienia gipsem i szynami, przestałam się obawiać o nowiutkie opony. Wróciwszy do mieszkania Łukasza spacerem, podczas którego towarzyszył mi nieodłączny pies-bies, jeszcze raz wyciągnęłam znaleziony przypadkiem album ze zdjęciami Alicji oraz jej dzieci. Ciekawa, czy znajdę potwierdzenie informacji o pozornej obojętności Agnieszki w obliczu śmierci matki, przekartkowałam fotografie strona po stronie. Hm, nic tu takiego nie widać. Patrząc na zdjęcia, dałabym głowę, że były ze sobą żyte nawet bardziej niż zazwyczaj są matka i córka. Na każdej ze wspólnych fotografii Agnieszka patrzyła na matkę z fanatycznym wręcz uwielbieniem. To by mi pasowało do osobowości *borderline*, o której wiedzę w nader treściwej pigułce przekazała mi doktor Halewicz. Jak to tam szło? Stabilna niestabilność emocjonalna? Interesujące określenie, jednak nie tego szukałam. Z westchnieniem wykopałam z torby kopię karty leczenia Agnieszki, którą na prośbę posterunkowego Nowakowskiego udostępniła mi pani doktor, i krótką broszurę z informacjami na temat objawów i terapii BPD. Ha, no i tu zaczyna się wreszcie klarować!

Silne, patologiczne przywiązanie do matki okazało się jednym z przejawów

stabilnej niestabilności, o jaką doktor Halewicz podejrzewała Agnieszkę od początku terapii. Skrajne, graniczące z obsesją uwielbienie pod wpływem drobiazgów potrafiło w mgnieniu oka zmienić się w zapiekłą nienawiść, na tyle silną, że prowadziło do fizycznych objawów agresji. Owe drobiazgi, jak się domyślałam, dotyczyły faktu, że Alicja nie faworyzowała żadnego z dzieci. Kochała oboje bezwarunkowo, dzieląc uczucia po równo. Nareszcie dokopałam się do podwalin konfliktu Agnieszki z Łukaszem. Agnieszka miłością matki dzielić się pod żadnym pozorem nie chciała. O każdy przejaw uczuć bądź zainteresowania była patologicznie zazdrosna. Skoro tak, istniało tylko jedno wytłumaczenie agresywnego i obojętnego zachowania Agnieszki po wypadku. Faza nienawiści do ukochanej matki musiała być akurat w pełni rozkwitu, czymś sprowokowana, świeżo wyzwolona.

Nerwowo przełknęłam ślinę na wspomnienie furii, z jaką Agnieszka skłonna była niszczyć wszystko, co stało jej na drodze. Próbkę tego, do czego jest zdolna wobec obcej, przypadkowej osoby, miałam na sobie. Rany boskie, nie byłam w stanie wyobrazić sobie tornada, jakie wzniecała jej złość na osoby, z którymi była silnie związana emocjonalnie. Diabli wiedzą, co stało się, zanim wsiadły tamtego dnia do samochodu... Albo i w samochodzie...

Od coraz mniej przyjemnych wizji scenariusza, jaki mógł mieć miejsce osiemnaście lat wcześniej, w lipcu, zrobiło mi się niedobrze. Z okrzykiem ulgi powitałam dźwięk telefonu, który rozległ się tuż obok. Zerknęłam na wyświetlony numer. „Pani Eliza? Dziwne, zazwyczaj pisała SMS-y...”

— Halo? — rzuciłam zaintrygowana i zakłęłam w duchu, słysząc w słuchawce nerwowy słowotok, z którego jasno wynikało, że powinnam jak najszybciej przyjechać do szpitala.

— Jezu, coś z Łukaszem? — spytałam przerażona. — Przecież rano czułam się dobrze...

— Ale na pewno przestanie, jak ojciec tam wparuje — jęknęła pani Eliza. — Oluś, błagam, Darek już po ciebie jedzie! Zbieraj się jak najszybciej i jedźcie do szpitala! Ja dzwonię z taksówki, próbujemy złapać Antułana! Przecież on go zabije!

— Dobrze, już schodzę — wykrztusiłam, chwytając w pośpiechu kurtkę i torebkę. Kto kogo ma zabić, nie miałam ochoty pytać. Wyjaśnienie było aż nazbyt klarowne.

W biegu nasypałam chrupek zdziwionemu opętańczym galopem po mieszkaniu Dragonowi i zbiegłam na parking. W samą porę, tuż zza zakrętu wyprysło właśnie granatowe clio Darka.

— Co to za cyrk znowu? — wysapałam, zapinając pasy.

— Aleksandro, nie pytaj — zasapał Darek. — Albo zdążymy, albo krwawa masakra, jak w pysk strzelił. Więc bądź łaskawa milczeć, jak przelecę na

czerwonym.

— Nie powiem ani słowa — wymamrotałam i natychmiast pożałowałam obietnicy, kiedy Dareczek z piskiem opon wymusił pierwszeństwo, wyjeżdżając z podporządkowanej. — Skąd ta masakra? Jak mam zginąć, to powiedz mi chociaż, za co?

— Zadzwoiła policja, chcieli przyjechać i dopytać o kilka szczegółów w związku z tym wypadkiem — mruknął Darek. — Poprosiłem, żeby podjechali do rodziców, bo siedziałem z matką, ona się kiepsko czuje. Rozmawialiśmy przy tatusiu. I przy tatusiu, niestety, poinformowali mnie, że na podstawie zeznań Łukasza i twoich Agnieszka najprawdopodobniej beknie za usiłowanie pozbawienia cię żywota. Ojciec zrozumiał to po swoim, uznał, że Łukasz próbuje ją zrobić, żeby uchronić własny tyłek przed konsekwencjami spowodowania wypadku. I ledwo gliny wyszły, pojechał zabić Łukasza. Matka goni go taksówką. Wszystko już wiesz?

— O szlag — jęknęłam. Wiedziałam więcej, niż bym chciała. Po oszołomionym rewelacjach z ostatniej chwili umyśle tłukła się niejasna myśl, że może należy zacząć modlić się o jakąś małą amnezję...

Do szpitala wpadliśmy w idealnej chwili, by dostrzec, jak ryczący niczym ranny niedźwiedź pan Antoni domaga się od przestraszonych pielęgniarek informacji, w której z sal leży Łukasz. Zapewne zlokalizowały ją dużo szybciej, jednak pech chciał, że natknął się na oddziale na policjantów, dyżurujących przy sali Agnieszki. Rozsierdzony potwierdzeniem przyniesionych przez funkcjonariuszy informacji, miotał się po korytarzu, zręcznie omijając próbującą go pohamować panią Elizę. Ochrona i personel, w błędnym przekonaniu, że rozpacz z powodu niedomagania bliskiego członka rodziny napędza demonstrowany przez pana Antoniego atak szału, zdwoiła wysiłki, by jak najszybciej wskazać miejsce pobytu ukochanego krewnego i ukoić choć trochę szaleńczej troski. Tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, gdy grzmiąca furia wdarła się do odpowiedniej sali, Łukasz był na badaniu tomograficznym głowy na drugim końcu szpitala. Zmawiając po drodze krótką modlitwę dziękczynną, wpadliśmy zasapani do pokoju tuż za panem Antonim, z nadzieją, że wspólnymi siłami uda się okiełznać szalejącą głowę rodziny.

— Tato, ja cię błagam, uspokój się — wysapał Darek do biegającego od ściany do ściany ojca. — Nie rób scen w szpitalu. Usiądź i wyjaśnijmy to sobie.

— Co tu jest do wyjaśniania!?! — pana Antoniego sama propozycja podejścia do sprawy na zimno dotknęła do żywego. — Mam siedzieć i patrzeć, jak córka Alicji ląduje w więzieniu zamiast tego tu... Tfu!

— Syna Alicji. Tego tu syna Alicji — przypomniała z naciskiem pani Eliza, która na widok posiłków odzyskała panowanie nad sobą. — Ola, przykro mi, że dowiesz się tu pewnych spraw w taki sposób — zwróciła się do mnie. — Jesteśmy

ci winni ogromne przeprosiny.

— Nie szkodzi, wiedziałam — wymamrotałam. — To teraz nieważne. Proszę pana, każde słowo, które pan usłyszał na temat Agnieszki, to święta prawda — podeszłam do rozsierzonego wcielenia furii. — To, że chciała mnie rozwalić, to, że zdemolowała mi samochód, włamywała się do mojej szafki w pracy... Pan o tym nie wie, ale znałam ją wcześniej. Zniszczyła mój związek z poprzednim chłopakiem, a teraz jeszcze jego oszukała w pracy na spore pieniądze. Ja wiem, że to dla pana bardzo, bardzo trudne, ale po tym, co widziałam, nie wierzę, żeby Łukasz bez powodu się od niej odciął...

Wyrzucając z siebie kolejne zdania, z rosnącym niepokojem spoglądałam na twarz pana Antoniego, nagle poszarzałą, zmęczoną... Idealna postać siostrzenicy, utożsamianej przez lata ze zmarłą tragicznie siostrą, powoli rozpływała się w jego głowie, bez względu na to, jak bardzo kurczowo próbował ją zatrzymać. Gniew i niedowierzanie zacierały się w zaciętych rysach twarzy, tworząc mozaikę bólu i rozczarowania.

— To niemożliwe — wyszeptał wreszcie z uporem. — Niemożliwe, Olencja. Ja ją przecież tak dobrze znałem...

— A wiedział pan, że jako dziecko leczyła się psychiatrycznie? — spytałam łagodnie, prowadząc go na krzesło. — Że miała problemy i brała leki?

Najwyraźniej o tym nikt z rodziny nie wiedział. Trzy pary oczu wpiły się we mnie zachłannie, pełne szoku i niedowierzania.

— Niemożliwe — jęknął pan Antoni i osunął się na krzesło.

— Możliwe. I niestety prawdziwe.

Odwróciliśmy się gwałtownie na dźwięk słów Łukasza, który na wózku siedział przy wejściu do sali. W grzmiącej niczym kanonada armatnia awanturze nikt nie zauważył jego powrotu z badań.

Daro pierwszy oprzytomniał na tyle, żeby przewieźć go do łóżka i pomóc się położyć.

— Cieszę się, że doczekałem się odwiedzin — mruknął Łukasz, zerkając na pana Antoniego. — Choć wątpię, czy to troska była powodem.

— Daj spokój — zachnęła się pani Eliza, ale Łukasz tylko uśmiechnął się z ironią.

— Kiepski moment na szczerą rozmowę — podjął. — Ale skoro Ola już zaczęła, to ja dokończę. Chyba że zrobisz to za mnie — mruknął, ujmując mnie za rękę. — Chryste, nie mam pojęcia, skąd ty to wszystko wiesz. Zresztą chyba wolę nie wiedzieć.

— Daj spokój, ja i tak powiedziałam dużo za dużo — bąknęłam speszona. — Zdaje się, że beze mnie żylibyście dalej długo i szczęśliwie.

— Nie sądzę — westchnęła pani Eliza. — Dobrze, Łukasz, myślę, że chętnie wysłuchamy, co nam masz do powiedzenia. I niech się wreszcie ten cały cyrk

skończy.

Historia, jaką przedstawił rodzinie Łukasz, co do słowa pokrywała się z dokonanymi przeze mnie i życzliwego posterunkowego odkryciami. Potwierdziły się informacje o chorobie Agnieszki, która po śmierci matki przestała brać leki i regularnie uczestniczyć w psychoterapii. Po wyidealizowanym wizerunku, jaki prezentowała przybranym rodzicom na co dzień, nie został ślad, choć pan Antoni kilka razy próbował protestować przeciw oskarżeniom, które przez pamięć ukochanej siostry wciąż wolał wypierać. By zapobiec wybuchowi kolejnej awantury, wtrącałam się kilkakrotnie, powołując się na słowa doktor Halewicz. Informację, że posiadam kopie karty leczenia Agnieszki, dyplomatycznie zachowałam dla siebie. To, co mieliśmy do powiedzenia, i tak stanowiło poważne obciążenie dla wiary w nieskalany wizerunek siostrzenicy. Czułam zresztą, że prawdziwy wstrząs dopiero nadejdzie. Sama przeczuwałam go niejasno od chwili, gdy po spotkaniu z lekarką skonfrontowałam swoje podejrzenia z fotografiami i wiedzą na temat BPD. Czekałam zatem niecierpliwie, aż Łukasz wyjaśni nam przyczynę odseparowania się od siostry.

Lata zamknięcia w ciasnej klatce wbitych do głowy przekonań nie dały się tak łatwo pokonać. Zaakceptowawszy trudną prawdę, pan Antoni znów zinterpretował ją po swojemu.

— Ale dlaczego? — zaczął pełnym pretensji tonem, jaki rozbrzmiewał w jego głosie, ilekroć zwracał się do Łukasza. — Dlaczego odmówiłeś zgody na ten przeszczep? Przecież tylko ty wiedziałeś, że była chora. Jako starszy brat powinieneś tym bardziej zaopiekować się nią, być wyrozumiały... Albo przynajmniej coś nam powiedzieć. Twoim obowiązkiem było chronić siostrę w takiej sytuacji. Z czego... — urwał oburzony, bo Łukasz wybuchnął w tym momencie głośnym, ironicznym śmiechem.

— Tylko, że ja ją cały czas chronilem — wycedził, gdy wreszcie zdołał opanować wstrząsające nim spazmy chichotu. — Już bardziej nie mogłem. Ale po tym, co zrobiła, nie miałem już siły, żeby jeszcze zgodzić się na przeszczep.

Zszokowani Nawroccy patrzyli na niego w milczeniu. Tylko ja domyślałam się okrutnej prawdy, która uwolniła ten histeryczny napad u silnego, zrównoważonego dorosłego mężczyzny.

— Nie rozumiesz? — Łukasz wbił uważne spojrzenie w pana Antoniego. — Czy nie chcesz rozumieć? W takim razie wytłumaczę najprościej, jak umiem. To Agnieszka zabiła matkę.

Echo jego słów odbiło się wśród martwej ciszy od białych ścian szpitalnej sali. Nie zdążyło przebrzmieć, gdy pan Antoni podjął ostatni wysiłek, by ocalić zakotwiczoną w umyśle od lat iluzję.

— Kłamiesz... — jęknął głucho. — To był wypadek.

W spojrzeniu Łukasza po raz pierwszy odbiło się współczucie dla

przybranego ojca.

— Był — powiedział spokojnym już, opanowanym głosem. — Mama straciła panowanie nad autem i rozbiła się na drzewie. Tyle, że zanim wsiadły do samochodu, straszliwie się pokłóciły. Aga wściekała się o jakąś pierdołę. Potrafiła być bardzo agresywna, szarpać mamę, przepychać... Widziałem, jak odjeżdżały... Wtedy, w samochodzie, Agnieszka też krzyczała. Mogę się tylko domyślać, ale gdyby nie tamta awantura... — głos mu się załamał. — Nic by się nie stało. Przepraszam, nie chciałem, żeby zamknęli Agę w psychiatryku albo poprawczaku, bo tak by się stało, gdybym powiedział wtedy prawdę... Ale po tym wszystkim oddać jej szpik... Nie mogłem... Po prostu nie mogłem... Ty byś potrafił? — zwrócił się drżącym głosem do pana Antoniego.

— Chyba nie... — padła słaba odpowiedź. — Przepraszam, Łukasz... Przepraszam...

Siedzieliśmy w milczeniu, przytłoczeni ciężarem wyznania, które wyjaśniło wreszcie tajemnicę, jaka poróżniła rodzinę Nawrockich wiele lat wcześniej. Niewypowiedziana, siała zamęt i wrogość. Ujawniona, nie chciała odejść i zabrać nieufności, z jaką Nawrococy patrzyli na siebie od tak dawna. Nawet słowo „przepraszam”, zrodzone z bólu i wstydu, skierowane przez pana Antoniego do przybranego syna, z trudem przebijało się przez ciszę i niepewność, co dalej.

— Idźcie już, proszę — przerwał milczenie Łukasz zmęczonym głosem. — Bardzo was przepraszam, chcę zostać sam.

— Na pewno? — pochyliłam się, gładząc wychudły policzek przezroczystej twarzy. — Nie potrzebujesz nic?

— Nie, Oluś, dziękuję — uśmiechnął się Łukasz, biorąc mnie za rękę. — Przepraszam cię... Muszę po prostu odetchnąć.

— Jasne — pokiwałam głową, choć uczucie pieczenia pod powiekami skłoniło mnie do szybkiego odwrócenia wzroku. W pośpiechu uściśnęłam Łukasza i odsunęłam się, robiąc miejsce pani Elizie, która z wyrozumiętym uśmiechem podeszła do przybranego syna. Bez słów uściśnęła szczupłą dłoń i wyprowadziła nas z sali.

* * *

— Naprawdę niesamowita książka. Chętnie przeczytam, chociaż opowiedzieliście mi już całą fabułę — wymamrotała skonsternowana Beatka, gdy tydzień później siedzieliśmy we czwórkę na ławce w parku. — Następnym razem proszę bez spoilerów...

— Problem w tym, że to nie książka — wykrztusił Łukasz, gdy ogólna radość wywołana przez komentarz Beatki została opanowana. — Cała prawda, sama prawda i tylko prawda.

— Wkręcacie mnie — pokręciła Beatka głową z niedowierzaniem. — Takie

rzeczy się nie dzieją.

— No, chyba że Aleksandrze — rozbawiony Darek spojrzał na mnie z przekorą i natychmiast umilkł, uciszony celnym kuksańcem wymierzonym w zebra. — No co, z tobą nigdy nie jest nudno! Kiedy biegniesz ten maraton?

— W kwietniu — mruknęłam udobruchana. — Do tego czasu jeszcze wam zdążę trochę atrakcji zafundować.

— A mnie się wydawało, że nareszcie zaczniemy żyć długo i szczęśliwie — westchnął Łukasz. — Trochę spokoju by nie zaszkodziło.

Wbrew zgłaszanym tłumnie obawom, perspektywa długiego i szczęśliwego życia rysowała się przed nami coraz wyraźniej. Kilka dni wcześniej odebraliśmy ze szpitala nadal oplątanego bandażami, lecz w zdecydowanie lepszej formie Łukasza. Komitet powitalny w domu państwa Nawrockich, któremu przewodniczył pan Antoni, czekał z obiadem w postaci pieczeni, która tym razem ostatecznie zamknęła konflikty i przypieczętowała zgodę pomiędzy członkami rodziny.

Cała afera, zgodnie z kategorycznym żądaniem Beatki, znalazła wreszcie swój *happy end*, jeszcze bardziej upodabniając się do powieści kryminalnej, do której podobieństwo z uporem podkreślała moja przyjaciółka. Raz wykopane spod dywanu rodzinne grzeszki i ich konsekwencje w postaci smrodu zależącego przez lata skutecznie zniechęcały do dążenia do świętego spokoju po trupach. Raz a dobrze wyjaśnione, straszły swoim wspomnieniem każdego, komu przez myśl by przeszło jakiegokolwiek, najdrobniejsze nawet kłamstewko. W roli serum prawdy okazały się tak skuteczne, że nawet do pierścionka zaręczynowego, który pojawił się na moim palcu miesiąc później, przyznałam się bez bicia, tego samego dnia oficjalnie wycofując się ze wszystkich wcześniejszych antymażeńskich manifestacji. W zemście za nieudolne dowcipkowanie za moimi plecami miałam szczerą ochotę powierzyć organizację własnego ślubu Dareczkowi, jednak szybko odpuściłam podstępne knucie, hamowana słusznym argumentem Łukasza, że nikt tak jak Darek nie spaprze nam uroczystości. Ostatecznie funkcją *wedding plannerki* uszczęśliwiłam panią Elizę, która wieść o moim zamążpójściu skwitowała jednym, krótkim zdaniem.

— No, już się bałam, że będę musiała bardziej się postarać, żebyś wreszcie została moją synową...

Łukasz i pan Antoni przystąpili do nadrabiania straconych lat. Nigdy nie dowiedziałam się, o czym zawzięcie dyskutują podczas długich, męskich spacerów w towarzystwie Dragona, ale nie wnika. Wiem jedynie, że zyskałam ostrą konkurencję do opieki nad piesem-biesem podczas wyjazdów służbowych narzeczonego. Na razie mam jednak nad panem Antonim przewagę — zwłaszcza od czasu, kiedy przeprowadziłam się do Łukasza. Swoje mieszkanie wynajęłam Agnieszce, koleżance z pracy, którą niesłusznie posądziłam o włamania do szafki. Choć z drugiej strony, nieświadomie naprawdę przyczyniła się do moich kłopotów.

Dzięki podobieństwu do niej siostra Łukasza swobodnie wchodziła do szatni trenerskiej i manipulowała przy mojej szafce. Gdyby czujne oko Małgosi nie wylapało na monitoringu dziwnego zachowania naszej „dietetyczki”, pożerającej nerwowo słodczyce przed wejściem do klubu, być może nie domyślilibyśmy się, jakim cudem zamek w szafce uległ uszkodzeniu, a także jaką drogą przeniknęły do szafki tajemnicze fotografie oraz zakrwawiony breloczek.

Nasza Agnieszka została zatem oficjalnie oczyszczona z hańbiących zarzutów niezdrowego podnoszenia cichcem poziomu insuliny i wyłamywania się z propagowanej żarliwie w pracy wiary w zdrowe odżywianie. Z wdziękiem i humorem skomentowała nasze podejrzenia, stając się ostatecznie częścią ekipy. Bez cienia wątpliwości powierzyłam jej klucze do mojego mieszkania, do którego nie wprowadziła się zresztą sama. Ale i nie z Marcinem, który do dziś jest naszym sąsiadem i nadal próbuje przetrwać gorzką świadomość, że podrywana z wysiłkiem kobieta znalazła szczęście w ramionach innej kobiety... Na szczęście nikt oprócz niego nie zgłaszał pretensji, gdy z partnerką pojawiła się na naszej imprezie integracyjnej. Marcin przyszedł z koleżanką ze studiów. I gdyby ktoś mnie pytał, fukał pod nosem na lesbijskie związki już tylko dla zasady.

Pozytywnego wpływu sił diabelskich na nasze życie nie ośmielił się kwestionować nikt, a pani Eliza długo jeszcze domagała się praw do poprawnej deklinacji dla przedstawiciela piekła. Pies-bies pozostał piesem-biesem. Pomimo isticie anielskiej cierpliwości dla ośmiomiesięcznego kotka, jakim kilka dni temu uszczęśliwił nas znajomy weterynarz...

Pozostało do wyjaśnienia już tylko jedno...

* * *

— Oluś, wiesz, że jesteś mi winna wyjaśnienia — mruknął Łukasz, gdy w ciepłą, październikową noc leżeliśmy otuleni kocami i własnymi ramionami na rozkładanym łóżku na balkonie. — Ja do dziś nie wiem, jakim cudem dokopałaś się do tych wszystkich informacji.

Przez chwilę milczałam, zastanawiając się nad dyplomatyczną odpowiedzią.

— „Reszta jest milczeniem” — bąknęłam wreszcie. — Skoro Szekspir tak stwierdził, to może coś w tym jest...

— Powołujesz się na poważne autorytety — zachichotał Łukasz. — Dobrze, to powiedz chociaż, po co kopałaś w tym bagnie?

Tu o dyplomatyczną odpowiedź było już łatwiej.

— Męczyły mnie twoje czarne włosy — stwierdziłam. — Cała rodzina to blondyni, ewentualnie rudzi. Musiałam to sprawdzić, w przeciwnym razie pozostałoby mi brzydkie podejrzenie, że mój facet farbuje włosy.

— To faktycznie brzydkie podejrzenie — zgodził się Łukasz, gładząc mnie po ramieniu.

Przez chwilę leżeliśmy wpatrzni w milczeniu w zawieszony na jasnym niebie Księżyc. Choć na kolejne pełne zaćmienie musieliśmy jeszcze poczekać, nocne rozmowy, szeptane przy tym niemym świadku, który przysłuchiwał się nam z życzliwością, stały się nieodłącznym elementem naszej codzienności.

— Ola, ty nie wiesz, ale już wtedy chciałem dać ci klucze — zagadnął podczas jednej z nich Łukasz.

— Kiedy? — mruknęłam, otulając się jego ramionami niczym najcieplejszym kocem.

— Jak byliśmy na tym nocnym spacerze z Dragonem. Wtedy podczas zaćmienia.

— Miałeś przeczucie, czy już wtedy postanowiłeś dzielić się opieką nad piesem?

Łukasz milczał przez chwilę.

— Właściwie jedno i drugie. I pewnie bym ci dał, tylko nie mogłem znaleźć odpowiedniego breloczka.

Pomyślałam o czarnych, połyskujących metalicznie kamieniach przypiętych do naszych kluczy. Choć ukryty w nich blask przyciągał mnie i fascynował, nie rozumiałam, dlaczego przy tak niepozornych minerałach uparł się Łukasz. Nie znałam nawet ich nazwy.

— Krwawnik — wyjaśnił, kiedy zapytałam. — Moje breloczki dostałem kiedyś od matki. Od Alicji — uzupełnił, widząc dezorientację w moich oczach. — Lubiała minerały. Mówiła, że krwawnik jest kamieniem odwagi i właściwych wyborów. Chyba dobrze wybrałem, dając ci klucze? — uśmiechnął się.

— To się okaże — rzuciłam przekornie. — A odwaga ci będzie potrzebna. Daro zawsze mówił, że tylko bardzo odważny facet da radę stawić czoła życiu ze mną.

— I padło na mnie...

— Miałeś odwagę przygarnąć Dragona, obronić mnie przed szaleństwem swojej siostry, ba, nawet hondę mi pożyczyłeś — wyliczyłam. — Same bohaterskie czyny... Chociaż intryguje mnie, skąd wiedziałeś, że w tamten czwartek wydarzy się coś złego? Krwawniki gwarantują jasnowidzenie, czy jak?

Przyciśnięty do muru Łukasz westchnął ciężko.

— Ola, ja się od początku domyślałem, że to ona. Pamiętasz, na zdjęciach z zaćmienia była taka baba... To była Aga. Potem spotkanie w Tesco... Widziałem, jak na ciebie patrzyła. Taki wzrok u niej nigdy nie zapowiadał niczego dobrego. Ale nie miałem dowodów. Musiałem znaleźć inny sposób, żeby cię chronić.

— Na przykład co? — wymruczałam, tuląc się do ukochanego mężczyzny, który z takim poświęceniem dbał o moje bezpieczeństwo.

Łukasz przez chwilę milczał.

— No dobra — westchnął wreszcie. — Było jasne, że jesteś uparta i bez

dodatkowej motywacji nie zgodzisz się mieszkać u moich rodziców. Naprawdę mi głupio, muszę oddać ci kasę.

— O czym ty mówisz? — znieruchomiałam, patrząc na niego uważnie. — Coś ty mi za motywację zafundował? I za co chcesz oddawać forszę?

— No za to okno... — wymamrotał Łukasz.

Wzięłam głęboki oddech.

— Zaraz, zaraz — powiedziała oszołomiona. — Czy chcesz mi wmówić, że to okno...

— Ja zbiłem — przyznał stropiony Łukasz. — Żebyś nie upierała się zostać bez opieki... Sama wiesz, że z tobą standardowe procedury nie działają...

* * *

Dziś w nocy niebo jest zbyt zachmurzone, by leżeć na balkonie i podziwiać Księżyc. Zostaliśmy w sypialni, choć nie zawsze gwarantuje ona intymność, jakiej można by się spodziewać po tym pokoju. Szczególnie w obecności wiecznie spragnionych towarzystwa Dragona i Behemota, które nie podzielają naszego zamiłowania do marznięcia na balkonie w księżycowe noce. Jak na przedstawicieli piekła przystało, przedkładają ciepło nad walory estetyczne i romantyzm.

Wyciągam rękę nad głowę i odchylam delikatnie zasłonę. Bez względu na chmury wiem, że przenikające przez nie promienie Księżycza nieodpartym przyciąganiem oplątały nasze serca i związały je najtrwalszymi więzami. Nie muszę widzieć, jak wpadają przez okno, upewniając się, że ich magnetyzm jest wystarczająco silny. Czuję je w każdym dotyku Łukasza, który księżycowymi niemi splata nas coraz silniej.

To mi wystarczy.

